

JORGE LOUIS
BORGES

**Historie prawdziwe
i wymyślone**

El Aleph; Ficciones

MUZA S. A.
Warszawa 1993



Spis treści

Wstęp	4
Alef	6
Nieśmiertelny	7
Martwy	20
Teologowie	24
Historia wojownika i porwanej	31
Biografia Tadea Isidora Cruza (1829-1874)	35
Emma Zunz	38
Dom Asteriona	43
Powtórna śmierć	46
<i>Deutsches Requiem</i>	52
Dociekania Awerroesa	58
Zahir	65
Pismo boga	72
Ibn Hakam al-Buchari, zabity w swym labiryncie	76
Dwaj królowie i dwa labirynty	83
Oczekiwanie	84
Człowiek w progu	87
Alef	92
<i>Epilog</i>	104
Fikcje	106
Ogród o rozwidlających się ścieżkach (1941)	108
<i>Prolog</i>	108
Tlön, Uqbar, Orbis Tertius	110
Poszukiwanie Al-Mutasima	124
Pierre Menard, autor <i>Don Kichota</i>	129

Koliste ruiny	137
Loteria w Babilonie.....	142
Analiza twórczości Herberta Quaina	148
Biblioteka Babel.....	153
Ogród o rozwidlających się ścieżkach	160
Twory wyobraźni 1944	169
<i>Prolog</i>	169
Pamiętliwy Funes.....	171
Blizna	178
Temat zdrajcy i bohatera	183
Śmierć i busola.....	187
Tajemny cud	197
Trzy wersje Judasza	203
Zakończenie	208
Sekta Feniksa	211
Południe.....	214

Proza narracyjna jest zwykle łatwiejsza do tłumaczenia niż wiersz, ale proza Borgesa stwarza trudności nie mniejsze niż poezja ze względu na jej ciągle zniekształcenia twórcze i przemyślnie zasadzki. Tak różniący się pisarze jak G. Moore i W. Nabokow twierdzili, że przekład powinien brzmieć jak przekład. Ponieważ język Borgesa nie daje się czytać gładko w języku hiszpańskim, nie ma naturalnie powodu, żeby wygładzać go w przekładzie. Ponadto [Borges] uważa swój własny styl za, w najlepszym wypadku, przekład innych pisarzy: przy końcu opowiadania *Tlön, Uqbar, Orbis Tertius* mówi on o stworzeniu „niezdecydowanego przekładu” utworu *Urn Burial* Thomasa Browna, wzorowanego na wielkim hiszpańskim pisarzu okresu baroku, Francisco de Quevedo.

W istocie rzeczy proza Borgesa jest nowoczesną adaptacją stylu *coupé* z okresu zlatynizowanego baroku. Daje się u niego zauważyć skłonność do używania wyrazów, które siedemnasto- i osiemnastowieczni retorycy nazywali „ciężkimi”. Borges często używa ich w ściśle etymologicznym sensie, odnawiając ich rdzenne znaczenie z nowym, metaforycznym efektem. W pierwszym zdaniu *Kolistych ruin* wyraz *unánime* znaczy dokładnie „z jednego umysłu” (*unus animus*) i to rzutuje na końcowe odkrycie maga. Określenia wzniosłe są u Borgesa przeplatane z bardziej pospolitymi i dosłownymi; częste jest obrazowanie łączące pojęcia absolutnie różne; różnorodne związki są też stwarzane dzięki temu, że Borges, chcąc osiągnąć statyczne, eliptyczne, zazębiające się efekty, używa dwukropków i średników tam, gdzie zachodzą powiązania przyczynowe.

Podobnie jak Eliot w *The Waste Land* Borges rozmyślnie wprowadza do swoich tekstów cytaty. Najbardziej uderzającym tego przykładem jest *Nieśmiertelny*, opowiadanie które zawiera o wiele więcej takich „wtrąceń” czy też „kradzieży” niż wymaga jego epilog.

Do pewnego stopnia wszystkie opowiadania zawierają to samo: w *Loterii w Babilonie* można znaleźć echo Gibbona, Spenglera w *Deutsches Requiem*, samego Borgesa w *Bibliotece Babel* i w *Pamiętliwym Funesie*. Borges zauważył, że „barok jest stylem, który rozmyślnie wyczerpuje (lub usiłuje wyczerpać) swoje możliwości i balansuje na krawędzi swojej własnej karykatury”. Autoparodystyczny ton jest szczególnie wyraźny w opowiadaniach *Pierre Menard, autor Don Kichota, Zahir* czy *Sekta Feniksa*. W tym sensie Borges jest również ironicznym tłumaczem samego siebie.

James E. Irby: fragment ze wstępu do wyboru utworów *Labyrinths, Selected Stories, & Other Writings by Jorge Luis Borges*, A New Directions Book, New York (po 1964 r.)

ALEF

Przełożył

ANDRZEJ SOBOL-JURCZYKOWSKI

Nieśmiertelny

Salomon saith. *There is no new thing upon the earth. So that as Plato had an imagination, that all knowledge was but remembrance; so Salomon giveth his sentence, that all novelty is but oblivion.*¹

Francis Bacon *Essays*, LVIII

W Londynie, w początkach lipca 1929 roku, antykwariusz Joseph Cartaphilus ze Smyrny zaoferował księżnej de Lucinge sześć woluminów *in quarto* (1715-1720) *Iliady* Pope'a. Księżna je nabyła; odbierając je, zamieniła z nim parę zdań. Mówi, że był człowiekiem zniszczonym i ziemistym, o szarych oczach i szarej brodzie, o wyjątkowo nieokreślonych rysach. Posługiwał się ze swobodą i ignorancją kilkoma językami; w ciągu niewielu minut przeszedł z francuskiego na angielski, i z angielskiego na tajemniczą mieszankę hiszpańskiego z Salonik i portugalskiego z Makao. W październiku księżna usłyszała od pewnego pasażera *Zeusa*, że Cartaphilus zmarł na morzu, w drodze powrotnej do Smyrny, i że pochowano go na wyspie Ios. W ostatnim tomie *Iliady* znalazła ten rękopis.

Oryginał zredagowany jest po angielsku i obfituje w latynizmy. Podajemy jego dosłowne tłumaczenie.

I

O ile pamiętam, moje trudy rozpoczęły się w pewnym ogrodzie w Tebach Hekatompyloi, kiedy cesarzem był Dioklecjan. Walczyłem (bez chwały) w niedawnych

¹ Salomon powiada: *Nie ma na świecie nowej rzeczy*. Tak więc jak Platon wyobrażał sobie, że wszelkie pognanie jest tylko przypomnieniem, tak przeciwnie Salomon powiada, że wszelka nowość jest tylko zapomnieniem (przeł. Cz. Znamierowski).

wojnach egipskich, byłem trybunem legionu, który stacjonował w Berenice, na wprost Morza Czerwonego; gorączka i magia trawiły wielu ludzi, którzy pożądali wielkodusznie szczęku żelaza. Maurowie zostali zwyciężeni; ziemia, dawniej zajmowana przez buntownicze miasta, została wiekuiście poświęcona plutonicznym bóstwom. Aleksandria, pokonana, daremnie błagała o miłosierdzie Cezara; nim upłynął rok, legiony odniosły triumf, ale mnie zaledwie udało się dostrzec oblicze Marsa. To pominięcie bolało mnie i być może stało się przyczyną, dla której rzuciłem się na poszukiwanie, przez zuchwałe i rozległe pustynie, tajemniczego Miasta Nieśmiertelnych.

Trudy moje rozpoczęły się, jak powiedziałem, w pewnym ogrodzie w Tebach. Przez całą noc nie mogłem zasnąć, gdyż coś walczyło w moim sercu. Wstałem na krótko przed świtem; moi niewolnicy spali, księżyc miał ten sam kolor, co nieskończony piasek. Jakiś jeździec, wyczerpany i zakrwawiony, przybywał ze wschodu. O kilka kroków ode mnie zwałił się z konia. Słabym, łaknącym głosem spytał mnie po łacinie o nazwę rzeki, która omywa mury miasta. Odpowiedziałem mu, że jest to Egipt żywiony przez deszcze. *Innej rzeki poszukuję* - odparł smutno - *tajemnej rzeki, która oczyszcza ludzi ze śmierci*. Ciemna krew broczyła mu z piersi. Powiedział, że jego ojczyzną jest góra po drugiej stronie Gangesu, i że na tej górze wieść głosi, iż jeśli ktoś będzie podążał na zachód, tam gdzie kończy się świat, dotrze do rzeki, której wody dają nieśmiertelność. Dodał, że na drugim jej brzegu wznosi się Miasto Nieśmiertelnych, bogate w bastiony i amfiteatry, i świątynie. Zanim weszła jutrzienka, umarł, ale postanowiłem odkryć miasto i jego rzekę. Kilku mauretańskich więźniów, przesłuchiwanym przez kata, potwierdziło relację podróżnego; ktoś wspomniał pola elizejskie, na krańcu ziemi, gdzie życie ludzi jest wiecznotrwale; ktoś inny - szczyty, gdzie rodzi się Paktol i gdzie mieszkańcy żyją wiek. W Rzymie rozmawiałem z filozofami, którzy uważali, że przedłużanie życia ludzi jest przedłużaniem ich agonii i zwielokrotnianiem ich śmierci. Nie wiem, czy uwierzyłem kiedyś w istnienie Miasta Nieśmiertelnych; sądzę, że wystarczył mi wówczas zamiar poszukiwania go. Flawiusz, prokonsul Getulii, przydzielił mi dwustu ludzi na to przedsięwzięcie. Zwerbowałem również najemników, którzy mówili, że znają drogi, i którzy później pierwsi zbiegli.

Wydarzenia późniejsze zdeformowały w sposób nie do rozwikłania wspomnienie naszych pierwszych dni wyprawy. Wyruszyliśmy z Arsinoe i weszliśmy w rozpaloną pustynię. Przebyliśmy krainę Troglodytów, którzy pozerają węże i nie umieją posługiwać się mową; Krainę Garamantów, u których kobiety są wspólne i którzy żywią się lwami; krainę Augilów, którzy czczą jedynie Tartar. Nużyliśmy pustynie inne, gdzie piasek jest czarny, gdzie podróżnik musi uciekać się do godzin nocy, gdyż żar dnia jest nie do zniesienia. Z dała

ujrzałem górę, która dała imię Oceanowi: na jej zboczach rodzi się ostromlec, który neutralizuje trucizny; jej szczyt zamieszkują Satyrowie, naród krwiożerczych i dzikich ludzi, którzy oddają się rozpuście. Wszystkim nam wydało się niepojęte, że te barbarzyńskie okolice, gdzie ziemia jest matką potworów, mogą kryć w swoim łonie sławne miasto. Posuwaliśmy się dalej, gdyż zawrócenie byłoby hańbą. Niektórzy śmiałkowicie spali z twarzą wystawioną na działanie księżyca; strawiła ich gorączka; inni w skażonej wodzie cystern wypili szaleństwo i śmierć. Wówczas rozpoczęły się dezercje, bardzo niedługo później - bunt. Dla ich uśmierzenia nie zawahałem się przed wprowadzeniem surowej dyscypliny. Postąpiłem słusznie, ale pewien centurion ostrzegł mnie, że buntownicy (żądni zemsty za ukrzyżowanie jednego z nich) uknuli spisek na moje życie. Zbiegłem z obozu z garstką żołnierzy, którzy pozostali mi wierni. Na pustyni zgubiłem ich wśród wirów piasku i rozległej nocy. Raniła mnie strzała z brązu. Błądziłem, nie napotykając wody, w ciągu wielu dni lub w ciągu jednego tylko, niezmiernego dnia zwielokrotnionego przez słońce, przez pragnienie i przez strach przed pragnieniem. Pozostawiłem wybór drogi woli mojego konia. O świcie dał najeżyła się piramidami i wieżami. W nieznośny sposób przyśnił mi się niewielki i przejrzysty labirynt: w jego wnętrzu znajdował się dzban; moje ręce niemal dotykały go, ale tak zagmatwane i niezdecydowane były zakręty, że wiedziałem, iż umrę, zanim go osiągnę.

II

Gdy wydobyłem się w końcu z koszmaru, przekonałem się, że leżę ze związanymi rękoma w podłużnej kamiennej niszy nie większej od zwykłego grobu, wykutej na zewnątrz stromego zbocza jakiejś góry. Boki były wilgotne, wygładzone bardziej przez czas niż zamierzone działanie. Poczulem w piersi bolesne bicie, poczułem, że pali mnie pragnienie. Wychyliłem się i słabo krzyknąłem. U stóp góry toczył bezszelestnie swe wody brudny strumień, wstrzymywany przez nieczystości i piasek; na przeciwległym brzegu jaśniało w promieniach ostatniego, czy też pierwszego, słońca oczywiste Miasto Nieśmiertelnych. Ujrzałem mury, łuki, fasady i fora: fundamentem był kamienny płaskowyż. Setka nieregularnych nisz, podobnych do mojej, znaczyła górę i dolinę. W piasku znajdowały się niezbyt głębokie studnie; z tych niewielkich otworów (i z nisz) wyłaniali się ludzie o szarej skórze, o zaniedbanych brodach, nadzy. Wydało mi się, że ich rozpoznaję: należeli do bestialskiego rodu Troglodytów, którzy trapiłi wybrzeża Zatoki Arabskiej i groty etiopskie;

nie zdziwiło mnie, że nie mówią, i że pożerają węże.

Natarczywość pragnienia uczyniła mnie zuchwałym. Obliczyłem, że znajduję się o jakieś trzydzieści kroków od piasku; stoczyłem się z zamkniętymi oczyma, z rękoma związanymi na plecach, w dół zbocza. Pogrążyłem zakrwawioną twarz w ciemnej wodzie. Zacząłem pić tak, jak poją się zwierzęta. Zanim zagubiłem się ponownie we śnie i w delirium, z niewiadomego powodu powtórzyłem kilka greckich słów: *Lud bogatej Zelei, co pod Idą żyje i bystrego Ezepu czarne wody pije...*¹

Nie wiem, ile dni i nocy przetoczyło się nade mną. Obolały, niezdolny wrócić do jaskini, nagi na nieznanym piasku², pozwalałem, aby księżyc i słońce bawiły się mym nieszczęsnym losem. Troglodyci, dziecinni w swoim barbarzyństwie, nie pomogli mi przeżyć ani umrzeć. Na próżno prosiłem, aby zadali mi śmierć. Pewnego dnia, przy pomocy jakiegoś ostrego kamienia, przeciąłem moje więzy. Innego podniosłem się i zdołałem wyżebrać czy też ukraść - ja, Marcus Flaminius Rufus, trybun wojskowy jednego z legionów Rzymu - moją pierwszą porcję znienawidzonego mięsa węża.

Przemozne pragnienie ujrzenia Nieśmiertelnych, dotknięcia nadludzkiego Miasta, prawie odbierało mi sen. Jak gdyby przeniknęli mój zamiar, nie spali również Troglodyci: początkowo sądziłem, że mnie śledzą; później, że zarazili się moim niepokojem, jak zarażają się psy. Aby oddalić się z barbarzyńskiej wioski, wybrałem najbardziej publiczną z godzin, początek wieczoru, kiedy to prawie wszyscy ludzie wylaniają się z jaskiń i ze studni, i patrzą na zachód, nie widząc go. Zacząłem modlić się głośno - nie tyle żeby błagać o boską łaskę, ile żeby onieśmielić plemię artykułowanymi słowami. Przebyłem strumień wstrzymywany przez mielizny, i skierowałem się ku Miastu. Dwóch czy trzech mężczyzn podążyło niepewnie za mną. Byli oni (jak inni z tego plemienia) niepokaźnego wzrostu; nie napawali strachem lecz obrzydzeniem. Musiałem okrążyć kilka nieregularnych wgłębień, które wydały mi się kamieniołomami. Zmylony wielkością Miasta sądziłem, że jest bliskie. Około północy stopy moje dotknęły, najeżonego bałwochwalczyymi formami, czarnego cienia jego murów na żółtym piasku. Zatrzymał mnie rodzaj świętego przerażenia. Człowiek czuje taką odrazę do nowości i do pustyni, że ucieszyłem się dostrzegłszy, iż jeden z Troglodytów szedł za mną aż do końca. Zamknąłem oczy i czekałem (nie śpiąc), aż rozbłyśnie dzień.

Powiedziałem już, że Miasto było założone na płaskim szczycie skalistej góry. Góra ta spadała urwistymi ścianami, nie mniej stromymi niż mury. Na próżno nużyłem moje kroki. Czarna podstawa nie odsłaniała najmniejszej nieregularności, niezmiennie mury zdawały się

¹ Wersy w przekładzie Fr. Ks. Dmochowskiego (przyp. tłum.).

² Por. Virgilius, Emida, V, 871: *nudus in ignota, Palinure, iacebis arena* (przyp. tłum.).

nie dopuszczać ani jednej bramy. Siła słońca zmusiła mnie do schronienia się w jakiejś grocie; w jej głębi znajdowała się studnia, która schodziła przepastnie w dół ku głębokim ciemnościom. Zszedłem; przez chaos ponurych korytarzy doszedłem do obszernej, kolistej sali, zaledwie widocznej. Było dziewięć drzwi w tym podziemiu; ośmioro z nich prowadziło do labiryntu, który zdradliwie docierał do tej samej sali, dziewięć (przez następny labirynt) prowadziły do drugiej kolistej sali, identycznej z pierwszą. Nie znam liczby sal; moje nieszczęście i niepokój zwielokrotniły ją. Cisza była wroga i niemal doskonała; nie było innego hałasu w tej głębokiej, kamiennej sieci, jak tylko podziemny wiatr, którego przyczyny nie odkryłem; bezszelestnie gubiły się między szczelinami wąskie strumyki rdzawej wody. W potworny sposób przyzwyczałem się do tego potwornego świata; wydało mi się niewiarygodne, by mogło istnieć cokolwiek innego niż podziemia wyposażone w dziewięć drzwi i podziemia podłużne, które się rozwidlają. Nie wiem, przez jak długi czas musiałem wędrować pod ziemią; wiem, że raz pomyliła mi się, w tej samej tęsknocie, okrutna wioska barbarzyńców z moim rodzinnym miastem wśród winnic.

W głębi pewnego korytarza niespodziewany mur zamknął mi przejście, spadło na mnie jakieś odległe światło. Wzniosłem oślepienie oczy: zawrotnie wysoko ujrzałem krąg nieba tak błękitny, że wydał mi się purpurowy. Kilka metalowych stopni wznosiło się po murze. Zmęczenie odbierało mi siły, ale wspiałem się, przystając jedynie czasami, aby nieporadnie załkać ze szczęścia. Zaczęłem dostrzegać kapitele i astragale, trójkątne frontony i kopuły, niewyraźne i okazałe formy z granitu i z marmuru. W ten sposób było mi dane wydostać się ze ślepej okolicy czarnych, splecionych labiryntów do oślepiającego Miasta.

Wyszedłem na rodzaj placu czy raczej dziedzińca. Otaczał go jeden tylko budynek, o nieregularnej formie i niejednakowej wysokości; do tego niejednolitego budynku należały różne kopuły i kolumny. Uwagę moją przykuła starożytność konstrukcji niewiarygodnej budowli przed jakąkolwiek inną jej cechą. Poczułem, że była ona wcześniejsza od ludzi, wcześniejsza od ziemi. Ta rzucająca się w oczy starożytność (choć w jakiś sposób potworna dla oczu) wydała mi się właściwa dla nieśmiertelnych budowniczych. Początkowo ostrożnie, później obojętnie, wreszcie z rozpaczą zacząłem błędzić po schodach i posadzkach nierozwikłanego pałacu. (Później przekonałem się, że wielkość i wysokość stopni nie były jednakowe, co sprawiło, że zrozumiałem niezwykle zmęczenie, jakie wywoływały). *Pałac ten jest dziełem bogów* - pomyślałem początkowo. Badałem niezamieszkaną wewnątrz i poprawiłem się: *Bogowie, którzy go zbudowali, umarli*. Dostrzegłem jego szczegóły i powiedziałem: *Bogowie, którzy go zbudowali, byli szaleni*. Powiedziałem to, wiem na pewno, z niezrozumiałym potępieniem, które było niemal wyrzutem sumienia; z przerażeniem

bardziej intelektualnym niż z wyczuwalnym lękiem. Do wrażenia niezmiernej starożytności dołączyły się inne: wrażenie nieskończoności, okrucieństwa, złożonej nedorzecznosci. Przebyłem labirynt, ale przejrzyste Miasto Nieśmiertelnych przeraziło mnie i napełniło odrazą. Labirynt jest budynkiem wzniesionym, aby zmylić ludzi; jego architektura, szastająca symetria, jest temu podporządkowana. W pałacu, który niedokładnie zbadałem, architektura nie posiadała celu. Obfitował w korytarze bez wyjścia, wysokie, niedosiężne okna, okazałe drzwi prowadzące do jakiejś celi czy studni, niewiarygodne, odwrócone schody, z odwróconymi w dół stopniami i balustradami. Inne, zawieszane w powietrzu, przylegające do boku monumentalnego muru, umierały nie dochodząc donikąd, po dwóch czy trzech zakrętach, w ciemnościach górnych kopuł. Nie wiem, czy wszystkie przykłady, które wymieniłem, są dosłowne; wiem, że podczas długich lat nawiedzały mnie w koszmarach snach; nie mogę już wiedzieć, czy taki lub inny szczegół jest transkrypcją rzeczywistości, czy też form, które oszalały moje noce. *To Miasto (pomyślałem) jest tak potworne, że samo jego istnienie i trwanie, nawet w środku tajemnej pustyni, plami przeszłość i przyszłość w jakiś sposób naraża ciała niebieskie. Dopóki trwa, nikt na świecie nie będzie mógł być odważny czy szczęśliwy.* Nie chcę go opisywać; chaos różnorodnych wyrazów czy ciała tygrysa lub byka, w którym by się potwornie kłębiły połączone i nienawidzące się zęby, trzewia i głowy, byłyby może przybliżonymi obrazami.

Nie pamiętam etapów mojego powrotu wśród zakurzonych i wilgotnych hipogeów. Wiem jedynie, że nie opuszczała mnie obawa, iż przy wyjściu z ostatniego labiryntu otoczy mnie ponownie ohydne Miasto Nieśmiertelnych. Niczego więcej nie mogę sobie przypomnieć. To zapomnienie, teraz nie do przezwyciężenia, było może dobrowolne; może okoliczności mojej ucieczki były tak niewdzięczne, że pewnego dnia, równie zapomnianego, poprzysiągłem sobie je zapomnieć.

III

Kto przeczytał z uwagą relację moich trudów, przypomni sobie, że pewien człowiek z plemienia szedł za mną, jak mógłby iść za mną pies, aż do nieregularnego cienia murów.

Gdy wyszedłem z ostatniej piwnicy, spotkałem go u wylotu grotu. Leżał na piasku, na którym kreślił niezręcznie i ścierał rząd znaków jak litery ze snów, które ktoś już prawie pojmuje, i które nagle się zlewają. Początkowo sądziłem, że to jakieś prymitywne pismo;

później spostrzegłem, że jest absurdem wyobrażać sobie, iż ludzie, którzy nie doszli do mowy, mogliby dojść do pisma. Poza tym żadna z form nie była podobna do innej, co wykluczało lub oddalało możliwość, by były one symboliczne. Człowiek ten kreślił je, przyglądał im się, i poprawiał. Nagle, jakby zabawa go znudziła, startł wszystko dłonią i przedramieniem. Spojrzał na mnie, zdawał się mnie nie poznawać. Jednakże tak wielka była ulga, jaką mi sprawiał (lub tak wielka i przerażająca moja samotność), że zacząłem przypuszczać, iż ten prymitywny Troglodyta, który patrzył na mnie z dna groty, oczekiwał mnie. Słońce prażyło równinę; gdy podjęliśmy drogę powrotną do wsi pod pierwszymi gwiazdami, piasek pod stopami był rozpalony. Troglodyta szedł przede mną; tej nocy powziąłem zamiar, by nauczyć go rozpoznawania i, być może, powtarzania kilku słów. Pies i koń (pomyślałem) zdolne są do tego pierwszego; wiele ptaków, jak słowik Cezarów, do drugiego. Jakkolwiek prymitywny byłby umysł człowieka, jest on przecież wyższy niż u nierozumnych stworzeń.

Pokora i nędza Troglodyty przywiodły mi na pamięć obraz Argosa, starego, konającego psa z *Odysei*, i tak nadałem mu imię Argos i usiłowałem go nauczyć tego imienia. Ciągłe odnosiłem niepowodzenia. Wybiegi, stanowczość i upór okazały się całkowicie daremne. Nieruchomy, z bezwładnymi oczyma, zdawał się nie odbierać dźwięków, które starałem się mu wbić w pamięć. O kilka kroków ode mnie, wydawał się bardzo odległy. Leżąc na piasku, podobny do niewielkiego i zniszczonego sfinksa z lawy, pozwalał, aby obracały się nad nim niebiosa, od zmięzchu dnia do zmięzchu nocy. Wydawało mi się niemożliwe, żeby nie dostrzegł mojego zamiaru. Przypomniało mi się, że Etiopowie powiadają, iż małpy celowo nie mówią, aby nie zmuszano ich do pracy, i przypisałem nieufności czy obawie milczenie Argosa. Od tego wyobrażenia przeszedłem do innych, jeszcze bardziej fantastycznych. Pomyślałem, że Argos i ja należymy do różnych światów; pomyślałem, że nasze postrzegania są jednakowe, ale że Argos kojarzy je w inny sposób i konstruuje przy ich pomocy inne przedmioty; pomyślałem, że być może nie ma dla niego przedmiotów; jest tylko zawrotna i ciągła gra niezwykle krótkich wrażeń. Pomyślałem o świecie bez pamięci, bez czasu; rozważałem możliwość istnienia języka, który by nie znał rzeczowników, języka o bezosobowych czasownikach lub nieodmiennych epitetach. W ten sposób umierały dni, ale coś podobnego do szczęścia wydarzyło się pewnego poranka. Deszcz spadł z potężną powolnością.

Noce pustyni mogą być zimne, ale ta była ogniem. Śniło mi się, że jakaś rzeka Tesalii (której wodom zwróciłem złotą rybę) przybywała mnie wykupić; słyszałem, jak się zbliża po czerwonym piasku i czarnym kamieniu; chłód i uporczywy hałas deszczu obudziły mnie.

Pobiegłem nagi, aby go powitać. Kończyła się noc; pod żółtymi chmurami plemie, nie mniej szczęśliwe niż ja, poddawało się gwałtownej ulewie z rodzajem ekstazy. Wydawali się korybantami, opętanymi przez bóstwo. Argos, z oczyma wzniesionymi ku niebiosom, jęczał; strumienie wody płynęły mu po twarzy; nie tylko wody, ale i (dowiedziałem się o tym później) łez. *Argos* - krzyknąłem do niego - *Argos!*.

Wówczas, z łagodnym zachwytem, jakby odkrywał jakąś rzecz straconą i zapomnianą przed bardzo długim czasem, Argos wybełkotał te słowa: *Argos, pies Odysa*. I później, również nie patrząc na mnie: *Ten pies leżący na gnoju*.

Łatwo godzimy się z rzeczywistością, może dlatego że przeczuwamy, iż nic nie jest realne. Spytałem go, co wie o *Odysei*. Z trudem posługiwał się językiem greckim; musiałem powtórzyć pytanie.

Bardzo niewiele - powiedział. - *Mniej niż najbiedniejszy rapsod. Minęło już chyba tysiąc sto lat od czasu, kiedy ją wymyśliłem.*

IV

Owego dnia wszystko stało się dla mnie jasne. Troglodyci byli Nieśmiertelnymi; strumień o piaszczystych wodach był Rzeką, której poszukiwał jeździec. Co do miasta, którego sława dotarła aż do Gangesu, minęło już dziewięć wieków od czasu, gdy Nieśmiertelni je zniszczyli. Z pozostałości ruin wzniesli, w tym samym miejscu, niedorzeczne miasto, które obszedłem: rodzaj parodii czy odwrócenia, i również świątyni irracjonalnych bóstw, które kierują światem, i o których niczego nie wiemy prócz tego, że nie są podobne do człowieka. Budowla ta była ostatnim symbolem, na jaki pozwolili sobie Nieśmiertelni; oznaczała ona etap, w którym, przekonani, że każde przedsięwzięcie jest jałowe, postanowili żyć dla myśli, dla czystej spekulacji. Wzniesli budowlę, zapomnieli o niej i poszli mieszkać w jaskiniach. Pogrążeni w swych rozmyślaniach, prawie nie dostrzegali świata zewnętrznego.

O tych rzeczach opowiedział mi Homer jak ktoś, kto rozmawia z dzieckiem. Opowiedział mi również o swojej starości i o ostatniej podróży, jaką odbył, kierowany, jak Odyszeusz, zamiarem dotarcia do ludzi, którzy nie wiedzą, co to morze, nie jedzą solonego mięsa ani nie podejrzewają, co to wiosło. Mieszkał przez wiek w Mieście Nieśmiertelnych. Gdy je zniszczono, doradził założenie tego drugiego. Nie powinno to nas dziwić; powiadają, że po opiewaniu wojny Ilionu opiewał wojnę żab z myszami. Był jak bóg, który stworzyłby

kosmos, a następnie chaos.

Być nieśmiertelnym nie jest rzeczą niezwykłą; wszystkie stworzenia oprócz człowieka są takie, gdyż nie znają śmierci; rzeczą boską, rzeczą straszną, rzeczą niepojętą jest wiedzieć, że jest się nieśmiertelnym. Zauważyłem, że przekonanie to, na przekór licznym religiom, jest niezwykle rzadkie. Izraelici, chrześcijanie i muzułmanie głoszą nieśmiertelność, ale cześć, jaką składają pierwszemu wiekowi, dowodzi, że wierzą jedynie w niego, jako że przeznaczają wszystkie pozostałe, w nieskończonej ilości, na wynagradzanie go czy karanie. Bardziej rozsądny wydaje mi się krąg niektórych religii Indostanu; w kręgu tym, który nie ma początku ani końca, każde życie jest skutkiem poprzedniego i rodzi następne, ale żadne nie określa całości... Nauczona przez praktykę wieków republika ludzi nieśmiertelnych osiągnęła doskonałość tolerancji i niemal obojętności. Wiedziała, że w nieskończonym czasie każdemu człowiekowi wydarzają się wszystkie rzeczy. Dzięki swym przeszłym czy przyszłym cnotom każdy człowiek jest godny wszelkiej dobroci, ale również wszelkiej zdrady, dzięki swym nikiemnościom z przeszłości czy przyszłości. Podobnie jak w grach zależnych od przypadku cyfry parzyste i cyfry nieparzyste dążą do równowagi, tak też anulują się i naprawiają spryt i głupota; i być może nieskomplikowany poemat o Cydzie jest przeciwwagą wymaganą przez jeden tylko epitet z *Eklog* czy przez jedną sentencję Heraklita. Najbardziej przelotna myśl posłuszna jest niewidzialnemu rysunkowi i może ukoronować czy zapoczątkować jakąś tajemniczą formę. Słyszałem o takich, którzy czynili zło, aby okazało się ono dobrem w przyszłych wiekach, lub okazało się nim w wiekach już minionych... W ten sposób rozpatrywane wszystkie nasze czyny są słuszne, ale również są obojętne. Nie istnieją zasługi moralne czy intelektualne. Homer ułożył *Odyseję*; jeśli założymy nieskończoną ilość czasu, z nieskończonymi okolicznościami i wariantami, jest rzeczą niemożliwą nienapisanie, choćby jeden raz, *Odysei*. Nikt nie jest kimś, jeden człowiek nieśmiertelny jest wszystkimi ludźmi. Jak Cornelius Agrippa, jestem bogiem, jestem bohaterem, jestem filozofem, jestem demonem i jestem światem, co jest nużącym sposobem powiedzenia, że nie istnieję.

Pojęcie świata jako systemu doskonałych kompensacji wywarło rozległy wpływ na Nieśmiertelnych. Nade wszystko uczyniło ich nieczułymi wobec potrzeby litości. Wspomniałem o starożytnych kamieniołomach, które przecinały pola drugiego brzegu; jakiś człowiek wpadł do najgłębszego; nie mógł zrobić sobie krzywdy ani umrzeć, ale paliło go pragnienie; zanim rzucono mu linę, minęło siedemdziesiąt lat. Nie interesował ich również ich własny los. Ciało było uległym zwierzęciem domowym i wystarczała mu, co miesiąc, jałmużna kilku godzin snu, odrobiny wody i ochłopa mięsa. Niechaj nikt nie pragnie jednak zniżyć nas do ascetów. Nie ma bardziej złożonej przyjemności niż myślenie, i oddawaliśmy

się jej. Czasami jakiś nadzwyczajny bodziec zwracał nas światu zewnętrznemu. Na przykład owego poranka - starożytna, elementarna radość z powodu deszczu. Takie chwile były niezmiernie rzadkie; wszyscy Nieśmiertelni byli zdolni do doskonałego spokoju; pamiętam jednego z nich, którego nigdy nie widziałem stojącego: jakiś ptak uwił gniazdo na jego piersi.

Wśród konsekwencji doktryny mówiącej, że nie ma rzeczy, która by nie była zrównoważona przez inną, istnieje jedna o niewielkim znaczeniu teoretycznym, ale to ona skłoniła nas, przy końcu czy na początku X wieku, do rozproszenia się po powierzchni ziemi. Da się ona wyrazić w tych słowach: *Istnieje rzeka, której wody dają nieśmiertelność; w jakiejś krainie musi znajdować się inna rzeka, której wody ją znoszą*. Liczba rzek nie jest nieskończona; nieśmiertelny podróżnik, który przebiega świat, napije się w końcu z nich wszystkich. Postanowiliśmy odkryć tę rzekę.

Śmierć (lub aluzja do niej) czyni ludzi cennymi i patetycznymi. Są oni wzruszający, gdyż są widmami; każdy czyn, jakiego dokonują, może być ostatnim; nie ma twarzy, która nie miałaby się zatrzeć jak twarz z jakiegoś snu. Wszystko wśród śmiertelnych posiada wartość jako bezpowrotne i zależne od przypadku. Wśród Nieśmiertelnych każdy czyn (i każda myśl) jest echem innych, które poprzedziły go w przeszłości, bez dostrzegalnego początku, lub dokładną zapowiedzią innych, które w przyszłości będą go zawrotnie powtarzać. Nie ma rzeczy, która nie byłaby jakby zagubiona wśród niezmordowanych zwierciadeł. Nic nie może wydarzyć się jeden tylko raz, nic nie jest cennie wątpliwe. To, co uroczyste, co brzemienne w znaczenie, co ceremonialne, nie odnosi się do Nieśmiertelnych. Homer i ja rozstaliśmy się u bram Tangeru; mam wrażenie, że nie pożegnaliśmy się.

V

Przebyłem nowe królestwa, nowe cesarstwa. Jesienią 1066 roku walczyłem na moście pod Stamfordem, nie pamiętam już, czy w szeregach Harolda, który wkrótce znalazł swoje przeznaczenie, czy w szeregach owego nieszczęsnego Haralda Hardraada, który zdobył sześć stóp ziemi angielskiej, czy trochę więcej. W siódmym wieku Hidzry, na przedmieściach Bulaku, przepisywałem powolnym, kaligraficznym pismem, w języku, który zapomniałem, alfabetem, którego już nie znam, siedem podróży Sindbada i historię o Mieście z Brązu. Na dziedzińcu więzienia w Samarkandzie grałem wiele w szachy. W Bikanerze uprawiałem astrologię, i również w Czechach. W 1638 roku byłem w Kolozsvár, i później w Lipsku. W

Aberdeen, w 1714 roku, dokonałem subskrypcji na sześć woluminów *Iliady* Pope'a; wiem, że wracałem do nich często z rozkoszą. Około 1729 roku dyskutowałem na temat pochodzenia tego poematu z pewnym profesorem retoryki, który zwał się, o ile pamiętam, Giambattista; jego racje wydały mi się nie do odparcia. Czwartego października 1921 roku *Patna*, który wiózł mnie do Bombaju, musiał zakotwiczyć w pewnym porcie wybrzeża Erytrei¹. Wsiadłem na ląd; przypomniałem sobie inne, bardzo dawne poranki, również nad Morzem Czerwonym, kiedy byłem trybunem Rzymu i gorączka, i magia, i beczynność trawy żołnierzy. W okolicy dostrzegłem obfitość jasnej wody; spróbowałem jej powodowany przyzwyczajeniem. Gdy wspinałem się na brzeg, kolczaste drzewo skaleczyło mi brzeg dłoni. Dawno nie doświadczony ból wydał mi się bardzo dotkliwy. Z niedowierzaniem, spokojny i szczęśliwy, przyglądałem się cennemu formowaniu się powolnej kropli krwi. *Znowu jestem śmiertelny* - powtarzałem sobie - *znowu jestem podobny do wszystkich ludzi* - Tej nocy spałem aż do świtu.

...Przejrzałem, po upływie roku, te stronice. Przekonałem się, że odpowiadają prawdzie, ale w pierwszych rozdziałach, a nawet w niektórych rozdziałach dalszych, wydaje mi się, że dostrzegam coś fałszywego. Dzieje się tak, być może, za sprawą nadużywania rysów okolicznościowych; to metoda, której nauczyłem się od poetów i która wszystko kała fałszem, jako że w te cechy mogą obfitować fakty, ale nie ich wspomnienie... Jednakże mam wrażenie, że odkryłem głębszy powód. Opiszę go; nieważne, że zostanę uznany za fantastę.

Historia, którą opowiedziałem, wydaje się nierealna, gdyż mieszają się w niej wydarzenia z życia dwóch różnych ludzi. W pierwszym rozdziale jakiś jeździec chce dowiedzieć się imienia rzeki, która omywa mury Teb; Flaminius Rufus, który poprzednio dał miastu epitet Hekatompylei², mówi, iż rzeka zwie się Egipt; żadne z tych wyrażen nie pasuje do niego, lecz do Homera, który wspomina wyraźnie, w *Iliadzie*, Teby Hekatompylei i w *Odysei*, przez usta Proteusza i Odysa, mówi niezmiennie o Nilu - Egipt. W rozdziale drugim Rzymianin, pijąc nieśmiertelną wodę, wymawia jakieś słowa po grecku; słowa te należą do Homera i można je znaleźć przy końcu słynnego katalogu okrętów. Później, w zawrotnym pałacu, mówi o „potępieniu, które było niemal wyrzutem sumienia”; słowa te pochodzą od Homera, który spłodził tę okropność. Te anomalie zaniepokoiły mnie; inne, o charakterze estetycznym, pozwoliły mi odkryć prawdę. Zawiera je ostatni rozdział; jest tam napisane, że walczyłem na moście pod Stamfordem, że przepisywałem, w Bulaku, podróże Sindbada Żeglarsza i że dokonałem subskrypcji, w Aberdeen, na angielską *Iliadę* Pope'a. Czytamy tam

¹ W tym miejscu rękopis jest zamazany; być może nazwa portu została wytarta (przyp. aut.).

² Hekatompylei (gr.) - stubramne. (przyp. tłum.).

inter'alia: „W Bikanerze uprawiałem astrologię, i również w Czechach”. Żadne z tych świadectw nie jest fałszywe; zastanawiający jest fakt ich podkreślenia. Pierwsze z nich zda się odnosić do człowieka wojny, ale później dostrzegamy, że narrator nie kładzie nacisku na sprawy wojenne, lecz na losy ludzkie. Te, które później następują, są bardziej interesujące. Niejasna, elementarna przyczyna zmusiła mnie do odnotowania ich; uczyniłem to, gdyż wiedziałem, że są patetyczne. Nie są takimi opowiedziane przez Rzymianina Flaviusa Rufusa. Są takimi opowiedziane przez Homera; dziwne byłoby, gdyby ten ostatni kopiował, w trzynastym wieku, przygody Sindbada, drugiego Odysa, i odkrywał, po obróceniu się wielu wieków, w jakimś północnym królestwie i w jakimś barbarzyńskim języku, formy swojej *Iliady*. Co do zdania, które zawiera nazwę Bikaneru widać, że zostało ono zredagowane przez literata, pragnącego, podobnie jak autor katalogu okrętów, wykazać się znajomością wspaniałych wyrazów¹.

Kiedy zbliża się koniec, nie pozostają już obrazy wspomnień; pozostają jedynie słowa. Nic dziwnego, że czas pomieszał te, które kiedyś reprezentowały mnie, ze słowami będącymi symbolem losu kogoś, kto towarzyszył mi przez tyle wieków. To ja byłem Homerem; w niedługim czasie będę Nikim, jak Odyseusz; w niedługim czasie będę wszystkimi: umrę.

Postscriptum z 1950 roku. Wśród komentarzy, jakie wywołała poprzednia publikacja, najciekawszy, bo z pewnością nie najbardziej uprzejmy, nosi biblijny tytuł *A coat of many colours* (Manchester, 1948) i jest dziełem zawziętego pióra doktora Nahuma Cordovero. Obejmuje jakieś sto stronic. Mówi o kompilacjach greckich, o kompilacjach późnołacińskich, o Ben Jonsonie, który określił swoich współczesnych, posługując się cytatami z Seneki, o utworze *Virgilius evangelizans* Alexandra Rossa, o pomysłach George'a Moora i Eliota, i wreszcie o „opowiadaniu przypisywanemu antykwariuszowi Josephowi Cartaphilusowi”. Ujawnia, w pierwszym rozdziale, krótkie interpolacje z Pliniusza (*Historia naturalis*, V, 8); w drugim - z Thomasa de Quincey (*Writings*, III, 439); w trzecim - z pewnego listu Kartezjusza do ambasadora Pierre'a Chanut; w czwartym - z Bernarda Shawa (*Back to Methuselah*, V). Wnioskuje z tych wtrąceń, czy kradzieży, że cały ten dokument jest apokryfem.

Moim zdaniem, konkluzja taka jest niedopuszczalna. *Kiedy zbliża się koniec* - napisał Cartaphilus - *nie pozostają już obrazy wspomnień; pozostają jedynie słowa*. Słowa, słowa niestosowne i okaleczone, były ubogą jałmużną, jaką pozostawiły mu godziny i wieki.

¹ Ernesto Sabato sugeruje, że Giambattista, który dyskutuje na temat pochodzenia *Iliady* z antykwariuszem Cartaphilusem, to Giambattista Vico; Włoch ten bronił opinii, że Homer jest postacią symboliczną, na sposób Plutona czy Achillesa (przyp. aut.).

Dla Cecylii Ingenieros

Martwy

Żeby jakiś człowiek z przedmieścia Buenos Aires, żaloszny cwaniaczek bez innych zalet niż zaślepienie odwagą, zapuścił się w konne pustynie na pograniczu Brazylii i został szefem przemytników, wydaje się rzeczą z góry niemożliwą. Tym, którzy tak sądzą, pragnę opowiedzieć o losie Beniamina Otálory, o którym, być może, nie przetrwało żadne wspomnienie w dzielnicy Balvanera i który zginął, tak jak powinien, od kuli, na krańcach Rio Grande do Sul. Nie znam szczegółów jego przygody; gdy zostaną mi one objawione, będę musiał poprawić i poszerzyć te stronicę. Chwilowo może będzie przydatne to streszczenie.

Beniamin Otálora liczy, około 1891 roku, dziewiętnaście lat. Jest chłopakiem o niskim czole, o szczerych, jasnych oczach, o silnej, baskijskiej budowie; szczęśliwy cios sztyletem objawił mu, że jest człowiekiem odważnym; nie niepokoi go śmierć przeciwnika ani natychmiastowa konieczność ucieczki z Republiki. Parafialny kacyk daje mu list do niejakiego Azevedo Bandeiry, w Urugwaju. Otálora wsiada na statek, rejs jest burzliwy, statek trzeszczy; następnego dnia włączy się po ulicach Montevideo z niewypowiedzianym, i może nie uświadomionym, smutkiem. Nie udaje mu się odnaleźć Azevedo Bandeiry; około północy, w jakiejś tawernie na Paso del Molino, jest świadkiem sprzeczki między poganiaczami bydła. Błyska nóż; Otálora nie wie, po której stronie jest racja, ale sam smak niebezpieczeństwa pociąga go, jak innych karty czy muzyka. W czasie bójki odparowuje cios sztyletem wymierzony, przez jakiegoś poganiacza, metysowi w ciemnym kapeluszu i w poncho. Potem okazuje się, że jest to Azevedo Bandeira. (Otálora, kiedy się o tym dowiaduje, drze list, gdyż woli zawdzięczać wszystko samemu sobie). Azevedo Bandeira, chociaż krzepki, sprawia wrażenie, że jest zdeformowany; w rysach jego twarzy, ciągle nazbyt bliskiej, jest obecny Żyd, Murzyn i Indianin; w jego postaci - małpa i tygrys; blizna, która przecina twarz, jest dodatkową ozdobą, podobnie jak szpeciniaste, czarne wąsy.

Sprzeczka - projekcja czy omyłka alkoholu, ustaje z tą samą szybkością, z jaką wybuchła. Otálora pije z poganiaczami, później towarzyszy im w wyprawie na zabawę, w końcu do jakiejś rudery w starej części miasta; słońce stoi już wysoko. Na wewnętrznym

patio, na ubitej ziemi, mężczyźni rozkładają posłania. Otálora porównuje niewyraźnie tę noc do poprzedniej; teraz jest już na lądzie, wśród przyjaciół. Niepokoi go wyrzut sumienia: nie tęskni za Buenos Aires. Śpi do późnego popołudnia, aż obudzi go mężczyzna, który po pijanemu zaatakował Bandeirę. (Otálora pamięta, że mężczyzna ten dzielił z innymi noc zgiełku i euforii, i że Bandeira posadził go po swojej prawicy, i zapraszał dalej do picia). Człowiek ten mówi, że wzywa go Bandeira. W czymś w rodzaju biura wychodzącego na sieni (Otálora nigdy nie widział sieni z bocznymi drzwiami) czeka na niego Azevedo Bandeira z wyniosłą kobietą o jasnej cerze i rudych włosach. Bandeira jest uprzejmy, częstuje go kieliszkiem rumu, powtarza, że uważa go za dzielnego człowieka, i proponuje, żeby udał się z nimi na północ po bydło. Otálora godzi się; o świcie są już w drodze do Tacuarembó.

Zaczyna się dla Otálory inne życie; życie rozległych świtów i dni o końskim zapachu. To życie jest czymś nowym, czasami potwornym, ale ma już je we krwi, gdyż jak inne narody czczą i przeczuwają morze, tak my (również ten, który tka te symbole) tęsknimy za niekończącą się równiną, która rozbrzmiewa pod kopytami. Otálora wzrósł na przedmieściach wśród furmanów i rzeźników; przed upływem roku zostaje gauczem. Uczy się jeździć konno, zaganiać bydło, ćwiartować jego mięso, posługiwać się lassem, które chwyta, i związanymi rzemieniem kulami, które zwalają z nóg, znosić bezsenność, burze, mrozy i słońce, prowadzić bydło gwizdem i krzykiem. Tylko raz w czasie tego przysposobienia do nowego zawodu spotyka Azevedo Bandeirę, ale stale ma go w myślach, gdyż być *człowiekiem Bandeiry*, to być szanowanym i budzić lęk, a również dlatego, że gdy ktoś zdobywa się na jakiś wyczyn, gauczowie mówią, iż Bandeira robi to lepiej. Niektórzy powiadają, że Bandeira urodził się na drugim brzegu Cuareim, w Rio Grande do Sul; i choć miało go to poniżyć, w niejasny sposób wzbogaciło go o tłumne puszcze, o bagniska, o nierozwikłane i niemal niekończące się odległości. Otálora wie, że zajęcia Bandeiry są rozliczne, i że głównym z nich jest przemysł. Być poganiaczem bydła, to pełnić funkcję służebną; Otálora postanawia awansować na przemysłowca. Pewnej nocy dwaj towarzysze mają iść za granicę po transport rumu; Otálora prowokuje jednego z nich, rani go i zajmuje jego miejsce. Powoduje nim ambicja, a także niejasne przecucie szczęścia. *Niech ten człowiek, wreszcie zrozumie (myśli), że jestem więcej wart niż wszyscy jego Urugwajczycy razem wzięci.*

Minie następny rok, zanim Otálora wróci do Montevideo. Wszyscy przemierzają peryferie i miasto (które wydaje się ogromne); przybywają do domu szefa; rozkładają posłania na wewnętrznym patio. Mijają dni, a Otálora nie spotyka Bandeiry. Ludzie mówią z lękiem, że jest chory; pewien Murzyn nosi do sypialni na piętrze wrzątek i *mate*. Pewnego popołudnia zlecają mu to zadanie. Otálora czuje się upokorzony, ale również zadowolony.

Sypialnia jest odrapana i ciemna. Jest tam wychodzący na zachód balkon, jest długi stół z błyszczącym nieładem rzemieni, batogów, pasów, broni palnej i broni białej, jest odległe lustro o zamglonej tafli. Bandeira ma jakiś sen i jęczy; leży na wznak obrysowany gwałtownością ostatnich blasków słońca. Szerokie białe łóżce zda się go pomniejszać i ściemniać; Otálora dostrzega siwiznę, znużenie, słabość, szczeliny dokonane przez lata. Oburza go, że rozkazuje im ten starzec. Myśli, że wystarczyłby jeden cios, żeby z nim skończyć. Wtedy dostrzega w lustrze, że ktoś wszedł. To rudowłosa kobieta; jest na wpół ubrana i bosa, i obserwuje go z zimną ciekawością. Bandeira unosi się; kiedy mówi o najbliższych zadaniach i pije jeden po drugim kubek *mate*, jego palce bawią się warkoczami kobiety. W końcu pozwala, żeby Otálora wyszedł.

Po kilku dniach dostają rozkaz wyruszenia na północ. Docierają do zagubionej hacjendy, takiej samej jak gdziekolwiek indziej na niekończącej się równinie. Nie rozweselają jej drzewa ani strumień, biją w nią promienie pierwszego i ostatniego słońca. Są tam brukowane zagrody dla bydła, które jest rogate i zaniedbane. Ta nędzna hacjenda nazywa się *Westchnienie*.

Otálora słyszy od peonów, że wkrótce z Montevideo przyjeżdża Bandeira. Pyta po co; ktoś wyjaśnia, że jest pewien przybysz, świeżo upieczony gauczo, który się za bardzo rządzi. Otálora rozumie, że to żart, ale pochlebia mu, że taki żart jest już możliwy. Później dowiaduje się, że Bandeira poróżnił się z jakimś przywódcą politycznym i że ten odmówił mu swojego poparcia. Cieszy się z tej wiadomości.

Nadchodzą skrzynie z bronią palną; pojawia się dzban i miednica ze srebra do pokoju kobiety; pojawiają się kotary z zawilego adamaszku; pewnego poranka przybywa ze wzgórz mroczny jeździec z gęstą brodą, w poncho. Nazywa się Ulpiano Suárez; to *capanga* czyli osobista ochrona Azevedo Bandeiry. Mówi niewiele, z brazylijskim akcentem. Otálora nie wie, czy przypisać jego rezerwę wrogości, pogardzie czy zwykłemu barbarzyństwu. Wie za to, że dla planu, jaki snuje, musi pozyskać sobie jego przyjaźń.

Potem w losy Beniamina Otálory wkracza kasztanek z czarną grzywą, którego przyprowadza z południa Azevedo Bandeira, z uprzężą nabijaną srebrem, z siodłem lamowanym futrem jaguara. Ten wspaniały koń to symbol władzy szefa i dlatego chłopak gwałtownie go pożąda, tak jak zaczyna pożądać, żądzą pełną urazy, kobiety o błyszczących włosach. Kobieta, uprzęż i kasztanek są atrybutami czy też przymiotami człowieka, którego on pragnie zniszczyć.

Tu historia komplikuje się i pogłębia. Azevedo Bandeira jest zręczny w sztuce stopniowego zastraszania, w szatańskich manewrach upokarzania rozmówcy za pomocą

przemawiania na przemian serio i z kpiną; Otálora postanawia zastosować tę samą dwuznaczną metodę do trudnego planu, jaki powziął. Postanawia powoli zastąpić Azevedo Bandeirę. Pozyskuje, w dniach wspólnych niebezpieczeństw, przyjaźń Suáreza. Zwierza mu się ze swojego planu; Suárez obiecuje swą pomoc. Później wydarza się wiele rzeczy, z których wiem o bardzo niewielu. Otálora nie słucha poleceń Bandeiry; zapomina, poprawia, przeinacza jego rozkazy. Wszechświat zda się konspirować wraz z nim i przyspiesza fakty. Pewnego południa na polach Tacuarembó dochodzi do strzelaniny z ludźmi z Rio Grande do Sul. Otálora samowolnie przyjmuje rolę szefa i dowodzi Urugwajczykami. Kula przeszywa mu ramię, ale tego popołudnia Otálora wraca na hacjendę *Westchnienie* na kasztanku szefa; tego wieczora kilka kropli jego krwi plami skórę jaguara; tej nocy śpi z kobietą o błyszczących włosach. Inne wersje zmieniają kolejność tych wydarzeń i przeczą, jakoby miały miejsce tego samego dnia.

Bandeira nadal jest jednak szefem. Wydaje rozkazy, choć nie są one wykonywane; Benjamin Otálora zostawia go w spokoju, po trosze z przyzwyczajenia, po trosze z litości.

Ostatnia scena tej historii odnosi się do podniecenia ostatniej nocy 1894 roku. Tej nocy ludzie z *Westchnienia* jedzą świeżo zarżniętego barana i piją kłótlawy alkohol. Ktoś w nieskończoność brzdąka na strunach pracowitą milongę. Na honorowym miejscu stołu Otálora, pijany, wznosi triumf na triumfie, euforię na euforii; zawrotna wieża jest symbolem jego nieodpartego losu. Bandeira, milczący wśród rozwrzeszczanych mężczyzn, pozwala, aby płynęła hałaśliwa noc. Gdy rozlega się dwanaście uderzeń zegara, wstaje jak ktoś, kto przypomina sobie, że ma coś do zrobienia. Wstaje i puka delikatnie do drzwi kobiety. Ta otwiera mu natychmiast, jakby czekała na wezwanie. Wychodzi w połowie rozebrana i bosa. Wysokim, przeciągającym się głosem szef rozkazuje:

- Jeżeli tak się kochacie, ty i ten z Buenos Aires, pocałujesz go teraz, przy wszystkich.

Dodaje coś ordynarnego. Kobieta opiera się, ale dwóch mężczyzn już schwyciło ją za ręce i rzuca na Otálorę. Zalewając się łzami, całuje jego twarz i piersi. Ulpiano Suárez chwytając rewolwer. Otálora przed śmiercią zrozumie, że od początku go zdradzono, że został skazany na śmierć, że pozwolono mu na miłość, na władzę i na triumf, bo uważano go za martwego, bo dla Bandeiry już był martwy.

Suárez, nieomal pogardliwie, strzela.

Teologowie

Zrównali z ziemią ogród, sprofanowali kielichy i ołtarze, i wjechali Hunowie konno do klasztornej biblioteki, i podarli niezrozumiałe księgi, i znieważyli je, i spalili, może z obawy, że litery zawierały bluźnierstwa przeciwko ich bogu, który był mieczem z żelaza. Spłonęły palimpsesty i kodeksy, ale w sercu stosu, wśród popiołów, przetrwała prawie nietknięta księga dwunasta *Civitas Dei*, która opowiada, że Platon nauczał w Atenach, iż po upływie wieków wszystkie rzeczy odzyskają swój poprzedni stan i on, w Atenach, przed tym samym audytorium, znów będzie wyjaśniał tę doktrynę. Tekst, oszczędzony przez płomień, spotkał się ze szczególną czcią, i ci, którzy się na niego powoływali, zapomnieli w końcu, że autor przedstawił tę doktrynę jedynie po to, aby łatwiej móc ją zwalczać. W wiek później Aurelianus, koadiutor Akwilei, dowiedział się, iż na brzegach Dunaju nowa sekta *monotonnych* (zwanych również *pierścienistymi*) głosi, że historia jest kręgiem i że nie istnieje nic, czego nie było i czego nie będzie. W górach Krzyż zastąpiły Koło i Wąż. Wszyscy zatrwożyli się, ale wszyscy pocieszali się pogłoskami, że zwalczenie tak ohydnej herezji zostało zlecone Janowi z Panonii, który odznaczył się traktatem na temat siódmego atrybutu Boga.

Aurelianus był niepokieszony z powodu tych wiadomości, zwłaszcza ostatniej. Wiedział, że w dziedzinie teologii wszelka nowość jest ryzykowna; później doszedł do wniosku, że teza o czasie kolistym jest zbyt odmienna, zbyt zaskakująca, aby niebezpieczeństwo mogło być poważne. (Herezje, których powinniśmy się obawiać, to takie, które można pomylić z ortodoksją). Bardziej zabolęła go interwencja Jana z Panonii. Ten ostatni, dwa lata wcześniej, wtargnął swym obszernym traktatem *De septima affectione Dei sive de aeternitate* w przedmiot specjalności Aureliana; teraz, tak jakby problem czasu do niego należał, miał sprowadzać pierścienistych na właściwą drogę, być może przy pomocy argumentów Prokrustesa, środkami nasuwającymi większe obawy niż Wąż... Tej nocy Aurelianus przejrzał karty starożytnego dialogu Plutarcha o zamilknięciu wyroczeni; w paragrafie 29 przeczytał drwinę pod adresem stoików, którzy bronią nieskończonego cyklu

światów, z nieskończonymi słońcami, księżycami, Apollonami, Artemidami i Posejdonami. Odkrycie to wydało mu się pomyslną wróżbą; postanowił uprzedzić Jana z Panonii i zwalczyć heretyków Koła.

Niektórzy szukają w kobiecie miłości po to, aby o niej zapomnieć, aby już więcej o niej nie myśleć; podobnie Aurelianus chciał pokonać Jana z Panonii, aby wyleczyć się z odrazy, jaką ten go napawał, nie zaś aby mu szkodzić. Ukojony zwykłą pracą, fabrykowaniem sylogizmów i wynajdywaniem zniewag, różnych *nego* i *autem* i *nequaquam*, zdołał o tej niechęci zapomnieć. Wznosił rozległe i niemal nie do rozwikłania okresy, zagmatwane zdaniem wtrąconymi, w których niedbalstwo i błędy składniowe wydawały się formą wzgardy. Z kakofonii uczynił narzędzie. Przewidział, że Jan z Panonii będzie gromił pierścienistych z proroczą powagą; wybrał, by się z nim nie powtarzać, szyderstwo. Augustyn pisał, że Jezus jest prostą drogą, która wybawia nas z kolistego labiryntu, po którym chodzą bezbożnicy¹; Aurelianus, pracowicie banalny, porównał ich do Iksjona, do wątroby Prometeusza, do Syzyfa, do owego króla Teb, który ujrzał dwa słońca, do jąkania się, do papug, do luster, do echa, do mułów przy kieracie i do dwurożnych sylogizmów². (Pogańskie baśni zachowały się w ten sposób, sprowadzone do ozdobników). Jak każdy posiadacz biblioteki, Aurelianus czuł się winny, że nie zna jej do końca; sprzeczność ta pozwoliła mu na przeczytanie wielu książek, które zdawały mu się zarzucać niedbalstwo. W ten sposób mógł wtrącić ustęp z dzieła *De principiis* Orygenesesa, gdzie zaprzecza się temu, że Judasz Iskariota ponownie sprzeda Pana i Paweł ponownie będzie świadkiem męczeństwa Szczepana w Jerozolimie, i drugi, z dzieła *Academica priora* Cyserona, w którym ten ostatni kpi z ludzi śniących, że podczas gdy on rozmawia z Lukullusem, inni Lukullusowie i inni Cyseroni, w nieskończonej liczbie, mówią dokładnie to samo, w nieskończonych, identycznych światach. Ponadto przytoczył przeciwko monotonnym tekst Plutarcha i wykazał oburzający fakt, że bałwochwalcy służą bardziej *lumen naturae* niż im słowo boże. Dziewięć dni zajęła mu ta praca; dziesiątego doręczono mu kopię refutacji Jana z Panonii.

Była ona niemal śmiesznie krótka; Aurelianus spojrzął na nią z pogardą, a następnie z obawą. Pierwsza część komentowała ostatnie wersety dziewiątego rozdziału *Listu do Żydów*, w którym mówi się, że Jezus nie był ofiarowany wielokrotnie od początku świata, lecz teraz, po skończeniu wieków, jeden raz. Druga przytaczała biblijną naukę o zbędnych powtórzeniach u pogan (Mateusz, VI, 7) i ów wstęp do siódmej księgi Pliniusza, który rozważa, że w rozległym wszechświecie nie ma dwóch jednakowych twarzy. Jan z Panonii

¹ Św. Augustyn, *Civitas Dei*, XII, 21 (przyp. tłum.).

² Tak określa się czasem po hiszpańsku sylogizmy dylematyczne (przyp. tłum.).

oświadczał, że nie ma również dwóch jednakowych dusz i że najniebezpieczniejszy grzesznik jest cenny jak krew, którą przelał za niego Jezus Chrystus. Czyn jednego człowieka (twierdził) cięższy bardziej niż dziewięć koncentrycznych niebios, i wyobrażać sobie, że może on zniknąć i powrócić, jest wyraźną lekkomyślnością. Czas nie odtwarza tego, co tracimy; wieczność przechowuje to dla chwały, i również dla ognia. Traktat ten był przejrzysty, uniwersalny; nie wydawał się ułożony przez konkretną osobę, lecz przez jakiegokolwiek człowieka lub, być może, przez wszystkich ludzi.

Aurelianus poczuł niemal fizyczne upokorzenie. Zamierzał z początku zniszczyć lub przerobić swą własną pracę; następnie wysłał ją, z urażoną uczciwością, do Rzymu, nie zmieniając ani jednej litery. Po miesiącach, gdy zebrał się sobór w Pergamo, teologiem, któremu zlecono zwalczanie błędów monotonych, został (jak było do przewidzenia) Jan z Panonii; jego uczona i umiarkowana refutacja wystarczyła, by Euforbos, herezjarcha, został skazany na stos. *To wydarzyło się już i będzie się wydarzać w przyszłości* - powiedział Euforbos. *Nie zapalacie stosu, zapalacie labirynt ognia. Gdyby zebrały się tu wszystkie stosy, którymi byłem, nie zmieściłyby się one na ziemi i aniołowie by oślepli. Powiedziałem to już wiele razy.* Później krzyknął, gdyż dosięgły go płomienie.

Upadło Koło przed Krzyżem¹, ale Aurelianus i Jan wiedli dalej swoją tajemną walkę. Obaj walczyli po tej samej stronie, walczyli przeciwko temu samemu Wrogowi, pragnęli tej samej nagrody, ale Aurelianus nie napisał ani jednego słowa, które by skrycie nie dążyło do pokonania Jana. Pojedynek ich był niewidzialny; jeśli mnogie oznaki mnie nie zwodzą, ani razu nie pojawia się imię *tego drugiego* w licznych tomach Aureliana, które zbiera *Patrologia* Migne'a. (Z dzieł Jana przetrwało tylko dwadzieścia słów). Obaj skrytykowali anatemy drugiego soboru w Konstantynopolu; obaj prześladowali arian, którzy negowali wieczną naturę Syna; obaj zaświadczyli o ortodoksji dzieła *Topographia Christiana* Cosmasa, które naucza, że ziemia jest czworokątna jak żydowskie tabernakulum. Niestety przez cztery narożniki ziemi rozprzestrzeniła się inna burzliwa herezja. Wywodząca się z Egiptu czy z Azji (gdyż świadectwa nie są zgodne i Bossuet nie chce uznać argumentów Harnacka), szalała w prowincjach wschodnich i wzniosła sanktuaria w Macedonii, w Kartaginie i w Trewirze. Zdała się być obecna wszędzie; mówiono, że w diecezji Brytanii zostały obrócone krucyfiksy i że postać Chrystusa w Cezarei została zastąpiona przez zwierciadło. Zwierciadło i obol były symbolami tych nowych odszczepieńców.

Historia zna ich pod wieloma imionami (*lustrzani, otchłanni, kainowcy*), ale ze

¹ W krzyżach runicznych oba wrogie sobie symbole współistnieją, połączone (przyp. aut.).

wszystkich najbardziej przyjęte jest *histrioni*, nadane im przez Aureliana, które oni, zuchwale, sami przyjęli. We Frygii mówiono o nich *widma*, i tak samo w Dardanii. Jan Damasceński nazwał ich *formami*; słusznym będzie uprzedzić, że ustęp ten został potępiony przez Erfjorda. Nie ma herezjologa, który nie opisywałby ze zdumieniem ich wyuzdanych obyczajów. Wielu histrionów głosiło ascezę; niektórzy samookaleczali się, jak Orygenes; inni mieszkali pod ziemią, w kanałach; inni wrywali sobie oczy; inni (*nabuchodonozorowie* z Nitrii) „paśli się jak Woły i ich włosy na kształt orłów rosły”¹. Od umartwiania i ascezy przechodzili często do zbrodni; pewne gminy tolerowały kradzież; inne sodomie, kazirodztwo i bestialstwo. Wszystkie były bluźniercze; nie tylko złorzeczyły Bogu chrześcijańskiemu, ale również tajemniczym bóstwom swego własnego panteonu. Ułożyli święte księgi, których zaginięcia nie mogą odżałować uczeni. Sir Thomas Browne, około 1658 roku, napisał: „Czas unicestwił ambitne Ewangelie *Histrioniczne*, nie zaś Zniewagi, którymi smagano ich Bezbożność”; Erfjord sugerował, że owe „zniewagi” (które zachowuje pewien grecki kodeks) są zagubionymi ewangeliami. Jest to niezrozumiałe, o ile nie znamy kosmologii histrionów.

W hermetycznych księgach napisane jest, że to co na dole, jest identyczne z tym, co na górze, i to, co na górze, identyczne z tym, co jest na dole; w *Zoharze*, że świat niższy jest odbiciem wyższego. Histrioni oparli swoją doktrynę na wypaczeniu tej idei. Powołali się na Mateusza, VI, 12 („odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”) i XI, 12 („królestwo niebieskie gwałt cierpi”), aby wykazać, że ziemia wywiera wpływ na niebo; i I Do Koryntian, XIII, 12 („teraz widzimy poprzez zwierciadło, w niejasności²”), aby wykazać, że wszystko to, co widzimy, jest fałszywe. Może, zarażeni przez monotonych, wyobrazili sobie, że każdy człowiek jest dwoma ludźmi i że sprawiedliwy jest ten drugi, który jest w niebie. Również wyobrazali sobie, że nasze czyny emanują skierowane do wewnątrz odbicie, tak że gdy czuwamy, ten drugi śpi, jeśli grzeszymy cieleśnie, ten drugi jest cnotliwy, jeśli kradniemy, ten drugi jest hojny. Po śmierci połączymy się z nim i staniemy się nim. (Jakieś echo tej doktryny przetrwało u Léona Bloy). Inni histrioni dowodzili, że świat dokona się, gdy wyczerpie się ograniczona liczba jego możliwości; ponieważ nie może być powtórzeń, sprawiedliwy musi wykluczyć (popęlnić) najbardziej haniebne czyny, aby nie splamiły one przyszłości i aby przyspieszyć nadejście królestwa Jezusa. Artykuł ten został odrzucony przez inne sekty, które broniły poglądu, że historia świata musi wypełnić się w każdym człowieku. Większość, jak Pitagoras, będzie musiała wędrować poprzez wiele ciał,

¹ Autor zaczerpnął ten obraz z Pisma Św., Daniel, IV, 33 (przyp. tłum.).

² Oryginał grecki dopuszcza taki przekład. Pozostałe cytaty z Pisma św. według księdza Wujka (przyp. tłum.).

zanim osiągnie swe wyzwolenie; niektórzy, proteicy, „podczas jednego tylko życia są lwami, smokami, dzikami, są wodą i są drzewem”. Demostenes opisuje oczyszczenie za pomocą błota, jakiemu poddawani byli wtajemniczani w misteria orfickie; proteicy, analogicznie, szukali oczyszczenia za pomocą zła. Sądził, jak Karpokrates, że nikt nie wyjdzie z więzienia, zanim nie zapłaci ostatniego obola (Łukasz, XII, 59) i mieli zwyczaj zwodzić pokutników innym werselem: „Jam przyszedł, aby żywot miały i obficie miały” (Jan, X, 10). Mówili również, że nie być złym, to jakaś szatańska pycha... Liczne i rozbieżne mitologie snuli histrioni; jedni głosili ascezę, inni rozwiążłość, wszyscy chaos. Teopomp, histrion z Bereniki, zaprzeczył wszystkim tym bajkom; twierdził on, że każdy człowiek jest organem, który emanuje z siebie bóstwo, aby odczuwać świat.

Heretycy z diecezji Aureliana należeli do tych, którzy twierdzili, że świat nie znosi powtórzeń, nie zaś do tych, którzy twierdzili, że każdy czyn odbija się w niebie. Okoliczność ta była zastanawiająca; w sprawozdaniu do władz rzymskich Aurelianus wspominał o niej. Prałat, który miał otrzymać owo sprawozdanie, był spowiednikiem cesarzowej; wszyscy wiedzieli, że funkcja ta wzbraniała mu intymnych rozkoszy spekulatywnej teologii. Jego sekretarz - dawny współpracownik Jana z Panonii, obecnie z nim poróżniony - cieszył się sławą skrupulatnego inkwizytora heterodoksji; Aurelianus dołączył wykład herezji histrionów w takiej formie, w jakiej głoszona była ona na tajnych zgromadzeniach w Genui czy w Akwilei. Ułożył już kilka ustępów; kiedy chciał napisać potworną tezę, że nie ma dwóch identycznych chwil, jego pióro zatrzymało się. Nie znajdował koniecznej formuły; nakazy nowej doktryny („Chcesz ujrzeć to, czego nie widziały oczy ludzkie? Spójrz na księżyc. Chcesz usłyszeć to, czego uszy nie słyszały? Posłuchaj krzyku ptaka. Chcesz dotknąć tego, czego nie dotknęły ręce? Dotknij ziemi. Zaprawdę powiadam, że Bóg wkrótce stworzy świat”) były zbyt nienaturalne i metaforyczne, by je opisać. Nagle przyszła mu na myśl pewna sentencja, składająca się z dwudziestu słów. Zapisał ją z radością; natychmiast potem zaniepokoiło go podejrzenie, że należała ona do kogoś innego. Następnego dnia przypomniał sobie, że przeczytał ją przed wieloma laty w dziele *Adversus annulares*, które ułożył Jan z Panonii. Sprawdził cytat; był on tam rzeczywiście. Zaczęła go dręczyć niepewność. Zmienić czy pominąć te słowa oznaczało osłabić wyraz myśli; wskazanie źródła oznaczało denuncjację. Wezwał pomocy boskiej. Na początku następnego zmięzchu jego anioł stróż podyktował mu rozwiązanie pośrednie. Aurelianus zachował słowa poprzedzone taką uwagą: *To, co szczekają teraz herezjarchowie dla pogwałcenia wiary, powiedział już w bieżącym wieku mąż wielce uczony, raczej lekkomyślnie niż z winą.* Później następowało nieuniknione: to, czego się obawiał, czego oczekiwał. Aurelianus musiał wyjawic, kto był owym mężem;

Jan z Panonii został oskarżony o głoszenie heretyckich poglądów.

W cztery miesiące później pewien kowal z Aventino, zwiedziony oszustwami histrionów, włożył na ramiona swego syna wielką kulę z żelaza, aby jego dubler odleciał. Dziecko umarło; zgroza wywołana tą zbrodnią nakazała nieskazitelną surowość sędziom Jana. Ten nie chciał odwołać swych słów; powtarzał, że negować jego tezę oznaczało popaść w odrażającą herezję monotonnych. Nie rozumiał (nie chciał rozumieć), że mówić o monotonnych znaczyło mówić o tym, co było już zapomniane. Ze starczą natarczywością szafował najbardziej błyszczącymi okresami swych dawnych polemik; sędziowie nawet nie słuchali tego, co nieraz ich porywało. Zamiast starać się oczyścić z najlżejszej plamy poglądów histrionów, usiłował wykazać, że sąd, o jaki go oskarżano, był ściśle ortodoksyjny. Dyskutował z ludźmi, od których wyroku zależał jego los, i popełnił wielką niezręczność czynienia tego z pomysłowością i ironią. Dwudziestego szóstego października, przy końcu dyskusji, która trwała trzy dni i trzy noce, skazano go na śmierć na stosie.

Aurelianus był świadkiem egzekucji; nieobecność byłaby przyznaniem się do winy. Miejscem kaźni było wzgórze, na którego zielonym szczycie wbito pal głęboko w ziemię, i zgromadzono dookoła wiele naręczy drewna. Urzędnik sądowy odczytał wyrok trybunału. Pod promieniami południowego słońca Jan z Panonii leżał z twarzą w prochu, wydając zwierzęcy ryk. Drapał ziemię, ale oprawcy oderwali go od niej, rozebrali i w końcu przywiązali do pala. Na głowę włożono mu wieniec ze słomy posmarowanej siarką, obok położono egzemplarz odrażającego dzieła *Adversus annulares*. Poprzedniej nocy padał deszcz i drewno źle się paliło. Jan z Panonii modlił się po grecku, a potem w nieznanym języku. Już miał go ogarnąć stos, gdy Aurelianus odważył się podnieść oczy. Płonąca nawała ognia zatrzymała się; Aurelianus ujrzał po raz pierwszy i ostatni twarz znieprawionego. Przypomniała mu ona twarz kogoś innego, ale nie mógł określić kogo. Później zatarły ją płomienie; później Jan zaczął krzyżeć, i było to tak, jakby krzychał ogień.

Plutarch przekazuje, że Juliusz Cezar oplakiwał śmierć Pompejusza; Aurelianus nie oplakiwał śmierci Jana, ale poczuł to, co poczułby człowiek wyleczony z nieuleczalnej choroby, która stała się częścią jego życia. W Akwilei, w Efezie, w Macedonii pozwolił, aby przepływały ponad nim lata. Udał się na poszukiwanie uciążliwych granic Imperium, niezdarnych bagien i rozpamiętujących pustyń, by samotność dopomogła mu w zrozumieniu jego losu. W mauretańskiej celi, wśród przeładowanej lwami nocy, ponownie przemyślał wypracowane oskarżenie przeciwko Janowi z Panonii i usprawiedliwił, po raz kolejny, swoje zdanie. Trudniej przyszło mu uzasadnić niesprawiedliwe oskarżenie. W Rusaddirze wygłosił anachroniczną homilię: *Światło nad światłami zapalone w ciele potępieńca*. W Hibernii, w

jednej z chat pewnego monasteru otoczonego puszcza, pewnej nocy, przed świtem, zaskoczył go szum deszczu. Przypomnił sobie ową rzymską noc, kiedy również zaskoczył go ten delikatny szum. Piorun, w południe, zapalił drzewa i Aurelianowi dane było umrzeć tak, jak umarł Jan z Panonii.

Koniec tej historii jest możliwy do opowiedzenia tylko w metaforach, gdyż dzieje się w królestwie niebios, gdzie nie istnieje czas. Może należałoby powiedzieć, że Aurelianus rozmawiał z Bogiem, i że Ten tak mało interesuje się różnicami religijnymi, iż wziął go za Jana z Panonii. Jednak to dawałoby do zrozumienia, że w boskim umyśle panuje zamęt. Słuszniej będzie powiedzieć, że Aurelianus dowiedział się w raju, iż dla niezgłębionego bóstwa on i Jan z Panonii (ortodoksa i heretyk, nienawidzący i znienawidzony, oskarżyciel i ofiara) tworzą jedną tylko osobę.

Historia wojownika i porwanej

Na stronie 278 książki *Poezja* (Bari, 1942) Croce, skracając łaciński tekst historyka Paulusa Diakona, opowiada o losie Droctulfta i cytuje jego epitafium; jedno i drugie wzruszyło mnie niezwykle, później zrozumiałem dlaczego. Droctulft był wojownikiem longobardzkim, który podczas oblężenia Rawenny opuścił swych towarzyszy i zginął, broniąc miasta, które uprzednio atakował. Mieszkańcy Rawenny wyprawili mu pogrzeb w świątyni i ułożyli epitafium, w którym wyrażali swą wdzięczność (*contempsit caros, dum nos amat ille, parentes*) i szczególny kontrast, jaki dawał się zauważyć między wyglądem tego barbarzyńcy a jego prostotą i dobrocią¹:

Terribilis visu facies, sed mente benignus.

*Longaque robusto pectore barba fuit!*²

Taka jest historia losu Droctulfta, barbarzyńcy, który zginął, broniąc Rzymu, lub taki jest fragment jego historii, który zdołał ocalić Paulus Diaconus. Nie wiem nawet, w jakich czasach się ona wydarzyła: w połowie wieku VI, kiedy Longobardowie pustoszyli równiny Italii czy w wieku VIII, przed poddaniem się Rawenny. Wyobraźmy sobie (nie jest to praca historyczna) to pierwsze.

Wyobraźmy sobie, *sub specie aeternitatis*, Droctulfta; nie osobnika o imieniu Droctulft, który niewątpliwie był jedyny i niezgłębiony (wszyscy osobnicy są tacy), ale gatunek, jaki z niego, i z wielu jemu podobnych, zrobiła tradycja - dzieło zapomnienia i pamięci. Poprzez ponurą geografę puszczy i mokradeł wojny zaprowadziły go z brzegów Dunaju i Elby do Italii, i być może nie wiedział, że idzie na południe, i być może nie wiedział, że walczy przeciw imieniu rzymskiemu. Być może wyznawał arianizm, który utrzymuje, że

¹ Również Gibbon (*Decline and Fall*, XLV) przytacza te słowa (przyp. aut.).

² O twarzy na pozór strasznej, lecz o łagodnym usposobieniu, miał brodę sięgającą do silnej piersi (przyp. tłum.).

chwała Syna jest odbiciem chwały Ojca; ale słuszniej będzie wyobrazić go sobie jako wyznawcę Ziemi, Herthy, której zasłonięty idol przechodził z chaty do chaty, na wozie ciągnionym przez krowy, lub bogów wojny i gromu, topornych figur z drewna, okrytych tkanymi szatami i obwieszonych monetami i bransoletami. Pochodził z nieprzebytych puszczy dzika i tura; był biały, waleczny, niewinny, okrutny, wierny wobec swego wodza i plemienia, nie zaś wobec wszechświata. Wojny prowadzą go do Rawenny i widzi tam coś, czego nie widział nigdy, czy też nie widział... w pełni. Widzi dzień i cyprysy, i marmur. Widzi zbiór, który jest mnogi bez chaosu; widzi miasto, organizm zbudowany z posągów, świątyń, ogrodów, mieszkań, schodów, piedestałów, kapiteli, regularnych i otwartych przestrzeni. Żadna z tych rzeczy (wiem o tym) nie oddziałuje na niego swym pięknem; działa na niego, jak teraz działałaby na nas skomplikowana maszyna, której przeznaczenia nie znalazłbyśmy, ale w której budowie odgadywałoby się nieskończoną inteligencję. Może wystarcza mu zobaczyć jeden tylko łuk z niezrozumiałą inskrypcją, złożoną w nieśmiertelnych literach rzymskich. Nagle oślepia go i odradza to objawienie: Miasto. Wie, że będzie w nim psem czy dzieckiem i że nie zacznie go nawet rozumieć, ale wie także, że jest ono więcej warte niż jego bogowie i zaprzysiężona wiara, i wszystkie mokradała ojczyzny Alemanów. Droctulft opuszcza swych towarzyszy i walczy za sprawę Rawenny. Ginie, i na jego grobie ryją słowa, których by nie rozumiał:

*Contempsit caros, dum nos amat ille, parentes,
Hanc patriam reputans esse, Ravenna, suam.*¹

Nie był zdrajcą (zdrajcy nie inspirują na ogół litościwych epitafiów); był natchniony, nawrócony. Po upływie kilku pokoleń Longobardowie, którzy potępili odstępcę, postąpili jak on: stali się Italami, Lombardami i być może ktoś z ich krwi - Aldiger - mógł spłodzić tych, którzy spłodzili Dantego Alighieri... Wiele przypuszczeń można poczynić na temat przypadku Droctulfta; moje jest najprostsze; i jeśli nie jest prawdziwe jako fakt, to może jako symbol.

Kiedy przeczytałem w książce Benedetta Crocego historię tego wojownika, wzruszyła mnie ona w niezwykle sposób i odniosłem wrażenie odzyskania, pod odmienną postacią, czegoś, co należało kiedyś do mnie. Pomyślałem przelotnie o jeźdźcach mongolskich, którzy chcieli uczynić z Chin niekończące się pastwisko, a później zestarzelili się w miastach, które poprzednio pragnęli zniszczyć; nie było to jednak wspomnienie, jakiego szukałem.

¹ „Wzgardził drogimi krewnymi, a nas pokochał, tę uznawszy ojczyznę, Rawenno, za swoją” (przyp. tłum.).

Odnalazłem je w końcu; było to opowiadanie, które usłyszałem kiedyś od mojej nieżyjącej już angielskiej babki.

W 1872 roku mój dziad Borges był dowódcą wojsk granicznych na północnych i zachodnich kresach prowincji Buenos Aires i południowych prowincji Santa Fe. Sztab mieścił się w Junín; dalej, o cztery czy pięć mil jedna od drugiej, łańcuch strażnic; dalej to, co nazywało się wówczas Pampa, a także Wnętrze Kraju. Kiedyś, pół serio pół żartem, babka opowiadała o swym losie Angielki wygnanej na ten koniec świata; powiedziano jej, że nie jest jedyna, i pokazano jej po kilku miesiącach indiańską dziewczynę, która przechodziła powoli przez plac. Miała na sobie dwa czerwone poncha i szła boso. Jakiś żołnierz powiedział jej, że inna Angielka chce z nią mówić. Kobieta zgodziła się; weszła do budynku dowództwa bez obawy, ale nie bez nieufności. Oczy w jej miedzianej, pomazanej dzikimi kolorami, twarzy były tego wyblakłego niebieskiego koloru, który Anglicy nazywają szarym. Postać miała zwinną jak sarna, ręce mocne i kościste. Przybywała z pustkowia, z Interioru, i wszystko wydawało się jej małe: drzwi, ściany, meble.

Może obie kobiety poczuły się przez chwilę siostrami; były daleko od swej ukochanej wyspy i w niewiarygodnym kraju. Moja babka zadała jej jakieś pytanie; tamta odpowiedziała z trudem, szukając słów i powtarzając je, jakby zdziwiona ich dawnym smakiem. Już chyba piętnaście lat nie mówiła swym ojczystym językiem i niełatwo jej przychodziło go odzyskać. Powiedziała, że pochodzi z Yorkshire, rodzice jej wyemigrowali do Buenos Aires i straciła ich podczas napadu. Powiedziała dalej, że porwali ją Indianie i że teraz jest żoną wodza, któremu dała już dwóch synów, i że jest on bardzo waleczny. Mówiła to chłopską angielszczyzną, przeplataną araukańskim czy pampańskim, i spoza opowiadania wylaniało się życie dzikich: namioty z końskiej skóry, ogniska z nawozu, uczyty z opieczonym mięsem czy surowymi wnętrznościami, ostrożne poranne skradanie się, jęki i rabunki, hałaśliwe przepędzanie bydła przez nagich jeźdźców, poligamia, zaduch i magia. Do takiego barbarzyństwa zniżyła się Angielka. Poruszona żalem i oburzeniem, moja babka namawiała ją, żeby tam nie wracała. Tamta odpowiedziała jej, że jest szczęśliwa, i tej samej nocy powróciła na pustkowie. Francisco Borges miał zginąć wkrótce potem, podczas rewolucji 1874 roku. Być może moja babka zdołała dostrzec w drugiej kobiecie, porwanej i odmienionej przez ten bezlitosny kontynent, potworne zwierciadło swojego losu...

Co roku jasnowłosa Indianka miała zwyczaj zjawiać się w Junín czy w Fuerte Lavallo, aby kupić jakieś drobiazgi; nie pokazała się już od czasu rozmowy z moją babką. Zobaczyły się jednak jeszcze raz. Babka pojechała na polowanie; w pewnym ranczo, koło mokradeł, jakiś człowiek zarzynał owcę. Jak we śnie, przejeżdżała konno Indianka. Zeskoczyła na

ziemię i zaczęła chleptać gorącą krew. Nie wiem, czy zrobiła to jako wyzwanie i znak, czy też nie potrafiła już postępować inaczej.

Tysiąc trzysta lat i ocean dzielą losy porwanej i Droctulfta. Oboje, teraz, są jednakowo nie do odzyskania. Postać barbarzyńcy, który poświęca się sprawie Rawenny, i postać europejskiej kobiety, która wybiera pustkowie, mogą wydawać się sprzeczne. Oboje jednak zostali porwani przez ukrytą siłę, siłę głębszą niż rozum, i oboje poddali się tej sile, której nie potrafiliby wytłumaczyć. Być może historie, które opowiedziałem, są jedną tylko historią. Awers i rewers tej monety dla Boga są jednakowe.

Dla Ulriki von Kühlmann

Biografia Tadea Isidora Cruza (1829-1874)

*I'm looking for the face I had
Before the world was made.*¹

Yeats *The Winding Stair*

Dnia szóstego lutego 1829 roku, ścigani już przez generała Lavalle, partyzanci, którzy posuwali się od południa, aby dołączyć do dywizji Lopeza, zrobili postój na pewnej hacjendzie, której nazwy nie znali, o trzy czy cztery mile od Pergamino; przed świtem jeden z ludzi miał uporczywy koszmarny sen: w półmroku szopy niezrozumiały krzyk obudził kobietę, która z nim spała. Nikt nie wie, co mu się przyśniło, gdyż następnego dnia, o godzinie czwartej, partyzanci zostali rozbici przez kawalerię Suareza, i pościg trwał dziewięć mil, aż do ciemnych już trzcinowisk, i człowiek ten zginął w przydrożnym rowie, z czaszką rozplataną mieczem z wojen w Peru i Brazylii. Kobieta nazywała się Isidora Cruz; syn, którego urodziła, otrzymał imiona Tadeo Isidoro.

Moim zamiarem nie jest odtwarzanie jego historii. Spośród dni i nocy, które się na nią składają, interesuje mnie tylko jedna noc; z reszty przedstawię jedynie to, co jest konieczne, aby tę noc zrozumieć. Przygoda ta opisana jest w sławnej książce²; to znaczy w książce, której treść może być wszystkim dla wszystkich (I do Koryntian, IX, 22), gdyż zdolna jest do niewyczerpanych niemal powtórzeń, wersji, perwersji. Ci, którzy wypowiadali się na temat Tadea Isidora, a jest ich wielu, podkreślali wpływ równiny na ukształtowanie się jego osobowości, ale identyczni gauczowie rodzili się i umierali na dzikich wybrzeżach rzeki Parana i na wschodnich wzgórzach³. Żył, to prawda, w świecie monotonnego nieokrziesania.

¹ *Stukam twardej, którą miałem / Nim powstał stworzony świat. Yeats Kręcone schody*

² Chodzi o epopeję gauczowską *Martin Fierro*, której autorem jest José Hernández (1834-1886). Opowiadanie jest wariacją na temat jednego z epizodów tego dzieła (przyp. tłum.).

³ Mowa tu o wzgórzach Urugwaju, zwanego w tych czasach Republiką Wschodnią lub Wybrzeżem Wschodnim (rzeki La Plata) (przyp. tłum.).

Kiedy w 1874 roku umarł na czarną ospę, nie widział nigdy góry ani latarni gazowej, ani młyna. Ani miasta. W roku 1849 udał się do Buenos Aires z oddziałem wojsk Francisca Xaviera Acevedy; partyzanci weszli do miasta, żeby się zabawić; Cruz, podejrzliwy, nie opuścił gospody stojącej w sąsiedztwie pastwisk. Spędził tam wiele dni, mało się odzywając; spał na ziemi, pił *mate*, wstawał o świcie i oddawał się modlitwom. Zrozumiał (poza słowami, a nawet poza rozumieniem), że miasto nie ma z nim nic wspólnego. Jeden z peonów, pijany, zakpił z niego. Cruz nie odpowiedział, ale ten powtarzał wciąż kpiny podczas nocy powrotu, przy ognisku, i wtedy Cruz (który przedtem nie okazał urazy ani nawet niezadowolenia) położył go uderzeniem noża. Uciekając, zmuszony był schronić się na bagnach; po wielu nocach krzyk czapli ostrzegł go, że jest otoczony przez policję. Wypróbował nóż na krzaku; zdjął ostrogi, żeby nie przeszkadzały mu w pieszej walce. Wolał walczyć niż poddać się. Został ranny w przedramię, w ramię, w lewą dłoń; sam ranił ciężko najdzielniejszych w tej walce; gdy krew zaczęła mu płynąć między palcami, bił się z jeszcze większą odwagą; przed świtem, zamoczony upływem krwi, został rozbrojony. W tych czasach wojsko pełniło funkcję karną; Cruz został przydzielony do strażnicy na granicy północnej. Jako szeregowiec brał udział w wojnach domowych; czasami walczył po stronie swojej prowincji rodzinnej, czasami przeciwko niej. Dnia dwudziestego trzeciego stycznia 1856 roku, w Laguna de Cardoso, był jednym z trzydziestu chrześcijan, którzy pod wodzą sierżanta Eusebia Lapridy walczyli przeciwko dwustu Indianom. W walce tej odniósł ranę od włóczni.

W jego mrocznej i odważnej historii nie brakuje luk. Około 1868 roku odnajdujemy go ponownie w Pergamino; żonatego, czy też żyjącego z jakąś kobietą i z synem, właściciela kawałka ziemi. W 1869 roku został mianowany sierżantem policji wiejskiej. Poprawił swoją przeszłość; w owym czasie musiał uważać się za szczęśliwego, chociaż w głębi takim nie był. (Oczekiwała go, ukryta w przyszłości, jasna zasadnicza noc: noc, w której ujrzał w końcu swoją własną twarz, noc, w której usłyszał w końcu swoje imię. Dobrze zrozumiana, noc ta wyczerpuje jego historię; a raczej jedna chwila tej nocy, jeden czyn tej nocy, bowiem nasze czyny są naszym symbolem). Każde przeznaczenie, jakkolwiek by było długie i skomplikowane, składa się w rzeczywistości z *jednego tylko momentu*: z momentu, w którym człowiek dowiaduje się, raz na zawsze, kim jest. Powiadają, że Aleksander Macedoński ujrzał swój żelazny los odbity w bajecznej historii Achillesa; Karol XII, w Szwecji - w historii Aleksandra. Tadeo Isidoro Cruz nie umiał czytać; wiadomość nie została mu objawiona w jakiejś książce; ujrzał siebie samego w zamecie i w pewnym człowieku. Fakty tak się potoczyły:

W ostatnich dniach czerwca 1870 roku otrzymał rozkaz pochwylenia złoczyńcy, który

winien był sprawiedliwości dwie śmierci; dezterter z oddziałów dowodzonych przez pułkownika Benito Machada na granicy południowej zamordował po pijanemu Murzyna w jakimś lupanarze; w innym - jakiegoś członka oddziału Rosasa; wieść dodawała, że pochodził z Laguna Colorada. W tym miejscu przed czterdziestu laty zgrupowali się partyzanci, aby później ponieść porażkę, która oddała ich ciała ptakom i psom; stąd wyruszył Manuel Mesa, który został stracony na Placu Zwycięstwa, podczas gdy grały bębny, aby nie było słychać jego gniewu; stąd wyruszył nieznajomy, który pocałował Cruza, i który zginął w przydrożnym rowie, z czaszką rozplataną mieczem z wojen w Peru i Brazylii. Cruz zapomniał nazwę tej miejscowości; z lekkim, niezrozumiałym niepokojem rozpoznał ją... Zbrodniarz, osaczony przez żołnierzy, konno tkął długi labirynt wędrówek i powrotów; jednak ci otoczyli go w nocy dwunastego lipca. Ukrył się w trzciniowisku. Ciemność była niemal nieprzenikniona; Cruz, ze swoimi ludźmi, ostrożnie, pieszo, posuwał się ku krzakom, w których drżącej głębi czaił się, czy spał, tajemniczy człowiek. Krzyknęła czapla. Tadeo Isidoro Cruz odniósł wrażenie, że już kiedyś przeżył ten moment. Zbrodniarz wyszedł z ukrycia, żeby z nimi walczyć. Cruz dostrzegł go, straszliwego; długie włosy i szara broda zdawały się pożerać mu twarz. Wiadomy powód zabrania mi opisanie walki. Niech wystarczy, jeśli przypomnę, że dezterter ranił czy zabił wielu ludzi Cruza. Ten, podczas gdy walczył w ciemności (podczas gdy jego ciało walczyło w ciemności), zaczął rozumieć. Zrozumiał, że jedno przeznaczenie nie jest lepsze od drugiego, ale że każdy człowiek musi być wierny temu, które w sobie nosi. Zrozumiał, że naramienniki i mundur już mu przeszkadzają. Zrozumiał swoje głębokie przeznaczenie nie gończego psa, a wilka; zrozumiał, że ten drugi jest nim. Świtało na olbrzymiej równinie; Cruz rzucił na ziemię swoje kepi, krzyknął, że nie dopuści do zbrodni zabicia odważnego człowieka i zaczął walczyć, przeciwko żołnierzom, u boku deztertera Martina Fierro.

Emma Zunz

Czternastego stycznia 1922 roku Emma Zunz, wracając z fabryki tekstylnej Tarbucha i Loewenthala, znalazła w głębi sieni list datowany w Brazylii, z którego dowiedziała się, że umarł jej ojciec. W pierwszej chwili zmylił ją znaczek i koperta; później zaniepokoił niezny charakter pisma. Dziewięć czy dziesięć nagryzmołonych linii chciało zapisać kartkę; Emma przeczytała, że pan Maier zażył przez pomyłkę silną dawkę weronału i zmarł dnia trzeciego bieżącego miesiąca w szpitalu w Bagé. Jakiś znajomy z pensjonatu jej ojca podpisał się pod tą wiadomością: niejaki Fein czy Fain, z Rio Grande, który nie mógł wiedzieć, że zwraca się do córki zmarłego.

Emma wypuściła z rąk kartkę. Jej pierwszym uczuciem był ból brzucha i drżenie kolan; potem poczuła ślepą winę, nierealność, zimno, strach; potem zapragnęła być już w dniu następnym. Potem zrozumiała, że pragnienie to jest daremne, gdyż śmierć ojca była jedyną rzeczą, jaka właśnie wydarzyła się na świecie i miała się już wydarzać bez końca. Podniosła kartkę i poszła do swojego pokoju. Ukradkiem schowała ją w szufladzie, jakby w jakiś sposób znała już późniejsze fakty. Być może zaczęła je już dostrzegać; stawała się już tą, którą miała się stać.

W rosnącym półmroku Emma do końca owego dnia opłakiwała samobójstwo Manuela Maiera, który w dawnych, szczęśliwych dniach był Emanuelem Zunz. Przypomniała sobie letnisko na wsi, koło Gualaguay, przypomniała sobie (usiłowała sobie przypomnieć) swoją matkę, przypomniała sobie domek w Lanús, który im zlicytowano, przypomniała sobie żółte romby pewnego okna, przypomniała sobie więzienne auto, hańbę, przypomniała sobie anonimy o „defraudacji popełnionej przez kasjera”, przypomniała sobie (ale o tym nigdy nie zapomniła), że jej ojciec, ostatniej nocy, przysięgał, iż złodziejem jest Loewenthal. Loewenthal, Aaron Loewenthal, dawniej zarządca fabryki, a teraz jeden z jej właścicieli. Emma, od 1916 roku, strzegła tego sekretu. Nikomu go nie zdradziła, nawet swojej najlepszej przyjaciółce, Elsie Urstein. Może obawiała się bluźnierczego niedowierzania; może sądziła, że ten sekret jest więzią między nią a nieobecnym. Loewenthal nie wiedział, że ona wie;

Emma Zunz czerpała z tego nieznacznego faktu poczucie władzy.

Nie spała tej nocy, i kiedy pierwsze światło określiło prostokąt okna, jej plan był już całkowicie przygotowany. Starła się, żeby ten dzień, który wydawał jej się nie mieć końca, był taki jak inne. Po fabryce krążyły pogłoski o strajku; Emma opowiedziała się, jak zawsze, przeciwko wszelkiej przemocy. O szóstej, po zakończeniu pracy, poszła z Elsą do kobiecego klubu, gdzie była sala gimnastyczna i basen. Zapisaly się; musiała powtórzyć i przeliterować swoje imię i nazwisko; musiała śmiać się z wulgarnych dowcipów i komentarzy przy badaniu. Dyskutowała z Elsą i z młodszą z sióstr Kronfuss, do jakiego kina pójdą w niedzielę po południu. Potem była mowa o narzeczonych i nikt nie oczekiwał, żeby Emma zabrała głos. W kwietniu miała skończyć dziewiętnaście lat, ale mężczyźni napawali ją jeszcze patologicznym niemal strachem... Po powrocie ugotowała zupę z tapioki i jarzyn, zjadła wcześniej kolację, położyła się i zmusiła do snu. W taki sposób, pracowity i trywialny, minął piątek piętnastego, przeddzień wydarzeń.

W sobotę obudziła ją niecierpliwość. Niecierpliwość, nie zaś niepokój, oraz szczególna ulga, że wreszcie znalazła się w tym dniu. Nie musiała już snuć planów ani niczego sobie wyobrażać; w ciągu kilku godzin miały nastąpić proste fakty. Przeczytała w *La Prensa*, że tego wieczora *Nordstjärnan* z Malmö miał wypłynąć w rejs z nabrzeża nr 3; zatelefonowała do Loewenthala, dała do zrozumienia, że ma mu do zakomunikowania coś na temat strajku, ale tak, żeby inne się o tym nie dowiedziały, i obiecała przyjść o zmroku do biura. Głos jej drżał; to drzenie pasowało do donosicielki. Żaden inny godny wypadku fakt nie wydarzył się tego ranka. Emma pracowała do dwunastej i ustaliła z Elsą i Perłą Kronfuss szczegóły niedzielnego spaceru. Po obiedzie położyła się i powtórzyła sobie, z zamkniętymi oczyma, plan, który uknuła. Pomyślała, że etap końcowy będzie mniej straszny niż pierwszy i że ześle on jej, z pewnością, smak zwycięstwa i sprawiedliwości. Nagle, zaniepokojona, wstała i pobiegła do szuflady komody. Otworzyła ją; pod fotografią Milтона Sillsa, tam gdzie położyła go przed dwoma dniami, leżał list Faina. Z pewnością nikt go nie widział; spojrzęła na niego, po czym go podarła.

Rzeczywiste przekazanie faktów tego popołudnia byłoby trudne i może niedopuszczalne. Atrybutem wszystkiego, co związane z piekłem, jest nierealność; atrybut ten zda się łagodzić je i być może potęgować. Jak sprawić, by stał się prawdopodobny czyn, w który ten kto go dokonał, niemal nie wierzył, jak odzyskać krótkotrwały chaos, który dzisiaj pamięć Emmy Zunz odrzuca i zaciera? Emma mieszkała w dzielnicy Almagro, na ulicy Liniers; wiadomo nam, że tego popołudnia poszła do portu. Być może na haniebnym Paseo de Julio widziała, jak mnożą ją lustra, wydobywają światła, rozbierają wygłodniałe oczy, ale

słuszniejsze jest przypuszczenie, że początkowo snuła się nie dostrzegana po obojętnym targu. Weszła do dwóch czy trzech barów, przypatrzyła się rutynie i machinacjom innych kobiet. Wreszcie znalazła mężczyzn z *Nordstjämana*. Przestraszyła się, że jeden z nich, bardzo młody, może wywołać w niej czułość i wybrała innego, niższego od siebie i ordynarnego, tak aby nieskalana potworność nie mogła być niczym złagodzona. Mężczyzna zaprowadził ją do jakiejś bramy, potem do obskurnej sieni i potem na kręte schody, i potem do przedpokoju (była tam szyba z identycznymi rombami, jak w domu na ulicy Lanús), potem na korytarz, i potem do drzwi, które się zamknęły. Poważne wydarzenia znajdują się poza czasem, może dlatego że poprzedzająca je przeszłość zostaje w nich jakby odcięta od przyszłości; może dlatego że elementy, które się na nie składają nie wydają się następcze.

Czy w tym czasie poza czasem, w tym niepokojącym chaosie nie powiązanych ze sobą i potwornych wrażeń, Emma Zunz pomyślała *choć jeden raz* o zmarłym, który był przyczyną tego poświęcenia? Ja sądzę, że jeden raz pomyślała, i że w owej chwili wystawiła na niebezpieczeństwo swój rozpaczliwy zamiar. Pomyślała (nie mogła nie pomyśleć), że jej ojciec robił jej matce tę samą potworną rzecz, którą teraz robiono jej. Pomyślała o tym ze słabym zdziwieniem i schroniła się, natychmiast, w zamroczeniu. Mężczyzna, Szwed czy Fin, nie mówił po hiszpańsku; był po prostu narzędziem dla Emmy, jak ona była nim dla niego, ale ona była narzędziem rozkoszy, a on sprawiedliwości.

Kiedy została sama, Emma nie otworzyła oczu natychmiast. Na stoliku leżały pieniądze zostawione przez mężczyznę: Emma wstała i podarła je, jak przedtem podarła list. Darcie pieniędzy jest grzechem, jak wyrzucanie chleba; Emma pożałowała tego natychmiast. Akt pychy, i to tego dnia, kiedy... Obawa utonęła w smutku jej ciała, w obrzydzeniu. Obrzydzenie i smutek pętały ją, ale Emma powoli wstała i zaczęła się ubierać. W pokoju nie pozostał już żaden żywy kolor; pogłębiał się ostatni zmierzch. Emmie udało się wyjść niepostrzeżenie; na rogu ulicy wsiadła do tramwaju, który jechał na zachód. Wybrała, zgodnie ze swym planem, miejsce z przodu, żeby nikt nie widział jej twarzy. Może odczuła ulgę, gdy stwierdziła, w trywialnej krzątaninie na ulicach, że to, co się wydarzyło, nie zaraziło sobą rzeczy. Jechała przez podupadłe i bezbarwne dzielnice, widząc je i natychmiast o nich zapominając, i wysiadła na rogu Warnes. W paradoksalny sposób jej zmęczenie stawało się jej siłą, gdyż zmuszało ją do skupienia się na szczegółach wydarzenia i przesłaniało jego dno i jego cel.

Aaron Loewenthal był uważany przez wszystkich za człowieka poważnego; przez bliskich znajomych - za skąpca. Mieszkał nad fabryką, samotnie. Na tym rozpadającym się przedmieściu bał się złodziei; na dziedzińcu fabryki trzymał wielkiego psa, a w szufladzie

biurka, wszyscy o tym wiedzieli, rewolwer. Poprzedniego roku oplakał godnie nieoczekiwaną śmierć żony - z domu Gauss, która wniosła mu niezły posag - ale prawdziwą jego namiętnością były pieniądze. Ze wstydem zdawał sobie sprawę, że mniej ma zdolności do zarabiania ich niż do zachowywania. Był bardzo religijny; sądził, że ma z Bogiem tajemny pakt, który zwalniał go z dobrych uczynków w zamian za modlitwy i pobożność. Łysy, tęgi, w żałobie, w ciemnych binoklach i z jasną brodą, czekał, stojąc przy oknie, na poufny raport robotnicy Zunz.

Zobaczył, jak otwiera furtkę (którą celowo zostawił uchyloną) i mija ciemny dziedziniec. Zobaczył, jak schodzi z drogi, kiedy uwiązany pies zaczął szczekać. Wargi Emmy poruszały się jak u kogoś, kto modli się po cichu; zmęczone powtarzały wyrok, który pan Loewenthal miał usłyszeć przed śmiercią.

Sprawy nie potoczyły się tak, jak przewidziała Emma Zunz. Od poprzedniego świtu śniła wiele razy, że mierzy z rewolweru, zmuszając tego nędznika do wyznania nędznej winy i urzeczywistniając śmiały podstęp, który miał pozwolić, aby Sprawiedliwość Boska zatriumfowała nad sprawiedliwością ludzką. (Nie ze strachu, lecz dlatego że była narzędziem Sprawiedliwości, ona sama nie chciała być ukarana). Potem jeden wystrzał w sam środek piersi miał przypieczętować los Loewenthala. Ale sprawy tak się nie potoczyły.

Bardziej niż potrzebę pomszczenia ojca, Emma poczuła wobec Aarona Loewenthala potrzebę ukarania go za hańbę, przez którą dla tej zemsty przeszła. Po tak drobiazgowej hańbie nie mogła go nie zabić. Ale nie miała czasu na zabawę w teatr. Usiadła nieśmiało, przeprosiła Loewenthala, wspomniała (wczuwając się w rolę donosicielki) o poczuciu lojalności, wymieniła kilka nazwisk, zasugerowała inne i urwała, jakby ogarnął ją lęk. Udało jej się sprawić, że Loewenthal wyszedł po szklankę wody. Kiedy wrócił z jadalni, nie bardzo wierząc w takie komedie, ale pobłażliwy, Emma zdążyła już wyjąć z szuflady ciężki rewolwer. Dwukrotnie przycisnęła spust. Zwaliste ciało runęło, jakby podcięte hukiem i dymem, szklanka z wodą stłukła się, twarz spojrziała na nią z zaskoczeniem i wściekłością, usta w tej twarzy rzuciły w nią obelgami po hiszpańsku i w jidysz. Przekleństwa nie ustawały; Emma musiała strzelić jeszcze raz. Na dziedzińcu, uwiązany na łańcuchu pies zaczął szczekać i strumień gwałtownej krwi bluznął z ordynarnych ust, i splamił brodę, i ubranie. Emma zaczęła recytować oskarżenie, które przygotowała („Pomściłam mojego ojca i nie będą mogli mnie ukarać...”), ale nie dokończyła go, gdyż Loewenthal już nie żył. Nigdy się nie dowiedziała, czy zdołał zrozumieć.

Przeciągłe szczekanie przypomniało jej, że nie może jeszcze spocząć. Porozrzuciła poduszki na kanapie, rozpięła marynarkę na trupie, zdjęła mu opryskane binokle i położyła je

na stoliku. Potem podniosła słuchawkę i powtórzyła to, co tylokrotnie miała powtarzać, tymi czy innymi słowami: *Wydarzyło się coś niewiarygodnego... Pan Loewenthal kazał mi przyjść pod pretekstem strajku... Zniewolił mnie i go zabiłam...*

Historia ta jest nieprawdopodobna, to prawda, ale przekonała wszystkich, gdyż w swojej istocie była prawdziwa. Prawdziwy był ton Emmy Zunz, prawdziwy wstyd, prawdziwa nienawiść. Prawdziwa była również hańba, przez którą przeszła; fałszywe były tylko okoliczności, godzina i jedno czy dwa nazwiska.

Dom Asteriona

*I królowa wydała na świat syna,
któremu dano na imię Asterion.*

Apollodor Biblioteka, III, L

Wiem, że oskarżają mnie o pychę, i być może o mizantropię, i być może o szaleństwo. Takie oskarżenia (które ukarzę w odpowiednim czasie) są śmieszne. To prawda, że nie wychodzę z domu, ale jest też prawda, że jego drzwi (których jest nieskończenie wiele¹) są dniem i nocą otwarte dla ludzi, i również dla zwierząt. Niech wchodzi, kto chce. Nie znajdzie tu kobiecych próżności ani dziwacznych przepychu pałaców, znajdzie natomiast spokój i samotność. Znajdzie również dom, jaki nie ma równego sobie na całej ziemi. (Kłamią ci, którzy twierdzą, że jest podobny dom w Egipcie). Nawet moi oszczercy przyznają, że w domu nie ma *ani jednego mebla*. Inna śmieszna pogłoska mówi, że ja, Asterion, jestem więźniem. Czyż muszę powtarzać, że nie ma tu zamkniętych drzwi, czyż muszę dodawać, że nie ma zamków? Poza tym pewnego zmiernu stopy moje dotknęły ulicy; jeżeli wróciłem przed zapadnięciem nocy, to uczyniłem to z obawy, jaką napawały mnie twarze pospólstwa, twarze pozbawione koloru i spłaszczone jak otwarta dłoń. Słońce już zaszło, ale bezbronny płacz dziecka i prostackie modlitwy stada powiedziały mi, że zostałem rozpoznany. Ludzie błagali, uciekali, padali na kolana; jedni wdrapywali się na stylobat świątyni Toporów, inni gromadzili kamienie. Ktoś, jak mi się zdaje, ukrył się pod powierzchnią morza. Nie na próżno moja matka była królową; nie potrafię zginąć w ciżbie, choćby domagała się tego moja skromność.

To fakt, że jestem jedyny. Nie interesuje mnie to, co człowiek może przekazać innym ludziom; myślę, jak filozof, że nie ma rzeczy dających się przekazać za pomocą sztuki pisania. Nie ma miejsca na drażniące i trywialne szczegóły w moim duchu, który

¹ Oryginał mówi *czternaście*, ale istnieje wiele powodów, by sądzić, że w ustach Asteriona ten liczebnik oznacza *nieskończoną liczbę* (przyp. aut.).

przysposobiony jest do rzeczy wielkich; nigdy nie zapamiętałem różnicy między jedną a drugą literą. Pewna szlachetna niecierpliwość nie pozwoliła, żebym nauczył się czytać. Czasami boleję nad tym, gdyż noce i dni są długie.

To jasne, że nie brakuje mi rozrywek. Podobny do barana, który ma zaatakować, biegam po kamiennych galeriach, aż padam na ziemię, oszołomiony. Kulę się w cieniu studni, czy za zakrętem jakiegoś korytarza, i udaję, że mnie szukają. Są tu tarasy, z których spadam, raniąc się do krwi. O każdej godzinie mogę udawać, że śpię, z zamkniętymi oczyma, ciężko dysząc. (Czasami rzeczywiście zasypiam, czasami zmienia się kolor dnia, kiedy otwieram oczy). Ale ze wszystkiego, najbardziej lubię zabawę z drugim Asterionem. Udaję, że odwiedza mnie i że pokazuję mu dom. Z głębokimi pokłonami mówię mu: *Teraz wrócimy do poprzedniego skrzyżowania* albo *Teraz wyjdziemy na inny dziedziniec* albo *Miałem rację, że spodoba ci się ta rynna* albo *Teraz zobaczysz, cysterne, którą napelnił piasek* albo *Zobaczysz, jak rozdwa się to podziemie*. Czasami myślę się i obaj serdecznie się śmiejemy.

Wymyśliłem nie tylko te zabawy; myślałem również o domu. Wszystkie części domu istnieją wielokrotnie, każde miejsce jest innym miejscem. Nie ma jednej studni, jednego dziedzińca, jednego poidła, jednego żłobu; jest czternaście [nieskończoność] żłobów, poidła, dziedzińców, studni. Dom ma rozmiary świata; a raczej jest światem. A jednak, nużąc pracowicie dziedzińce ze studnią i zakurzone galerie z szarego kamienia, dotarłem do ulicy i ujrzałem świątynię Toporów i morze. Nie rozumiałem tego, aż nocna wizja wyjawiała mi, że mój i świątyni jest też czternaście [nieskończoność]. Wszystko jest czternastokrotne, wielokrotne, ale istnieją na świecie dwie rzeczy, które, jak się wydaje, są tylko pojedyncze: w górze - zawile słońce; w dole - Asterion.

Co dziewięć lat wchodzi do domu dziewięciu ludzi, abym uwolnił ich od wszelkiego zła. Słyszę ich kroki, czy ich głosy, w głębi kamiennych galerii i biegnę radośnie na ich spotkanie. Ceremonia trwa niewiele minut. Padają jeden po drugim, nawet nie zakrwawiam sobie rąk. Pozostają tam, gdzie upadli, i trupy pomagają odróżnić jedną galerię od innych. Nie wiem, kim są, ale wiem, że jeden z nich przepowiedział, w godzinie swojej śmierci, iż pewnego dnia przybędzie mój odkupiciel. Od tego czasu nie boli mnie samotność, ponieważ wiem, że żyje ktoś, kto mnie wybawi, i że w końcu przybędzie z prochu. Gdyby mój słuch odbierał wszystkie odgłosy świata, słyszałbym jego kroki. Oby zaprowadził mnie do miejsca, gdzie jest mniej galerii i mniej drzwi. Zadaję sobie pytanie, jak będzie wyglądał mój zbawca. Czy będzie bykiem, czy człowiekiem? Może będzie bykiem z twarzą człowieka? A może będzie taki jak ja?

Poranne słońce odbijało się od miecza z brązu. Nie pozostał już żaden ślad krwi.

- Czy uwierzysz, Ariadno, - powiedział Tezeusz - że Minotaur prawie się nie bronił?

Dla Marty Mosquera Eastman

Powtórna śmierć

Minęły już chyba dwa lata (zgubiłem ten list) od czasu, gdy Gannon napisał do mnie z Gualeguaychu, zapowiadając wysyłkę przekładu, być może pierwszego na hiszpański, poematu *The Past* Ralpa Waldo Emersona, i dodając w *postscriptum*, że Pedro Damián, którego z pewnością pamiętam, zmarł kilka nocy wcześniej na zapalenie płuc. Człowiek ten, wyniszczony gorączką, przeżył ponownie w swoim delirium krwawą bitwę pod Masoller; wiadomość ta nie wydała mi się niezwykłą, nawet zwyczajną, bowiem Pedro, w wieku dziewiętnastu czy dwudziestu lat, walczył pod sztandarami Aparicia Saravii. Rewolucja 1904 roku zastała go na pewnej hacjendzie w Rio Negro czy w Paysandu, gdzie pracował jako peon; Pedro Damián pochodził z prowincji Entre Ríos, z Gualeguay, ale poszedł tam, gdzie poszli przyjaciele, z takim samym zapalem i ignorancją jak oni. Walczył w kilku potyczkach i w końcowej bitwie; po powrocie do kraju, w 1905 roku, podjął z pokornym uporem pracę na roli. O ile mi wiadomo, nie opuścił już swojej prowincji. Ostatnie trzydzieści lat spędził w bardzo samotnym miejscu, o jedną czy dwie mile od Ñancay; na tym pustkowiu rozmawiałem z nim pewnego popołudnia (usiłowałem rozmawiać z nim pewnego popołudnia), około 1942 roku. Był człowiekiem milczącym, niezbyt rozgarniętym. Wrzawa i zaciekłość Masoller wyczerpywały jego historię; nie zaskoczyło mnie, że przeżywał je ponownie w godzinie swojej śmierci... Zrozumiałem, że nie zobaczę więcej Damiana i chciałem go sobie przypomnieć; moja pamięć wzrokowa jest tak uboga, że przypominałem sobie tylko zdjęcie, które mu zrobił Gannon. Fakt ten nie ma w sobie nic szczególnego, jeśli weźmiemy pod uwagę, że widziałem tego człowieka na początku 1942 roku, tylko jeden raz, a zdjęcie wielokrotnie. Gannon przysłał mi tę fotografię; zgubiłem ją i już jej nie szukam. Bałbym się ją znaleźć.

Drugi epizod wydarzył się w Montevideo, po kilku miesiącach. Gorączka i agonia człowieka z Entre Ríos podsunęły mi pomysł na opowiadanie fantastyczne o klęsce pod Masoller; Emir Rodríguez Monegal, któremu opowiedziałem treść, dał mi kilka polecających słów do pułkownika Dionisia Tabaresa, który prowadził tę kampanię. Pułkownik przyjął mnie

po kolacji. Z głębi fotela na biegunach, na patio, przypominał sobie nieskładnie i z miłością minione czasy. Mówił o amunicji, która nie nadchodziła i o znużonych koniach, o ziemistych ludziach, na wpół sennie tkających labirynty marszów, o Saravii, który mógł być wejść do Montevideo, ale zszedł ze swojej drogi, „gdyż gauczo lęka się miasta”, o ludziach z gardłami poderżniętymi aż do karku, o wojnie domowej, która wydała mi się nie tyle starciem dwóch wojsk, ile snem kogoś bardzo przebiegłego. Mówił o Illescas, o Tupambaé, o Masoller. Czynił to, używając tak ścisłych zdań, w tak żywy sposób, że zrozumiałem, iż opowiadał wielokrotnie te same rzeczy, i obawiałem się, że za jego słowami niemal nie kryją się już wspomnienia. Korzystając, że łapie oddech, zdołałem wtrącić nazwisko Damiana.

- Damián? Pedro Damián? - powiedział pułkownik. - Służył on ze mną. Indianin, którego chłopcy nazywali Daymián. - Zaczął się hałaśliwie śmiać, potem nagle urwał, z udanym czy rzeczywistym zmieszaniem.

Już innym głosem powiedział, że wojna służy, jak kobieta, temu żeby mężczyźni mogli się sprawdzić, i że nikt nie wie, kim jest, zanim nie weźmie udziału w bitwie. Ktoś mógł uważać się za tchórza, a być odważnym, i na odwrót, tak jak przytrafiło się to temu biednemu Damianowi, który przechwalał się po knajpach, że swoją białą odznaką, i potem zawiódł pod Masoller. Podczas wymiany strzałów z *zumacos* zachował się jak mężczyzna, ale było inaczej, kiedy spotkały się wojska i zaczął się ostrzał armatni i każdy człowiek czuł, że pięć tysięcy ludzi sprzysięgło się, żeby go zabić. Biedny Indianin, który spędził życie na myciu owiec, i którego nagle porwał ten ojczyźniany zapach...

W absurdalny sposób wersja Tabaresa zawstydziła mnie. Wolałbym, żeby rzeczy tak się nie potoczyły. Ze starego Damiana, ujrzanego pewnego popołudnia, przed wielu laty, zrobiłem, nie zamierzając tego, rodzaj idola; wersja Tabaresa unicestwiała go. Nagle zrozumiałem rezerwę i uporczywą samotność Damiana; nie dyktowała ich skromność, ale wstyd. Na próżno powtarzałem sobie, że człowiek osaczony aktem tchórzostwa jest bardziej złożony, i bardziej interesujący niż człowiek po prostu odważny. Gauczo Martin Fierro, pomyślałem, jest mniej godny pamięci niż Lord Jim czy Razumow. Tak, ale Damián, jako gauczo, miał obowiązek bycia Martinem Fierro - zwłaszcza wobec gauczów urugwajskich. W tym, co powiedział i czego nie powiedział Tabares, poczułem cierpki smak tego, co nazywa się *artigizmem*¹: świadomości (być może bezspornej), że Urugwaj jest bardziej żywiołowy niż nasz kraj, a w konsekwencji bardziej zuchwały... Pamiętam, że tej nocy pożegnaliśmy się z

¹ Aluzja do urugwajskiego generała José Artigas (1764-1850), który podczas wojny o niepodległość zbuntował się przeciwko dowództwu w Buenos Aires i obwołał się niezależnym naczelnikiem wojsk urugwajskich (przyp. tłum.).

przesadną wylewnością.

Zimą, niepewność co do jednej czy dwóch okoliczności mojego opowiadania fantastycznego (które niezdarnie opierało się nadaniu mu formy), kazała mi wrócić do domu pułkownika Tabaresa. Zastałem go z innym starszym mężczyzną: był to doktor Juan Francisco Amaro, z Paysandú, który również walczył w rewolucji Saravii. Jak można przewidzieć, rozmowa zesłała na Masoller. Amaro opowiedział kilka epizodów, a potem dodał powoli, jak ktoś, kto myśli na głos:

- Pamiętam, że nocowaliśmy na hacjendzie *Santa Irene* i że dołączyło do nas kilku ludzi. Wśród nich pewien francuski weterynarz, który zmarł w przeddzień akcji, i pewien parobek od strzyżenia owiec, z Entre Ríos, niejaki Pedro Damián.

Przerwałem mu cierpko:

- Wiem - powiedziałem. - Argentyńczyk, który stchórzył na widok strzelaniny.

Zamilkłem; obaj mężczyźni patrzyli na mnie z zakłopotaniem.

- Pan się myli - powiedział w końcu Amaro. - Pedro Damián zginął tak, jak chciałby zginąć każdy mężczyzna. Było około czwartej po południu. Na szczycie wzgórza umocniła się piechota czerwonych; nasi zaatakowali lancami; Damián galopował na czele, krzycząc, i kula trafiła go w środek piersi. Stanął w strzemionach, przestał krzyczeć i zwałił się na ziemię i tak pozostał wśród końskich kopyt. Był martwy i ostatni atak pod Masoller przeszedł ponad jego głową. Taki odważny, choć nie skończył jeszcze dwudziestu lat.

Mówił, bez wątpienia, o innym Damianie, ale coś kazało mi spytać, co krzyczał Indianin.

- Przekleństwa - powiedział pułkownik. - To, co się krzyczy w czasie ataku.

- Możliwe - powiedział Amaro - ale krzyczał też „Niech żyje Urquiza¹!”

Milczeliśmy. W końcu pułkownik wymamrotał:

- Tak, jakby walczył nie pod Masoller, ale pod Cagancha czy pod India Muerta², sto lat wcześniej.

Dodał z pewnym zakłopotaniem:

- Dowodziłem tymi oddziałami, a mógłbym przysiąc, że pierwszy raz słyszę o jakimś Damianie.

Nie udało nam się sprawić, żeby go sobie przypomniał.

¹ Justo José de Urquiza (1801-1870). Będąc gubernatorem prowincji Entre Ríos, podczas wojny domowej przyłączył się w 1842 roku do brazylijskich i urugwajskich wojsk walczących z Juanem Manuelem Rosasem. Już jako prezydent Republiki Argentyny musiał walczyć z oddziałami generała Mitre. Został pokonany i zamordowany, a Mitre objął po nim stanowisko prezydenta (przyp. tłum.).

² Miejsca bitew w wojnie brazylijsko-urugwajskiej w 1817 roku (przyp. tłum.).

W Buenos Aires zaskoczenie, w jakie mnie wprawiła jego niepamięć, powtórzyło się. Pewnego popołudnia, w podziemiach angielskiej księgarni Mitchella, przed jedenastoma wspaniałymi tomami dzieła Emersona, spotkałem Patricia Gannona. Zapytałem go o jego przekład *The Past*. Powiedział, że nie zamierza tego tłumaczyć i że literatura hiszpańska jest wystarczająco nudna, by domagała się Emersona. Przypomniałem mu, że obiecał mi ten przekład w tym samym liście, w którym napisał mi o śmierci Damiana. Zapytał, kto to był Damián. Powiedziałem mu; na próżno. Z zaczątkiem przerażenia zauważyłem, że słucha mnie zdziwiony, i poszukałem pomocy w literackiej dyskusji na temat potwarców Emersona, poety bardziej złożonego, zręczniejszego i niewątpliwie bardziej szczegółnego niż nieszczęsny Poe.

Muszę odnotować jeszcze kilka faktów. W kwietniu otrzymałem list od pułkownika Dionisia Tabaresa; minęło mu już zaćmienie i teraz doskonale sobie przypominał Indianina z Entre Ríos, który szedł na czele podczas ataku pod Masoller i którego jego ludzie pochowali owej nocy u stóp wzgórza. W lipcu przejeżdżałem przez Gualeguaychú; nie odnalazłem rancza Damiana, o którym nikt już nie pamiętał. Chciałem pomówić ze sklepikarzem Diegiem Abaroa, który widział jego śmierć; ale umarł przed nastaniem zimy. Zapragnąłem przywołać na pamięć rysy Damiana; po kilku miesiącach, przeglądając jakieś albumy, przekonałem się, że mroczna twarz, którą zdołałem sobie przypomnieć, była twarzą sławnego tenora Tamberlicka w roli Otella.

Przechodzę teraz do przypuszczeń. Najłatwiejsze, ale również najmniej zadowalające, domaga się dwóch Damianów: tchórza, który umarł w Entre Ríos około 1946 roku, i odważnego, który zginął pod Masoller w roku 1904. Nie wyjaśnia ono jednak tego, co rzeczywiście jest tajemnicze: ciekawych odplywów i nawrotów pamięci u pułkownika Tabaresa, zapomnienia, które w tak krótkim czasie zaciera obraz, a nawet imię tego, który wrócił. (Nie dopuszczam, nie chcę dopuścić, przypuszczenia prostszego: że pierwszy mi się przyśnił). Ciekawsze jest przypuszczenie nadprzyrodzone, które przyszło do głowy Ulrice Kühlmann. Pedro Damián, mówiła Ulrika, zginął w bitwie, i w godzinie swojej śmierci błagał Boga, żeby pozwolił mu wrócić do Entre Ríos. Bóg zawahał się przez sekundę, zanim zesłał mu tę łaskę, i ten, który o nią prosił, już nie żył, i kilku ludzi widziało, jak pada. Bóg, który nie może zmieniać przeszłości, lecz może zmieniać obraz przeszłości, zamienił obraz śmierci na obraz omdlenia, i cień Damiana powrócił do Entre Ríos. Powrócił, ale musimy pamiętać o tym, że był cieniem. Żył w samotności, bez kobiety, bez przyjaciół; kochał i posiadał wszystko, ale z oddali, jakby przez szybę; „umarł”, i jego delikatny obraz zagubił się, jak woda w wodzie. To przypuszczenie jest błędne, ale powinno było zasugerować mi prawdziwe (to, które dzisiaj uważam za prawdziwe), równocześnie prostsze i bardziej niesłychane.

Niemal w magiczny sposób odkryłem je w traktacie *De Omnipotentia*, Piera Damianiego, do którego studiowania skłoniły mnie dwa wersy pieśni XXI *Paradiso*, przedstawiające właśnie problem tożsamości. W piątym rozdziale tego traktatu Pier Damiani utrzymuje, wbrew Arystotelesowi i Frédégair'e'owi de Tours, że Bóg może sprawić, aby nie było się wydarzyło to, co się wydarzyło. Przeczytałem stare dyskusje teologiczne i zacząłem rozumieć tragiczną historię Pedra Damiana.

Odgaduję ją w ten sposób. Damián zachował się jak tchórz na polu pod Masoller, i poświęcił życie na naprawienie tej wstydlivej słabości. Powrócił do Entre Ríos; nie podniósł ręki na żadnego człowieka, nikogo nie „nazaczył”, nie szukał sławy śmiałka, ale na polach Ñancay, walcząc z przyrodą i zdziczałymi stadami, powoli stał się człowiekiem twardym. Przygotowywał cud, z pewnością o tym nie wiedząc. Myślał w duszy: *Jeżeli los ześle mi drugą bitwę, będę umiał na nią zasłużyć*. Przez czterdzieści lat czekał na nią z niejasną nadzieją i w końcu los mu ją zesłał, w godzinie jego śmierci. Zesłał ją w formie delirium, ale już Grecy wiedzieli, że jesteśmy cieniami jakiegoś snu. W agonii przeżył ponownie swoją bitwę, i zachował się jak mężczyzna, i stanął na czele końcowego ataku, i kula trafiła go w środek piersi. W ten sposób, w 1946 roku, w wyniku długotrwałego gorącego pragnienia, Pedro Damián zginął w klęsce pod Masoller, która nastąpiła pomiędzy zimą i wiosną roku 1904.

Summa Theologica przeczy, jakoby Bóg mógł sprawić, by przeszłość nie była się wydarzyła, ale niczego nie mówi o splątanych łańcuchu skutków i przyczyn, który jest tak rozległy i tak drobiazgowy, że z pewnością nie można by odwołać *nawet jednego* odległego wydarzenia, choćby najmniej znaczącego, nie anulując rzeczywistości. Modyfikować przeszłość, nie znaczy: modyfikować tylko jedno wydarzenie; to anulować jego konsekwencje, które dążą do nieskończoności. Mówiąc innymi słowy: to tworzyć dwie historie wszechświata. W pierwszej z nich (powiedzmy), Pedro Damián umarł w Entre Ríos, w 1946 roku; w drugiej - w Masoller, w roku 1904. Ta ostatnia jest tą, którą przeżywamy teraz, ale zniesienie tej pierwszej nie było natychmiastowe i spowodowało niespójności, o których mówiłem. Wspomnienia pułkownika Dionisia Tabaresa przechodziły rozmaite etapy: początkowo pamiętał, że Damián zachował się jak tchórz; potem całkowicie o nim zapomniał; potem pamiętał jego gwałtowną śmierć. Nie mniej potwierdzający jest przypadek sklepikarza Abaroa; rozumiem, że umarł on, gdyż miał za dużo wspomnień związanych z Pedrem Damianem.

Co do mnie, sądzę, że nie grozi mi analogiczne niebezpieczeństwo. Odgadłem i zapisałem pewien proces niedostępny ludziom, rodzaj umysłowego skandalu; ale pewne

okoliczności umniejszają ten groźny przywilej. Przede wszystkim nie jestem pewien, że pisałem zawsze prawdę. Podejrzewam, że w moim opowiadaniu są fałszywe wspomnienia. Podejrzewam, że Pedro Damián (jeśli istniał) nie nazywał się Pedro Damián, i że ja pamiętam go pod tym imieniem, aby pewnego dnia uważać, że jego historia została mi zasugerowana przez argumenty Piera Damianiego. Coś podobnego dzieje się z poematem, o którym wspomniałem w pierwszym ustępie, i który mówi o nieodwołalności rzeczy przeszłych. Około 1951 roku będę sądził, że stworzyłem opowiadanie fantastyczne, podczas gdy opisałem wydarzenie rzeczywiste; równie niewinny Wergiliusz, przed dwoma tysiącami lat, sądził, że zapowiada narodziny jakiegoś człowieka, a zapowiadał Boga.

Nieszczęsny Damián! Śmierć zabrała go w wieku dwudziestu lat podczas smutnej, nieznannej wojny i podczas lokalnej bitwy, ale osiągnął to, na co długo czekał, czego pragnęło jego serce, i być może nie ma większego szczęścia.

Deutsches Requiem

*Choćby pozbawił mnie życia,
w niego wierzyć będę.*

Hiob, XIII, 15

Nazywam się Otto Dietrich zur Linde. Jeden z moich przodków, Christoph zur Linde, zginął w ataku kawaleryjskim, który przesądził o zwycięstwie pod Zorndorf. Mój pradziad ze strony matki, Ulrich Forkel, został zamordowany w lesie Marchenoir przez francuskich wolnych strzelców, w ostatnich dniach 1870 roku; kapitan Dietrich zur Linde, mój ojciec, odznaczył się przy oblężeniu Namur, w 1914 roku, i dwa lata później, w przeprawie przez Dunaj¹. Co do mnie, zostanę rozstrzelany za torturowanie i zabójstwo. Trybunał prowadził proces sprawiedliwie; od początku przyznałem się do winy. Jutro, kiedy więzienny zegar wybije dziewiątą, wejdę w śmierć; to naturalne, że myślę o moich przodkach, skoro jestem tak blisko ich cieni, skoro w jakiś sposób jestem nimi.

Podczas procesu (który na szczęście trwał krótko) nie zabierałem głosu; usprawiedliwianie się, wówczas, utrudniłoby wydanie wyroku i mogłoby być poczytane za tchórzostwo. Teraz sprawy uległy zmianie; w noc, która poprzedza wykonanie wyroku, mogę mówić bez obawy. Nie zależy mi na tym, żeby mi wybaczone, gdyż nie ma we mnie winy, lecz chcę, żeby mnie zrozumiano. Ci, którzy będą umieli mnie słuchać, zrozumieją historię Niemiec i przyszłą historię świata. Wiem, że takie przypadki jak mój, teraz wyjątkowe i zadziwiające, staną się bardzo niedługo trywialne. Jutro umrę, ale jestem symbolem pokoleń przyszłości.

Urodziłem się w Marienburgu, w 1908 roku. Dwie namiętności, muzyka i metafizyka,

¹ Znaczące jest pominięcie najznakomitszego przodka narratora, teologa i hebraisty Johannes Forkela (1799-1846), który zastosował dialektykę Hegla do chrystologii, i którego dosłowny przekład niektórych Ksiąg Apokryficznych zasłużył na potępienie Hengstenberga i na aprobatę Thilo'a i Geseminusa (przyp. red.).

teraz nieomal zapomniane, pozwoliły mi stawić czoło z odwagą, a nawet ze szczęściem, wielu nieszczęśliwym latom. Nie mogę wymienić wszystkich moich dobroczyńców, ale są dwa nazwiska, których nie mogę pominąć: Brahmsa i Schopenhauera. Zajmowałem się też poezją; do tych nazwisk pragnę dołączyć inne, rozległe germańskie nazwisko, Williama Szekspira. Dawniej interesowała mnie teologia, ale od tej dyscypliny fantastycznej (i od wiary chrześcijańskiej) odwiedli mnie na zawsze Schopenhauer - racjami bezpośrednimi; Szekspir i Brahms - nieskończoną różnorodnością swojego świata. Niech wie ten, co zatrzymuje się zachwycony, drżący czułością i wdzięcznością, przy którymkolwiek miejscu dzieła tych szczęśliwców, że ja się przy nim też zatrzymywałem, ja, napawający teraz odrazą.

Okolo 1927 roku weszli w moje życie Nietzsche i Spengler. Pewien osiemnastowieczny pisarz zauważa, że nikt nie chce zawdzięczać niczego swoim współczesnym; ja, aby wyzwolić się od wpływu, który, jak przeczuwałem, jest tyranizujący, napisałem artykuł zatytułowany *Abrechnung mit Spengler*; zwracałem w nim uwagę, że najbardziej jednoznacznym pomnikiem cech, które autor nazywa faustowskimi, nie jest eklektyczny dramat Goethe'go¹, lecz poemat, napisany przed dwudziestoma wiekami, *De rerum naturae*. Oddałem jednak sprawiedliwość szczeroci tego filozofa historii, jego duchowi radykalnie niemieckiemu (*kerndeutsch*), wojskowemu. W 1929 roku wstąpiłem do Partii.

Niewiele powiem o moich latach terminowania. Były one dla mnie cięższe niż dla wielu innych, gdyż choć nie brakuje mi odwagi, nie mam w sobie żadnego powołania do przemocy. Rozumiałem jednak, że staliśmy u brzegu nowego czasu, i że ten czas, podobny do początków Islamu czy Chrześcijaństwa, wymagał nowych ludzi. Oddzielnie moi towarzysze byli dla mnie odrażający; na próżno starałem się rozumować, że dla wyższego celu, który nas łączył, nie byliśmy jednostkami.

Teologowie twierdzą, że jeśliby uwaga Pana oderwała się na jedną sekundę od mojej prawej ręki, która pisze, ta padłaby w nicość, jak rażona ogniem bez światła. Nikt nie może istnieć, jestem pewien, że nikt nie może pić wody czy łamać chleba, bez uzasadnienia. Uzasadnienie to jest inne dla każdego człowieka; ja czekałem na nieubłaganą wojnę, która miała wypróbować naszą wiarę. Wystarczało mi wiedzieć, że miałem być żołnierzem w jej bitwach. Czasami obawiałem się, że zawiedzie nas tchórzostwo Anglii i Rosji. Przypadek, czy

¹ Inne narody żyją w niewinności, w sobie i dla siebie, jak minerały czy zjawiska meteorologiczne; Niemcy są uniwersalnym lustrem, które przyjmuje je wszystkie, są sumieniem świata (*das Weltbewusstsein*). Goethe jest prototypem tego ekumenicznego rozumienia. Nie potępiam go, ale nie widzę w nim faustowskiego człowieka z tezy Spenglera (przyp. aut.).

może przeznaczenie, utkał w inny sposób moją przyszłość: pierwszego marca 1939 roku, o zmierzchu, miały miejsce zamieszki w Tylży, których gazety nie odnotowały; na ulicy za synagogą dwie kule przeszły mi nogę, którą trzeba było amputować¹. W kilka dni później nasze wojska wkraczały do Czech; kiedy ogłosiły to syreny, byłem w szpitalu, usiłując zapomnieć i zagubić się w książkach Schopenhauera. Jak symbol mojego próżnego przeznaczenia na brzegu okna spał olbrzymi, tłusty kot.

W pierwszym tomie dzieła *Parerga und Paralipomena* przeczytałem ponownie, że wszystkie rzeczy, jakie mogą przydarzyć się człowiekowi od chwili narodzin aż do chwili śmierci, zostały przez niego z góry ustalone. Tak więc wszelkie niedbalstwo jest zamierzone, każde przypadkowe spotkanie jest przewidziane, każde upokorzenie jest pokutą, każde niepowodzenie - tajemniczym zwycięstwem, każda śmierć - samobójstwem. Nie ma zręczniejszej pociechy niż myśl, że sami wybraliśmy nasze nieszczęścia; ta indywidualna teologia objawia nam jakiś sekretny porządek i w cudowny sposób myli nas z bóstwem. Jaki nie znany zamiar (zastanawiałem się) kazał mi szukać tego zmierzchu, tych kul i tego kalectwa? Nie strach przed wojną, wiedziałem to; chodziło o coś głębszego. W końcu wydało mi się, że zrozumiałem. Zginąć za jakąś religię jest łatwiej niż przeżyć ją w pełni; walczyć w Efezie z dzikimi zwierzętami jest mniej trudne (tysiące nieznanymi męczenników to robiło) niż być Pawłem, sługą Jezusa Chrystusa; jeden czyn to mniej niż wszystkie godziny jakiegoś człowieka. Bitwa i chwała to *rzeczy łatwe*; trudniejszy od przedsięwzięcia Napoleona był czyn Raskolnikowa. Siódmego lutego 1941 roku zostałem mianowany zastępcą komendanta w Tarnowitz.

Wykonywanie tej funkcji nie było dla mnie miłe; nigdy jednak nie zgrzeszyłem niedbalstwem. Tchorza wypróbować się pomiędzy mieczami; miłosierny, litościwy, wymaga próby więzienia i cudzego bólu. Nazizm, w swojej istocie, jest faktem moralnym, jest zdarciem z siebie skóry dawnego, zepsutego człowieka, i włożeniem nowej. W bitwie taka mutacja jest powszechna, wśród krzyków dowódców i wrzawy; nie jest tak w haniebnym więzieniu, gdzie mdła litość kusi nas dawną czułością. Nie na próżno piszę to słowo; litość wobec człowieka wyższego jest ostatnim grzechem Zaratustry. Prawie go popełniłem (wyznaję), kiedy przekazano nam z Wrocławia wybitnego poetę Dawida Jerusalema.

Był to pięćdziesięcioletni mężczyzna. Ubogi w dobra tego świata, prześladowany, wyszydzany, potępiany, poświęcił swój geniusz na opiewanie szczęścia. O ile dobrze pamiętam, Albert Soergel, w dziele *Dichtung der Zeit* porównuje go z Whitmanem. To

¹ Wieść niesie, że konsekwencje tej rany były bardzo poważne (przyp. red.).

porównanie nie jest szczęśliwe; Whitman cieszy się światem w sposób z góry założony, ogólny, niemal obojętny; Jerusalem raduje się każdą rzeczą, z drobiazgową miłością. Nie stosuje nigdy wyliczeń, nie tworzy katalogów. Potrafię jeszcze powtórzyć wiele heksametrów z głębokiego poematu, który nosi tytuł *Tse Yang, malarz tygrysów*, który jest jakby popręgowany tygrysami, jakby objuczony i przeszyty poprzecznymi i milczącymi tygrysami. Nie zapomnę również solilokwium *Rosenkranz rozmawia z Aniołem*, w którym londyński szesnastowieczny lichwiarz, umierając, usiłuje na próżno usprawiedliwić swe winy i nie podejrzewa, że sekretnym usprawiedliwieniem jego życia jest to, iż posłużył jednemu ze swoich klientów (który widział go tylko raz i którego on sam już nie pamięta) za wzór do postaci Shylocka. Człowiek o oczach godnych pamięci, o żółtej cerze, prawie czarnej brodzie, Dawid Jerusalem, był prototypem sefardyjskiego Żyda, chociaż należał do zdeprawowanych i nienawistnych Aszkenazyjczyków. Byłem dla niego surowy; nie pozwoliłem, żeby zmiękczyła mnie litość czy jego sława. Zrozumiałem przed wieloma laty, że nie ma na świecie rzeczy, która nie byłaby załączkiem możliwego Piekła; jakaś twarz, słowo, busola, reklama papierosów, mogą doprowadzić człowieka do szaleństwa, jeśli nie potrafi o nich zapomnieć. Czyż nie byłby szalony człowiek, który nieustannie by sobie wyobrażał mapę Węgier? Postanowiłem zastosować tę zasadę do dyscyplinarnych metod naszego obozu i...¹ Przy końcu 1942 roku Jerusalem oszalał; pierwszego marca 1943 zdołał popełnić samobójstwo².

Nie wiem, czy Jerusalem zrozumiał, że jeżeli go zniszczyłem, to dlatego żeby zniszczyć moją litość. W moich oczach nie był człowiekiem, nawet nie był Żydem; stał się symbolem pewnej znienawidzonej strefy mojej duszy. Konalem razem z nim, umarłem razem z nim, razem z nim w jakiś sposób ja sam siebie zgubiłem; dlatego byłem nieubłagany.

Tymczasem obracały się ponad nami wielkie dni i wielkie noce szczęśliwej wojny. W powietrzu, którym oddychaliśmy, było uczucie podobne do miłości. Jakby nagle znalazło się w pobliżu morze, było we krwi zdziwienie i uniesienie. Wszystko, w tamtych dniach, było odmienne; nawet smak snu. (Może ja nie byłem nigdy w pełni szczęśliwy, ale wiadomo że nieszczęście domaga się utraconych rajów). Nie ma człowieka, który nie dążyłby do pełni, to znaczy do sumy doświadczeń, do których człowiek jest zdolny; nie ma człowieka, który nie

¹ Okazało się nieuniknione opuszczenie tutaj kilku linijek (przyp. red.).

² Ani w archiwach, ani w dziele Soergela nie figuruje nazwisko Jerusalem. Nie odnotowują go też historie literatury niemieckiej. Jednakże nie przypuszczam, żeby chodziło o jakąś zmyśloną postać. Z rozkazu Ottona Dietricha zur Linde torturowano w Tarnowitz wielu żydowskich intelektualistów, wśród nich pianistkę Emmę Rosenzweig. Dawid Jerusalem być może symbolizuje kilka osób. Dowiedzieliśmy się, że zmarł dnia pierwszego marca 1943 roku; pierwszego marca roku 1939 narrator został ranny w Tylży (przyp. red.).

obawiałby się, że zostanie okradziony z jakiejś części tego nieskończonego dziedzictwa. Ale mojemu pokoleniu przypadło w udziale wszystko, gdyż najpierw była mu dana chwała, a potem klęska.

W październiku czy listopadzie 1942 roku mój brat Friedrich zginął w drugiej bitwie pod El Alamein, na egipskich piaskach; po kilku miesiącach, bombardowanie lotnicze zniszczyło nasz dom rodzinny; inne, przy końcu roku 1943, moje laboratorium. Osaczona przez rozległe kontynenty Trzecia Rzesza umierała; jej ręka podniesiona była przeciwko wszystkim, a ręce wszystkich przeciwko niej. Wówczas zdarzyło się coś szczególnego, co teraz, jak sądzę, rozumiem. Uważałem siebie za zdolnego do wypicia kielicha gniewu do dna, ale zatrzymał mnie nieoczekiwany smak, tajemniczy i niemal straszliwy smak szczęścia. Próbowałem różnych wyjaśnień; nie wystarczyło mi żadne. Pomyślałem: *Ciesz się klęską, gdyż w głębi wiem, że jestem winien i tylko kara może mnie odkupić*. Pomyślałem: *Ciesz się klęską, gdyż jest to jakieś zakończenie, a ja jestem bardzo zmęczony*. - Pomyślałem: *Ciesz się klęską, gdyż nadeszła, gdyż jest nieskończenie związana ze wszystkimi wydarzeniami, jakie są, jakie były i jakie będą, gdyż piętnować czy oplakiwać jedno tylko wydarzenie rzeczywiste, to bluźnić wobec wszechświata*. Próbowałem tych racji, aż znalazłem prawdziwą.

Mówi się, że wszyscy ludzie rodzą się arystotelikami lub platończykami. Jest to równoznaczne z oświadczeniem, że nie ma debaty o charakterze abstrakcyjnym, która nie byłaby jakimś momentem polemiki Arystotelesa z Platonem; poprzez stulecia i szerokości geograficzne zmieniają się imiona, dialekty, twarze, ale nie ci wieczni antagoniści. Również historia narodów rejestruje pewną sekretną ciągłość. Arminius, kiedy na bagnach wyciął w pień legiony Warusa, nie wiedział, że jest prekursorem Cesarstwa Niemieckiego; Luter, tłumacz Biblii, nie podejrzewał, że jego celem jest ukucie narodu, który miał zniszczyć Biblię na zawsze; Christoph zur Linde, którego zabiła moskiewska kula w 1758 roku, przygotował w jakiś sposób zwycięstwa z roku 1914; Hitler sądził, że walczy za *jeden* kraj, ale walczył za wszystkie, nawet za te, na które napadł i których nienawidził. Nieważne, że jego *ego* o tym nie wiedziało; wiedziała o tym jego krew, jego wola. Świat umierał przez judaizm i przez tę chorobę judaizmu, którą jest wiara Jezusa; my nauczyliśmy go przemocy i wiary miecza. Ten miecz zabija nas i jesteśmy podobni do tego czarodzieja, który tka labirynt, i który zmuszony jest błądzić w nim aż do końca swoich dni, czy do Dawida, który sądzi nieznanego i skazuje go na śmierć, a potem słyszy objawienie: *Tym człowiekiem jesteś ty*. Wiele rzeczy trzeba zburzyć, by zbudować nowy porządek; teraz wiemy, że Niemcy były jedną z tych rzeczy. Daliśmy coś więcej niż nasze życie, poświęciliśmy los naszego ukochanego kraju.

Niech inni przeklinają i płaczą; mnie cieszy to, że nasz dar jest uniwersalny i doskonały.

Teraz zawisła nad światem nieubłagana epoka. My ją wykuliśmy, my, którzy już jesteśmy jej ofiarą. Cóż za znaczenie może mieć to, że Anglia jest młotem, a my kowadłem? Ważne jest, aby rządziła przemoc, nie zaś służalcza chrześcijańska nieśmiałość. Jeśli zwycięstwo i niesprawiedliwość i szczęście nie są dla Niemiec, niech będą dla innych narodów. Niech istnieje Niebo, choćby naszym miejscem miało być Piekło.

Patrzę w lustrze na moją twarz, żeby dowiedzieć się, kim jestem, żeby dowiedzieć się, jak się zachowam za kilka godzin, kiedy stanie przed moimi oczami kres. Moje ciało może się bać; ja - nie.

Dociekania Awerroesa

*S'imaginant que la tragédie n'est autre
chose que l'art de louer...*¹

Ernest Renan *Averroès*, 48 (1861)

Abu al-Walid Muhammad Ibn Ahmad Ibn Muhammad Ibn Ruszd (całe stulecie minęło zanim to długie imię przybrało postać Averroes, poprzez Benraist i Avenryz, a nawet Aben-Rassad i Filius Rosadis) układał jedenasty rozdział dzieła *Tahafut at-Tahafut* (Unicestwienie Unicestwienia), w którym utrzymuje się, wbrew perskiemu ascecie Al-Ghazaliemu, autorowi dzieła *Tahafut al-falasifa* (Unicestwienie filozofów), że bóstwo zna jedynie ogólne prawa wszechświata, to co dotyczy gatunków, nie zaś jednostki. Pisał z powolną pewnością, od prawej strony do lewej; trud kształtowania sylogizmów i wiązania rozległych ustępów nie przeszkadzał mu w odczuwaniu, jak szczęścia, chłodnego i głębokiego domu, który go otaczał. W głębinach sjęsty gruchały miłośnicie gołębie; z niewidocznego patia wznosił się szmer fontanny; coś w ciele Awerroesa, którego przodkowie pochodzili z arabskich pustyń, czuło wdzięczność wobec stałej obecności wody. W dole leżały ogrody, sad; również w dole pracowity Gwadalkiwir i dalej ukochane miasto Kordowa, nie mniej znakomite niż Bagdad czy Kair, jak skomplikowany i delikatny instrument, i wokół (to też czuł Awerroes) rozpościerała się aż do granic ziemia Hiszpanii, gdzie jest niewiele rzeczy, ale gdzie każda wydaje się istnieć w sposób zasadniczy i wieczny.

Pióro biegło po arkuszu, niezbite argumenty splatały się ze sobą, ale lekki niepokój zamglił szczęście Awerroesa. Nie powodował go *Tahafut*, praca przypadkowa, lecz problem o charakterze filologicznym, związany z monumentalnym dziełem, które miało go usprawiedliwić wobec ludzi: z komentarzem do Arystotelesa. Ten Grek, źródło wszelkiej filozofii, został zesłany ludziom, by nauczyć ich wszystkiego, co można wiedzieć;

¹ Wyobrażając sobie, że tragedia jest jedynie sztuką chwalenia.

uciążliwym zadaniem Awerroesa było zinterpretować jego księgi, jak ulemowie interpretują Koran. Niewiele piękniejszych i bardziej patetycznych rzeczy zarejestruje historia niż to poświęcenie się arabskiego lekarza człowiekowi, od którego dzieliło go czternaście stuleci; do trudności związanych z samym tematem musimy dodać fakt, że Awerroes, który nie znał syryjskiego ani greckiego, pracował na przekładzie z przekładu. Poprzedniego dnia dwa wątpliwe słowa zatrzymały go na początku *Poetyki*. Słowami tymi były *tragedia* i *komedja*. Spotkał je już przed laty, w trzeciej księdze *Retoryki*; nikt, w obrębie Islamu, nie domyślał się, co one znaczą. Na próżno nużył stronic Aleksandra z Afrodyzji, na próżno porównywał wersje nestorianina Hunajna Ibn Ishaka i Abu Baszara Matty. Od tych dwóch tajemniczych słów roilo się w tekście *Poetyki*; nie można ich było pominąć.

Awerroes odłożył pióro. Pomyślał (bez zbytej wiary), że to czego szukamy, jest zazwyczaj bardzo blisko; odłożył rękopis *Tahafut* i podszedł do półek, na których stały rzędem, skopionane przez perskich kaligrafów, liczne woluminy *Muhkam* ślepego Ibn Sidy¹. Śmieszne byłoby wyobrazić sobie, że dotąd ich nie konsultował, ale skusiła go bezinteresowna przyjemność odwracania stronic. Od tej naukowej rozrywki oderwała go jakaś melodia. Wyjrzał przez zakratowany balkon; w dole, na wąskim patio, bawiło się kilku półnagich chłopców. Jeden z nich, na ramionach drugiego, naśladował w widoczny sposób muezzina; z zamkniętymi oczami śpiewał monotonnie *Nie ma Boga prócz Allaha*. Ten, który go podtrzymywał, udawał nieruchomo minaret; inny, klęcząc pokornie w prochu - zgromadzenie wiernych. Zabawa trwała krótko: wszyscy chcieli być muezzinem, nikt zaś zgromadzeniem czy wieżą. Awerroes słyszał, jak się kłóca w plebejskim żargonie, w tym zaczątku języka hiszpańskiego, używanym przez muzułmańskich mieszkańców Półwyspu. Otworzył *Kitab al-ajn* Chalila i pomyślał z dumą, że w całej Kordowie (być może w całym Al-Andalus²) nie ma innej kopii doskonałego dzieła prócz tej, którą emir Jakub al-Mansur przesłał mu z Tangeru. Nazwa portu przypomniała mu, że podróżnik Abu al-Kasim al-Azhari, który powrócił z Maroka, miał tego wieczora jeść z nim kolację w domu koranisty Faradza. Abu al-Kasim powiadał, że dotarł do królestw imperium Sin (Chiny); oszczercy, za pomocą tej szczególnej logiki, którą zsyła nienawiść, przysięgali, że jego stopa nigdy nie postąpiła w Chinach; i że w świątyniach tego kraju bluźnił przeciw Allahowi. Spotkanie w nieunikniony sposób musiało potrwać kilka godzin; Awerroes pośpiesznie podjął pisanie *Tahafut*. Pracował

¹ Ibn Sida Abu al-Hasan Ali (1006 Murda - 1066 Denia) - sławny niewidomy leksykograf, filolog i logik. Dzieło, o którym tu mowa, to *Kitab al-mukham na al-mubit al-'azam* (Ocean ogromny rzetelnych wiadomości). Jest to obszerny, znakomity słownik języka arabskiego (przyp., tłum.)

² Tak Arabowie nazywali założone przez siebie państwo na Półwyspie Iberyjskim (przyp. tłum.).

do zmierzchu.

Rozmowa w domu Faradża przechodziła od nieporównanych zalet gubernatora do zalet jego brata, emira; potem, w ogrodzie, mówili o różach. Abu al-Kasim, który na nie nie spojrział, przysięgał, że nie ma takich róż jak te, które zdołają andaluzyjskie ogrody. Faradz nie polknął pochlebstwa; zauważył, że uczony Ibn Kutajba opisuje wspaniałą odmianę wiecznotrwalej róży, która rośnie w ogrodach Indostanu, i na której pąsowych płatkach są litery mówiące: *Nie ma Boga nad Allaha, a Muhammad jego Prorok*. Dodał, że Abu al-Kasim z pewnością zna te róże. Abu al-Kasim spojrział na niego z niepokojem. Gdyby odpowiedział, że tak, wszyscy uznaliby go, i słusznie, za najbardziej oportunistycznego samozwańca; gdyby odpowiedział, że nie, uznano by go za niewiernego. Wymruczał, że Pan posiada klucze rzeczy ukrytych, i że nie ma na ziemi niczego, świeżego ni suchego, co nie byłoby zapisane w Jego Księdze¹. Słowa te należą do jednej z pierwszych sur; przyjął je pełen szacunku pomruk. Ośmielony tym dialektycznym zwycięstwem Abu al-Kasim chciał powiedzieć, że Pan jest w swych dziełach doskonały i niezbadany. Wówczas Awerroes oświadczył, uprzedzając odległe w czasie argumenty problematycznego jeszcze Hume'a:

- Łatwiej jest mi dopuścić błąd uczonego Ibn Kutajby, czy kopistów, niż zgodzić się z tym, że ziemia rodzi róże z wyznaniem wiary.

- Otóż to. Wielkie i prawdziwe słowa - powiedział Abu al-Kasim.

- Jakiś podróżnik - przypomniał poeta Abd al-Malik - mówi o pewnym drzewie, którego owocami są zielone ptaki. Łatwiej mi w nie uwierzyć niż w róże z literami.

- Kolor ptaków - rzekł Awerroes - czyni łatwiejszą wiarę w cuda. Poza tym owoce i ptaki należą do świata przyrody, ale pismo jest sztuką. Przejście od liści do ptaków jest łatwiejsze niż od róży do liter.

Inny gość zaprzeczył z oburzeniem, jakoby pismo było sztuką, skoro oryginał Koranu - *Matka Księgi* - jest uprzedni wobec Stworzenia i przechowywany w niebie. Inny mówił o Al-Dżahizie z Basry, który twierdził, że Koran jest substancją mogącą przyjąć formę człowieka czy zwierzęcia; sąd ten zgodny jest z sądem przypisującym mu dwa oblicza. Faradz przedstawił obszernie ortodoksyjną doktrynę. Koran - powiedział - jest jednym z atrybutów Boga, jak Jego miłosierdzie; może zostać skopiowany w książce, wypowiedziany językiem, wspominany w sercu; i język, i znaki i pismo są dziełem ludzi, ale Koran jest ostateczny i wieczny. Awerroes, który komentował *Republikę*, mógł powiedzieć, że matka Księgi to coś w rodzaju jej platońskiego modelu, ale spostrzegł, że teologia była tematem

¹ Przekład Józefa Bielawskiego (przyp. tłum.).

całkowicie niedostępnym dla Abu al-Kasima.

Inni, którzy też to dostrzegli, zaczęli nalegać, żeby Abu al-Kasim opowiedział jakąś cudowną historię. W owych czasach, jak teraz, świat był przerażający; mogli podróżować po nim śmiałowie, ale również nędznicy, którzy godzili się na wszystko. Pamięć Abu al-Kasima była zwierciadłem drobnych podłości. O czym mógł opowiadać? Poza tym domagano się od niego cudów, a cudu nie można opowiedzieć: księżyc w Bengalu nie jest taki sam jak księżyc w Jemenie, a pozwala się opisać tymi samymi słowami. Abu al-Kasim zawahał się; potem zaczął mówić:

- Kto wędruje przez klimaty i miasta - oświadczył z namaszczeniem - ten widzi wiele rzeczy, które godne są podziwu. Na przykład ta, o której opowiadałem tylko raz, królowi Turków. Wydarzyła się w Sin Kalan (Kanton), gdzie rzeka Wody Życia wlewa się do morza.

Faradž spytał, jak daleko to miasto leży od muru, który Al-Iskandar Zu al-Karnajn (Dwużony Aleksander z Macedonii) wznosił, żeby powstrzymać Goga i Magoga.

- Oddzielają je pustynie - odrzekł Abu al-Kasim z mimowolną dumą. - Czterdzieści dni by trwało, zanim *kafila* (karawana) dostrzegłaby jego wieże, a powiadają, że drugie tyle trzeba, aby do nich dotarła. W Sin Kalan nie słyszałem o żadnym człowieku, który by go widział, lub widział kogoś, kto go widział.

Przez chwilę Awerroesa ogarnął lęk przed tym, co nieskończone, przed czystą przestrzenią, przed czystą materią. Spojrzał na symetryczny ogród; poczuł się stary, zbędny, nierealny. Abu al-Kasim mówił:

- Pewnego popołudnia muzułmańscy kupcy z Sin Kalan zaprowadzili mnie do domu z malowanego drewna, w którym mieszkało wiele osób. Nie da się opowiedzieć, jaki był ten dom, który był raczej jedną salą, z rzędami wmurowanych szaf czy balkonów, jedno nad drugimi. W tych zagłębieniach siedzieli ludzie, którzy jedli i pili; podobnie na podłodze i podobnie na znajdującym się tam tarasie. Ludzie na tarasie grali na bębnie i na lutni, z wyjątkiem piętnastu czy dwudziestu (w maskach karmazynowego koloru), którzy modlili się, śpiewali i rozmawiali. Byli w więzieniu, ale nikt nie widział murów; jeździli konno, ale nie widać było koni; walczyli, ale miecze były z trzciny; umierali, a potem podnosili się.

- Czyny szaleńców - powiedział Faradž - wykraczają poza przewidywania człowieka przy zdrowych zmysłach.

- Nie byli szaleni - musiał wyjaśniać Abu al-Kasim. - Jak powiedział mi jeden z kupców, przedstawiali pewną historię.

Nikt nie rozumiał, wydawało się, że nikt nie chce rozumieć. Abu al-Kasim, speszony, przeszedł od opowiadania do prozaicznych wyjaśnień. Powiedział, gestykulując:

- Wyobraźmy sobie, że ktoś ukazuje jakąś historię, zamiast ją opowiadać. Niech to będzie historia o Śpiących z Efezu. Widzimy, jak wchodzą do jaskini, widzimy jak modlą się i zasypiają, widzimy jak śpią z otwartymi oczami, widzimy jak rosną podczas snu, widzimy jak budzą się po upływie trzystu dziewięciu lat, widzimy jak wręczają sprzedawcy starożytną monetę, widzimy jak budzą się w raju, widzimy, jak budzi się z nimi pies. Coś podobnego pokazali nam tego popołudnia ludzie na tarasie.

- Czy ci ludzie mówili? - zapytał Faradz.

- Oczywiście, że mówili - Abu al-Kasim nagle stał się obrońcą widowiska, które zaledwie pamiętał, i podczas którego nieźle się wynudził. - Mówili, i śpiewali i perorowali!

- W takim razie - rzekł Faradz - nie potrzeba było dwudziestu osób. Jeden mówiący może opowiedzieć jakąkolwiek historię, choćby nie wiem jak skomplikowaną.

Wszyscy zaaprobowali ten sąd. Zaczęto wychwalać zalety języka arabskiego, który jest językiem, jakiego używa Bóg, aby wydawać rozkazy aniołom: później zalety arabskiej poezji. Abd al-Malik, gdy już należycie ją pochwalił, określił jako przestarzałych poetów, którzy w Damaszku czy w Kordowie trzymają się kurczowo pasterskich obrazów i beduińskiego słownictwa. Powiedział, że absurdalne jest, by człowiek, przed którego oczami toczy swoje wody Gwadalkiwir, opiewał wodę w studni. Wskazał na pilną potrzebę odnowienia starożytnych metafor; powiedział, że gdy Zuhajr porównywał los do ślepego wielbłąda, figura ta mogła trzymać ludzi w napięciu, ale pięć wieków podziwu wytarło ją. Wszyscy zaaprobowali ten sąd, który słyszeli już wiele razy, z wielu ust. Awerroes milczał. W końcu odezwał się, bardziej do siebie samego niż do innych.

- Z mniejszą elokwencją - rzekł Awerroes - ale za pomocą podobnych argumentów, broniłem wielokrotnie zdania, które głosi Abd al-Malik. W Aleksandrii mówiono, że tylko ten jest niezdolny do jakiegoś grzechu, kto już go popełnił i za niego żałował; dodajmy, że aby uwolnić się od jakiegoś błędu, należy w niego poprzednio wierzyć. Zuhajr, w swojej *muallace*¹, mówi że w ciągu osiemdziesięciu lat bólu i chwały widział wiele razy jak los, podobny do ślepego wielbłąda, trąca nagle ludzi; Abd al-Malik twierdzi, że ta figura nie może już zadziwiać. W odpowiedzi na to zastrzeżenie można by przytoczyć wiele rzeczy. Po pierwsze, że gdyby celem poematu było zaskakiwanie, jego czas nie mierzyłby się w wiekach, lecz w dniach i w godzinach, a może w minutach. Po drugie, że sławny poeta w mniejszym stopniu jest wynalazcą niż odkrywcą. Aby sławić Ibn Szarafa z Berja powtarzano,

¹ Muallaki (ar. *mu'allakat*, „to co zawieszono”) - dawne poematy arabskie, kasydy, które miały być, jak głosi tradycja, wyszyte złotem na jedwabiu i zawieszono w sanktuarium Ka'ba w Mekce. Poematów tych było siedem (niektórzy podają dziesięć). Są one pierwszym arabskim pomnikiem literackim (przyp. tłum.).

że tylko on mógł wyobrazić sobie, iż gwiazdy o świcie spadają wolno, jak liście spadają z drzew; gdyby to było prawdą, ukazywałoby w oczywisty sposób, że obraz ten jest bezwartościowy. Obraz, jaki może stworzyć tylko jeden człowiek, to obraz, który nie dotyka nikogo. Na ziemi są nieskończone rzeczy; którakolwiek może być porównana do którejkolwiek. Porównanie gwiazd do liści nie jest mniej arbitralne niż porównanie ich do ryb czy do ptaków. Nie ma natomiast człowieka, który by kiedyś nie poczuł, że los jest silny i jest niezdarny, że jest niewinny i również nieludzki. Aby wyrazić to przekonanie, które może być przelotne albo trwałe, ale którego nikt nie może uniknąć, został napisany wiersz Zuhajra. Nie można lepiej powiedzieć tego, co zostało tam powiedziane. Poza tym (i być może jest to zasadniczą kwestią moich rozważań) czas, który ściera twierdze, wzbogaca wiersze. Wiersz Zuhajra, kiedy ułożył go on w Arabii, służył do zestawienia dwóch obrazów: starego wielbłąda i losu; powtórzony teraz, służy do zachowania w pamięci Zuhajra i do stopienia naszych nieszczęść z nieszczęściami zmarłego Araba. Figura ta miała dwa elementy, a dzisiaj ma ich cztery. Czas powiększa obszar wierszy i znam kilka, które są, podobnie jak muzyka, wszystkim dla wszystkich ludzi. Torturowany przed laty w Marakeszu tęsknotą za Kordową, powtarzałem z przyjemnością apostrofę, którą Abd ar-Rahman wypowiedział w ogrodach Rusafy do afrykańskiej palmy:

*Ty także jesteś, palmo,
Obca na tej ziemi...*

Oto szczególna korzyść płynąca z poezji: słowa ułożone przez pewnego króla, który tęsknił do Wschodu, posłużyły mnie, wygnańcowi w Afryce, do wyrażenia mojej tęsknoty za Hiszpanią.

Potem Awerroes mówił o pierwszych poetach, o tych, którzy w Epoce Niewiedzy, przed Islamem, wypowiedzieli już wszystkie rzeczy w nieskończonym języku pustyń. Mówił, zaniepokojony nie bez racji głupstewkami Ibn Szarafa, że u starożytnych i w *Koranie* została skodyfikowana cała poezja, i gromił jako nieuctwo i próżność wszelkie zabiegi innowacyjne. Wszyscy słuchali go z przyjemnością, gdyż bronił rzeczy dawnych.

Muezzinowie nawoływali już do modlitwy pierwszego brzasku, kiedy Awerroes wszedł ponownie do biblioteki. (W haremie czarnowłose niewolnice pobiły niewolnicę rudą, ale on miał dowiedzieć się o tym dopiero po południu). Coś objawiło mu znaczenie dwóch niejasnych słów. Zdecydowanym i starannym pismem dodał do manuskryptu te linie: *Aristu (Arystoteles) nazywa panegyryki tragedią, a satyry i anatemy komedią, W zachwycające*

tragedie i komedie obfitują stronice Koranu i muallaki Sanktuarium.

Poczuł senność, poczuł chłód. Rozwiązał turban i przejrzał się w metalowym lustrze. Nie wiem, co ujrzały jego oczy, gdyż żaden historyk nie opisał wyglądu jego twarzy. Wiem, że zniknął nagle, jakby porażony ogniem bez światła, i wraz z nim zniknął dom i niewidoczna fontanna, i księgi, i rękopisy, i gołębie, i liczne czarnowłose niewolnice, i drżąca niewolnica ruda, i Faradz, i Abu al-Kasim, i różane ogrody, i być może Gwadalkiwir.

W poprzedniej historii chciałem opowiedzieć o procesie klęski. Pomyślałem najpierw o owym biskupie Canterbury, który postanowił dowieść, że istnieje jakiś bóg; później o alchemikach, poszukujących kamienia filozoficznego; później o tych, którzy na próżno usiłowali dokonać trójpodziału kąta i przeprowadzić kwadraturę koła. Potem doszedłem do wniosku, że bardziej poetyczny jest przypadek człowieka stawiającego sobie jakiś cel, który nie jest wzbroniony innym, ale właśnie jemu samemu. Przypomniałem sobie o Awerroesie, który, zamknięty w kręgu Islamu, nie mógł nigdy poznać znaczenia wyrazów *tragedia* i *komedia*. Opowiedziałem o tym przypadku; w miarę, jak posuwałem się naprzód, poczułem to, co musiał czuć ów bóg wspomniany przez Burtona, który zamierzał stworzyć byka, a stworzył bawoła. Poczułem, że moje dzieło ze mnie szydzi. Poczułem, że Awerroes, który chciał wyobrazić sobie, czym jest dramat, nie podejrzewając czym jest teatr, był nie mniej absurdalny niż ja, który chciałem wyobrazić sobie Awerroesa, nie dysponując innym materiałem niż drobiny pozostawione przez Renana, Lane'a i Asina Palaciosą. Poczułem, na ostatniej stronie, że moje opowiadanie jest symbolem człowieka, którym byłem ja sam, kiedy je pisałem, i że musiałem, aby napisać to opowiadanie, stać się tym człowiekiem, a by stać się tym człowiekiem, musiałem napisać to opowiadanie, i tak w nieskończoność. (W chwili, kiedy przestaję w niego wierzyć, „Awerroes” znika).

Zahir

W Buenos Aires Zahirem jest zwykła moneta wartości dwudziestu centavos; litery NT oraz cyfra dwa noszą ślady noża czy scyzoryka; na awersie wyryta jest data 1929. (W Gudzaracie, przy końcu XVIII wieku, Zahirem był pewien tygrys; na Jawie - pewien ślepiec z meczetu w Surakarta, którego wierni ukamienowali; w Persji - astrolabium, które Nadir Szah kazał wrzucić na dno morza; w więzieniach Mahdiego, około 1892 roku - niewielka zawinięta w strzęp turbana busola, której dotknął Rudolf Carl von Slatin; w meczecie w Kordowie, według Zotenberga, żyłka na marmurze jednego z tysiąca dwustu filarów; w żydowskiej dzielnicy Tetuanu - dno pewnej studni). Dzisiaj jest trzynasty dzień listopada; dnia siódmego czerwca, o świcie, Zahir trafił w moje ręce; nie jestem tym, kim wówczas byłem, ale dotąd jest mi dane pamiętać, i być może przekazać, to, co się wydarzyło. Jeszcze ciągle, choćby częściowo, jestem Borgesem.

Dnia szóstego czerwca umarła Teodelina Villar. Około 1930 roku jej zdjęcia zapelniały czasopisma opisujące życie wyższych sfer; być może ta obfitość sprawiła, że uznano ją za bardzo ładną, choć nie wszystkie podobizny bezwarunkowo potwierdzały tę hipotezę. Poza tym Teodelina Villar mniej interesowała się urodą niż doskonałością. Żydzi i Chińczycy skodyfikowali wszystkie okoliczności odnoszące się do człowieka; w *Misznie* można przeczytać, że po rozpoczęciu sobotniego zmierzchu krawiec nie powinien wychodzić na ulicę z igłą; w *Księdze Rytuałów*, że gość, gdy podano mu pierwszy kieliszek, powinien przyjąć poważny wyraz twarzy, a po drugim - pełen szacunku i zadowolenia. Analogiczne, lecz bardziej drobiazgowo, były rygory, jakich wymagała od siebie Teodelina Villar. Poszukiwała, niczym adept Konfucjusza czy talmudysta, nienagannej poprawności każdego czynu, ale jej upór był godniejszy podziwu i trudniejszy, gdyż normy jej *creda* nie były wieczne; ulegały ślepych przypadkom rodem z Paryża czy Hollywoodu. Teodelina Villar pokazywała się we właściwych miejscach, o właściwej godzinie, z właściwymi atrybutami, z właściwą nonszalancją, ale nonszalancja, atrybuty, godzina i miejsca przestawały obowiązywać niemal natychmiast i miały służyć (przynajmniej w ustach Teodeliny Villar) do

definiowania pretensjonalności. Poszukiwała absolutu jak Flaubert, ale absolutu w tym, co chwilowe. Jej życie mogło służyć za przykład, a jednak zżerała ją nieustannie wewnętrzna rozpacz. Wypróbowywała wciąż metamorfozy, jakby usiłując uciec od siebie samej; kolor jej włosów i fryzura były sławnie niestale. Zmieniał się też uśmiech, cera, krój oczu. Od 1932 roku była w wystudiowany sposób szczupła... Wojna dała jej wiele do myślenia. Jak iść za modą po zajęciu Paryża przez Niemców? Pewien cudzoziemiec, któremu nigdy nie dowierzała, pozwolił sobie nadużyć jej dobrej wiary, aby sprzedać partię cylindrycznych kapeluszy; po roku rozeszła się wieść, że takich dziwactw *nigdy nie noszono w Paryżu*, wobec czego nie były to kapelusze, lecz arbitralne i niczym nieupoważnione kaprysy. Nieszczęścia nie chodzą samotnie; doktor Villar musiał przeprowadzić się na ulicę Aráoz a zdjęcia jego córki zaczęły zdobić reklamy kremów i samochodów. (Kremów, które w dużych ilościach stosowała, samochodów, których już *nie* posiadała!). Wiedziała, że właściwe wykonywanie tej sztuki wymaga olbrzymiej fortuny; wołała wycofać się i zrezygnować. Poza tym bolało ją współzawodnictwo z nic nieznaczącymi dziewczętami. Ponure mieszkanie przy ulicy Aráoz okazało się zbyt kosztowne. Dnia szóstego czerwca Teodelina Villar popełniła ten nietakt, że umarła, ni mniej ni więcej, tylko w dzielnicy Sur. Czyż muszę wyznać, że powodowany najszczerzą spośród argentyńskich namiętności, snobizmem, byłem w niej zakochany, i że jej śmierć wrzuciła mnie do łez? Z pewnością czytelnik już to podejrzewał.

W czasie czuwania nad zmarłym postępujący rozkład sprawia, że odzyskuje on swoje poprzednie twarze. W którymś momencie chaotycznej nocy szóstego czerwca Teodelina Villar stała się w magiczny sposób taka, jaka była przed dwudziestoma laty; jej rysy odzyskały autorytet, jaki dają duma, pieniądze, młodość, świadomość stania na szczycie pewnej hierarchii, brak wyobraźni, ograniczenie, tępota. Pomyślałem mniej więcej tak: żadna wersja tej twarzy, która tak bardzo mnie niepokoiła, nie jest równie godna pamięci jak ta; to słuszne, że jest ostatnią, skoro mogła być pierwszą. Pozostałem ją sztywną wśród kwiatów, doprowadzającą do perfekcji swoją pogardę dla śmierci. Była prawie druga nad ranem, kiedy wyszedłem. Na dworze rzędy parterowych i jednopiętrowych domów miały abstrakcyjny wygląd, przybierany zazwyczaj nocą, kiedy upraszczają je cień i cisza. Pijany bezosobową niemal litością szedłem ulicami. Na rogu Chile i Tacuari dostrzegłem otwarty bar. W barze, na moje nieszczęście, trzech mężczyzn grało w *truco*.

W stylistycznej figurze, która zwie się *oksymoronem* słowu dodaje się epitet, który zda mu się przeczyć; tak więc gnostycy mówili o ciemnym świetle; alchemicy - o czarnym słońcu. Wyjście po moich ostatnich odwiedzinach u Teodeliny Villar i picie w barze było rodzajem oksymoronu; skusiła mnie jego ordynarność i łatwość. (Okoliczność, że grano tam

w karty, powiększała kontrast). Poprosiłem o kieliszek pomarańczówki; jako resztę wydano mi Zahira; popatrzyłem na niego przez chwilę; wyszedłem na ulicę, być może z początkami gorączki. Pomyślałem, że nie ma monety, która by nie była symbolem monet bez końca błyszczących w historii i w baśni. Pomyślałem o obolu Charona, o obolu, o który prosił Belizariusz; o trzydziestu monetach Judasza; o drachmach kurtyzany Lais; o starożytnej monecie ofiarowanej przez jednego ze śpiących z Efezu; o jasnych monetach czarownika z *1001 Nocy*, które później zmieniły się w krążki papieru; o niewyczerpanym dinarze Isaaca Laquedema; o sześćdziesięciu tysiącach sztuk srebra, po jednej za każdy wiersz epopei, które Firdausi zwrócił pewnemu królowi, gdyż nie były ze złota; o uncji złota przybitej przez Ahaba do masztu; o niedającym się odwrócić florenie Leopolda Blooma; o luidorze z podobizną, która zdradziła, koło Varennes, uciekającego Ludwika XVI. Myśl, że każda moneta dopuszcza te sławne konotacje, wydała mi się posiadać, jak we śnie, rozległe, choć niewytłumaczone znaczenie. Z rosnącą szybkością przebiegałem ulicę i opustoszałe place. Zmęczenie kazało mi zatrzymać się na jakimś rogu. Ujrzałem zniszczone żelazne ogrodzenie; za nim czarne i białe płyty portyku kościoła Niepokalanego Poczęcia. Błądziłem w kółko; byłem teraz o przecznicę od baru, w którym dostałem Zahira.

Skręciłem; ciemny narożnik oznajmiał z daleka, że bar jest już zamknięty. Na ulicy Belgrano wzięłem taksówkę. Bezsenny, opętany, niemal szczęśliwy, pomyślałem, że nie ma nic mniej materialnego niż pieniądze, gdyż jakkolwiek moneta (powiedzmy moneta wartości dwudziestu centavos) stanowi, ściśle biorąc, repertuar możliwych przyszłości. Pieniądze są abstrakcyjne, powtórzyłem, pieniądze są czasem przyszłym. Mogą być popołudniem za miastem, mogą być muzyką Brahmsa, mogą być mapami, mogą być szachami, mogą być kawą, mogą być słowami Epikteta, które uczą pogardy dla złota; są bardziej zmiennym Proteuszem niż ten z wyspy Faros. Są czasem nieprzewidywalnym, czasem Bergsona, nie zaś ścisłym czasem Islamu czy Portyku. Determiniści przeczą, jakoby istniał na świecie choćby jeden możliwy fakt, *id est* fakt, który mógł się wydarzyć; moneta symbolizuje naszą wolną wolę. (Nie podejrzewałem, że te „myśli” były wybiegiem i pierwszą formą sprzeciwu wobec Zahira i jego demonicznego wpływu). Usnąłem po uporczywych rozmyślaniach, ale śniło mi się, że ja to monety, których strzeże jakiś gryf.

Na drugi dzień uznałem, że byłem pijany. Postanowiłem też uwolnić się od monety, która tak bardzo mnie niepokoiła. Spojrzałem na nią: nie miała w sobie nic szczególnego, prócz paru zadrapań. Najlepiej byłoby zakopać ją w ogrodzie lub schować w jakimś kącie biblioteki, ale ja chciałem oddalić się od jej orbity. Uznałem, że lepiej ją zgubić. Tego ranka nie poszedłem do kościoła Pilar ani na cmentarz; pojechałem koleją podziemną do

Constitución, i z Constitución do San Juan i Boedo. Wysiadłem, nieświadomie, na Urquiza; skierowałem się na zachód i na południe; minąłem, w przemyślanym chaosie, kilka narożników i na ulicy, która wydała mi się taka sama jak wszystkie, wszedłem do jakiegoś baru, zamówiłem kieliszek rumu i zapłaciłem Zahirem. Przymknąłem oczy za ciemnymi szklami; udało mi się nie dostrzec numeru domu ani nazwy ulicy. Tego wieczora zażyłem weronal i spokojnie zasnąłem.

Do końca czerwca zajęło mnie układanie pewnego opowiadania fantastycznego. Zawiera ono dwie czy trzy tajemnicze peryfrazy - zamiast *krew* mówi się tam *woda miecza*; zamiast *złoto - łoże węża*, i napisane jest to w pierwszej osobie. Narratorem jest asceta, który zerwał stosunki z ludźmi i żyje na pustkowiu. (Gnitaheidr to nazwa tej krainy). Z powodu niewinności i prostoty jego życia niektórzy uważają go za anioła; jest to pobożna przesada, gdyż nie ma człowieka, który byłby wolny od winy. Żeby nie szukać daleko, on sam poderznął gardło swojemu ojcu; co prawda ten był sławnym czarownikiem, który zawładnął, z pomocą sztuk magicznych, nieskończonym skarbem. Ochrona skarbu przed chorobliwą chciwością ludzi, oto misja, której teraz poświęcił swe życie; strzeże go dniem i nocą. Szybko jednak, może zbyt szybko, czuwanie osiągnie kres: gwiazdy powiedziały mu, że już został wykuty miecz, który je przetnie na zawsze. (Gram to imię tego miecza). Coraz bardziej zawiłym stylem chwali blask i giętkość swego ciała; w jakimś ustępie mówi z roztargnieniem o łuskach; w innym mówi, że skarb, którego pilnuje, to jaśniejące złoto i czerwone pierścienie. W końcu rozumiemy, że asceta to wąż Fafnir, a skarb, na którym spoczywa, to skarb Nibelungów. Pojawienie się Sigurda gwałtownie przecina opowiadanie.

Powiedziałem, że błahostka ta (w której bieg wtrąciłem, w pseudoerudycyjny sposób, kilka wierszy z *Fafnismal*) pozwoliła mi zapomnieć o monecie. Były noce, podczas których byłem tak pewny, że mogę o niej zapomnieć, iż celowo sobie ją przypominałem. Prawdą jest, że nadużywałem takich chwil; rozpocząć było znacznie łatwiej niż położyć temu kres. Na próżno powtarzałem, że nienawistny nikłowy krążek nie różni się od innych, które przechodzą z rąk do rąk, jednakowe, nieskończone i nieszkodliwe. Powodowany tą refleksją, usiłowałem myśleć o innej monecie, ale mi się nie udawało. Wspominam również pewien eksperyment, nieudany, z chilijskimi monetami wartości pięciu i dziesięciu centavos i z urugwajskim dwojakiem. Dnia szesnastego lipca nabyłem funta szterlinga; nie spojrzałem na niego podczas dnia, ale umieściłem go tej nocy (i innych) pod szkłem powiększającym i obejrzałem w świetle silnej lampy elektrycznej. Później obrysowałem ołówkiem poprzez kartkę papieru. Nic nie pomogła błyskawica i smok i święty Jerzy; nie udało mi się zmienić biegu moich myśli.

W sierpniu postanowiłem poradzić się, psychiatry. Nie zwierzyłem mu się z całej mojej śmiesznej historii; powiedziałem, że dokucza mi bezsenność i że prześladuje mnie obraz jakiegoś przedmiotu; powiedzmy jakiegoś żetonu czy monety... Niedługo potem wygrzebałem w pewnej księgarni na ulicy Sarmiento egzemplarz *Urkunden zur Geschichte der Zahirsage* (Breslau, 1899) Juliusa Barlacha.

W książce tej opisana była moja dolegliwość. Według prologu autor zamierzał „zebrać w jednym wygodnym tomie *in octavo maiore* wszystkie dokumenty odnoszące się do przesądu Zahira, łącznie z czterema należącymi do archiwum Habichta, i oryginalny rękopis sprawozdania Philipa Meadowsa Taylora”. Wiara w Zahira należy do Islamu i pochodzi, jak się wydaje, z XVIII wieku. (Bariach zwalcza ustępy, które Zotenberg przypisuje Abu al-Fidzie). *Zahir*, po arabsku, znaczy *znany, widoczny*; w tym znaczeniu jest jednym z dziewięćdziesięciu dziewięciu imion Boga; lud, na ziemiach muzułmańskich, określa tym słowem „istoty czy przedmioty, które posiadają tę przerażającą cechę, że nie można o nich zapomnieć, i których obraz powoduje u ludzi szaleństwo”. Pierwsze bezsporne świadectwo pochodzi od Persa o imieniu Lutf Ali Azur. Na skrupulatnych stronicach encyklopedii biograficznej zatytułowanej *Świątynia Ognia* ten wszechstronny uczony i derwisz opowiada, że w pewnym kolegium w Szirazie znajdowało się miedziane astrolabium „zbudowane w taki sposób, że kto raz nań spojrzeł, nie myślał o niczym innym; i tak król nakazał wrzucić go w największe głębiny morza, aby ludzie nie zapomnieli o wszechświecie”. Mówi o tym obszerniej sprawozdanie Meadowsa Taylora, który służył u nizama Hajdarabadu i ułożył sławną powieść *Confessions of a Thug*. Około 1832 roku Taylor usłyszał na przedmieściach Bhudziu niezwykle wyrażenie *Zobaczyć Tygrysa* (*Verily he has looked on the Tiger*) na określenie szaleństwa czy świętości. Powiedziano mu, że związane jest z magicznym tygrysem, zgubą tych wszystkich, którzy go ujrzeli, nawet z bardzo daleka; bowiem wszyscy oni nie przestawali już o nim myśleć, aż do kresu swych dni. Ktoś powiedział, że jeden z tych nieszczęśników zbiegł do Majsuru, gdzie namalował w pewnym pałacu podobiznę tygrysa. Po latach Taylor zwiedzał więzienia tego królestwa; w Nithurze gubernator pokazał mu celę; na jej posadzce, murach i sklepieniu jakiś muzułmański fakir namalował (w barbarzyńskich kolorach, które czas, przed zatarciem, wysubtelnił) rodzaj niekończącego się tygrysa. Tygrys, w zawrotny sposób, utworzony był z wielu tygrysów; przenikały go tygrysy, popręgowany był tygrysami, mieścił w sobie morza i Himalaje i wojska, które wydawały się również tygrysami. Malarz umarł przed wielu laty, w tej samej celi; przybywał z Sindu lub może z Gudżaratu i jego pierwotnym zamiarem było namalowanie mapy świata. Na potwornym obrazie widniały pozostałości po tym zamiarze. Taylor opowiedział tę historię

Muhammadowi al-Jamaniemu, w Fort William; ten powiedział mu, że nie ma stworzenia na świecie, które by nie dążyło do stania się *Zaheer*¹, ale że Najmiłosierniejszy nie pozwala, żeby dwie rzeczy były nim równocześnie, ponieważ już jedna może zafascynować tłumy. Powiedział, że zawsze jest jakiś Zahir i że w Epoce Niewiedzy był nim idol, który zwał się Ja'uk, a później pewien prorok w Chorasanie, który używał zasłony haftowanej kamieniami czy też złotej maski². Powiedział również, że Bóg jest niezbadany.

Wielokrotnie czytałem monografię Barlacha. Nie potrafię zgłębić, jakie były moje uczucia; pamiętam moją rozpacz, kiedy zrozumiałem, że już nic mnie nie uratuje; ulgę, jaką niosła mi świadomość, że nie ponoszę winy za moje nieszczęście; zazdrość, jaką odczuwałem wobec ludzi, których Zahir nie był monetą, lecz kawałkiem marmuru czy tygrysem. Jakże to łatwo nie myśleć o tygrysie, zastanawiałem się. Pamiętam również szczególny niepokój, z jakim przeczytałem ten ustęp: „Pewien komentator dzieła *Gulsszan-i raz*³ mówi, że ten, kto ujrzał Zahira, wkrótce ujrzy Różę, i cytuje wiersz pochodzący z *Asrar Name* (Księga rzeczy nieznanych) Attara: Zahir jest cieniem Róży i rozdarcie Zasłony.”

Podczas nocy, kiedy czuwano przy Teodelinie, zdziwiło mnie, że nie widzę wśród obecnych pani de Abascal, jej młodszej siostry. W październiku jedna z jej przyjaciółek powiedziała mi:

- Biedna Julia, stała się bardzo dziwna i umieszczono ją w Bosch. Jakże musi dawać się we znaki pielęgniarce, które ją karmią. Wciąż mówi o monecie, do złudzenia podobnej do szofera Moreny Sackmann.

Czas, który zaciera wspomnienia, pogłębia wspomnienie Zahira. Dawniej wyobrażałem sobie awers, a później rewers; teraz widzę jednocześnie oba. Nie dzieje się to tak, jakby Zahir był ze szkła, gdyż jedna strona nie nakłada się na drugą; dzieje się raczej tak, jakby wizja była kulista, a Zahir przebywał w jej centrum. To, co nie jest Zahirem, dociera do mnie jakby zamglone i odległe: wzdarcie postaci Teodeliny, fizyczny ból. Tennyson uważał, że gdybyśmy mogli zrozumieć jeden tylko kwiat, dowiedzielibyśmy się kim jesteśmy i czym jest świat. Może chciał powiedzieć, że nie ma faktu, jakkolwiek byłby on skromny, który nie niósłby ze sobą historii wszechświata, wraz z jej nieskończonym łańcuchem skutków i przyczyn. Może chciał powiedzieć, że świat widzialny istnieje w każdym swym

¹ Tak Taylor zapisuje to słowo (przyp. aut.).

² Bariach zauważa, że Ja'uk występuje w Koranie (71, 23) i że prorok to Al-Mukanna (Zasłonięty) i że nikt, poza zaskakującym rozmówcą Philipa Meadowsa Taylora, nie powiązał ich z Zahirem (przyp. aut.).

³ *Gulsszan-i raz* (Różany ogród tajemnic) - niewielki utwór, ujęty w formę pytań i odpowiedzi, będący jednym z najstarszych zestawów symbolicznej sufickiej terminologii. Wzbudził wielkie zainteresowanie na Wschodzie i zwrócił na siebie uwagę Zachodu. Jego autor to Szajch Mahmud Szabistari (zm. 1320). Żył w Persji (przyp. tłum.).

przejawie, podobnie jak wola, według Schopenhauera, istnieje w sposób całkowity w każdym podmiocie. Kabaliści uważali, że człowiek jest mikrokosmosem, symbolicznym zwierciadłem wszechświata; wszystko, według Tennysona, nim jest. Wszystko, nawet niedający się znieść Zahir.

Przed 1948 rokiem dosięgnie mnie los Julii. Będą musieli mnie karmić i ubierać, nie będę wiedział, czy jest popołudnie czy ranek, nie będę wiedział, kim był Borges. Nazwanie tego stanu przyszłością jest strasznym błędem, gdyż żadna z jej okoliczności nie będzie odnosiła się do mnie. Równie dobrze można by utrzymywać, że potworny jest ból człowieka, któremu pod narkozą otwierają czaszkę. Nie będę już dostrzegał wszechświata, będę dostrzegał Zahira. Według doktryny idealistycznej, czasowniki *żyć* i *śnić* są ściśle synonimiczne; od tysięcy obrazów przejdę do jednego; od jednego bardzo złożonego snu do snu bardzo prostego. Inni będą śnić, że jestem szalony, ja śnić będę o Zahirze. Kiedy wszyscy ludzie na ziemi zaczną myśleć, dniem i nocą, o Zahirze, co będzie snem, a co rzeczywistością, ziemia czy Zahir?

W bezludnych godzinach nocy mogę jeszcze chodzić po ulicach. Świt zaskakuje mnie zwykle na ławce na placu Garay, podczas gdy myślę (gdy usiłuję myśleć) o tym ustępie z *Asram Name*, gdzie mówi się, że Zahir jest cieniem Róży i rozdarcie Zasłony. Kojarzę ten sąd z następującą wiadomością: Aby zagubić się w Bogu, *sufi* powtarzają własne imię lub dziewięćdziesiąt dziewięć imion boskich do chwili, aż te już nic nie znaczą. Pragnę przebyć tę drogę. Może uda mi się zużyć Zahira ustawicznym myśleniem o nim; może za tą monetą jest Bóg.

Dla Wally Zenner

Pismo boga

Więzienie jest głębokie i kamienne; jego kształt jest prawie doskonałą półkulą, choć podłoga (również kamienna) jest nieco mniejsza od największego obwodu; fakt ten pogłębia w jakiś sposób uczucie przytłoczenia i bezmiaru.

Pośrodku przecina je ściana; ta, chociaż bardzo wysoka, nie dotyka najwyższej części kopuły. Po jednej stronie jestem ja, Tzinacán, mag z piramidy Qaholoma, którą podpalił Pedro de Alvarado, po drugiej jest jaguar, który odmierza tajemniczymi, jednakowymi krokami czas i przestrzeń niewoli. Przy samej ziemi długie okno ze sztabami przecina centralną ścianę. W godzinie bez cienia [południe] otwiera się w górze zapadnia, strażnik manipuluje przy żelaznym kołowrocie i opuszcza nam, na końcu sznura, dzbany z wodą i kawałki mięsa. Światło wpada do kopuły; w tym momencie mogę widzieć jaguara.

Straciłem rachubę lat, które spędziłem, leżąc w ciemnościach; ja, który niegdyś byłem młody i mogłem chodzić po tym więzieniu, nie robię nic oprócz oczekiwania, w pozie mojej śmierci, końca, jaki przeznaczają mi bogowie. Głębokim krzemiennym nożem otwierałem piersi ofiar, a teraz nie potrafiłbym, bez pomocy magii, podnieść się z prochu.

W przeddzień pożaru piramidy, mężczyźni, którzy zeszli z wysokich koni, torturowali mnie rozpalonym metalem, abym wyjawiał im miejsce, gdzie został ukryty skarb. Obalili na moich oczach idola boga, ale ten nie opuścił mnie i pozostawałem spokojny pośród tortur. Poszarpali mi ciało, połamali kości, a później obudziłem się w tym więzieniu, którego już nie opuszczę za mego śmiertelnego życia.

Zmuszony koniecznością robienia czegoś, zaludniania czasu, chciałem przypomnieć sobie, w mym cieniu, wszystko to, co widziałem. Noce całe roztrwoiłem na przypomnienie sobie konfiguracji i liczby pewnych kamiennych węży, czy kształtu pewnego leczniczego drzewa. W ten sposób wchodziłem w posiadanie tego, co było już kiedyś moje.

Pewnej nocy poczułem, że zbliżam się do cennego wspomnienia; podróżny, zanim ujrzy morze, czuje niepokój we krwi. Po wielu godzinach zacząłem dostrzegać owo wspomnienie; była to jedna z tradycji związanych z bogiem. Ten, przewidując, że u kresu

czasu wydarzy się wiele nieszczęść i klęsk, napisał w pierwszym dniu Tworzenia pewną magiczną sentencję, zdolną do zaklęcia nieszczęść. Zapisał ją w taki sposób, aby dotarła do najodleglejszych pokoleń i aby nie dotknął jej przypadek.

Nikt nie wie, w jakim miejscu ją zapisał ani jakimi literami, ale jesteśmy pewni, że trwa ona tajemnie i że przeczyta ją kiedyś jakiś wybraniec. Pomyślałem, że jesteśmy, jak zawsze, u kresu czasu, i że moje przeznaczenie ostatniego kapłana boga da mi przywilej odnalezienia pisma. Fakt, że otacza mnie więzienie, nie pozbawiał mnie tej nadziei; być może tysiące razy widziałem inskrypcję Qaholoma, nie potrafiłem tylko jej zrozumieć.

Refleksja ta ożywiła mnie, a później przyprawiła o zawrót głowy. W obrębie ziemi są formy starożytne, formy niezniszczalne i wieczne; każda z nich mogła być poszukiwanym symbolem.

Jakaś góra mogła być słowem boga lub jakaś rzeka czy imperium, czy konfiguracja ciał niebieskich. Ale z biegiem wieków góry zapadają się i przesuwa się zwykle koryto rzeki, i imperia doznają przemian i spustoszeń, i zmienia się układ ciał niebieskich. Na firmamencie dokonują się zmiany. Zacząłem poszukiwać czegoś trwalszego. Pomyślałem o pokoleniach zbóż, traw, ptaków i ludzi. Może na mojej twarzy były wypisane magiczne słowa, może ja sam byłem celem mych poszukiwań. Byłem tym zaprzątnięty, gdy przypomniałem sobie, że jaguar jest jednym z atrybutów boga.

Wówczas dusza moja przepełniła się pobożnością. Wyobraziłem sobie pierwszy poranek czasu, wyobraziłem sobie mojego boga, powierzającego posłannictwo żywej skórze jaguarów, które będą się kochały i rozmnażały bez końca; w jaskiniach, w trzciniowiskach, na wyspach; po to, aby ostatni ludzie mogli je otrzymać. Wyobraziłem sobie tę sieć tygrysów¹, ten gorący labirynt tygrysów, napętniających przerażeniem pastwiska i stada, aby przechować pewien rysunek. W drugiej celi był jaguar; w tym sąsiedztwie dostrzegłem potwierdzenie mojego przypuszczenia i tajemną łaskę.

Poświęciłem wiele lat na nauczenie się rozmieszczenia rysunku na jego skórze. Każdy ślepy dzień przyznawał mi chwilę światła i tak mogłem utrwalić w pamięci czarne formy, które plamiły żółtą sierść. Niektóre zawierały kropki; inne tworzyły poprzeczne kręgi po wewnętrznej stronie łap; inne, pierścieniste, powtarzały się. Może były tym samym dźwiękiem lub tym samym słowem. Wiele z nich miało czerwone brzegi.

Nie opiszę trudów mej pracy. Czasami krzychałem w stronę kopuły, że nie jest możliwe odczytanie tego tekstu. Stopniowo konkretna zagadka, która mnie pochłaniała,

¹ Słowem *tygrys* określa się potocznie w Ameryce Łacińskiej wszystkie miejscowe wielkie drapieżniki z rodziny kotów, w tym wypadku jaguara (przyp. tłum.).

zaczęła mnie niepokoić mniej niż zagadka, jaki rodzaj sentencji może skonstruować absolutny rozum.

Zauważyłem, że nawet w językach ludzkich nie ma zdania, które nie zawierałoby w sobie całego wszechświata; powiedzieć *tygrys*, to powiedzieć tygrysy, które go splodziły, jelenie i żółwie, które pożarł, pastwiska, na których żywiły się jelenie, ziemia, która była matką pastwisk, niebo, które dało światło ziemi. Pomyślałem, że w języku jakiegoś boga każde słowo wypowiedziałoby nieskończony łańcuch faktów, i to w sposób wyraźny i jednoczesny. Z biegiem czasu pojęcie boskiej sentencji wydało mi się dziecinne czy bluźniercze. Bóg, myślałem, musi wypowiedzieć tylko jedno słowo, a w tym słowie pełnię. Żadne słowo wypowiedziane przez niego nie może być mniejsze niż wszechświat ani stanowić mniej niż suma czasu. Cieniami czy widmami słowa, równego językowi i wszystkiemu temu, co język może objąć, są ubogie słowa ludzkie *wszystko, świat, wszechświat*.

Pewnego dnia, czy pewnej nocy - jaka może być różnica między moimi dniami i moimi nocami? - przyśniło mi się, że na podłodze więzienia jest ziarno piasku. Spałem w dalszym ciągu, obojętny; śniłem, że obudziłem się i że są dwa ziarna piasku. Spałem dalej; śniłem, że ziaren piasku jest trzy. W ten sposób mnożyły się one, aż zapełniły więzienie i umierałem pod półkulą piasku. Zrozumiałem, że śnię; z wielkim trudem obudziłem się. Zbudzenie na nic się nie przydało; nieprzeliczony piasek dusił mnie. Ktoś powiedział: *Nie obudziłeś się na jawie, lecz, w poprzednim śnie. Ten sen znajduje się wewnątrz, innego snu i tak aż do nieskończoności, która jest cyfrą ziaren piasku. Droga, po której będziesz, musiał się cofać, jest nieskończona i umrzesz, zanim obudzisz, się rzeczywiście.*

Poczułem się zgubiony. Piasek rozdzierał mi usta, ale zdołałem krzyknąć: *Ani wyśniony piasek nie może mnie zabić, ani nie ma snów, które są wewnątrz snów.* Obudził mnie blask. W górnych ciemnościach wisiał w powietrzu krąg światła. Zobaczyłem twarz i ręce strażnika, kołowrót, sznur, mięso i dzbany.

Człowiek upodabnia się stopniowo do form swego przeznaczenia; człowiek staje się, po upływie czasu, swoją sytuacją. Bardziej niż poszukiwaczem tajemnej sentencji, czy mścicielem, byłem więźniem. Z niestrudzonego labiryntu snów powróciłem, jak do mojego domu, do surowego więzienia. Pobłogosławiłem jego wilgoć, pobłogosławiłem jego tygrysa, pobłogosławiłem otwór, przez który wpadało światło, pobłogosławiłem moje stare, zbolące ciało, pobłogosławiłem ciemność i kamień.

Wówczas wydarzyło się to, czego nie mogę zapomnieć ani opisać. Nastąpiło zespolenie się z bóstwem, ze wszechświatem (nie wiem, czy jest jakaś różnica między tymi

słowami). Ekstaza nie powtarza swoich symboli; niektórzy widzieli boga w blasku, niektórzy dostrzegli go w mieczu albo w kręgach róży. Ja ujrzałem olbrzymie Koło, które nie znajdowało się przed moimi oczyma ani z tyłu, ani z boków, lecz wszędzie, jednocześnie.

To Koło utworzone z wody, ale również z ognia, było nieskończone (choć jego brzeg był widoczny). Wplecione weń, tworzyły je wszystkie rzeczy, które będą, które są i które były, i ja byłem jednym z włókien tego wszechogarniającego wątku, a Pedro de Alvarado, który mnie torturował, był innym włóknem. Były tam przyczyny i skutki, i wystarczyło mi widzieć to Koło, aby zrozumieć wszystko, bez kresu.

O szczęście rozumienia, większe niż wyobraźni czy odczuwania! Zobaczyłem wszechświat i ujrzałem najmniejsze intencje wszechświata. Zobaczyłem początki, o których opowiada *Księga Jedności*. Zobaczyłem góry, które wyłoniły się z wody, zobaczyłem pierwszych drewnianych ludzi, zobaczyłem gliniane dzbany, które obróciły się przeciwko ludziom, zobaczyłem psy, które rozszarpały im twarze, zobaczyłem boga bez twarzy, który jest poza bogami. Zobaczyłem nieskończone procesy, które tworzą jedno tylko szczęście i, rozumiejąc wszystko, zdołałem zrozumieć również pismo tygrysa.

Jest to formuła o czternastu przypadkowych słowach (słowach, które wydają się przypadkowe) i wystarczyłoby mi wypowiedzieć ją głośno, aby zetrzeć kamienne więzienie, aby dzień wszedł w moją noc, aby stać się wszechmocnym, aby stać się młodym, aby stać się nieśmiertelnym, aby tygrys rozszarpał Pedra de Alvarado, aby zagłębić święty nóż w hiszpańskie piersi, aby odbudować piramidę, aby odbudować imperium. Czterdzieści sylab, czternaście słów i ja, Tzinacán, zawładnąłbym ziemiami, którymi władał Montezuma. Ale wiem, że nigdy nie wypowiem tych słów, bo już nie pamiętam Tzinácana.

Niech umrze wraz ze mną tajemnica zapisana na skórze tygrysów. Kto dojrzał wszechświat, kto dojrzał żarliwe zamiary wszechświata, nie może myśleć o człowieku, o jego banalnym szczęściu czy nieszczęściu, nawet jeśli tym człowiekiem jest on sam... Tym człowiekiem był *on sam* i on teraz już go nie obchodzi. Cóż go obchodzi los tego drugiego, cóż go obchodzi narodowość tego drugiego, jeżeli on, teraz, jest nikim? Dlatego nie wypowiadam formuły, dlatego, leżąc w ciemnościach, pozwalam, aby zapomniały o mnie dni.

Ibn Hakam al-Buchari, zabity w swym labiryncie

*...podobni są do pająka, który snuje
budowę wątlą.*¹

Koran, XXIX, 40

- Oto - rzekł Dunraven z szerokim gestem, który nie pomijał zamglonych gwiazd i obejmował czarne pustkowia, morze, i majestatyczny budynek, wyglądający na zniszczoną stajnię - ziemia moich przodków.

Unwin, jego towarzysz, wyjął z ust fajkę i mruknął z uznaniem. Był to pierwszy wiosenny wieczór 1914 roku; przyjaciele znużeni światem bez godności niebezpieczeństwa, rozkoszowali się samotnością tego zakątka Kornwalii. Dunraven hodował ciemną brodę i czuł się autorem szacownej epopei, której jego współcześni niemal nie byli w stanie ogarnąć, i której temat nie został mu jeszcze objawiony; Unwin opublikował studium na temat twierdzenia, którego Fermat nie napisał na marginesie pewnej strony Diofanta. Obaj - czyż muszą to mówić? - byli młodzi, roztargnieni i żarliwi.

- Jakieś ćwierć wieku temu - powiedział Dunraven - Ibn Hakam al-Buchari, wódz czy król nie wiem już jakiego plemienia znad Nilu, zginął w centralnej sali tego budynku z ręki swego kuzyna Zajda. Po upływie lat okoliczności jego śmierci są w dalszym ciągu niejasne.

Unwin łagodnie spytał, dlaczego.

- Z wielu powodów - brzmiała odpowiedź. - Po pierwsze, budynek jest labiryntem. Po drugie, strzegł go niewolnik i lew. Po trzecie, zginął tajemny skarb. Po czwarte, morderca był już martwy, gdy popełniono morderstwo. Po piąte...

Unwin, znużony, przerwał mu.

- Nie pomnażaj tajemnic - rzekł. - Muszą być one proste. Pamiętaj o skradzionym

¹ Przekład: Jan Murza Tarak Buczacki, Warszawa, 1858 (przyp. tłum.).

liście Poe'a, pamiętaj o zamkniętym pokoju Zangwilla.

- Albo złożone - odrzekł Dunraven. - Pamiętaj o wszechświecie.

Wspinając się na piaszczyste wzgórza, dotarli do labiryntu. Z bliska, wydawał się prostą i niemal niekończącą się ścianą z nietynkowanych cegieł, zaledwie nieco wyższą od człowieka. Dunraven powiedział, że ma ona kształt koła, ale objęta nią powierzchnia jest tak rozległa, iż nie można dostrzec krzywizny. Unwin wspomniał o Mikołaju z Kuzy, dla którego każda linia prosta jest łukiem nieskończonego okręgu... Przed północą odkryli walące się drzwi, wychodzące na ślepią i ryzykowną sień. Dunraven zauważył, że we wnętrzu domu jest wiele skrzyżowań, ale że skręcając zawsze w lewo dojdą w niedłuzszej niż godzinę do środka tej sieci. Unwin zgodził się. Ostrożne kroki zabrzmiały na kamiennej posadzce; korytarz rozdzielał się na inne, węższe. Wydawało się, że dom chce ich pochłoniąć; strop był bardzo niski. Musieli posuwać się jeden za drugim przez skomplikowaną ciemność. Unwin szedł przodem. Naprzeciw jego ręki płynął bez końca, wstrzymywany chropowatościami i zakrętami, niewidzialny mur. Unwin, powolny w mroku, usłyszał z ust swojego przyjaciela historię śmierci Ibn Hakama.

- Najstarszym chyba z moich wspomnień - opowiadał Dunraven - jest wspomnienie Ibn Hakama al-Buchari w porcie Pentreath. Kroczył za nim Murzyn z lwem; bez wątpienia pierwszy Murzyn i pierwszy lew, jakich ujrzały moje oczy, poza rycinami Pisma. Byłem wtedy dzieckiem, ale zwierzę koloru słońca i człowiek koloru nocy zrobiły na mnie mniejsze wrażenie niż Ibn Hakam. Wydawał mi się bardzo wysoki; był to mężczyzna o oliwkowej cerze, przymkniętych oczach, zachłannym nosie, mięsistych wargach, szafranowej brodzie, silnej piersi, chodzie pewnym i cichym. W domu powiedziałem: „Przypłynął na statku król”. Później, kiedy pracowali murarze, rozszerzyłem ten tytuł i nazwałem go Królem Babelu.

Wiadomość, że cudzoziemiec miał osiedlić się w Pentreath, została przyjęta z zadowoleniem; rozległość i kształt jego domu - z osłupieniem, a nawet z oburzeniem. Wydawało się niedopuszczalne, aby dom składał się z jednego tylko pokoju i z całych mil korytarzy. „Może wśród Murzynów bywają takie domy, ale nie wśród chrześcijan” - mówili ludzie. Nasz proboszcz, pan Allaby, człowiek oddający się dziwnym lekturom, wygrzebał historię pewnego króla, którego bóstwo ukarało za wzniesienie labiryntu, i wygłosił ją z ambony. W poniedziałek Ibn Hakam odwiedził parafię; okoliczności tej krótkiej rozmowy nie były wówczas znane, ale żadne późniejsze kazanie nie nawiązywało do pychy i Maur mógł nająć murarzy. Po latach, kiedy zginął Ibn Hakam, Allaby powiadomił władze o treści dialogu.

Ibn Hakam, stojąc, powiedział mu te lub podobne słowa: „Nikt nie może potępiać

tego, co robię! Winy, które mnie hańbią, są tak wielkie, że choćbym powtarzał całymi wiekami Ostatnie Imię Boga, nie wystarczyłoby to dla złagodzenia choćby jednego z moich cierpień; winy, które mnie hańbią, są tak wielkie, że choćbym pana zabił tymi rękami, nie powiększyłyby to cierpień, jakie przeznacza mi nieskończona Sprawiedliwość. Nie ma ziemi, gdzie nie znano by mego imienia: jestem Ibn Hakam al-Buchari i żelaznym berłem władałem plemionami pustyni. Podczas wielu lat gnębiłem je, z pomocą kuzyna Zajda, ale Bóg usłyszał ich wołanie i pozwolił, żeby się zbuntowali. Moi ludzie zostali pobici i zaszyteliwani; ja zdołałem zbiec ze skarbem, zgromadzonym podczas lat grabieży. Zajd zaprowadził mnie do grobowca pewnego świętego, u stóp kamiennej góry. Rozkazałem niewolnikowi, aby obserwował oblicze pustyni. Zajd i ja usnęliśmy, wyczerpani. Tej nocy wydało mi się, że oplata mnie sieć węży. Zbudziłem się z przerażeniem; u mego boku, w świetle brzasku, spał Zajd. Pajęczyna, która dotykała mojego ciała, sprawiła, że przyśnił mi się ten sen. Zabolało mnie, że Zajd, który był tchórzem, śpi z takim spokojem. Pomyślałem, że skarb nie jest nieskończony, i że on może domagać się swojej części. Na moim pasie była daga o srebrnej rękojeści; wyciągnąłem ją naga i przebiłem mu krtań. W agonii wybelkotał jakieś słowa, których nie udało mi się zrozumieć. Spojrzałem na niego: był martwy, ale ogarnął mnie strach, że się podniesie i rozkazałem niewolnikowi, żeby zmiażdżył mu twarz kamieniem. Później błędziliśmy pod nieboskłonem i pewnego dnia dostrzegliśmy morze. Przecinały je bardzo wysokie statki; pomyślałem, że martwy nie będzie mógł iść po wodzie, i postanowiłem poszukać innych ziem. Pierwszej nocy, gdy żeglowaliśmy, przyśniło mi się, że zabijam Zajda. Wszystko powtórzyło się, ale zrozumiałem jego słowa. Mówił: *Jak teraz mnie zglądasz, tak zglądę ciebie, gdziekolwiek byś się znajdował.* Poprzysiągłem nie dopuścić do spełnienia groźby; ukryję się we wnętrzu labiryntu, aby widmo zabłądziło.”

Powiedziawszy to, odszedł. Allaby pomyślał, że Maur jest szalony i że absurdalny labirynt symbolizuje jego szaleństwo. Potem zastanowił się, że wyjaśnienie jest zgodne z dziwnym budynkiem i z dziwną opowieścią, nie zaś z silnym wrażeniem, jakie pozostawiał *człowiek* Ibn Hakam. Być może takie historie były czymś codziennym wśród egipskich piasków, być może takie opowieści mniej odnosiły się (jak smoki Pliniusza) do jakiejś osoby niż do jakiejś kultury... Allaby przejrzał, w Londynie, zaległe numery *Timesa*; stwierdził prawdziwość buntu, po którym nastąpił upadek Al-Buchariego i jego wezyra, znanego z tchórzostwa.

Buchari, zaledwie murarze zakończyli pracę, ulokował się w środku labiryntu. Nie widziano go więcej w miasteczku; czasami Allaby obawiał się, że Zajd już go osiągnął i unicestwił. Nocami wiatr niósł w naszym kierunku ryk lwa i owce w zagrodzie tłoczyły się w

starożytnym przerażeniu.

Kotwiczyły zwykle w naszej zatoczce statki ze Wschodu, kierujące się do Cardiff czy Bristolu. Niewolnik wychodził z labiryntu (który wówczas, pamiętam, nie był różowy, lecz koloru karmazynowego) i zamieniał afrykańskie słowa z załogami, i zdawał się szukać wśród ludzi widma, które prześladowało króla. Mówiono, że owe statki zajmowały się przemytem; a jeśli przewoziły zakazany alkohol i kość słoniową, czemuż by nie cienie umarłych?

W trzy lata po wzniesieniu domu zakotwiczyła u stóp wzgórza *Rose of Sharon*. Ja nie należałem do tych, którzy widzieli żaglowiec i być może na wyobrażenie, jakie sobie o nim wyrobiłem, wywarły wpływ zapomniane litografie Abukiru czy Trafalgaru: że to jeden z owych wypracowanych statków, które nie wydają się dziełem szkutnika, ale cieśli, a nawet bardziej stolarza niż cieśli. Był (jeśli nie w rzeczywistości, to w moich snach) wypolerowany, ciemny, milczący, chyży, a jego załogę stanowili Arabowie i Malaje.

Zakotwiczył o brzasku jednego z październikowych dni. Pod wieczór Ibn Hakam wpadł do domu Allaby'ego. Był ogarnięty przerażeniem; zaledwie zdołał wymówić, że Zajd wszedł już do labiryntu i że niewolnik i lew zostali zabici. Zapytał poważnie, czy władze mogą zapewnić mu bezpieczeństwo. Zanim Allaby odpowiedział, wybiegł gnany tym samym przerażeniem, które sprowadziło go do tego domu, po raz drugi i ostatni. Allaby, sam w swojej bibliotece, pomyślał ze zdziwieniem, że ten śmiałek uciskał w Sudanie żelazne plemiona i wiedział, co to znaczy walka i co to znaczy zabijać. Spostrzegł nazajutrz, że żaglowiec już odpłynął (do Suakinu na Morzu Czerwonym, jak później się dowiedziano). Pomyślał, że jego obowiązkiem jest sprawdzić, czy niewolnik został zabity, i udał się do labiryntu. Zdyszana opowieść Al-Buchariego wydała mu się fantastyczna, ale na jednym z zakrętów korytarza znalazł lwa, i lew był martwy, a na innym niewolnika, i niewolnik był martwy, a w środkowej sali - Al-Buchariego, który miał zmiażdżoną twarz. U stóp tego człowieka leżała szkatuła wyłożona masą perłową; ktoś wylał zamek i nie pozostała ani jedna moneta.

Ostatnie zdania, wzmocnione krasomówczymi pauzami, pragnęły być wymowne; Unwin odgadł, że Dunraven wypowiedział je już wiele razy, z tą samą emfazą i równie bezskutecznie. Zapytał, aby udać zainteresowanie:

- Jak zginął lew i niewolnik?

Niepoprawny głos odpowiedział z melancholijnym zadowoleniem:

- Również zmiażdżono im twarze.

Do odgłosu kroków dołączył odgłos deszczu. Unwin pomyślał, że będą musieli spać w labiryncie, w „centralnej sali” z opowiadania, i że we wspomnieniach ta długa niewygodna

zamieni się w przygodę. Zachował milczenie; Dunraven nie wytrzymał i spytał jak ktoś, kto domaga się spłacenia długu:

- Czyż ta historia nie jest niewytłumaczalna?

Unwin odpowiedział, jakby myśląc na głos:

- Nie wiem, czy jest wytłumaczalna czy niewytłumaczalna. Wiem, że jest kłamstwem.

Dunraven wybuchnął gradem przekleństw i powołał się na świadectwo najstarszego syna proboszcza (Allaby, zdaje się, już nie żył) i wszystkich mieszkańców Pentreath. Nie mniej zdziwiony niż Dunraven, Unwin przeprosił go. Czas, w ciemności, wydawał się dłuższy; obaj poczuli obawę, że zgubili drogę i byli bardzo zmęczeni, kiedy słabe światło dochodzące z góry ukazało im pierwsze stopnie wąskich schodów. Wspięli się po nich i dotarli do zniszczonego okrągłego pomieszczenia. Przetrwały jeszcze dwie oznaki strachu nieszczęsnego króla: wąskie okno, które panowało nad pustkowiami i morzem, i zapadnia w podłodze, która otwierała się na łuk schodów. Pomieszczenie, chociaż obszerne, miało w sobie wiele z więziennej celi. Nie tyle pod wpływem deszczu, ile pragnienia przyszłych wspomnień i anegdoty przyjaciele przenocowali w labiryncie. Matematyk spał spokojnie; ale nie poeta, osaczony przez wiersze, które jego rozsądek uważał za potworne:

*Faceless the sultry and overpowering lion,
Faceless the stricken slave, faceless the king.*¹

Unwin sądził, że nie zainteresowała go historia śmierci Al-Buchariego, ale obudził się z przekonaniem, że ją rozszyfrował. Przez cały dzień, dopasowując bez ustanku jej elementy, był zamyślony i ponury; w dwa wieczory później umówił się z Dunravenem w pewnej londyńskiej piwiarni i powiedział mu te czy podobne słowa:

- W Kornwalii powiedziałem, że historia, którą usłyszałem od ciebie, jest kłamstwem. *Fakty* były prawdziwe, lub mogły takimi być, ale opowiedziane tak, jak ty je opowiedziałeś, były w sposób oczywisty kłamstwem. Zacznę od największego kłamstwa, od niewiarygodnego labiryntu. Uciekinier nie ukrywa się w labiryncie. Nie wznosi labiryntu na przybrzeżnym wzgórzu, karmazynowego labiryntu, który dostrzegają z daleka marynarze. Nie potrzebuje go, bo labiryntem jest wszechświat. Dla kogoś, kto naprawdę chce się ukryć, Londyn jest lepszym labiryntem niż punkt obserwacyjny, do którego prowadzą wszystkie korytarze jakiegoś budynku. Ta mądra refleksja, którą ci w tej chwili proponuję, została mi

¹ Bez twarzy namiętny wszechpotężny lew,
Bez twarzy pobity niewolnik, bez twarzy król.

zesłana dwie noce temu, podczas gdy słuchaliśmy szumu deszczu ponad labiryntem i czekaliśmy, aż nawiedzi nas sen; skarcony przez nią i sprowadzony z fałszywej drogi, postanowiłem zapomnieć o twoich absurdach i pomyśleć o czymś rozsądnym.

- Na przykład o teorii zbiorów albo o jakimś czwartym wymiarze przestrzeni - wtrącił Dunraven.

- Nie - powiedział Unwin z powagą. - Pomyślałem o labiryncie kreteńskim, którego centrum stanowił człowiek z głową byka.

Dunraven, specjalista od powieści kryminalnych, pomyślał, że rozwiązanie zagadki jest zawsze mniej wartościowe od niej samej. Tajemnica uczestniczy w rzeczach nadprzyrodzonych, a nawet boskich; rozwiązanie jest czymś w rodzaju cyrkowej sztuczki. Powiedział, aby odroczyć to, co nieuniknione:

- Na medalach i rzeźbach Minotaur ma głowę byka. Dante wyobraził go sobie z ciałem byka i głową człowieka.

- Ta wersja również mi odpowiada - zgodził się Unwin. - Ważne jest tylko powiązanie monstualnego domu z monstualnym mieszkańcem. Minotaur uzasadnia aż nadto istnienie labiryntu. Ale nikt nie może tego powiedzieć o groźbie otrzymanej we śnie. Gdy wspomniałem obraz Minotaura (wspomnienie nieuniknione w wypadku, gdy chodzi o jakiś labirynt) problem potencjalnie był rozwiązany. Przyznaję jednak, że nie rozumiałem, iż ten starożytny obraz jest kluczem, i trzeba było, aby twoja opowieść dostarczyła mi bardziej precyzyjnego symbolu: pajęczyny.

- Pajęczyny? - powtórzył zaskoczony Dunraven.

- Tak. Nie zdziwiłoby mnie wcale, gdyby pajęczyna (mam na myśli powszechnik pajęczyny, pajęczynę Platona) zasugerowała mordercy (bo istnieje morderca) jego zbrodnię. Pamiętasz z pewnością, że Al-Buchari śnił, w grobowcu, o sieci węży i że zbudziwszy się odkrył, iż to pajęczyna zasugerowała mu ów sen. Powróćmy do nocy, kiedy to Al-Buchariemu przyśniła się sieć. Pokonany król, i wezyr, i niewolnik uciekają przez pustynię ze skarbem. Chronią się w grobowcu. Śpi wezyr, o którym wiemy, że jest tchórzem; nie śpi król, o którym wiemy, że jest odważny. Król, aby nie dzielić skarbu z wezyrem, zabija go sztyletem; jego cień grozi mu we śnie, kilka nocy później. Wszystko to jest niewiarygodne; wydaje mi się, że wydarzenia potoczyły się inaczej. Owej nocy spał król, odważny, i czuwał Zajd, tchórz. Spać, to wyłączyć się ze wszechświata, a takie wyłączenie jest trudne dla kogoś, kto wie, że ścigają go z nagimi mieczami. Zajd, zachłanny, pochylił się nad snem swego króla. Pomyślał, żeby go zabić (może bawił się już sztyletem), ale nie odważył się. Zawołał niewolnika, ukryli część skarbu w grobowcu, zbiegli do Suakinu i do Anglii. Nie po to, aby

ukryć się przed Al-Bucharim, lecz aby zwabić go i zabić, zbudował widoczny z morza wysoki labirynt o czerwonych murach. Wiedział, że statki zanoszą do portów Nubii wieść o rudym człowieku, o niewolniku i o lwie, i że prędzej czy później Al-Buchari przybędzie, aby odnaleźć go w labiryncie. W ostatnim korytarzu sieci oczekiwała zapadnia. Al-Buchari gardził nim nieskończenie; nie poniżyłby się do zachowania najmniejszej ostrożności. Nadszedł upragniony dzień. Ibn Hakam wyszedł na ląd w Anglii, dotarł do drzwi labiryntu, błądził ślepych korytarzami i już wszedł, być może, na pierwsze stopnie, kiedy jego wezyr zabił go, z zasadzki, możliwe że strzałem. Niewolnik zabił lwa, a druga kula zabiła niewolnika. Potem Zajd zmiażdżył trzy twarze kamieniem. Musiał tak postąpić; jedno martwe ciało ze zmiażdżoną twarzą nasunęłoby problem tożsamości, ale zwierzę, Murzyn i król tworzyli serię, i gdy znane były jej dwa pierwsze elementy, wszystko musiało wskazywać na trzeci. Nic dziwnego, że był opanowany przez strach, kiedy rozmawiał z Allabym; dokonał właśnie przerażającego dzieła i gotował się do ucieczki z Anglii, aby odzyskać skarb.

Po słowach Unwina nastąpiło zamyślane czy niedowierzające milczenie. Dunraven zamówił następny dzban ciemnego piwa, zanim wygłosił swój sąd.

- Zgadza się - powiedział - żeby mój Ibn Hakam był Zajdem. Takie metamorfozy, powiesz, są klasycznymi chwytami tego gatunku, są prawdziwą *konwencją*, której przestrzegania domaga się czytelnik. Ale trudno mi pogodzić się z przypuszczeniem, że część skarbu pozostała w Sudanie. Pamiętaj, że Zajd uciekał przed królem i przed wrogami króla; łatwiej wyobrazić sobie, że ukradł cały skarb, niż że tracił czas na zakopywanie jego części. Może nie znaleziono monet, ponieważ monet już nie było; murarze mogli przecież wyczerpać majątek, który w odróżnieniu od czerwonego złota Nibelungów nie był nieskończony. W ten sposób nasz Ibn Hakam przebywałby morze, aby upomnieć się o skarb już roztrwoniony.

- Nie roztrwoniony - rzekł Unwin. - Poświęcony na zbudowanie na ziemi niewiernych wielkiej kolistej zasadzki z cegieł, przeznaczonej na pochwylenie go i unicestwienie. Zajd, o ile twoje przypuszczenie jest słuszne, działał powodowany nienawiścią i strachem, nie zaś chciwością. Ukradł skarb, a następnie zrozumiał, że skarb nie jest dla niego rzeczą najważniejszą. Najważniejsze było, żeby Ibn Hakam zginął. Udawał Ibn Hakama, zabił Ibn Hakama, i w końcu *stał się Ibn Hakamem*.

- Tak - zgodził się Dunraven. - Był włóczęgą, który zanim stał się po śmierci nikim, miał pamiętać, że pewnego dnia był królem lub udawał, że jest królem.

Dwaj królowie i dwa labirynty¹

Opowiadają ludzie godni wiary (ale Allah wie lepiej), że w pierwszych latach żył król wysp Babilonii, który zebrał swych architektów i magów, i rozkazał im zbudować labirynt tak powikłany i subtelny, iż najbardziej roztropni mężowie nie chcieli zaryzykować doń wejścia, a ci, którzy wchodzili, gubili się. Oburzające było to dzieło, gdyż chaos i cuda są dziełami właściwymi Bogu, nie zaś ludziom. Po upływie pewnego czasu przybył na jego dwór król Arabów, i, żeby zakpić z prostoty swego gościa, król Babilonii skłonił go, by wszedł do labiryntu, gdzie błąkał się, przepelniony wstydem i zmieszaniem, aż do zapadnięcia zmroku. Wówczas wezwał pomocy boskiej i odnalazł wyjście. Usta jego nie wypowiedziały żadnej skargi, ale rzekł królowi Babilonii, że w Arabii ma lepszy labirynt i że pokaże mu go, o ile zezwoli Bóg, pewnego dnia. Potem wrócił do Arabii, zgromadził swych kapitanów i dowódców twierdz, i najechał na królestwo Babilonii z tak wielkim szczęściem, że zburzył zamki, pokonał ludzi i wziął do niewoli samego króla. Przywiązał go do grzbietu rączego wielbłąda i zawiózł na pustynię. Jechali trzy dni i rzekł mu: „O królu czasu, istoto i cyfro wieku! W Babilonii chciałeś mnie zgubić w labiryncie z brązu o wielu schodach, murach i drzwiach; teraz Mocny zechciał, abym pokazał ci mój labirynt, gdzie nie ma schodów do wspinania się, drzwi do pokonywania ani murów, które powstrzymywałyby twe kroki”.

Następnie zdjął mu więzy i zostawił go pośród pustyni, gdzie umarł z głodu i pragnienia. Niech chwała będzie Temu, który nie umiera.

¹ To jest właśnie historia, o której proboszcz opowiedział z ambony. Patrz str. 75 (przyp. aut.).

Oczekiwanie

Dorożka przywiozła go do domu oznaczonego numerem 4004 tej ulicy południowo-zachodniego dystryktu. Nie wybiła jeszcze dziewiąta rano; mężczyzna zauważył z aprobatą łaciate platany, z kwadratem ziemi u stóp każdego, przyzwoite domy z balkonikami, przyległą aptekę, wyblakłe romby namalowane na drzwiach drogerii. Długa i ślepa ściana szpitala zamykała przeciwległy chodnik; dalej, słońce odbijało się w jakichś szklarniach. Mężczyzna pomyślał, że wszystkie te rzeczy (teraz arbitralne i przypadkowe, i uporządkowane jakkolwiek, podobnie jak te, które widzimy w snach) staną się z czasem, jeśli Bóg tak zechce, niezmiennie, konieczne i swojskie. Na szybie apteki znajdował się fajansowy szyld: Breslauer; Żydzi wypierali Włochów, którzy wyparli Kreoli. Tym lepiej; wołał nie zadawać się z ludźmi swojej krwi.

Dorożkarz pomógł mu zdjąć kufer; jakaś kobieta o roztargnionym, czy zmęczonym, wyglądzie otworzyła w końcu drzwi. Dorożkarz, już na koźle, zwrócił mu jedną z monet, urugwajskiego dwojaka, którą miał w kieszeni od owej nocy spędzonej w hotelu w Melo. Mężczyzna wręczył mu czterdzieści centavos i natychmiast tego pożałował: *Muszę zachowywać się tak, żeby wszyscy o mnie zapomnieli. Popeliłem dwa błędy: dałem monetę z innego kraju i pozwoliłem zauważyć, że ta omyłka ma dla mnie znaczenie.*

Idąc za kobietą, przeszedł przez sień i pierwsze patio. Pokój, który dla niego przygotowano, wychodził, na szczęście, na drugie. Łóżko było z żelaza, któremu rzemieślnik nadał formę fantastycznych krzywizn, przedstawiających gałęzie i liście; była tam też wysoka, sosnowa szafa, stolik, stojące półki z książkami, dwa różne krzesła i umywalka z miednicą, dzbankiem, mydelniczką i karafką z mętnego szkła. Mapa prowincji Buenos Aires i krucyfiks zdobiły ściany; tapeta była karmazynowa, z wielkimi, powtarzającymi się pawiami o rozłożonych ogonach. Jedyne drzwi wychodziły na patio. Trzeba było przesunąć krzesła, żeby wstawić kufer. Lokator zaaprobował to wszystko; kiedy kobieta spytała go, jak się nazywa, powiedział, że Villari, nie z tajemnym wyzwaniem, nie po to, aby złagodzić upokorzenie, którego w rzeczywistości nie czuł, lecz dlatego że przez cały czas miał przed oczyma to

nazwisko, dlatego że nie udało mu się wymyślić innego. Nie pociągał go z pewnością literacki błąd wyobrażenia sobie, że przyjęcie nazwiska wroga mogło być wybiegiem.

Pan Villari nie opuszczał, początkowo, pokoju; po upływie kilku tygodni, zaczął wychodzić, na krótko, o zmierzchu. Czasami wieczorem szedł do znajdującego się o trzy przecznice dalej kina. Zawsze siadał w ostatnim rzędzie; zawsze wychodził na chwilę przed zakończeniem seansu. Oglądał tragiczne historie o opryskach; naturalnie były w nich błędy, były w nich też obrazy jakby wyjęte z jego poprzedniego życia; Villari ich nie dostrzegał, gdyż myśl o zbieżności sztuki i rzeczywistości była dla niego obca. Łagodnie pozwalał, żeby mu się podobały te historie; chciał wychodzić naprzeciw intencjom twórców. W odróżnieniu od tych, którzy czytali książki, nigdy nie widział się w roli literackiego bohatera.

Nigdy nie przyszedł do niego list, ani nawet druk, ale czytał, z mglistą nadzieją, jeden z działów gazety. Po południu przystawiał do drzwi jedno z krzeseł i z powagą pił *mate*, ze wzrokiem utkwionym w powoju wspinającym się po murze najbliższego, wielopiętrowego domu. Lata samotności nauczyły go, że dni, w pamięci, usiłują stać się jednakowe, ale że nie ma dnia, nawet w więzieniu czy w szpitalu, który by nie przynosił niespodzianek. Przy innych okazjach ulegał pokusie liczenia dni i godzin, ale obecne odosobnienie było inne, bezterminowe - chyba że gazeta, jakiegoś ranka, przyniosłaby wiadomość o śmierci Aleksandra Villariego. Było też możliwe, że Villari *już był martwy*, a wtedy to życie okazywałoby się czymś w rodzaju snu. Możliwość taka niepokoiła go, bowiem nie mógł zrozumieć, czy podobna była do ulgi czy do klęski; powiedział sobie, że jest absurdalna, i odrzucił ją. W odległych dniach, odległych nie tyle ze względu na upływ czasu, ile dla dwóch czy trzech nieodwołalnych zdarzeń, pragnął wielu rzeczy pragnieniem pozbawionym skrupułów; ta potężna wola, która wywołała niegdyś nienawiść ludzi i miłość kilku kobiet, nie domagała się już rzeczy szczególnych: pragnęła jedynie trwać, unikać kresu. Smak *mate*, smak czarnego tytoniu, rosnące ostrze cienia, zdobywającego powoli patio...

W domu był pies, wilczur, już stary. Villari zaprzyjaźnił się z nim. Mówił do niego po hiszpańsku, po włosku i kilkoma słowami, jakie mu zostały z wiejskiego dialektu jego dzieciństwa. Villari starał się żyć samą terażniejszością, bez wspomnień ani przewidywań; tymi pierwszymi przejmował się mniej niż drugimi. W niejasny sposób zdawał się przeczuwać, że przeszłość to materiał, z którego utworzony jest czas; dlatego staje się on natychmiast przeszłością. Były dni, kiedy jego znużenie upodabniało się do szczęścia; w takich chwilach nie czuł się o wiele bardziej złożony niż pies.

Pewnej nocy gwałtowny atak bólu w jamie ustnej wywołał strach i dreszcze. Potworny cud powtórzył się po kilku minutach i jeszcze raz o świcie. Następnego dnia, Villari kazał

sprowadzić dorożkę, która zawiozła go do dentysty w dzielnicy Once, gdzie wyrwano mu trzonowy ząb. W tej sytuacji nie był ani bardziej tchórzliwy, ani spokojniejszy niż inni ludzie.

Innej nocy, kiedy wracał z kina, poczuł, że ktoś go potrąca. Ze złością, z oburzeniem, z tajemną ulgą, spojrzął na zuchwalca. Wyrzucił z siebie ordynarne przekleństwo; ten, zaskoczony, wymruczał przeprosiny. Był wysokim, młodym człowiekiem, o ciemnych włosach; towarzyszyła mu kobieta w niemieckim typie; tej nocy Villari powtarzał sobie, że ich nie zna. Minęło jednak cztery czy pięć dni, zanim wyszedł z domu.

Wśród książek na półce była *Boska Komedia*, ze starym komentarzem Andreoliego. Powodowany trochę ciekawością i trochę mocniej swoistym poczuciem obowiązku, Villari zabrał się do lektury tego dzieła; przed posiłkiem czytał jedną pieśń, potem, w ścisłej kolejności, wyjaśnienia. Nie uznał mąk piekielnych za nieprawdopodobne czy przesadne i nie pomyślał, że Dante skazałby go na ostatni krąg, gdzie zęby Ugolina gryzą bez końca kark Ruggieriego.

Wydawałoby się, że zadaniem pawi na karmazynowym papierze jest karmienie uporczywych koszmarów, ale pan Villari nie śnił nigdy o potwornej altanie splecionej z żywych nierozwikłanych ptaków. O świecie śnił mu się zawsze taki sam sen, ale w zmieniających się okolicznościach. Dwaj mężczyźni, i Villari, albo wchodzili razem, z rewolwerami, do jakiegoś pokoju, albo ci dwaj napadali na niego przy wyjściu z kina, albo wszyscy trzej, jednocześnie, byli nieznanym, który go potrącił, albo czekali na niego, ze smutkiem, na patio i wydawało się, iż go nie znają. Przy końcu snu wyjmował rewolwer z szuflady pobliskiego stolika (rzeczywiście trzymał w tej szufladzie rewolwer) i strzelał do tych mężczyzn. Huk broni budził go, ale zawsze był to tylko sen, i w następnym śnie atak powtarzał się, i w następnym śnie musiał ich znowu zabijać.

Pewnego mętnego lipcowego poranka obudziła go obecność nieznanych ludzi (nawet nie dźwięk drzwi, kiedy je otwierali). Wysocy w półmroku pokoju, dziwnie przez ten półmrok uproszczeni (zawsze byli jaśniejsi w snach przerażenia), czujni, nieruchomi i cierpliwi, z opuszczonym wzrokiem, jakby ciężar broni ich przygarbiał, Aleksander Villari i jakiś nieznanomy w końcu go dosięgli. Gestem poprosił ich, żeby poczekali i odwrócił się do ściany, jakby ponownie zapadał w sen. Czy zrobił to po to, żeby obudzić litość tych, którzy go zabijali, czy też dlatego że łatwiej jest znieść potworne wydarzenie niż wyobrazić je sobie i czekać na nie bez końca, czy po to - i to jest może najbardziej prawdopodobne - żeby zabójcy stali się snem, jak byli nim już tyle razy, w tym samym miejscu, o tej samej godzinie?

Był pogrążony w tej magii, kiedy unicestwił go wystrzał.

Człowiek w progu

Bioy Casares przywiózł z Londynu ciekawy sztylet o trójkątnej klindze i rękojeści w kształcie litery H; nasz przyjaciel Christofer Dewey z Instytutu Brytyjskiego powiedział, że podobna broń używana jest na co dzień w Indostanie. Stwierdzenie to zachęciło go do wspomnienia, że pracował w tym kraju między dwiema wojnami. (Pamiętam, że powiedział po łacinie *ultra Auroram et Gangem*, myląc wiersz Juwenala). Z historii, jakie opowiedział owej nocy, ośmielam się odtworzyć tę, którą niżej przytaczam. Mój tekst będzie wierny; niech Allach uchroni mnie przed pokusą dodania krótkich rysów okolicznościowych czy zepsucia egzotycznego klimatu tego opowiadania interpolacjami z Kiplinga. Poza wszystkim posiada ono jakiś egzotyczny smak, podobny może do smaku tysiąca i jednej nocy, którego zagubienie byłoby stratą.

*

„Dokładna geografia wydarzeń, które zrelacjonuję, nie ma większego znaczenia. Poza tym cóż za precyzję zachowują w Buenos Aires nazwy Amritsar czy Audh? Niech więc wystarczy, jeśli powiem, że w owych latach doszło do zamieszek w pewnym mieście muzułmańskim i że rząd centralny wysłał energicznego człowieka, żeby zaprowadził porządek. Człowiek ten był Szkotem ze znamienitego klanu wojowników i nosił we krwi tradycję gwałtowności. Raz tylko ujrzały go moje oczy, ale nie zapomnę włosów bardzo czarnych, wydatnych kości policzkowych, zachłannego nosa i ust, szerokich ramion, silnej budowy Wikinga. Dzisiejszej nocy będzie się on nazywał w moim opowiadaniu Dawid Alexander Glencairn; oba te imiona wydają się właściwe, gdyż należały do królów, którzy rządili żelaznym berłem. Dawid Alexander Glencairn (będę musiał przyzwycząić się do nazywania go w ten sposób) był, jak podejrzewam, człowiekiem, którego się lękano; sama wiadomość o jego nominacji wystarczyła, żeby uspokoić miasto. Nie przeszkodziło mu to w przedsięwzięciu rozmaitych energicznych kroków. Minęło kilka lat; w mieście i w prowincji zapanował spokój: sikhowie i muzułmanie porzucili dawne niezgody, i nagle Glencairn

zniknął. Oczywiście nie zabrakło głosów, że go uprowadzono czy zabito.

Dowiedziałem się o tych sprawach od mojego zwierzchnika, gdyż cenzura była surowa i dzienniki nie skomentowały (ani nawet, o ile pamiętam, nie odnotowały) zniknięcia Glencairna. Przysłowie powiada, że Indie są większe niż świat; Glencairn, być może wszechwładny w mieście, które przydzielał mu podpis pod rozporządzeniem, był zwykłym kółkiem w trybach administracji Imperium. Poszukiwania policji lokalnej okazały się całkowicie jałowe; mój szef pomyślał, że osoba prywatna wzbudzi mniejsze podejrzenia i osiągnie lepszy rezultat. Trzy czy cztery dni później (odległości w Indiach są hojne) włączyłem się bez większej nadziei ulicami nieprzejrzystego miasta, które ukryło człowieka.

Poczułem prawie natychmiast niekończącą się obecność jakiegoś spisku, mającego ukryć losy Glencairna. *Nie ma duszy w tym mieście* (mogłem podejrzewać), *która nie znalazłaby tajemnicy i nie zaprzysięgła zachowania jej*. Większość przesłuchiwanym głosila nieskończoną nieświadomość; nie wiedzieli, kim był Glencairn, nigdy go nie widzieli, nigdy o nim nie słyszeli. Inni za to widzieli go przed pół godziną, jak rozmawiał z Takim-to-a-takim, i nawet prowadzili mnie do domu, do którego obaj weszli, i w którym nic o nich nie wiedziano lub który przed chwilą opuścili. Dałem kilku z tych skrupulatnych kłamców po twarzy. Świadkowie pogodzili się z moimi metodami i fabrykowali inne kłamstwa. Nie wierzyłem w nie, ale nie ośmielałem się ich lekceważyć. Pewnego popołudnia zostawiono mi kopertę z paskiem papieru, na którym były jakieś znaki...

Słońce pochylało się już, kiedy dotarłem na miejsce. Dzielnica była uboga i pokorna; dom bardzo niski; z chodnika dostrzegłem następujące po sobie niebrukowane podwórza i w głębi jakieś światło. Na ostatnim podwórzu obchodzono, nie wiem jaką, uroczystość muzulmańską; jakiś ślepiec wszedł z lutnią z czerwonego drzewa.

U mych stóp, nieruchomy jak jakiś przedmiot, kulił się bardzo stary człowiek. Powiem, jak wyglądał, bo to jest istotną częścią tej historii. Liczne lata zmniejszyły go i wygładziły jak woda skałę lub jak pokolenia ludzi jakąś sentencję. Przykrywały go długie łachmany, a może tak mi się wydało, i turban, który opasywał mu głowę, był jeszcze jednym łachmanem. W zmierzchu wznosił ku mnie ciemną twarz i bardzo białą brodę. Bez wstępów, gdyż straciłem już wszelką nadzieję, zacząłem mówić o Dawidzie Alexandre Glencairnie. Nie zrozumiał (czy też nie dosłyszał) i musiałem wytłumaczyć, że jest to sędzia i że go szukam. Mówiąc te słowa poczułem śmieszność wypytywania tego pozaczasowego człowieka, dla którego terażniejszość musiała być zaledwie nieokreślonym zgiełkiem. *Ten*

człowiek mógłby podać wiadomości o Powstaniu¹ czy o Akbarze² (pomyślałem), ale nie o Glencairnie. To, co mi powiedział, potwierdziło moje podejrzenie.

- Sędzia! - wymówił z lekkim zdziwieniem. - Sędzia, który zginął i którego poszukują. Zdarzenie to miało miejsce, kiedy byłem dzieckiem. Nie znam dat, ale było to, zanim poległ Nikal Sejn (Nicholson) pod murami Delhi. Czas, który przeminął, pozostaje w pamięci; jestem z pewnością w stanie odzyskać to, co wydarzyło się kiedyś. Bóg pozwolił, w swym gniewie, aby ludzie stali się źli; pełne złożeń były usta, i oszustw, i podstępów. Nie wszyscy jednak byli przewrotni i kiedy ogłoszono, że królowa ma przysłać człowieka, który będzie wykonywał w tym kraju prawa Anglii, mniej źli ucieszyli się, gdyż poczuli, że prawo jest lepsze od chaosu. Przybył chrześcijanin i po upływie niedługiego czasu zaczął nadużywać swej władzy, i uciskać, osłaniać potworne występki i sprzedawać wyroki. Nie winiliśmy go początkowo; sprawiedliwość angielska, którą wykonywał, nie była nikomu znana i pozorne nadużycia nowego sędziego mogły odpowiadać słusznym i tajemniczym racjom. *Z pewnością wszystko ma swoje uzasadnienie w jego księdze* - pragnęliśmy wierzyć, ale jego pokrewieństwo ze wszystkimi złymi sędziami na świecie stawało się nazbyt oczywiste i w końcu zmuszeni byliśmy uznać fakt, że był on po prostu człowiekiem przewrotnym. Stał się tyranem, i biedni ludzie (aby zemścić się za zawiedzioną nadzieję, jaką niegdyś w nim pokładali) zaczęli bawić się myślą o pojmaniu go i osądzeniu. Nie wystarczy mówić; od zamiaru musieli przejść do czynu. Być może nikt, poza bardzo prostymi czy bardzo młodymi, nie wierzył, aby zuchwały zamiar mógł zostać urzeczywistniony, ale tysiące sikhów i muzułmanów dotrzymało słowa i pewnego dnia, sami w to nie wierząc, wykonali to, co każdemu z nich wydawało się niemożliwe. Pojmali sędziego i przeznaczili na jego więzienie chłopską chatę na odległym przedmieściu. Następnie porozumieli się ze skrzywdzonymi przez niego ludźmi czy (w niektórych wypadkach) z sierotami i wdowami, bowiem katowski miecz nie spoczywał w owych latach. W końcu - to było może najtrudniejsze - znaleźli i mianowali sędziego, aby osądził sędziego.

W tym miejscu przerwało mu kilka kobiet, które wchodziły do domu.

Następnie ciągnął dalej.

- Wiadomo, że nie ma pokolenia, w którym nie byłoby czterech ludzi sprawiedliwych; potajemnie dźwigają wszechświat i usprawiedliwiają go wobec Pana: jeden z tych mężów byłby najodpowiedniejszym sędzią. Ale gdzie ich znaleźć, skoro chodzą zagubieni i anonimowi po świecie, i nie rozpoznają się, kiedy się widzą, i nawet oni sami nie znają

¹ Powstanie sipajów w 1856 roku (przyp. tłum.).

² Trzeci cesarz z dynastii Wielkich Mogołów (przyp. tłum.).

wysokiego posłannictwa, jakie wypełniają? Wówczas ktoś powiedział, że jeśli przeznaczenie odmawia nam mędrców, należy szukać szaleńców. Opinia ta przeważała. Koraniści, doktorowie praw, sikhowie, którzy noszą imiona lwów, i którzy wielbią jednego Boga, Hindusi, którzy wielbią tłumy bogów, mnisi Mahawiry, którzy uczą, że formą wszechświata jest człowiek z rozstawionymi nogami, czciciele ognia i czarni Żydzi¹ weszli w skład trybunału, ale ostateczny wyrok został powierzony wolnej woli szaleńca.

Tu przerwało mu kilka osób, które opuszczały uroczystość.

- Szaleńca - powtórzył - aby mądrość Boga przemówiła przez jego usta i zawstydziła ludzką pychę. Jego imię zagubiło się, czy też może nigdy nie było znane, ale chodził nagi po tych ulicach, albo okryty łachmanami, kciukiem licząc sobie palce lub przedrzeźniając drzewa.

Mój zdrowy rozsądek zbuntował się. Powiedziałem, że powierzenie wyroku szaleńcowi oznaczało unieważnienie procesu.

- Oskarżony zgodził się na sędziego - brzmiała odpowiedź. - Być może rozumiał, że ze względu na niebezpieczeństwo grożące spiskowcom gdyby go uwolnili, tylko od szaleńca mógł nie oczekiwać wyroku śmierci. Słyszałem, jak zaśmiał się, kiedy mu powiedziano, kto jest sędzią. Wiele dni i nocy trwał proces, z powodu wielkiej ilości świadków.

Zamilkł. Zastanawiał się nad czymś w skupieniu. Żeby coś powiedzieć, zapytałem, ile dni.

- Co najmniej dziewiętnaście - odparł. Ludzie wychodzący z uroczystości znowu mu przerwali; wino jest wzbronione muzułmanom, ale wydawało się, że były to twarze i głosy pijanych. Jeden, przechodząc, coś do niego krzyknął.

- Dokładnie dziewiętnaście dni - poprawił się. - Niewierny pies wysłuchał sentencji i nóż wgryzł się w jego gardło.

Mówił z radosnym okrucieństwem, ale już innym tonem zakończył swoją historię:

- Umierał bez strachu; nawet najpodlejsi posiadają jakieś cnoty.

- Gdzie zdarzyło się to, o czym opowiedziałeś? - spytałem go. - W jakiej chacie?

Po raz pierwszy spojrział mi w oczy. Następnie wyjaśnił, powoli odmierzając słowa:

- Powiedziałem, że go więziono w chłopskiej chacie, nie że tam go osadzono. W tym mieście go osadzono: w domu jak wszystkie, choćby jak ten. Jeden dom nie różni się od drugiego: ważne jest tylko, by wiedzieć, czy jest zbudowany w piekle czy w niebie.

Spytałem go o los sprzysiężonych.

¹ Tak w Indiach określa się Żydów azjatyckich (przyp. tłum.).

- Nie wiem - odpowiedział cierpliwie. - Te rzeczy wydarzyły się i zostały zapomniane wiele lat temu. Możliwe, że potępili ich ludzie, ale nie Bóg.

Powiedziawszy to, podniósł się. Poczułem, że jego słowa mnie żegnały, i że od tej chwili przestałem dla niego istnieć. Tłum złożony z mężczyzn i kobiet wszystkich narodowości Pendżabu wylał się na nas, modląc się i śpiewając, i niemal porwał nas z sobą; zaniepokoiło mnie, iż z tak wąskich podwórek, które były niewiele szersze od sieni, mogło wychodzić tylu ludzi. Inni wychodzili z sąsiednich domów; z pewnością przeszli przez płoty... Szturchańcami i przekleństwami utorowałem sobie drogę. W ostatnim podwórzu minąłem nagiego człowieka w wieńcu z żółtych kwiatów i z mieczem w ręku, którego wszyscy całowali i ściskali. Miecz był brudny, gdyż zadał śmierć Glencairnowi, którego trupa znalazłem poćwiartowanego w stajni w głębi.”

Alef

O God, I could be bounded in a nutshell
and count myself a King of infinite space. ¹

Hamlet, II, 2

But they will teach us that Eternity is the
Standing still of the Present Time, a *Nunc-stans*
(as the Schools call it); which neither they, nor
any else understand, no more than they would
a *Hic-stans* for an Infinite greatness of Place. ²

Leviatan, IV, 46

Tego rozpalonego lutowego ranka, kiedy po wyniosłej agonii, która ani na moment nie zniżyła się do sentymentalizmu czy strachu, umarła Beatriz Viterbo, zauważyłem, że na żelaznych słupach ogłoszeniowych placu Constitución znów rozlepiono afisze z reklamą lekkich papierosów; zabolalo mnie to, gdyż zrozumiałem, że nieustanny i rozległy wszechświat już się od niej oddala, i że zmiana ta jest pierwszą z nieskończonej serii. Może zmieni się wszechświat, ale ja z pewnością nie, pomyślałem z melancholijną próżnością; moje daremne uwielbienie irytowało ją; gdy umarła, mogłem poświęcić się jej pamięci, bez nadziei, ale też bez upokorzenia. Przypomniałem sobie, że trzydziestego kwietnia są jej urodziny; złożenie w tym dniu wizyty w domu przy ulicy Garay, aby pozdrowić jej ojca i Carlosa Argentino Daneri, jej kuzyna, było gestem uprzejmości, nienagannym, może nieodzownym. Znowu miałem siedzieć w półmroku przeładowanego salonu, znowu miałem

¹ Mój Boże! Mógłbym się zamknąć w łupinie orzecha i czuć się królem nieskończonych przestrzeni (przeł. R. Brandstaetter).

² Ale Oni będą nas uczyli, że wieczność jest zastygłą chwilą obecną, jest *nunc-stans* (jak to nazywają scholastycy), czego nie rozumieją ani Oni, ani nikt inny, tak samo, jakby nie rozumieli zwrotu *hic-stans*, gdyby miał on oznaczać nieskończoną wielkość przestrzeni (przeł. Cz. Znamierowski).

studiować szczegóły jej licznych portretów. Beatriz Viterbo z profilu, na kolorowo; Beatriz, w maseczce, podczas karnawału 1921 roku; pierwsza komunia Beatriz; Beatriz w dniu swojego ślubu z Robertem Alessandrim; Beatriz wkrótce po rozwodzie, na obiedzie w Klubie Jeździeckim; Beatriz w Quilmes, z Delią San Marco Porcel i z Carlosem Argentino; Beatriz z pekińczykiem, którego podarował jej Villegas Haedo; Beatriz *en face* i *en trois quarts*, uśmiechnięta, z dłonią na szyi... Nie będę musiał, jak dawniej, usprawiedliwiać mojej obecności skromnymi prezentami w formie książek: książek, których kartki nauczyłem się w końcu przecinać, aby nie stwierdzać, po miesiącach, że pozostawały nietknięte.

Beatriz Viterbo umarła w 1929 roku; od tego czasu nie pozwoliłem, by minął dzień 30 kwietnia bez mojej wizyty w jej domu. Przychodziłem zwykle kwadrans po siódmej i zostawałem jakieś dwadzieścia pięć minut; z każdym rokiem zjawiałem się później i pozostawałem nieco dłużej; w roku 1933 przysłała mi z pomocą ulewa: musieli zaprosić mnie na kolację. Nie zmarnowałem, naturalnie, tego korzystnego precedensu; w 1934 pojawiłem się, już po ósmej, z nugatami z Santa Fe; w sposób zupełnie naturalny zostałem na kolacji. Tak więc, w czasie melancholijnych i daremnie erotycznych rocznic, wysłuchiwałem stopniowo zwierzeń Carlosa Argentino Daneriego.

Beatriz była wysoka, wiotka, lekko przygarbiona; jej sposób poruszania się cechował (o ile mogę pozwolić sobie na oksymoron) jakiś wdzięczny brak wdzięku, jakiś początek ekstazy; Carlos Argentino jest rumiany, zażywny, ma siwe włosy, delikatne rysy. Zajmuje podrzędne stanowisko w pewnej chyba nieczytelnej bibliotece na przedmieściu Sur; jest autorytatywny, ale jednocześnie nieudolny; do niedawna wykorzystywał wieczory i święta na to, żeby nie wychodzić z domu. Przez dwa pokolenia przetrwał w nim nawyk włoskiego wymawiania „s” i przesadnej włoskiej gestykulacji. Jego działalność umysłowa jest nieprzerwanie pełna pasji, błyskotliwa i całkowicie pozbawiona znaczenia; obfituje w nieprzydatne analogie i bezużyteczne skrupuły. Ma (jak Beatriz) piękne, duże i szczupłe dłonie. Przez kilka miesięcy szalał na punkcie Paula Forta, nie tyle dla jego ballad, co dla jego nieskazitelnej sławy. *Jest Księciem poetów Francji* - powtarzał głupekowato. *Na próżno będziesz przeciw niemu występował; nie osiągnie go nawet najbardziej zatruta z twoich strzał.*

Trzydziestego kwietnia 1941 roku pozwoliłem sobie dołączyć do nugatów butelkę krajowego koniaku. Carlos Argentino skosztował go, uznał za interesujący i przystąpił, po kilku kieliszkach, do obrony nowoczesnego człowieka.

- Widzę go - powiedział z niezbyt zrozumiałym ożywieniem - w jego gabinecie jak w obronnym bastionie, zaopatrzonego w telefony, telegrafy, fonografy, aparaty

radiotelefoniczne, kinematograficzne, w magiczne latarnie, glosariusze, rozkłady jazdy, przewodniki, biuletyny...

Zauważył, że dla tak wyposażonego człowieka sama czynność podróżowania jest zbędna; nasz wiek XX przetworzył bajkę o Mahomecie i górze; teraz góry przybywają zewsząd do nowoczesnego Mahometa.

Tak nieudolne, tak pompatyczne, tak rozległe wyłożone wydały mi się te myśli, że skojarzyłem je natychmiast z literaturą; spytałem, czemu ich nie zapisze. Jak było do przewidzenia, odpowiedział, że już to zrobił: Te i inne nie mniej nowatorskie koncepcje figurują w *Pieśni Proroczej*, w *Pieśni Wstępnej* lub po prostu w *Pieśni - Wstępie* do poematu, nad którym pracuje od wielu lat, bez reklamy, bez ogłuszającej wrzawy, opierając się zawsze na dwóch fundamentach, które zwą się praca i samotność. Najpierw otwiera bramy wyobraźni; potem używa pilnika. Poemat nosi tytuł *Ziemia*; jest to opis planety, w którym nie brakuje, oczywiście, malowniczej dygresji i energicznej inwokacji.

Poprosiłem, żeby przeczytał mi jakiś fragment, choćby krótki. Otworzył szufladę biurka, wyjął gruby plik kart z nagłówkiem Biblioteki imienia Juana Crisostoma Lafinura i przeczytał z dźwięczną satysfakcją:

*Jak ów Grek, oglądałem miasta równych ludzi,
Ich prace, głód, dni w różnorodnym świetle;
Nie poprawiam wydarzeń, nie przeinaczam imion,
Lecz opiewam voyage autour de ma chambre.*

- To strofa interesująca z każdego punktu widzenia - zawyrokował. Pierwszy wers zaskarbia sobie aplauz profesora, członka akademii, hellenisty, a nawet kawiarnianych erudyków, stanowiących poważny odłam opinii; drugi przechodzi od Homera do Hezjoda (wynika z niego hołd, umieszczony na frontonie najnowszego gmachu, wobec ojca poezji dydaktycznej), nie bez odmłodzenia procederu, którego źródła znajdują się w Piśmie: wyliczania, łączenia czy nagromadzania; trzeci - barok, dekadentyzm, czysty i fanatyczny kult formy? - składa się z dwóch bliźniaczych hemistychów; czwarty, otwarcie dwujęzyczny, zapewnia mi bezwarunkowe poparcie każdego ducha czulego na nieskrępowane potrącanie o facecję. Nie wspomnę o wyszukanym rymie ani o znawstwie, które pozwala mi - bez pedanterii! - zebrać w czterech wersach trzy erudycyjne aluzje, obejmujące trzydzieści wieków skoncentrowanej literatury: pierwsza to aluzja do *Odysei*, druga - do *Prac i dni*, trzecia - do tego nieśmiertelnego drobiazgu, który zesłały nam zabawy pióra Sabaudczyka...

Zrozumiałem po raz kolejny, że nowoczesna sztuka domaga się balsamu śmiechu, *scherza*.
Zdecydowanie rację ma Goldoni!

Przeczytał mi wiele innych strof, które również zasłużyły na jego aprobatę i rozległy komentarz. Nie było w nich nic godnego pamięci; nawet nie uznałem ich za znacznie gorsze niż poprzednia. W pisaniu współdziałała pilność, rezygnacja i przypadek; zalety, jakie przypisywał im Daneri były późniejsze. Zrozumiałem, że praca poety nie polegała na samej poezji; polegała na wymyślaniu powodów, dla których poezja miała być godna podziwu; naturalnie ta późniejsza praca modyfikowała dzieło dla niego, ale nie dla innych. Dykcja Daneriego była ekstrawagancka; jego prozodyczna nieudolność nie pozwoliła mu, prócz nielicznych wypadków, na przekazanie tej ekstrawagancji poematowi.¹

Tylko raz w życiu miałem okazję zapoznać się z piętnastoma tysiącami dwunastozgłoskowców *Polyolbionu*, tej topograficznej epopei, w której Michael Drayton zarejestrował faunę, florę, hydrografię, orografię, wojskową i monastyczną historię Anglii; jestem pewien, że ten znaczny choć ograniczony twór jest mniej nużący niż pokrewne mu rozległe przedsięwzięcie Carlosa Argentino. Ten ostatni zapragnął ująć w wierszach całą planetę; w 1941 roku załatwił już kilka hektarów stanu Queensland, ponad kilometr biegu rzeki Ob, pewien gazomierz na północ od Veracruz, najważniejsze domy handlowe parafii Concepción, posiadłość Marianny Cambaceres de Alvear na ulicy Jedenastego Września w Belgrano i turecką łaźnię obok sławnego akwarium w Brighton. Przeczytał mi kilka wypracowanych ustępów australijskiej strefy swojego poematu; te długie i nieforemne aleksandryny pozbawione były względnego niepokoju przedmowy. Cytuję jedną strofę:

*Wiedźcie. Na prawo od rutynowego słupka
(Idąc, naturalnie, z północo-północnego zachodu)
Nudzi się jakiś szkielet. - Kolor? Białobłękitny -
Nadający podwórzu pozór kostnicy.*

- Dwa zuchwalstwa - wykrzyknął z triumfem - pozyskane dla sukcesu! Słyszę jak to mamroczesz. Zgadzam się, zgadzam. Pierwsze to epitet *rutynowy*, który trafnie ukazuje, *en*

¹ Pamiętam jednak te linie z pewnej satyry, w której surowo potępiał złych poetów:

*Ten nadaje wierszowi wojenny rynsztunek
Erudycji; ten inny daje mu szaty galowe.
Obaj na próżno biją śmiesznymi skrzydłami.
Zapomnieli, nieszczęśni, o czynniku PIĘKNA!*

Jedynie obawa przed stworzeniem sobie armii nieubłaganych i potężnych wrogów sprawiła, że poniechał (jak mi powiedział) nieustraszonej publikacji poematu (przyp. aut.).

passant, nudę nieodłączną od zajęć pasterskich i rolniczych, nudę, jakiej ani *Georgiki* ani nasz uwieczony już *Don Segundo*¹ nigdy nie ośmieliły się ukazać w ten sposób, rozpaloną do białości. Drugie to energiczna prozaiczność zwrotu *nudzi się jakiś szkielet*, zwrotu, który jakiś goguś będzie chciał wykląć z odrazą, ale który wyżej od własnego życia oceni krytyk o męskim guście. Poza tym cały wiersz jest wysokokaratowy. Drugi hemistych zawiązuje ożywioną pogawędkę z czytelnikiem; wkłada mu w usta pytanie, uprzedza jego żywą ciekawość i zaspokaja ją... w tej samej chwili. A co mi powiesz o tym odkryciu, *białobłękitny*? Malowniczym neologizmie *sugerującym* niebo, które jest niezwykle ważnym czynnikiem australijskiego krajobrazu? Bez tej ewokacji barwy szkicu okazałyby się zbyt mroczne i czytelnik poczułby się zmuszony zamknąć wolumin, gdyż dusza jego zostałaby zraniona w swojej najbardziej intymnej głębi nieuleczalną i czarną melancholią.

Około północy pożegnałem się.

W dwie niedziele potem Daneri zatelefonował do mnie, chyba po raz pierwszy w życiu. Zaproponował, żebyśmy się spotkali o czwartej, „aby napić się wspólnie mleka w przyległym salonie-barze, który postępowość Zunina i Zungriego - właścicieli mojego domu, jak zapewne pamiętasz - właśnie otwiera na rogu; jest to cukiernia, którą powinienś poznać. „Zgodziłem się, bardziej z rezygnacją niż z entuzjazmem. Z trudnością znaleźliśmy stolik; ten „salon-bar”, nieubłagane nowoczesny, był zaledwie trochę mniej potworny niż się spodziewałem; przy sąsiednich stolikach podniecona klientela wymieniała sumy zainwestowane bez zmrużenia oka przez Zunina i Zungriego. Carlos Argentino udawał, że podziwia, nie wiem już jakie, nowości instalacji świetlnej (które bez wątpienia już znał) i powiedział z pewną surowością:

- Choć niechętnie, musisz przyznać, że ten lokal da się porównać z najbardziej okrzyczanymi z ulicy Flores.

Potem przeczytał mi ponownie cztery czy pięć stron poematu. Poprawił je zgodnie ze zdeprawowaną zasadą ostentacji słownej; gdzie poprzednio pisał *niebieskawy*, mnożyły się teraz *modrości* i *błękity*. Słowo *mleczny* nie było dla niego wystarczająco szpetne; w zamaszystym opisie pralni wełny wolał teraz *mleczysty*, *mlekowaty*... Ubliżał z goryczą krytykom; potem, już łagodniejszy, porównał ich do tych osób, „które nie posiadają metali szlachetnych, ani parowych pras, walców i kwasów siarkowych do wytwarzania skarbów, ale które mogą *wskazywać* innym *miejsce*, gdzie ukryty jest skarb”. Następnie potępił

¹ *Don Segundo Sombra* - jedno z arcydzieł literatury argentyńskiej, epepeja gauczowska malująca odchodzącą epokę i ostatnie obrazy jej wiejskich obyczajów. Jej autor to Ricardo Güiraldes (1886-1927) (przyp. tłum.).

prologomanię, „którą wykpił już we wdzięcznym wstępie do Don Kichota, Książę Przemysłnych”. Przyznał wszelako, że na frontispicium nowego dzieła przydałby się efektowny prolog, uderzenie po ramieniu podpisane przez znamienitego mistrza pióra z pazurem. Dodał, iż zamierza opublikować wstępne pieśni swojego poematu. Wówczas zrozumiałem to szczególne telefoniczne zaproszenie; ten człowiek chciał mnie prosić, bym napisał prolog do jego pedantycznego bełkotu. Moja obawa nie okazała się uzasadniona: Carlos Argentino zauważył, z urażonym podziwem, że nie pomylił epitetu, nazywając solidnym prestiż zdobyty we wszystkich kręgach przez Alvara Meliána Lafinura, literata, który, o ile się tym zajmę, napisze z zachwytem prolog do poematu. Aby uniknąć najbardziej niewybaczalnej z porażek, miałem być rzecznikiem dwóch niewątpliwych zalet: doskonałości formy i naukowej ścisłości, „gdyż ten rozległy ogród tropów, figur, wykwintności nie toleruje ani jednego szczegółu, jaki nie potwierdzałby surowej prawdy”. Dodał, że Beatriz zawsze doskonale się bawiła w towarzystwie Alvara.

Zgodziłem się wylewnie. Wyjaśniłem, dla większego prawdopodobieństwa, że nie będę rozmawiał z Alvarem w poniedziałek, lecz w czwartek: podczas kolacyjki, która zwykle koronuje każde spotkanie w Klubie Pisarzy. (Nie istnieją takie kolacje, ale nie da się podważyć faktu, iż spotkania odbywają się w czwartki, co Carlos Argentino Daneri mógł sprawdzić w gazetach i co przydawało zdaniu pewnej realności). Powiedziałem, na wpół proroczo na wpół przebiegle, że przed podjęciem tematu prologu opiszę ciekawy plan dzieła. Pożegnaliśmy się; gdy skręciłem w ulicę Bernardo de Irigoyen, spojrzałem z całą bezstronnością na możliwości, jakie się przede mną rysowały: a) porozmawiać z Alvarem i powiedzieć mu, że kuzyn Beatriz (ten wyjaśniający eufemizm pozwalał mi wymienić jej imię) stworzył poemat, który zdaje się rozciągać w nieskończoność możliwości kakofonii i chaosu; b) nie mówić z Alvarem. Przewidziałem przenikliwie, że moje lenistwo wybierze wariant b).

Od wczesnych godzin piątku telefon stał się przedmiotem mego niepokoju. Oburzało mnie, że urządzenie, które pewnego dnia wydało z siebie głos Beatriz, teraz już nie do odzyskania, mogłoby się zniżyć do niesienia daremnych i być może gniewnych skarg zwiedzonego przeze mnie Carlosa Argentino Daneriego. Na szczęście nic się nie wydarzyło, oprócz nieuniknionej urazy, jaką przepełniał mnie ten człowiek, który narzucił mi delikatne zabiegi, a potem o mnie zapomniał.

Telefon utracił zdolność przerażania, ale przy końcu października Carlos Argentino jednak do mnie zadzwonił. Był bardzo wzburzony; początkowo nie rozpoznałem jego głosu. Z rozpaczą i wściekłością wybełkotał, że nie liczący się już z niczym Zunino i Zungri, pod pretekstem powiększenia swojej ogromnej cukierni, zamierzają zburzyć jego dom.

- Dom moich rodziców, mój dom, starożytny dom przy ulicy Garay! - powtarzał, zapominając być może o żalu pod wpływem melodii swoich słów.

Nietrudno mi przyszło podzielić jego niepokój. Po ukończeniu czterdziestu lat każda zmiana jest nienawistnym symbolem przemijania czasu; poza tym chodziło o dom, który mnie, nieskończenie kojarzył się z Beatriz. Chciałem zwrócić delikatnie uwagę na ten szczegół; rozmówca nie słuchał mnie. Powiedział, że jeżeli Zunino i Zungri będą się upierać przy tym absurdalnym zamiarze, to doktor Zunni, jego adwokat, zaskarży ich *ipso facto* o odszkodowanie i zmusi do wypłacenia stu tysięcy pesos w narodowej walucie.

Nazwisko Zunniego zrobiło na mnie wrażenie; jego kancelaria, na rogu Caseros i Tacuari, ma przysłowiowo dobrą opinię. Spytałem, czy on podjął się już sprawy. Daneri powiedział, że będzie z nim rozmawiał tego samego popołudnia. Zawahał się i sztywnym, bezosobowym głosem, jakim posługujemy się, aby zwierzyć się z czegoś bardzo intymnego, dodał, że jest mu niezbędny ten dom, aby ukończyć poemat, gdyż w kącie piwnicy znajduje się Alef. Wyjaśnił, że Alef jest tym jedynym z punktów przestrzeni, który zawiera wszystkie inne.

- Jest w piwnicy pod jadalnią - powiedział z niepokojem w głosie. - Jest mój, mój: to ja odkryłem go w dzieciństwie, zanim jeszcze poszedłem do szkoły. Schody do piwnicy są strome, wujostwo zabraniali mi tam chodzić, ale ktoś powiedział, że w piwnicy jest cały świat. Miał na myśli kufer, jak się później dowiedziałem, ale ja zrozumiałem, że jest tam cały świat. Zszedłem w tajemnicy, przewróciłem się na zabronionych schodach. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem Alefa.

- Alefa? - powtórzyłem.

- Tak, miejsce gdzie są, nie mieszając się, wszystkie miejsca świata, widziane pod każdym kątem. Nikomu nie zdradziłem swojego odkrycia, ale wróciłem tam. Dziecko nie mogło zrozumieć, że został mu dany ten przywilej, aby jako dorosły mężczyzna wyczelował poemat! Nie wyrzucą mnie na ulicę, Zunino i Zungri, nie, po tysiackroć nie! Doktor Zunni wykaże z kodeksem w ręku, że do mojego Alefa mam niezbywalne prawo.

Starąłem się przywołać rozsądek.

- Ale czy w piwnicy nie jest ciemno?

- Prawda nie przenika do opornego umysłu. Jeżeli w Alefie są wszystkie miejsca ziemi, są tam wszystkie iluminacje, wszystkie lampy, wszystkie źródła światła.

- Natychmiast jadę go zobaczyć.

Przerwałem połączenie, zanim zdążył wypowiedzieć zakaz. Wystarczy znajomość jakiegoś faktu, aby dostrzec nagle całą serię cech potwierdzających, poprzednio nie

podejrzewanych; zdumiałem się, że do tej chwili nie rozumiałem, iż Carlos Argentino jest szalony. Poza tym wszyscy ci Viterbo... Beatriz (ja sam to zwykle powtarzam) była kobietą, dzieckiem o niemal nieubłaganych zdolnościach jasnowidzenia, ale była w niej opieszałość, roztargnienie, pogarda, prawdziwe okrucieństwo, które być może domagały się wyjaśnienia patologicznego. Szaleństwo Carlosa Daneriego napełniło mnie złośliwą satysfakcją; w głębi duszy zawsze nienawidziliśmy się wzajemnie.

Na ulicy Garay służąca poprosiła, żebym zechciał zaczekać. Pan był, jak zwykle, w piwnicy, gdzie wywołuje zdjęcia. Na niepotrzebnym fortepianie, obok wazonu bez kwiatów, uśmiechał się (bardziej ponadczasowy niż anachroniczny) wielki portret Beatriz, w nieudolnych kolorach. Nikt nie mógł nas widzieć; w rozpaczliwej czułości zbliżyłem się do portretu i powiedziałem:

- Beatriz, Beatriz Elena, Beatriz Elena Viterbo, Beatriz najdroższa, Beatriz stracona na zawsze, to ja, Borges.

Carlos wszedł w chwilę później. Mówił sucho; rozumiałem, że nie jest zdolny do innej myśli niż utrata Alefa.

- Kieliszeczek tego pseudokoniaku i zanurzysz się w piwnicy. Widzisz, niezbędna jest tam pozycja na grzbiecie. Również ciemność, bezruch, pewne przystosowanie wzroku. Położysz się na płytkach podłogi i utkwisz oczy w dziewiętnastym stopniu schodów. Ja wyjdę, zamknę klapę i zostaniesz sam. Jakiś gryzoń może cię przestraszyć. Trudno. Po kilku minutach ujrzysz Alefa. Mikrokosmos alchemików i kabalistów, naszego konkretnego przysłowiowego przyjaciela, *multum in parvo!*

Już w jadalni dodał:

- Oczywiście jeżeli go nie zobaczysz, twoja nieudolność nie umniejszy mojego świadectwa... Schodź; już niedługo będziesz mógł nawiązać rozmowę ze *wszystkimi* postaciami Beatriz.

Zszedłem szybko, miałem dość nieistotnych słów. Piwnica, niewiele szersza niż schody, miała w sobie wiele ze studni. Na próżno szukałem spojrzeniem kufra, o którym mówił Carlos Argentino. Skrzynki z butelkami i brezentowe worki zasłaniały jeden kąt. Carlos wziął jeden worek, złożył go i umieścił na właściwym miejscu.

- Poduszka jest skromna - wyjaśnił - ale gdybym ją podniósł o jeden centymetr, guzik byś zobaczył i byłbyś speszony i zawstydzony. Rozłóż na podłodze to swoje cielsko i odlicz dziewiętnaście schodków.

Spełniłem te śmieszne żądania; w końcu sobie poszedł. Zamknął dokładnie klapę; ciemność, mimo szpary, którą później odkryłem, wydała mi się całkowita. Nagle

zrozumiałem niebezpieczeństwo: pozwoliłem się pogrzebać szaleńcowi, po wypiciu trucizny. Wybryki Carlosa jasno wskazywały na jego przerażenie, że mogę nie ujrzeć cudu; Carlos, aby bronić swojego delirium, aby nie dowiedzieć się, że jest szaleńcem, *musiał mnie zabić*. Poczułem niedyspozycję, którą usiłowałem przypisać zdrtwieniu, nie zaś działaniu jakiegoś narkotyku. Zamknąłem oczy, otworzyłem je. Wówczas ujrzałem Alefa.

Dochodzę teraz do niewypowiedzianego centrum mojego opowiadania; tutaj zaczyna się moja rozpacz jako pisarza. Każdy język jest alfabetem symboli, których używanie zakłada pewną przeszłość, jaką dzielą rozmówcy; jak przekazać innym nieskończonego Alefa, którego moja trwoźna pamięć zaledwie obejmuje? Mistycy, w analogicznej sytuacji, szafują symbolami: aby określić bóstwo, pewien Pers mówi o ptaku, który w jakiś sposób jest wszystkimi ptakami; Alanus de Insulis, o jakiejś kuli, której środek jest wszędzie, a obwód nigdzie; Ezechiel, o pewnym aniele o czterech twarzach, który jednocześnie zwraca się na wschód i na zachód, na północ i na południe. (Nie na próżno wspominam te niepojęte analogie; posiadają one jakiś związek z Alefem). Być może bogowie nie odmówiliby mi jakiejś odpowiedniej metafory, ale opowiadanie zostałoby zarażone literaturą, fałszem. Poza tym nie do rozwiązania jest centralny problem: wyliczenie, choćby częściowe, nieskończonego zbioru. W owej gigantycznej chwili ujrzałem miliony rozkosznych albo potwornych wydarzeń; żadne z nich nie zdziwiło mnie do tego stopnia jak fakt, że wszystkie one zajmowały ten sam punkt i nie nakładały się na siebie ani nie były przezroczyste. To, co ujrzały moje oczy, było równoczesne: to co opiszę, będzie następcze, gdyż taki jest język. Coś w każdym razie udało mi się ocalić.

W dolnej części stopnia, po prawej stronie, zobaczyłem niewielką tęczową kulę, o nieznosnym niemal blasku. Początkowo sądziłem, że się obraca; potem zrozumiałem, że ten ruch był złudzeniem wywołanym przez zawrotne obrazy, jakie w sobie zawierała. Średnica Alefa wynosiła dwa czy trzy centymetry, ale była tam cała przestrzeń kosmiczna, w swej naturalnej wielkości. Każda rzecz (powiedzmy tafla lustra) była nieskończonymi rzeczami, gdyż widziałem ją wyraźnie ze wszystkich punktów wszechświata. Ujrzałem tętniące życiem morze, ujrzałem świt i zmierzch, ujrzałem tłumy Ameryki, ujrzałem srebrzystą pajęczynę w centrum czarnej piramidy, ujrzałem zniszczony labirynt (był to Londyn), ujrzałem mnogość oczu, wpatrujących się we mnie jak w lustro, ujrzałem wszystkie lustra planety i żadne nie rzuciło mojego odbicia, ujrzałem na tylnym dziedzińcu przy ulicy Soler te same płyty, które trzydzieści lat wcześniej zobaczyłem w sieni pewnego domu na Fray Bentos, ujrzałem winne grona, śnieg, tytoń, złoża metali, parę wodną, ujrzałem wypukłe równikowe pustynie i każde z ich ziaren piasku, ujrzałem w Inverness pewną kobietę, której nie zapomnę, ujrzałem

gwałtowną fryzurę, wyniosłe ciało, ujrzałem raka na piersi, ujrzałem wzgórek suchej ziemi przy jakiejś drodze, gdzie przedtem rosło drzewo, ujrzałem willę w Adroque, egzemplarz pierwszego angielskiego przekładu Pliniusza, dokonanego przez Philemona Hollanda, ujrzałem równocześnie każdą literę każdej strony (jako dziecko, dziwiłem się, że litery zamkniętego tomu nie mieszają się i nie znikają w ciągu nocy), ujrzałem noc i równoczesny z nią dzień, ujrzałem zachód słońca w Querétaro, który zdawał się odbijać kolor jakiejś róży w Bengalu, ujrzałem moją pustą sypialnię, ujrzałem w pewnym gabinecie w Alkmaar ziemski globus pomiędzy dwoma lustrami, które mnożyły go bez końca, ujrzałem konie o zwichrzonych grzywach, o świcie na jakiejś plaży nad Morzem Kaspijskim, ujrzałem delikatny szkielet jakiejś dłoni, ujrzałem pozostałych przy życiu po bitwie, wysyłających pocztówki, ujrzałem na jakiejś wystawie w Mirzapur hiszpańską talię kart, ujrzałem ukośne cienie paproci na podłodze jakiejś oranżerii, ujrzałem tygrysy, tłoki maszyn parowych, bizony, tłumy i armie, ujrzałem wszystkie mrówki, jakie są na ziemi, ujrzałem perskie astrolabium, ujrzałem w szufladzie jakiegoś biurka nieprzyzwoite, niewiarygodne, dosadne listy (a pismo sprawiło, że zadrzałem), które Beatriz napisała do Carlosa Argentino, ujrzałem uwielbiany pomnik na cmentarzu Chacarita, ujrzałem potworne resztki tego, co w tak cudowny sposób było Beatriz Viterbo, ujrzałem krążenie mojej ciemnej krwi, ujrzałem mechanizm miłości i zmiany wywołane przez śmierć, ujrzałem Alefa, ze wszystkich stron, ujrzałem w Alefie ziemię, ujrzałem moją twarz i moje wnętrzości, ujrzałem twoją twarz i poczułem zawrót głowy, i zapłakałem, gdyż moje oczy dostrzegły ten sekretny i przypadkowy przedmiot, którego nazwę uzurpują sobie ludzie, ale którego nie widział żaden człowiek: niewyobrażalny wszechświat.

Poczułem nieskończone uwielbienie, nieskończony żal.

- Oniemiałeś od wtykania nosa w nie swoje sprawy - powiedział znienawidzony i jowialny głos. - Choćbyś nie wiem jak łamał sobie głowę, przez stulecie nie zdołasz zapłacić mi za to odkrycie. Co za wspaniałe obserwatorium, prawda, Borges?

Buty Carlosa Argentino zajmowały najwyższy stopień. W nagłym mroku zdołałem wstać i wyjąkać:

- Wspaniałe. Tak, wspaniałe.

Obojętność mojego głosu zdziwiła mnie. Zaniepokojony Carlos Argentino nalegał:

- Wszystko dobrze widziałeś, w kolorach?

W tej chwili powziąłem myśl o zemście. Dobrodusznie, z wyraźną litością, a zarazem nerwowo, wymijająco, podziękowałem Carlosowi Argentino Daneriemu za gościnę w jego piwnicy i zacząłem go namawiać do skorzystania z wyburzenia domu, aby oddalić się od

niebezpiecznej metropolii, która nikomu, wierz mi, nikomu! nie przebacza. Odmówiłem, z łagodnym zdecydowaniem, dyskusji na temat Alefa; przy pożegnaniu uściśnąłem go i powtórzyłem, że wieś i spokój są wielkimi lekarzami.

Na ulicy, na schodach placu Constitución, w metrze, wszystkie twarze wydały mi się znajome. Przestraszyłem się, że nie pozostało już nic, co mogłoby mnie zaskoczyć, przestraszyłem się, że nigdy już nie opuści mnie wrażenie powrotu. Na szczęście, po upływie kilku bezsennych nocy, zapomnienie dokonało swojego dzieła.

Postscriptum z dnia 1 marca 1943 r. W sześć miesięcy po zburzeniu domu przy ulicy Garay, Wydawnictwo Prokrustes nie dało się zastraszyć długością godnego uwagi poematu i rzuciło na rynek wybór „argentyńskich fragmentów”. Nie muszę powtarzać, co się wydarzyło. Carlos Argentino Daneri otrzymał Drugą Państwową Nagrodę Literacką¹. Pierwsza została przyznana doktorowi Alta; trzecia - doktorowi Mario Bonfanti; w niewiarygodny sposób moje dzieło *Karty szulera* nie uzyskało ani jednego głosu. Po raz kolejny zatriumfowało niezrozumienie i zazdrość! Już od dłuższego czasu nie udaje mi się spotkać Daneriego; gazety twierdzą, że już niedługo da nam następny tom. Jego szczęśliwe pióro (któremu Alef nie odbiera już polotu) poświęciło się wersyfikowaniu streszczeń doktora Acevedo Diaza.

Pragnę dodać dwa spostrzeżenia: jedno odnosi się do natury Alefa; drugie do jego nazwy. Jest to, jak wiadomo, nazwa pierwszej litery alfabetu świętego języka. Jej zastosowanie do krążka z mojej historii nie wydaje się przypadkowe. Dla kabały litera ta oznacza *En Soph*, nieskończone, czyste bóstwo; powiadano również, że ma kształt człowieka wskazującego na niebo i na ziemię, aby wyrazić, że świat niższy jest zwierciadłem i mapą świata wyższego; dla *Mengenlehre* jest symbolem liczb transfinitalnych, w których całość nie jest większa niż którakolwiek z jej części. Chciałbym wiedzieć: czy Carlos Argentino wybrał tę nazwę, czy też przeczytał o niej, w *odniesieniu do innego punktu, w którym zbierają się wszystkie punkty*, w którymś z niezliczonych tekstów, jakie objawił mu w jego domu Alef? Choć wyda się to niewiarygodne, ja wierzę, że jest (lub był) inny Alef i że Alef z ulicy Garay był Alefem fałszywym.

Podaję moje racje. Około 1867 roku kapitan Burton pełnił w Brazylii funkcję brytyjskiego konsula; w lip 1942 roku Pedro Henríquez Ureña odkrył w pewnej bibliotece w Santos jego rękopis, w którym mowa jest o lustrze, jakie Wschód przypisuje Iskandarowi Zu

¹ „Otrzymałem twoje zmartwione gratulacje” - napisał mi. - „Pękasz z zazdrości, mój biedny przyjacielu, ale musisz przyznać - choćbyś miał się udławić! - że tym razem zdołałem uwieńczyć mój biret najczerwieńszym spośród piór; mój turban - największym *kalifem* rubinów.” (przyp., aut.)

al-Karnajn czyli Dwurożnemu Aleksandrowi Macedońskiemu. W jego tafli odbijał się cały wszechświat. Burton wspomina o innych pokrewnych artefaktach - siedmiokrotny kielich Kaja Chosrou, lustro, które Tarik Ibn Zijad znalazł w pewnej wieży (*1001 Noc*, 272), lustro, które Lukianowi z Samosaty dane było zobaczyć na księżycu (*Prawdziwa historia*, I, 26), lustrzaną lancę, którą pierwsza księga *Satyriconu* Capelli przypisuje Jowiszowi, zwierciadło uniwersalne Merlina, „okrągłe i wydrążone i podobne do szklanego świata” (*The Faërie Queen*, III, 2, 19) - i dodaje te ciekawe słowa: „Ale te poprzednio wymienione (poza tą wadą, że nie istniały) są zwykłymi przyrządami optycznymi. Wierni, którzy udają się do meczetu Amr, w Kairze, doskonale wiedzą, że wszechświat znajduje się we wnętrzu jednej z kamiennych kolumn, jakie otaczają wewnętrzny dziedziniec... Nikt oczywiście nie może go zobaczyć, ale ci, którzy zbliżają ucho do powierzchni, twierdzą, że po chwili słyszą jego pracowity szum... Meczet pochodzi z VII wieku; kolumny pochodzą z innych świątyń przedislamskich religii, gdyż, jak pisał Ibn Chaldun: *W republikach założonych przez nomadów konieczna jest współpraca cudzoziemców we wszystkim tym, co dotyczy murarstwa*”.

Czy istnieje ten Alef ukryty we wnętrzu jakiegoś kamienia? Czy widziałem go, kiedy ujrzałem wszystkie rzeczy, i czy zapomniałem o nim? Nasz umysł jest podatny na zapomnienie; we mnie samym ulegają zafałszowaniu i zacierają się, pod wpływem tragicznej erozji lat, rysy Beatriz.

Dla Esteli Canto

Epilog

Poza Emmą Zunz (cudowny temat, tak bardzo przewyższający swą nieudolną realizację, został mi podsunęty przez Cecylię Ingenieros) i Historią wojownika i porwanej, które zamierzają przedstawić wiarygodne zdarzenia, opowiadania tej książki należą do gatunku fantastycznego. Ze wszystkich, najbardziej wypracowane jest pierwsze; jego tematem jest efekt, jaki spowodowałyby u ludzi nieśmiertelność. Po tym szkicu etyki dla nieśmiertelnych następuje Martwy; Azevedo Bandeira w tym opowiadaniu jest człowiekiem z Rivera czy z Cerro Largo i jest również jakimś barbarzyńskim bóstwem, jakąś nieokrzesaną, mulacką i dziką, wersją niedoścignionego Sundaya Chestertona. (Rozdział XXIX Decline and Fall of Roman Empire opowiada o losie podobnym do losu Otálory, ale znacznie wspanialszym i bardziej niewiarygodnym). O Teologach wystarczy napisać, że jest to sen, sen raczej melancholijny, na temat tożsamości różnych ludzi; o Biografii Tadea Isidora Cruza, że jest głosem do Martina Fierro. Dom Asteriona i charakter biednego bohatera zawdzięczam pewnemu obrazowi Wattsa, namalowanemu w 1896 roku. Powtórna śmierć to fantazja na temat czasu, którą utkałem w świetle pewnych argumentów Piera Damianiego. Podczas ostatniej wojny nikt nie pragnął bardziej niż ja, aby Niemcy zostały pokonane; nikt nie odczuwał bardziej niż ja tragizmu niemieckiego losu; Deutsches Requiem usiłuje zrozumieć ten los; nie potrafili go oplakiwać, ani nawet pojąć, nasi „germanofile”, którzy o Niemczech niczego nie wiedzą. Pismo boga zostało wspaniałomyślnie osądzone; jaguar zmusił mnie do włożenia w usta „maga z piramidy Qaholoma” argumentów kabalisty czy teologa. W Zahirze i w Alefie dostrzegam, jak mi się wydaje, jakiś wpływ opowiadania The crystal egg (1899) Wellsa.

J. L. B.

Buenos Aires, dnia 3 maja 1949 roku

Postscriptum z 1952 roku. Dołączyłem cztery utwory do tego ponownego wydania. Ibn Hakam al-Buchari, zabity w swym labiryncie nie zasługuje (jak mnie zapewniają) na pamięć,

mimo swego makabrycznego tytułu. Dwaj królowie i dwa labirynty to tekst, który kopiści włączyli do 1001 Nocy, a który pominął skrupulatny Galland. Na temat Oczekiwania powiem, że zasugerowała je pewna kronika policyjna, którą przeczytał mi Alfredo Doblas, jakieś dziesięć lat temu, podczas gdy klasyfikowaliśmy książki według podręcznika Instytutu Bibliograficznego w Brukseli, kodeksu, z którego zapomniałem wszystko prócz tego, że Bogu odpowiadał numer 231. Bohaterem kroniki był Turek; zrobiłem z niego Włocha, żeby go łatwiej odczuć. Chwilowy i powtarzający się widok pewnej starej parterowej rudery na rogu ulicy Parana w Buenos Aires natchnął mnie historią, która nosi tytuł Człowiek w progu; umieściłem ją w Indiach, żeby jej nieprawdopodobieństwo było całkowite.

J.L.B.

FIKCJE

Przełożyli

KAZIMIERZ PIEKAREC

ANDRZEJ SOBOL-JURCZYKOWSKI

STANISŁAW ZEMBRZUSKI

Dla Esther Zemborain de Torres

Ogród o rozwidlających się ścieżkach (1941)

Prolog

Osiem opowiadań tej książki nie wymaga szerszego wyjaśnienia. Ósme (Ogród o rozwidlających się ścieżkach) jest kryminalne; jego czytelnicy będą świadkami wszystkich przygotowań do zbrodni i dokonania zbrodni, której cel znają, ale której do samego końca, jak sądzę, nie rozumieją. Inne są opowiadaniem fantastycznymi. Jedno - Loteria w Babilonie - nie jest całkowicie wolne od grzechu symbolizmu. Nie jestem pierwszym autorem opowiadania Biblioteka Babel; ciekawi jego historii i prehistorii mogą zajrzeć na pewną stronicę pięćdziesiątego dziewiątego numeru miesięcznika Sur, gdzie widnieją tak różnorodne nazwiska jak Leucyp i Lasswitz, Lewis Carroll i Arystoteles. W Kolistych ruinach wszystko jest nierealne; w nocy Pierre Menard, autor Don Kichota nierealny jest los, jaki narzuca sobie bohater. Wykaz utworów, które mu przypisuję, nie jest zbyt zabawny, ale nie jest arbitralny; jest wykresem jego umysłowej biografii...

Układanie obszernych książek to pracowite i zubożające szaleństwo: rozwijanie na pięciuset stronach idei, której doskonały ustny wykład zajmuje kilka minut. Lepiej udawać, że takie książki już istnieją, i przedstawiać ich streszczenie, komentarz. Tak postąpili Carlyle w Sartor Resartus; Butler w The Fair Haven; ich dzieła posiadają tę niedoskonałość, że również są książkami nie mniej tautologicznymi niż inne. Ponieważ jestem bardziej rozsądny, bardziej nieporadny, bardziej leniwy, woląłem napisać noty o książkach urojonych. Są to: Tlön, Uqbar, Orbis Tertius; Analiza twórczości Herberta Quaina; Poszukiwanie Al-Mutasima. Ostatnia pochodni z roku 1935; niedawno czytałem The Sacred Fount (1901), który w ogólnych zarysach jest być może analogiczny. W tej subtelnej powieści Jamesa narrator bada,

*czy wpływ na „B” wywiera „A” czy „C”; w Poszukiwaniu Al-Mutasima poprzez „B”
przeczuwa on lub odgaduje odległe istnienie „Z”, którego „B” nie zna.*

Jorge Luis Borges

Buenos Aires, 10 listopada 1941

Tlön, Uqbar, Orbis Tertius

I

Zawdzięczam odkrycie Uqbaru połączeniu lustra i encyklopedii. Lustro niepokoiło głębię korytarza pewnej willi na ulicy Gaona w Ramos Mejia; encyklopedia, wbrew swemu oszukańczemu tytułowi *The Anglo-American Cyclopaedia* (New York, 1917), jest przedrukiem, równie dosłownym jak nudnym, *Encyclopaedia Britannica* z roku 1902. Zdarzyło się to jakieś pięć lat temu. Bioy Casares, który jadł owego wieczora ze mną kolację, mówił o swoim pomysle powieści, pisanej w pierwszej osobie, gdzie narrator, opuszczając lub deformując pewne fakty, popadłby w liczne sprzeczności: pozwoliłyby one niektórym czytelnikom - bardzo niewielu czytelnikom - odgadnąć okrutną czy banalną rzeczywistość. Z odległej głębi korytarza śledziło nas lustro. Odkryliśmy (późną nocą takie odkrycie jest nieuniknione), że lustra mają w sobie coś monstualnego. Bioy Casares przypomniał wówczas jednego z herezjarchów Uqbaru, który lustra i kopulację uważał za nienawistne, jako że pomnażają liczbę ludzi. Zapytany o pochodzenie tej zaskakującej opinii odpowiedział, że *The Anglo-American Cyclopaedia* zamieszcza ją w artykule o Uqbarze. W willi (wynajmowanej przez nas wraz z umeblowaniem) był egzemplarz tego dzieła. Na ostatnich stronach tomu XLVI znaleźliśmy artykuł o Uppsali; na pierwszych tomu XLVII - artykuł *Ural-Altai Languages*, ale ani jednego słowa na temat Uqbaru. Bioy, zdziwiony, sprawdził tomy indeksu; próbował na próżno wszystkich możliwych grafii: Ukbar, Uebar, Ooqbar, Oukbahr... Zanim odszedł, powiedział, że chodziło o region Iraku czy Azji Mniejszej. Wyznaję, że przyjąłem to wyjaśnienie z pewnym zakłopotaniem. Doszedłem do wniosku, że ten nie wzmiankowany kraj, ten anonimowy herezjarcha, to fikcja zaimprovizowana przez skromność Bioya, aby uzasadnić pewne zdanie. Poszukiwania w jednym z atlasów Justusa Perthesa, w rezultacie jałowe, utwierdziły mnie w tej wątpliwości.

Następnego dnia Bioy zatelefonował do mnie z Buenos Aires. Powiedział, że ma

właśnie przed oczyma artykuł o Uqbarze, w XLVI tomie encyklopedii. Imienia herezjarchy nie podano, ale była wzmianka o jego doktrynie, i to w słowach prawie identycznych, o ile nie słabszych - być może - pod względem literackim, jak te, które zacytował. Bioy powtórzył z pamięci: *Copulation and mirrors are abominable*. Tekst encyklopedii mówił: „Dla jednego z tych gnostyków wszechświat widzialny jest złudzeniem lub - ściślej - sofizmatem; lustra i ojcostwo są nienawistne (*mirrors and fatherhood are abominable*), gdyż zwielokrotniają go i powiększają”. Powiedziałem mu, zgodnie z prawdą, że chętnie zobaczyłbym ten artykuł. Kilka dni później przyniósł mi go. Zdziwiło mnie to, gdyż skrupulatne indeksy kartograficzne *Erdkunde* Rittera pomijają milczeniem istnienie Uqbaru.

Wolumin przyniesiony przez Bioya był rzeczywiście XLVI tomem *Anglo-American Cyclopaedia*. Informacja alfabetyczna na pierwszej stronie i na grzbiecie była taka sama jak w naszym egzemplarzu (*Tor - Ups*), ale wolumin liczył, zamiast 917, 921 stron. Te cztery dodatkowe strony zawierały artykuł o Uqbarze: nie przewidziany alfabetyczną informacją (jak czytelnik z pewnością zauważył) o zawartości. Stwierdziliśmy później, że między dwoma tomami nie było, poza tą, żadnej różnicy; oba były przedrukiem (wspomniałem już o tym, jak sądzę) dziesiątej *Encyclopaedia Britannica*. Bioy kupił swój egzemplarz na jakiejś licytacji.

Przeczytaliśmy artykuł z pewną uwagą. Jedynym zaskakującym fragmentem był ustęp zacytowany przez Bioya; reszta wydawała się bardzo prawdopodobna, bardzo zgodna z ogólną tonacją dzieła i, rzecz jasna, nieco nudna. Czytając go powtórnie, pod ścisłym stylem odkryliśmy zasadniczą nieokreśloność. Z czternastu nazw działu geograficznego rozpoznaliśmy tylko trzy (Chorasan, Armenia, Erzerum), wstawione w tekst w sposób dwuznaczny; z nazwisk historycznych - jedno za ledwie, owego samozwańca, Maga Smerdysa, wymienionego jednak tylko dla porównania. Artykuł zdawał się określać ściśle granice Uqbaru, ale ich mglistymi punktami odniesienia były rzeki, kratery i góry tegoż kraju. Przeczytaliśmy na przykład, że granice południowe są wyznaczone przez równiny Tsa i Chaldun i deltę Axy, i że wyspy tej delty obfitują w dzikie konie. Tyle na początku strony dziewięćsetnej osiemnastej. Z działu historycznego (stronica dziewięćsetna dwudziesta) dowiedzieliśmy się, że w wyniku prześladowań religijnych w XIII wieku ortodoksi szukali schronienia na tych wyspach, gdzie wznoszą się dotychczas ich obeliski i gdzie kopiąc nierzadko można znaleźć ich kamienne lustra. Dział *Język i literatura*, dość krótki, zawierał jedno tylko godne uwagi miejsce, w którym mówiono, że literatura Uqbaru ma charakter fantastyczny i że jej epopeje, podobnie jak legendy, nie odnoszą się nigdy do rzeczywistości, lecz do dwóch wymagowanych regionów Mlejnas i Tlön... Bibliografia zawierała cztery tomy, których dotychczas nie udało się nam odnaleźć, choć trzeci - Silas Haslam, *History of*

the Land Called Uqbar, 1874 - figuruje w katalogach księgarni Bernarda Quaricha¹. Pierwszy, *Lesbare und lesenswerthe Bemerkungen über das Land Ukkbar in Klein-Asien*, pochodził podobno z 1641 roku i jego autorem był Johannes Valentinus Andreaë. Rzecz jest godna uwagi: w kilka lat później odnalazłem nieoczekiwanie to nazwisko na pewnej stronie u De Quinceya (*Writings*, tom XIII) i dowiedziałem się, że należało do teologa niemieckiego, który opisał, w początkach wieku XVII, wymagowaną gminę Różokrzyżowców; wspólnotę taką, jaką później ktoś inny, kierowany przykładem tego, co sobie wyobraził Andreaë, rzeczywiście założył.

Tego samego popołudnia udaliśmy się do Biblioteki Narodowej; na próżno jednak niepokoiłmy atlasy, katalogi, roczniki towarzystw geograficznych, pamiętniki podróżników i historyków: żaden z nich nigdy nie był w Uqbarze. Nawet indeks główny encyklopedii Bioya nie podawał tej nazwy. Następnego dnia Carlos Mastronardi (któremu opowiedziałem o tym wypadku) dostrzegł w jakiejś księgarni czarno-złote grzbiety *Anglo-American Cyclopaedia...* Wszedł i zajrzał do tomu XLVI. Oczywiście nie znalazł najmniejszego śladu Uqbaru.

II

W hotelu w Adrogué, wśród bujnych wiciokrzewów i złudnych głębi luster, trwa jeszcze jakieś ograniczone i zacierające się wspomnienie Herberta Ashe'a, inżyniera Towarzystwa Kolei Południowych. Za życia nierealny, jak wielu Anglików, gdy umarł, nie pozostał nawet tym duchem, jakim był wówczas. Wysoki, zawsze jakby zawiedziony, z prostokątną rudą brodą. Wydaje mi się, że był wdowcem, bezdzietnym. Co parę lat jeździł do Anglii: aby odwiedzić (tak sędzę z fotografii, którą nam pokazywał) jakiś zegar słoneczny i jakieś dęby. Mój ojciec zaprzyjaźnił się z nim (choć może wyrażenie to jest zbyt mocne) jedną z tych angielskich przyjaźni, które zaczynają się od wykluczenia szczerości i natychmiast unikają rozmów; zwykle wymieniali między sobą książki i czasopisma; spotykali się w milczeniu przy szachach... Pamiętam go w hallu hotelu, z książką matematyczną w ręku, jak patrzył od czasu do czasu na niepowtarzalne barwy nieba. Pewnego wieczora rozmawialiśmy o dwunastkowym systemie liczbowym (w którym dwanaście jest zapisywane

¹ Haslam jest również autorem dzieła *General History of Labyrinths* (przyp. aut.).

cyfrą 10); Ashe powiedział mi, że pracuje właśnie nad tłumaczeniem nie wiem już jakich tablic dwunastkowych na sześćdziesiątkowe (w których sześćdziesiąt jest zapisywane cyfrą 10). Dodał, że praca została mu zlecona przez pewnego Norwega w Rio Grande do Sul. Zналиśmy go od ośmiu lat i nigdy nam nie wspomniał, że tam był... Mówiliśmy o życiu pasterzy, o *capangas*, o brazylijskiej etymologii słowa *gaucho* (które niektórzy starzy ludzie na wschodzie wymawiają jeszcze *gaúcho*) i nie było już mowy - niech mi Bóg wybaczy - o funkcjach dwunastkowych. We wrześniu 1937 roku (nie było nas wówczas w hotelu) Herbert Ashe umarł z powodu pęknięcia tętniaka. Kilka dni wcześniej otrzymał z Brazylii zapieczętowaną poleconą przesyłkę. Była to książka *in octavo*. Ashe zostawił ją w barze, gdzie - po miesiącach - ją odnalazłem, zacząłem kartkować i poczułem dziwny zawrót głowy. Ale go nie opiszę, bo nie jest to historia moich wzruszeń, lecz historia Uqbaru, Tlön i Orbis Tertius. W owej nocy Islamu, która zwie się Nocą Nocy¹ otwierają się na oścież tajemne wrota nieba i woda w dzbanach staje się słodka; gdyby wrota te otwarły się wówczas, nie poczułbym tego, co poczułem. Książka napisana była po angielsku i miała 1001 stron. Na jej żółtym skórzanym grzbiecie przeczytałem te dziwne słowa, które powtarzała karta tytułowa: *A First Encyclopaedia of Tlön. Vol. XI. Hlaer to Jangr*. Nie było daty ani miejsca wydania. Pierwsza strona i bibułka jednej z kolorowych tablic nosiły owalną niebieską pieczęć z napisem: *Orbis Tertius*. Dwa lata wcześniej, na stronicach pewnej encyklopedii-plagiatu, odkryłem zwięzły opis fikcyjnego kraju; obecnie przypadek dostarczał mi czegoś bardziej jeszcze cennego i trudnego. Miałem teraz w ręku obszerny i metodyczny fragment całkowitej historii nieznannej planety, z jej budowlami i wojnami, z przerażeniem jej mitologii i zgiełkiem języków, z jej cesarzami i morzami, z jej minerałami, ptakami i rybami, z jej algebrą i ogniem, z jej kontrowersjami teologicznymi i metafizycznymi. I wszystko to na piśmie, spójne, bez widocznej intencji doktrynalnej czy parodystycznej.

„Jedenasty tom”, o którym mówię, zawierał odsyłacze do tomów następnych i poprzednich. Nestor Ibarra, w pewnym klasycznym już artykule zamieszczonym w *Nouvelle Revue Française*, przeczy istnieniu tych tomów; Ezequiel Martínez Estrada i Drieu La Rochelle odparli, być może zwycięsko, tę wątpliwość. Faktem jest jednak, że najbardziej skwapliwe poszukiwania pozostały dotąd bez rezultatu. Na próżno przerzuciliśmy biblioteki obu Ameryk i Europy. Alfonso Reyes, zmęczony tymi trywialnie policyjnymi

¹ Noc Nocy, Noc Potęgi lub Noc Przeznaczenia - tak została nazwana noc przy końcu ramadanu 610 r. kiedy to Muhammad miał pierwsze objawienie w górskiej jaskini koło Mekki. Według wierzeń muzułmańskich jest to Noc Boskich Wyroków, podczas której Bramy Raju pozostają otwarte, tak więc wysłuchiwane są wszystkie modlitwy. Powstało wiele wierzeń związanych z Nocą Potęgi; niektórzy wierni na przykład są przekonani, że woda morska staje się wówczas słodka (przyj. tłum.).

poszukiwaniami, proponuje, abyśmy przedsięwzięli wspólnie dzieło odtworzenia brakujących, licznych i masywnych, tomów: *ex ungue leonem*¹. Kalkuluje pół żartem, pół serio, że jedno pokolenie tlönistów mogłoby okazać się wystarczające. To ryzykowne obliczenie odsyła nas do problemu podstawowego: kim byli twórcy Tlön? Liczba mnoga jest tu nieunikniona; hipoteza jednego wynalazcy - jednego nieskończonego Leibniza, działającego skromnie w ciemnościach - została jednogłośnie odrzucona. Sądzi się, że ten *brave new world*² jest dziełem jakiegoś tajemniczego stowarzyszenia astronomów, inżynierów, biologów, metafizyków, poetów, chemików, moralistów, malarzy, geometrów... sterowanym przez jakiegoś ukrywającego się geniusza. W rzeczywistości roi się od osobników, którzy posiadli te różne dyscypliny, nie zaś od takich, którzy zdolni są do tworzenia. A tym bardziej do podporządkowania tworzenia rygorystycznemu i systematycznemu planowi, jakim jest plan Tlön, plan tak rozległy, że wkład każdego autora musiał być nieskończenie mały. Początkowo sądzono, że Tlön jest po prostu chaosem, nieodpowiedzialnym puszczeniem wodzy wyobraźni; teraz jednak wiadomo, że jest to kosmos i że sformułowane zostały, nawet jeśli w sposób prowizoryczny, wewnętrzne prawa, które nim rządzą. Wystarczy przypomnieć, że w pozornych sprzecznościach jedenastego tomu dostrzeżono podstawowy dowód, iż inne tomy istnieją: do tego stopnia przestrzegany w nim porządek jest jasny i konsekwentny. Popularne czasopisma rozpowszechniły, z wybaczną przesadą, zoologię i topografię Tlön; sądzę, że jego przezroczyście tygrysy i krwiste wieże nie zasługują, być może, na nieprzerwaną uwagę *wszystkich* ludzi. Ale poświęcę kilka minut jego koncepcji wszechświata.

Hume raz na zawsze zauważył, że argumenty Berkeleya nie dopuszczają najmniejszej repliki i nie inspirują najmniejszego przekonania. Sąd ten jest zupełnie prawdziwy na Ziemi; zupełnie jednak fałszywy na Tlönie. Narody tej planety są - w sposób wrodzony - idealistyczne; ich język i jego pochodne - religia, literatura, metafizyka - z góry zakładają idealizm. Dla nich świat nie jest zbiorem przedmiotów w przestrzeni; jest heterogeniczną serią niezależnych czynów; jest następczy, czasowy, nie zaś przestrzenny. W domniemanym *Urschprache* Tlön, z którego pochodzą języki i dialekty „aktualne”, nie istnieją rzeczowniki; istnieją czasowniki bezosobowe, określane jednosylabowymi przyrostkami (lub

¹ *Ex ungue leonem* - użyte w tym znaczeniu, że po pazurze można poznać lwa, czyli że po niewielu pociągnięciach można poznać rękę wielkiego artysty. Znaczenie właściwe: według pazura namalować lwa. Jest to cytat z nie zachowanego utworu Alkajosa z Mytileny na Lesbos, lirycznego poety współczesnego Safonie (przyp., tłum.)

² *Brave new world* - tak brzmi w oryginale tytuł powieści Huxleya, która w Polsce ukazała się jako „Nowy szczęśliwy świat” (przyp. tłum.).

przedrostkami) o znaczeniu przysłówkowym. Na przykład: nie ma słowa, które by odpowiadało naszemu słowu *księżyc*, ale istnieje czasownik, który u nas miałby postać *księżycznić lub księżycować*. „Wzeszedł księżyc nad rzeką” mówi się *hlör u fang axaxaxas mlö*, co znaczy, w kolejności: „Ku górze (*upward*) za wieczniesączyć zaksiężycowało”. (Xul Solar tłumaczy krótko: „Hop, za przebiegać zaksiężyczniło”. *Upward, beyond the onstreaming, it mooned*).

To, co zostało powiedziane, odnosi się do języków półkuli południowej. W językach półkuli północnej (co do których *Urschprache* jedenasty tom daje niezwykle mało wskazówek), pierwotną komórką nie jest czasownik, ale jednozgłoskowy przymiotnik. Rzeczownik tworzy się przez nagromadzenie przymiotników. Nie mówi się *księżyc*: mówi się *powietrzno-jasny ponad ciemno-okrągłym lub jasno-pomarańczowy-wysoko-niebieskiego*, lub jakkolwiek inny zestaw. W tym szczęśliwym przypadku zbiór przymiotników odpowiada rzeczywistemu przedmiotowi; ale chodzi tu właśnie o przypadek szczególny. Literatura tej półkuli (jak w trwającym świecie Meinonga) obfituje w przedmioty idealne, powołane i niknące w jednej chwili, zależnie od potrzeb poetyckich. Czasami określa te przedmioty zwykłą równoczesność. Niektóre składają się z dwóch terminów, jednego o charakterze wzrokowym i jednego o charakterze słuchowym: kolor rodzącego się dnia i odległy krzyk ptaka. Inne z większej ilości: słońce i woda płynąca naprzeciw piersi pływaka, nieokreślony kolor różowy, który widzi się przez zamknięte oczy, uczucie kogoś, kto pozwala nieść się rzece i, jednocześnie, snowi. Przedmioty drugiego stopnia mogą łączyć się z innymi; proces ten, dzięki pewnym skrótom, jest praktycznie nieskończony. Istnieją słynne poematy złożone z jednego tylko, ogromnego słowa. Słowo to odpowiada jednemu przedmiotowi, przedmiotowi poetyckiemu stworzonemu przez autora. Z faktu, że nikt nie wierzy w rzeczywistość rzeczowników, w paradoksalny sposób wynika, że liczba tych ostatnich jest nieskończona. Języki półkuli północnej Tlönu posiadają wszystkie rzeczowniki języków indoeuropejskich, i wiele innych.

Nie będzie przesadą twierdzenie, że kultura klasyczna Tlönu obejmuje jedną tylko dyscyplinę, psychologię. Inne są jej podporządkowane. Powiedziałem już, że mieszkańcy planety pojmują wszechświat jako serię procesów myślowych, które nie odbywają się w przestrzeni, lecz w sposób następczy, w czasie. Spinoza przypisuje swemu niewyczerpalnemu bóstwu atrybuty rozciągłości i myśli; na Tlönie nikt nie zrozumiałby zestawienia tej pierwszej - typowej tylko dla pewnych stanów - z tą drugą - doskonałym synonimem kosmosu. Innymi słowy: nikt nie pojąłby, że to, co przestrzenne, trwa w czasie. Dostrzeżenie dymu na horyzoncie, a potem płonącego pola, a potem źle zgaszonego papierosa, który spowodował

pożar, jest uważane za przykład asocjacji myśli.

Ten monizm, czy całkowity idealizm, paraliżuje naukę. Wyjaśnić (lub uzasadnić) jakiś fakt, to połączyć go z innym faktem: ale ten związek, na Tlönie, odpowiada późniejszemu stanowi podmiotu, nie odnosi się zaś do stanu poprzedniego, więc go nie wyjaśnia. Każdy stan umysłowy jest niepodzielny: sam fakt nazwania go - *id est* sklasyfikowania - zawiera w sobie zafałszowanie tego stanu. Wydaje się, że można by stąd wysnuć wniosek, iż na Tlönie nie istnieją nauki ani nawet rozumowania. W rzeczywistości, w paradoksalny sposób, właśnie istnieją, i to w prawie nieskończonej liczbie. Sprawa z filozofiami ma się tak, jak na półkuli północnej z rzeczownikami; fakt, że każda filozofia jest z założenia tylko dialektyczną zabawą, jakąś *Philosophie des Ais Ob*, przyczynił się do ich pomnożenia. Istnieje wiele systemów niewiarygodnych, ale posiadających przyjemną budowę albo sensacyjny charakter. Metafizycy Tlönu nie poszukują prawdy ani nawet prawdopodobieństwa, lecz tylko zadziwienia. Uważają metafizykę za gałąź literatury fantastycznej. Wiedzą, że dany system jest jedynie podporządkowaniem wszystkich aspektów wszechświata któremukolwiek z tych aspektów. Ale nawet wyrażenie „wszystkie aspekty” może być odrzucone, gdyż opiera się na niemożności dodania chwili obecnej do przeszłych. Również ta liczba mnoga: „przeszłych”, jest niedozwolona, gdyż zakłada inną niemożliwą operację... Jedna ze szkół Tlönu przeczy nawet istnieniu czasu: argumentuje, że terażniejszość jest nieokreślona, że przyszłość nie posiada rzeczywistości żadnej innej jak obecna nadzieja, że przeszłość nie posiada rzeczywistości żadnej innej jak obecne wspomnienie.¹ Inna szkoła twierdzi, że czas już cały przeminął i nasze życie jest zaledwie wspomnieniem lub wieczornym odbiciem, niewątpliwie zafałszowanym i niepełnym, nieodzyskalnego procesu. Inna, że historia wszechświata - a w niej nasze życie, najdrobniejsze szczegóły naszego życia - jest pismem, które tworzy jakiś pomniejszy bóg, aby porozumieć się z demonem. Inna, że wszechświat jest porównywalny do owych kryptografii, w których nie wszystkie znaki posiadają wartość, i że prawdziwe jest tylko to, co wydarza się co trzysta nocy. Inna, że kiedy w jednym miejscu śpimy, czuwamy gdzie indziej, i że każdy człowiek jest w ten sposób dwoma ludźmi.

Wśród doktryn Tlönu żadna nie wzniesła takiego oburzenia jak materializm. Niektórzy myśliciele opisali go, ale w terminach bardziej żywiołowych niż jasnych, niczym ktoś kto chce zaproponować paradoks. Aby ułatwić zrozumienie tezy tak niepojętej, pewien herezjarcha z XI wieku² wymyślił sofizmat o dziewięciu miedzianych monetach; jego

¹ Russel (*The Analysis of Mind*, 1921, s. 159) przypuszcza, że planeta została stworzona przed niewidoma minutami, wyposażona w ludzkość, która „pamięta” iluzoryczną przeszłość (przyp. aut.).

² Wiek w systemie dwunastkowym oznacza okres stu czterdziestu czterech lat (przyp. aut.).

skandaliczna fama odpowiada, na Tlönie, famie aporii eleackich. Istnieją liczne wersje tego „pozornego rozumowania”, które różnią się między sobą co do liczby monet lub odnalezień; oto najbardziej popularna:

We wtorek, idąc ścieżką przez pustkowie, „X” gubi dziewięć miedzianych monet. W czwartek „Y” znajduje na ścieżce cztery monety, trochę zaśniedziałe po środowym deszczu. W piątek „Z” znajduje trzy na tej samej ścieżce i w ten sam piątek, rano, „X” znajduje dwie w sieni swojego domu.

Z historii tej herezjarcha chciał wydedukować rzeczywistość - czyli ciągłość istnienia - dziewięciu odzyskanych monet.

Byłoby absurdem - twierdził - wyobrażać sobie, że cztery z dziewięciu monet nie istniały od wtorku do czwartku, trzy od wtorku do piątku po południu i dwie od wtorku do piątku rano. Logiczne jest za to uważać, że istniały one - choćby w pewien tajemny sposób, którego zrozumienie jest wzbronione ludziom - we wszystkich momentach owych trzech okresów.

Język Tlönu źle nadawał się do sformułowania takiego paradoksu; większość go nie rozumiała. obrońcy zdrowego rozsądku ograniczyli się początkowo do zaprzeczenia prawdziwości całej historii. Twierdzili, że chodzi o pomyłkę słowną opierającą się na nierozważnym użyciu dwóch, nieuświęconych zwyczajem, neologizmów, obcych dla każdego ścisłego rozumowania: czasowników „znaleźć” i „zgubić”, które zawierały *petitio principii*, gdyż zakładały identyczność pierwszych dziewięciu monet z ostatnimi. Przypomnieli, że każdy rzeczownik (człowiek, moneta, czwartek, środa, deszcz) posiada wartość jedynie metaforyczną. Ujawnili perfidną okoliczność wyrażenia „nieco zaśniedziałe po środowym deszczu”, które z góry zakłada to, co należy udowodnić: trwanie czterech monet między wtorkiem a czwartkiem. Zauważyli, że podobieństwo nie jest tym samym co identyczność, i sformułowali rodzaj *reductio ad absurdum*, hipotetyczny przypadek dziewięciu ludzi, którzy podczas dziewięciu kolejnych nocy odczuwają silny ból. Czy nie byłoby śmieszne - pytali - utrzymywać, że to ten sam ból?¹ Dodawali, że herezjarcha kierował się jedynie bluźnierczym zamiarem przypisywania boskiej kategorii istnienia kilku zwykłym monetom; i wykazali, że czasami negował mnogość, czasami zaś nie. Jeżeli podobieństwo niesie z sobą identyczność - argumentowali - należałoby również przyjąć, że dziewięć monet jest jedną tylko monetą.

¹ Dzisiaj jeden z kościołów Tlönu utrzymuje po platońsku, że niektóre rzeczy, jak pewien określony ból, pewien zielonkawy odcień koloru żółtego, pewna temperatura, pewien dźwięk stanowią jedyną rzeczywistość. Wszyscy ludzie, w zawrotnym momencie *coitus*, są tym samym człowiekiem. Wszyscy ludzie, którzy powtarzają jakiś wers Szekspira, są Williamem Szekspirem (przyp. aut.).

W niewiarygodny sposób argumenty te nie okazały się refutacją definitywną. W sto lat po postawieniu problemu, pewien myśliciel, nie mniej niż herezjarcha błyskotliwy, ale reprezentujący tradycję ortodoksyjną, sformułował bardzo zuchwałą hipotezę. Według tego szczęśliwego przypuszczenia istnieje jeden tylko podmiot; tym niepodzielnym podmiotem jest każde z istnień wszechświata, które są organami i maskami bóstwa. „X” to „Y” i zarazem „Z”. „Z” znajduje trzy monety, gdyż pamięta, że „X” je zgubił. „X” znajduje dwie w sieni, gdyż pamięta, że pozostałe zostały odzyskane... Jedenasty tom daje do zrozumienia, że całkowite zwycięstwo tego idealistycznego panteizmu zawdzięczać należy trzem podstawowym racjom. Pierwsza to odrzucenie solipsyzmu; druga - możliwość zachowania psychologicznej podstawy nauk; trzecia - możliwość zachowania kultu bóstw. Schopenhauer (pasjonujący i jasno myślący Schopenhauer) formułuje bardzo podobną doktrynę w pierwszym tomie *Parerga und Paralipomena*.

Geometria Tlönü obejmuje dwie nieco różne dyscypliny: wzrokową i dotykową. Druga odpowiada naszej i jest podporządkowana pierwszej. Podstawą geometrii wzrokowej jest powierzchnia, nie zaś punkt. Geometria ta nie zna równoległych i twierdzi, że człowiek, który zmienia swoje położenie, modyfikuje otaczające go formy. Podstawą arytmetyki Tlönü jest pojęcie liczby nieokreślonej. Matematycy podkreślają znaczenie pojęć „większy” i „mniejszy”, które nasi matematycy wyrażają za pomocą symboli $>$ i $<$. Twierdzą, że operacja liczenia modyfikuje wielkości i zmienia je z nieokreślonych w określone. Fakt, że różne osoby, które liczą tę samą wielkość, dochodzą do jednakowych rezultatów, jest dla psychologów przykładem asocjacji myśli lub sprawnego posługiwania się pamięcią. Wiemy już, że na Tlönü podmiot wiedzy jest jedyny i wieczny.

Idea jedyne podmiotu jest wszechmocna również w obyczajach literackich. Do rzadkości należy podpisywanie książek. Pojęcie plagiatu nie istnieje: ustalono, że wszystkie dzieła pochodzą od jednego tylko autora, ponadczasowego i anonimowego. Krytyka wymyśla zazwyczaj autorów: wybiera dwa nieporównywalne dzieła - powiedzmy *Tao-te King* i baśnie *1001 Nocy* - i przypisuje je jednemu pisarzowi, a następnie omawia sumiennie psychikę tego interesującego *homme des lettres*...

Równie zaskakujące są i same książki. Wszystkie narracyjne mają tę samą fabułę, ze wszystkimi wyobrażalnymi podstawieniami. Książki o charakterze filozoficznym zawierają niezmiennie tezę i antytezę, rygorystyczne *pro* i *contra* każdej doktryny. Książka, która nie zawiera swojej antyksiążki, uważana jest za niekompletną.

Całe wieki idealizmu nie mogły nie wpłynąć na rzeczywistość. Nierzadko spotyka się, w najbardziej starożytnych regionach Tlönü, podwojenie zgubionych przedmiotów. Dwie

osoby szukają ołówka; pierwsza znajduje go i nic nie mówi; druga znajduje inny ołówek, nie mniej rzeczywisty, ale lepiej odpowiadający jej oczekiwaniom. Te wtórne przedmioty zwa się *hrönirami* i, choć posiadają formę bez wdzięku, są nieco dłuższe. Do niedawna *hröniry* były przypadkowymi dziełami roztargnienia i zapomnienia. Do ich metodycznej produkcji - wydaje się to niemożliwe, ale tak wynika z jedenastego tomu - przystąpiono przed zaledwie stu laty. Pierwsze próby okazały się jałowe. Ale w każdym razie na wspomnienie zasługuje *modus operandi*. Dyrektor jednego z państwowych więzień zakomunikował zatrzymanym, że w dawnym korycie pewnej rzeki znajdują się jakieś groby, i przyrzekł wolność temu, kto dokonałby ważnego odkrycia. Podczas miesięcy poprzedzających wykopaliska pokazywano więźniom fotografie tego, co mieli odnaleźć. Pierwsza próba wykazała, że nadzieja i dążenie mogą stanowić przeszkodę; po tygodniu pracy łopata i kilofem nie zdołano wykopać żadnego *hrönu* prócz zardzewiałego koła, pochodzącego z okresu późniejszego niż sam eksperyment. Rzecz utrzymana została w tajemnicy i była później powtórzona w czterech szkołach. W trzech niepowodzenie było prawie zupełne; w czwartej (jej dyrektor umarł przypadkowo podczas pierwszych prac wykopaliskowych) uczniowie wydobyli z ziemi - lub też wykonali - złotą maskę, starożytny miecz, dwie czy trzy ceramiczne amfory i potrząskany, zielonkawy tors jakiegoś króla, noszący na piersiach inskrypcję, której dotąd nie udało się odczytać. Odkryto w ten sposób, że obecność świadków znających eksperymentalny charakter poszukiwań jest przeciwwskazana... Masowe poszukiwania dają w rezultacie przedmioty sprzeczne z sobą; dziś daje się pierwszeństwo pracom indywidualnym i prawie zaimprovizowanym. Metodyczne wytwarzanie *hrönirów* (podaje jedenasty tom) dostarczyło nieocenionych usług archeologom. Pozwoliło badać, a nawet modyfikować przeszłość, która stała się nie mniej plastyczna i uległa niż przyszłość. Rzecz ciekawa: *hröniry* drugiego i trzeciego stopnia - *hröniry* powstałe z innego *hrönu*; *hröniry* powstałe z *hrönu hrönu* - wyolbrzymiają aberracje *hrönu* pierwotnego; *hröniry* stopnia piątego są prawie ich pozbawione, dziewiątego mylą się z *hrönirami* drugiego stopnia, jedenastego mają czystość linii nie posiadaną nawet przez oryginał. Proces ten jest periodyczny: *hrön* dwunastego stopnia zaczyna się już znowu degradować. Dziwniejszy i czyściejszy od każdego *hrönu* jest czasami *ur.* rzecz wyprodukowana przez sugestię, przedmiot wywołany przez nadzieję. Wielka złota maska, o której wspominałem, była wspańiałym tego przykładem.

Rzeczy, na Tlönie, podwajają się, ale dążą również do zatarcia i zatracenia szczegółów, gdy ludzie o nich zapominają. Klasyczny jest przykład progu, który trwał, dopóki siadywał tam pewien żebrak, i który zniknął wraz ze śmiercią tegoż żebraka. Zdarzało się też, że ptaki czy koń ratowały ruiny jakiegoś amfiteatru.

Postscriptum z 1947 roku. Odtworzyłem poprzedni artykuł tak, jak ukazał się w *Antologii literatury fantastycznej* z 1940 roku, pomijając tylko satyryczny ton i niektóre metafory, które dziś okazałyby się nie na miejscu. Od tego czasu wydarzyło się tyle rzeczy... Ograniczę się do wspomnienia o nich.

W marcu 1941 roku w pewnej książce Hintona, która należała do Herberta Ashe'a, znaleziono odręczny list Gunnara Erfjorda. Koperta nosiła pieczęć pocztową z Ouro Preto; list wyjaśniał całkowicie zagadkę Tlönu. Tekst listu potwierdza hipotezę Martineza Estrady. Wspaniała historia rozpoczęła się pewnej nocy w Lucernie czy w Londynie, na początku XVII wieku. Powstało wtedy tajemne i nieszkodliwe towarzystwo (liczyło ono pośród swych stowarzyszonych Dalgarna, a potem George'a Berkeleya), które obrało sobie za cel wymyślenie jakiegoś kraju. W mglistym programie początkowym figurowały „studia hermetyczne”, filantropia i kabała. Z tego pierwszego okresu pochodzi ciekawa książka Johannesä Andreä. Po kilku latach obrad i przedwczesnych syntez zrozumiano, że jedno pokolenie nie wystarczy, by stworzyć kraj. Postanowiono, że każdy z tworzących towarzystwo mistrzów wybierze sobie ucznia w celu kontynuowania dzieła. Ta dziedziczna zasada zwyciężyła; po dwuwiecznej przerwie prześladowane bractwo pojawiło się w Ameryce. W 1924 roku w Memfis (Tennessee) jeden ze stowarzyszonych rozmawia z ascetycznym milionerem Erą Buckleyem. Ten ostatni słucha go z pewnym lekceważeniem i wyśmiewa skromność projektu. Mówi, że w Ameryce wymyślenie kraju jest absurdalne, i proponuje wymyślenie planety. Do tego gigantycznego pomysłu dorzuca drugi - dziecko jego nihilizmu¹: utrzymanie ogromnego przedsięwzięcia w całkowitej tajemnicy. Znajdowało się wówczas w obiegu dwadzieścia tomów *Encyclopaedia Britannka*; Buckley sugeruje metodyczną encyklopedię iluzorycznej planety. Poświęci planecie swoje złotonośne góry, swoje żeglowne rzeki, swoje pastwiska ryte przez byka i bizona, swoich Murzynów, swoje domy publiczne i swoje dolary, ale pod jednym warunkiem: „Dzieło nie będzie paktowało z samozwańcem Jezusem Chrystusem”. Buckley nie wierzy w Boga, ale chce nieistniejącemu Bogu wykazać, że ludzie śmiertelni są zdolni do wyobrażenia sobie świata. Buckley umiera otruty w Baton Rouge w 1928 roku. W roku 1914 towarzystwo przekazuje swym współpracownikom, których jest trzystu, ostatni tom *Pierwszej Encyklopedii Tlönu*. Publikacja pozostaje utrzymana w tajemnicy: jej czterdzieści tomów (najobszerniejsze dzieło,

¹ Buckley był wolnomyślicielem, fatalistą i obrońcą niewolnictwa (przyp. aut.).

jakie kiedykolwiek zostało przez ludzi dokonane) będzie podstawą do innego, bardziej szczegółowego dzieła, zredagowanego już nie po angielsku, ale w jednym z języków Tlön. To studium iluzorycznego świata nosi prowizoryczny tytuł *Orbis Tertius* i jednym z jego skromnych demiurgów był Herbert Ashe, nie wiem, czy jako agent Gunnara Erfjorda, czy jako stowarzyszony. Fakt, że otrzymał on jedenasty tom, zda się przemawiać za drugą hipotezą. A pozostałe tomy? Poczynając od 1942 roku fakty zaczęły się mnożyć. Pamiętam ze szczególną wyrazistością jeden z pierwszych, i pamiętam, że poczułem, iż ma on jedynie charakter premonitoryjny. Zdarzył się w pewnym mieszkaniu przy ulicy Laprida, przed jasnym i wysokim balkonem, otwartym na zachód słońca. Księżna de Faucigny Lucinge otrzymała z Poitiers swoją srebrną zastawę. Z wielkiego dna skrzyni oblepionej międzynarodowymi etykietami, zostały przywołane na światło delikatne nieruchome przedmioty: srebra z Utrechtu i Paryża z twardą heraldyczną fauną, samowar. Wśród nich, z dostłyszalnym i delikatnym drzeniem śpiącego ptaka, drgała tajemniczo busola. Księżna nie rozpoznała jej. Niebieska igła dążyła do północy magnetycznej; metalowe pudełko było wklęsłe; litery na tarczy należały do jednego z alfabetów Tlön. Było to pierwsze wtargnięcie świata fantastycznego do świata rzeczywistego. Przypadek, który dotąd mnie niepokoi, sprawił, że również ja sam byłem świadkiem drugiego wtargnięcia. Wydarzyło się to w kilka miesięcy później, w gospodzie pewnego Brazylijczyka w Cuchilla Negra. Amorim i ja wracaliśmy z Santa Ana. Wezbrana rzeka Tacuarembó zmusiła nas by zaryzykować i pogodzić się z tą prymitywną gościnnością. Gospodarz przygotował nam dwa skrzypiące łóżka w wielkim, zawalonym beczkami i skórami pokoju. Położyliśmy się, ale nie pozwolił nam zasnąć aż do świtu wrzask niewidzialnego sąsiada, który był z pewnością pijany i przeplatał niewyraźne przekleństwa urywkami jakichś milong, a raczej urywkami jednej tylko milongi. Oczywiście przypisywaliśmy ten uparty wrzask zamięlowaniu gospodarza do alkoholu. O świcie na korytarzu znaleźliśmy martwego człowieka. Szorstkość jego głosu zwiodła nas: był to młody chłopak. W delirium wypadło mu z pasa kilka monet oraz stożek z błyszczącego metalu o średnicy naparstka. Dziecko chciało ten stożek podnieść, ale mu się nie udało. Jakiś mężczyzna podniósł go, ale z wielkim wysiłkiem. Wziąłem stożek do ręki na kilka minut i przypominam sobie jego nieznośny ciężar, który trwał nawet później, gdy go odłożyłem. Pamiętam również wyraźne kółko, jakie odcisnął mi na dłoni. To zjawisko, przedmiot tak mały, a jednocześnie tak ciężki, pozostawiało przykre wrażenie zdumienia i niepokoju. Jakiś wieśniak zaproponował, aby go wrzucić do rwącej rzeki. Amorim nabył go za kilka pesos. Nikt nic nie wiedział o zmarłym prócz tego, że „pochodził znad granicy”. Małe i bardzo ciężkie stożki (zrobione z metalu, który nie jest z tego świata) są wyobrażeniem

bóstwa w pewnych religiach Tlön.

W tym miejscu kończę część osobistą mojego opowiadania. Resztę zawiera pamięć (lub nadzieja czy obawa) wszystkich moich czytelników. Wystarczy, że wspomnę następujące fakty w krótkich słowach, które wzbogacą się i wypełnią w głębokiej wspólnej pamięci. W 1944 roku pewien reporter dziennika *The American* (wychodzącego w Nashville, Tennessee) odkrył w pewnej bibliotece w Memphis czterdzieści tomów *Pierwszej Encyklopedii Tlön*. Do dzisiejszego dnia dyskutuje się nad tym, czy odkrycie to było przypadkowe, czy też umożliwili je dyrektorzy mglistego jeszcze *Orbis Tertius*. Bardziej prawdopodobne jest to drugie. W egzemplarzu z Memphis pewne niewiarygodne ustępy jedenastego tomu (te na przykład, które nawiązują do niewiarygodnego mnożenia się *brönirów*) zostały wyeliminowane lub złagodzone; można słusznie pomyśleć, że poprawki takie odpowiadają zamiarowi przedstawienia świata niezbyt odbiegającego od świata rzeczywistego. Rozsiewanie w różnych krajach przedmiotów z Tlön stanowiłoby część tego samego planu...¹ Faktem jest, że „znalezisko” odbiło się szerokim echem w prasie międzynarodowej. Podręczniki, antologie, streszczenia, dosłowne tłumaczenia, przedruki autoryzowane i nieautoryzowane tego *Opus Maior* Rodzaju Ludzkiego zalewały i nadal zalewają ziemię. Prawie natychmiast rzeczywistość poddała się w wielu punktach. Pewne jest, że pragnęła się poddać. Dziesięć lat temu wystarczała jakakolwiek symetria o pozorach spójności - materializm dialektyczny, antysemityzm, nazizm - aby doprowadzać ludzi do ekstazy. Jak więc nie ulec Tlönowi, szczegółowej i rozległej oczywistości zorganizowanej planety? Bezcelowa byłaby odpowiedź, że również rzeczywistość jest zorganizowana. Może jest zorganizowana, ale zgodnie z prawami boskimi - przetłumaczyłbym: z prawami nieludzkimi, których nie udaje nam się nigdy pojąć, Tlön jest, być może, labiryntem, ale labiryntem utkany przez ludzi, przeznaczonym do odczytania przez ludzi.

Kontakt z Tlönem, przyzwyczajenie do niego, rozbiły ten świat. Zachwycona jego ścisłością ludzkość nie pamięta, że chodzi tu o ścisłość szachistów, nie zaś aniołów. Wszedł już do szkół „język pierwotny” (domniemany) Tlön; nauka jego harmonijnej historii (pełnej wzruszających epizodów) wyparła już tę, która patronowała mojemu dzieciństwu; w pamięciach fikcyjna przeszłość zajmuje już miejsce tej drugiej, o której niczego nie wiemy z pewnością... nawet że jest fałszywa. Zreformowana została numizmatyka, farmakologia i archeologia. Przypuszczam, że również biologia i matematyka oczekują na swój awatar... Rozproszona dynastia samotników zmieniła oblicze świata. Jej prace trwają nadal. Jeżeli

¹ Pozostaje oczywiście do rozwiązania problem „tworzywa” niektórych z tych przedmiotów (przyp. aut.).

nasze przypuszczenia nie są błędne, za jakieś sto lat ktoś odkryje sto tomów *Drugiej Encyklopedii Tlön*.

Zniknie wówczas z planety język angielski i francuski, i prosty hiszpański. Świat stanie się Tlönem. Ja się o to nie troszczę, przeglądam ciągle, podczas spokojnych dni hotelu w Adrogué, niezdecydowany quevediański przekład (którego nie zamierzam dać do druku) dzieła *Urn Burial Browne'a*.

Poszukiwanie Al-Mutasima

Philip Guedalla pisze, że powieść *The approach to Al-Mu'tasim* adwokata Mira Bahadura Alego z Bombaju „jest nieco niewygodną kombinacją (*a rather uncomfortable combination*) owych alegorycznych poematów Islamu, którym tylko z rzadka nie udaje się zaciekawić tłumacza, i tych powieści kryminalnych, które w nieunikniony sposób przewyższają Johna H. Watsona, doprowadzając do doskonałości ponurość ludzkiego życia w najwytworniejszych pensjonatach w Brighton”. Wcześniej Mr. Cecil Roberts ujawnił w książce Bahadura „podwójny, niewiarygodny patronat Wilkiego Collinsa i znakomitego Persa z XIII stulecia, Farida ud-Dina Attara” - spokojne spostrzeżenie, które Guedalla powtarza niczego nowego nie dodając, ale posługując się słowami pełnymi irytacji. Zasadniczo obaj pisarze są zgodni; obaj wskazują na właściwy dla powieści kryminalnych mechanizm dzieła i jego mistyczny *undercurrent*. Skrzyżowanie to mogłoby wywołać w nas wrażenie jakiejś analogii z Chestertonem; wykażemy, że nic takiego nie istnieje.

Editio princeps «*Postukiwania Al-Mutasima*» ukazała się w Bombaju pod koniec 1932 roku, wydrukowana na papierze nieomal gazetowym; obwoluta powiadamiała nabywcę, że chodzi o pierwszą powieść kryminalną napisaną przez mieszkańca Bombay City. W ciągu niewielu miesięcy publiczność wyczerpała cztery nakłady, każdy po tysiąc egzemplarzy. *Bombay Quarterly Review*, *Bombay Gazette*, *Calcutta Review*, *Hindustan Review* (wychodzący w Allahabadzie) i *Calcutta Englishman* rozpływały się w dytyrambach. Bahadur opublikował wówczas wydanie ilustrowane, które zatytułował *The comersation with the man called Al-Mu'tasim* z następującym pięknym podtytułem: *A game with the shifting mirrors (Zabawa z poruszającymi się zwierciadłami)*. To właśnie wydanie przedrukował obecnie w Londynie Victor Gollancz, z przedmową Dorothy L. Sayers i z miłosiernym być może opuszczeniem ilustracji. Mam je przed oczyma; nie udało mi się zdobyć pierwszego, które jest, jak przeczuwam, znacznie lepsze. Upoważnia mnie do takiego sądu dodatek, który podaje zasadnicze różnice między wersją pierwotną z 1932 roku a tą z roku 1934. Przed analizą dzieła - i rozważaniami nad nim - wypada mi wskazać pobieżnie ogólny jego zarys.

Bohater widzialny - o imieniu nigdy nie wymienionym - jest studentem prawa w Bombaju. Świętokradczo odrzuca wiarę islamiczną swoich przodków, ale przy końcu dziesiątej nocy księżycy *muharram*¹ znajdzie się w centrum zatargu między muzułmanami a hindusami. Jest to noc bębnow i inwokacji; pośród nieprzyjaznego tłumu torują sobie drogę wielkie papierowe baldachimy muzułmańskiej procesji. Spada dachówka z muzułmańskiego tarasu; ktoś zanurza sztylet w czyimś brzuchu; ktoś - muzułmanin? hindus? - pada i umiera stratowany. Walczą trzy tysiące ludzi; kij przeciwko rewolwerowi, sprośność przeciwko przekleństwu, Niewidzialny Bóg przeciwko Bogom. Zdziwiony, student wolnomyśliciel włącza się w zamieszanie. Zrozpaczonymi rękami zabija (lub sądzi, że zabija) jakiegoś hindusa. Hałaśliwa, konna, na wpół senna policja Sirkaru² interweniuje za pomocą bezstronnych uderzeń pejciami. Student ucieka tuż sprzed końskich kopyt. Dociera do ostatnich przedmieść. Przechodzi przez dwa tory kolejowe, albo dwa razy przez ten sam tor. Przeskakuje mur jakiegoś zaniedbanego ogrodu, z okragłą wieżą w głębi. Sfora psów koloru księżycy (*a lean and evil mob of mooncoloured hounds*) wyłania się z czarnych krzewów różanych. Osaczony, student poszukuje schronienia w wieży. Wspina się po żelaznej drabinie (brakuje w niej kilku szczebli) i na jej płaskim szczycie, gdzie pośrodku jest szerniała studnia, spotyka wychudłego człowieka, który z wigorem oddaje mocz w świetle księżycy. Człowiek wyznaje mu czym się trudni: kradnie złote zęby biało ubranym trupom, pozostawianym przez Parsów na tej wieży. Mówi inne niegodziwe rzeczy i wspomina, że od czternastu nocy nie oczyszcza się za pomocą bawolego łajna. Mówi z wyraźną urazą o pewnych złodziejach koni z Gudżaratu „jedzących psy i jaszczurki, krótko mówiąc - ludziach równie nikczemnych jak my dwaj”. Dnieje; w powietrzu nisko latają tłuste sępy. Student, wyczerpany, zasypia; gdy budzi się, słońce jest już wysoko i złodziej zniknął. Zniknęło również parę papierosów z Tiruczirapalli i kilka srebrnych rupii. Z powodu zagrożeń, jakie przyniosła poprzednia noc, student decyduje się zagubić gdzieś w Indiach. Myśli, że okazał się zdolny do zabicia bałwochwalcy, ale nie do ostatecznego zrozumienia, czy muzułmanin ma więcej niż bałwochwalca racji. Brzmi mu jeszcze w uszach nazwa Gudżarat i imię pewnej *malka-sansi* (kobiety z kasty złodziei) z Palanpuru, ulubionego obiektu wyzwisk grabiciela trupów. Rozumiejąc, że uraza człowieka tak szczególnie podłego jest równoznaczna z pochwałą, postanawia odszukać kobietę - bez większej zresztą nadziei. Modli się i z pewną powolnością podejmuje długą drogę. Tak kończy się drugi rozdział dzieła.

Niemożliwe jest streścić perypetie pozostałych rozdziałów. Zawrotnie mnożą się tam

¹ *Muharram* - pierwszy miesiąc arabskiego kalendarza księżycowego (przyp. tłum.).

² Raczej *sarkar* (hind.) - rząd (przyp. tłum.).

dramatis personae, nie mówiąc już o biografii, która zda się wyczerpywać możliwości ducha (od niegodziwości do matematycznej spekulacji) i o pielgrzymce, która obejmuje rozległą geografę Indostanu. Historia rozpoczęta w Bombaju przenosi się na niziny Palanpuru, zatrzymuje przez jedno popołudnie i jedną noc przy kamiennej bramie Bikaneru, opowiada o śmierci pewnego ślepego astrologa w jakimś rynsztoku w Benaresie, modli się i grzeszy cieleśnie w morowym fetorze Kalkuty na Maczua Bazar¹, patrzy z biura pisarza w Madrasie, jak rodzą się dni w morzu, patrzy z pewnego balkonu w stanie Trewankor, jak umierają wieczory w morzu, waha się i zabija w Indapurze i zamyka swą orbitę mil i lat w tym samym Bombaju, o kilka kroków od ogrodu psów o kolorze księżycy. Treść jest taka: pewien człowiek, niewierzący i uciekający student, którego znamy, stacza się do ludzi najpodlejszej kasty i przystosowuje się do nich w swego rodzaju współzawodnictwie w nikczemności. Nagle dostrzega - z cudownym przestrawieniem Robinsona wobec śladu stopy ludzkiej na piasku - pewne złagodzenie tej podłości: jakieś rozrzewnienie, jakąś egzaltację, jakąś ciszę, w jednym z tych odrażających ludzi. „Było to tak, jakby włączył się do dialogu jakiś trzeci, bardziej złożony rozmówca”. Wie, że nikczemny człowiek, który z nim rozmawia, jest niezdolny do chwilowej nawet przyzwoitości; wnosi stąd, że jest on odbiciem kogoś znajomego, czy znajomego znajomego. Po przemyśleniu problemu dochodzi do tajemniczego przekonania: *W jakimś punkcie Ziemi jest człowiek, od którego pochodzi ta jasność; w jakimś punkcie Ziemi jest człowiek, który równy jest tej jasności*. Student postanawia na odnalezienie go poświęcić swoje życie.

Można już dostrzec główny temat: nienasycone poszukiwanie pewnej duszy poprzez delikatne odbicia, pozostawione przez nią w innych duszach: na początku błądy ślad jakiegoś uśmiechu czy jakiegoś słowa: później - różnorodne i rosące blaski rozumu, wyobraźni i dobra. W miarę im bliżej do czynienia z Al-Mutasimem, mieli zapytywani ludzie, tym większa jest w nich boska zawartość, ale staje się jasne, że są oni tylko zwierciadłami. Można tu zastosować technikę matematyczną: przeładowana powieść Bahadura jest progresją, a jej punkt ostateczny stanowi przeczuwany „człowiek, który nazywa się Al-Mutasim”. Bezpośrednim poprzednikiem Al-Mutasima jest pewien perski księgarz, odznaczający się wielką uprzejmością i dobrocią; poprzednikiem księgarza - jakiś święty... Po upływie lat student dociera do pewnego korytarza, „w głębi którego znajdują się drzwi i zasłona z tanich paciorków, i dalej jakiś blask”. Student uderza w dłonie, raz i drugi, i pyta o Al-Mutasima. Głos mężczyzny - niewiarygodny głos Al-Mutasima - zaprasza go do wejścia. W tym miejscu

¹ Dokładniej *Maczhuwa bazar* (hind.) - targ rybny (przyp. tłum.).

kończy się powieść.

Jeśli się nie mylę, właściwe rozwinięcie takiego tematu nakłada na pisarza dwa obowiązki: pierwszym z nich jest różnorodność w inwencji cech proroczych; drugim - uczynienie z bohatera, z góry określonego tymi cechami, czegoś odmiennego od zwykłej konwencji czy zwykłego widma. Bahadur czyni zadość pierwszemu z nich; nie wiem, w jakim stopniu drugiemu. Innymi słowy: niesłyszany i nigdy niewidziany Al-Mutasim powinien pozostawić w nas wrażenie osoby rzeczywistej, nie zaś chaosu banalnych superlatywów. W wersji z 1932 roku obserwacje nadprzyrodzone są mniej obfite: „człowiek zwany Al-Mutasimem” ma w sobie coś z symbolu, ale nie jest pozbawiony cech indywidualnych, osobistych. Niestety, to dobre literackie prowadzenie się nie trwało długo. W wersji z roku 1934 - w tej, którą mam przed oczyma - powieść obniża się do alegorii: Al-Mutasim jest emblematem Boga i żmudne wędrówki bohatera są w jakiś sposób postęпами duszy w mistycznym doskonaleniu się. Nie brakuje zasmucających szczegółów: czarny żyd¹ z Koczinu twierdzi, że Al-Mutasim ma ciemne ciało; pewien chrześcijanin opisuje go, na jakiejś wieży, z otwartymi ramionami; pewien czerwony lama² pamięta go siedzącego, „podobnego do figury z masła jaków, którą wymodelowałem i czciłem w klasztorze Taszilhunpo”. Te uwagi podsuwają myśl o Bogu-unitaryście, który dostosowuje się do różnic między ludźmi. Idea taka jest, moim zdaniem, mało zachęcająca, czego nie można powiedzieć o innej: o przypuszczeniu, że również Wszechmocny poszukuje Kogoś, ten Ktoś Kogoś wyższego (lub po prostu niezbędnego i równego) i w ten sposób aż do Końca, czy raczej do Bez-Końca, Czasu, lub w sposób cykliczny. Al-Mutasim (imię owego ósmego Abbasydy, który wygrał osiem bitew, począł ośmiu synów i osiem córek, pozostawił osiem tysięcy niewolników i królował przez okres ośmiu lat, ośmiu księżyców i ośmiu dni) znaczy etymologicznie *Poszukujący schronienia*. W wersji z 1932 roku fakt, że celem pielgrzymki jest inny pielgrzym, uprzytomniała w szczęśliwy sposób trudność odnalezienia go; w wersji z roku 1934 ten sam fakt dopuszcza do fantastycznej teorii, którą omówiłem. Mir Bahadur Ali, jak widzieliśmy, niezdolny jest do uniknięcia najbardziej wulgarnej spośród pokus artysty: by być geniuszem.

Przeczytałem powtórnie to, co napisałem, i obawiam się, że nie podkreśliłem dostatecznie zasług książki. Są tam bardzo subtelne szczegóły, na przykład pewna dysputa w rozdziale dziewiętnastym, gdzie przeczuwa się przyjaciela Al-Mutasima w przeciwniku, który nie odpiera sofizmatów drugiego, „aby nie mieć racji w sposób triumfalny”.

¹ Tak określa się w Indiach żydów azjatyckich (przyp. tłum.).

² Aluzja do koloru habitu noszonego przez lamów tybetańskich (przyp. tłum.).

Przyjęła się opinia, że wyprowadzanie książki współczesnej z książki starożytnej jest rzeczą wielce chwalebna, ponieważ nikt nie lubi (jak mówi Johnson) zawdzięczać czegokolwiek swoim współczesnym. Powtarzające się, lecz niemające znaczenia, związki *Ulissesa* Joyce'a z homerską *Odyseją* wywołują ciągle - nie rozumiem dlaczego - bezmyślny podziw krytyki; związki powieści Bahadura z czcigodną *Rozmową ptaków* Farida ud-Din Attara powodują nie mniej tajemniczy aplauz Londynu, a także Allahabadu i Kalkuty. Nie brakuje i innych derywacji. Niektórzy dostrzegli pewne analogie między pierwszą sceną powieści a opowiadaniem Kiplinga *On the City Wall*; Bahadur uznaje je, ale dodaje, że byłoby bardzo dziwne, gdyby oba opisy dziesiątej nocy księżycy *muharram* nie były zbieżne... Eliot ma więcej słuszności, przypominając siedemdziesiąt pieśni niekompletnej alegorii *The Faërie Queen*, w której - na co zwrócił uwagę w pewnej krytyce Richard William Church (Spencer, 1879) - bohaterka, Gloriana, nie pojawia się ani razu. Ja zaś zwracam uwagę, z całą skromnością, na pewnego dalekiego i prawdopodobnego poprzednika: kabalistę z Jerozolimy, Izaak Lurię, który w XVI stuleciu głosił, że dusza jakiegoś przodka czy mistrza może wejść w duszę nieszczęśliwego, aby wesprzeć go i nauczać. Ta odmiana metempsychozy nazywa się *Ibbûr*¹.

1935

¹ Zrobiłem aluzję w tej notatce do *Mantiq at-Tajr* (*Rozmowa ptaków*) perskiego mistyka o nazwisku Farid ud-Din Abu Talib Muhammad Ibn Ibrahim Attar, który został zabity przez żołnierzy Tule, syna Dżyngis Chana, podczas grabieży Niszapuru. Może warto streścić ten poemat. Odległy król ptaków, Simurg, upuszcza gdzieś nad Chinami wspaniałe pióro. Ptaki, zmęczone swą odwieczną anarchią, postanawiają go odszukać. Wiedzą, że imię ich króla znaczy trzydzieści ptaków; wiedzą, że jego pałac znajduje się w Kaf, okrągłej górze, która otacza ziemię. Podejmują nieskończoną niemal przygodę; przebywają siedem dolin, czy też mórz; przedostatnie nazywa się Zawrót Głowy; ostatnie - Unicestwienie. Wielu spośród pielgrzymów zbiega; inni giną. Trzydzieści ptaków, oczyszczonych przez trudy, dociera do góry Simurga. Wreszcie ich oczy oglądają go: przekonują się, że to one same są Simurgiem i że Simurg jest każdym z nich i wszystkimi. [*Si* (pers.) - trzydzieści, *murg* (pers.) - ptaki, *Simurg* (pers.) - Feniks (przyp., tłum.)] (Również Plotyn - *Enneady* V, 8, 4 - głosi rajskie rozprzestrzenienie zasady identyczności: *Wszystko, w niebie rozumu, znajduje się wszędzie. Każda rzecz jest wszystkimi rzeczami, Słońce jest wszystkimi gwiazdami, i każda gwiazda jest wszystkimi gwiazdami i słońcem*). *Mantiq at-Tajr* został przetłumaczony na francuski przez Garcina de Tassy; na angielski przez Edwarda Fitzgeralda; przy tej notatce posłużyłem się dziesiątym tomem *1001 Nocy* Burтона i monografią *The Persian Mystics: Attar* (1932) Margaret Smith.

Związki tego poematu z powieścią Mira Badahura Alego nie są zbyt liczne. W rozdziale dwudziestym kilka słów przypisanych przez perskiego księgarza Al-Mutasimowi jest być może magnifikacją innych słów, które wypowiedział bohater; ta i inne dwuznaczne analogie mogą oznaczać tożsamość poszukiwanego z poszukującym; mogą również oznaczać, że ostatni wywiera wpływ na pierwszego. Inny rozdział daje do zrozumienia, że Al-Mutasim jest „hindusem”, którego student zabił, a przynajmniej tak sądzi (przyp. aut.).

Pierre Menard, autor *Don Kichota*

Dla Silviny Ocampo

Wylczenie dzieła *widzialnego*, jakie pozostawił po sobie ten powieściopisarz, jest łatwe i krótkie. Toteż niewybaczalne są, popełnione przez Madame Henri Bachelier, opuszczenia i dodatki w sfalszowanym katalogu, jaki nietaktownie przedstawił pewien dziennik, którego *protestująca* intencja nie jest dla nikogo tajemnicą, swym godnym politowania czytelnikom - choć są oni nieliczni i głównie kalwini, o ile nie masoni i obrzezańcy. Prawdziwi przyjaciele Menarda ujrzeli ten katalog z niepokojem, a nawet z pewnym smutkiem. Wydaje się, że to wczoraj zebraliśmy się przed ostatecznym marmurem, wśród żałobnych cyprysów, a już Błąd usiłuje zamglić jego Pamięć... Stanowczo narzuca się krótkie sprostowanie.

Wiem, jak bardzo łatwo zakwestionować mój ubogi autorytet. Toteż mam nadzieję, że wolno mi będzie powołać się na dwóch godnych uwagi świadków. Baronowa de Bacourt (na której niezapomnianych *vendredi* miałem zaszczyt poznać nieodżałowanego poetę) zechciała zaaprobować poniższe uwagi. Hrabina di Bagnoregio, jeden z najsubtelniejszych umysłów księstwa Monaco (a obecnie Pittsburga, Pensylwania, po swym niedawnym ślubie z międzynarodowym filantropem Szymonem Kautzschem, tak atakowanym z powodu ofiar jego bezinteresownych machinacji), poświęciła „prawdzie i śmierci” (tak brzmią jej słowa) właściwą sobie wielkopańską rezerwę i w liście otwartym, opublikowanym w czasopiśmie *Luxe*, również udziela mi swojego *placet*. Mam nadzieję, że wystarczą same te arystokratyczne tytuły. Powiedziałem, że łatwo jest dziś wymienić dzieło *widzialne* Menarda. Badając troskliwie jego prywatne archiwum, stwierdziłem, że zawiera ono następujące prace:

A. Symbolistyczny sonet, który ukazał się dwukrotnie (z wariantami) w czasopiśmie *La conque* (numery z marca i października 1899 r.);

B. Monografia o możliwości stworzenia poetyckiego słownika pojęć, które nie byłyby synonimami czy peryfrazami pojęć składających się na język potoczny, „ale przedmiotami

idealnymi, uformowanymi zgodnie z pewną konwencją i przeznaczonymi zasadniczo na potrzeby poetyckie” (Nîmes, 1901);

C. Monografia o „pewnych powinowactwach czy podobieństwach” myśli Kartezjusza, Leibniza i Johna Wilkinsa (Nîmes, 1903);

D. Monografia o dziele *Characteristica universalis* Leibniza (Nîmes, 1904);

E. Artykuł techniczny na temat możliwości wzbogacenia gry w szachy w wyniku wyeliminowania jednej wieży; Menard proponuje, zaleca, rozważa i wreszcie odrzuca tę innowację;

F. Monografia o dziele *Ars magna generalis* Ramona Lulla (Nîmes, 1906);

G. Tłumaczenie, ze wstępem i przypisami, dzieła *Księga wolnej inwencji i sztuki gry w szachy* Ruyy Lopeza de Segura (Paryż, 1907);

H. Brulion monografii o symbolicznej logice George'a Boole'a;

I. Analiza zasadniczych praw metryki w prozie francuskiej, ilustrowana przykładami z Saint-Simona (*Revue des langues romanes*, Montpellier, październik 1909 r.);

J. Replika adresowana do Luca Durtaina (który przeczył istnieniu takich praw) ilustrowana przykładami z Luca Durtaina (*Revue des langues romanes*, Montpellier, grudzień 1909 r.);

K. Rękopis przekładu utworu *Busola uczeńców* Queveda, zatytułowany *La boussole des précieux*;

L. Przedmowa do katalogu wystawy litografii Carolusa Hourcade'a (Nîmes, 1914);

M. Dzieło *Les problèmes d'un problème* (Paryż, 1917), które roztrząsa w chronologicznym porządku rozwiązania słynnego problemu Achillesa i żółwia. Dotychczas ukazały się dwa wydania tej książki; drugie zawiera jako motto radę Leibniza „Ne craignez point, monsieur, la tortue”, a rozdziały poświęcone Russelowi i Kartezjuszowi są w nim gruntownie przerobione;

N. Drobiazgowa analiza „nawyków składniowych” Touleta (*Nouvelle Revue Française*, marzec 1921 r.). Pamiętam, że Menard oświadczył, iż nagana i pochwała są aktami uczuciowymi, które nie mają nic wspólnego z krytyką;

O. Transpozycja na aleksandryny utworu *Cimetière marin* Paula Valéry (*Nouvelle Revue Française*, styczeń 1928 r.);

P. Inwektywa przeciwko Paulowi Valéry'emu w *Feuilles pour la suppression de la réalité* Jacquesa Reboula (inwektywa jest, mówiąc nawiasem, ścisłym przeciwstawieniem jego prawdziwej opinii o Paulu Valéry, który tak ją właśnie zrozumiał i ich stara przyjaźń nie została narażona na niebezpieczeństwo);

Q. „Definicja” hrabiny di Bagnoregio w „zwycięskim tomie” - wyrażenie to pochodzi od innego współpracownika tego tomu, Gabriela d'Annunzio - rokrocznie publikowana przez tę damę, aby sprostować nieuniknione błędy dziennikarskie i aby przedstawić „światu i Italii” autentyczny wizerunek swojej osoby, tak bardzo wystawionej (właśnie z powodu urody i działalności) na błędne czy przedwczesne interpretacje;

R. Cykl pięknych sonetów dla baronowej de Bacourt (1934);

S. Rękopis listy wierszy, które zawdzięczają swój wyraz interpunkcji.¹

Do tego miejsca przedstawiłem (pomijając jedynie kilka mglistych okolicznościowych sonetów dla gościnnego czy też zachłannego albumu Madame Henri Bachelier) dzieło *widzialne* Menarda w porządku chronologicznym. Przechodzę teraz do tego drugiego, ukrytego, nieskończonego bohaterskiego, niemającego równego sobie, ale również - ograniczone są możliwości ludzkie! - Nieukończonego. Dzieło to, najbardziej być może znamienne dla naszych czasów, składa się z dziewiątego i trzydziestego ósmego rozdziału *Don Kichota* oraz z fragmentu rozdziału dwudziestego drugiego. Wiem, że twierdzenie takie wydaje się absurdalne; uzasadnienie tegoż absurdu jest głównym zadaniem mojej notatki.²

Dwa teksty o niejednakowej wartości zainspirowały to przedsięwzięcie. Jednym z nich jest ów fragment filologiczny Novalisa³, noszący w wydaniu drezdeńskim numer 2005, który szkicuje temat *całkowitej identyfikacji* z określonym autorem. Drugim - jedna z tych pasożytniczych książek, umieszczających Chrystusa na bulwarze, Hamleta na Cannebière czy też Don Kichota na Wall Street. Jak każdy człowiek obdarzony dobrym gustem, Menard czuł odrazę do tych zbędnych maskarad, zdolnych jedynie do wywoływania w nas prymitywnej przyjemności anachronizmu czy też czarowania (co gorsza) trywialnym pomysłem, że wszystkie epoki są jednakowe, lub że wszystkie są różne. Bardziej interesujący, choć w realizacji powierzchowny i pełen sprzeczności, wydał mu się słynny zamiar Daudeta: połączenia w *jednej* postaci, którą jest Tartarin, Przemysłnego Hidalga i jego giermka... Ci, którzy sugerowali, że Menard poświęcił życie, aby napisać współczesnego *Don Kichota*, spotwarzają jego jasną Pamięć.

Nie pragnął ułożyć innego *Don Kichota* - co byłoby łatwe - lecz *właśnie Don Kichota*.

¹ Madame Henri Bachelier wymienia również dosłowny przekład dosłownego przekładu, jakiego dokonał Quevedo, utworu *Introduction à la vie déote* Św. Franciszka Salezego. W bibliotece Pierre'a Menarda nie ma ani śladu takiego dzieła. Musi tu chodzić o jakiś źle zrozumiany żart naszego przyjaciela (przyp. aut.).

² Miałem również zamiar naszkicować portret Pierre'a Menarda. Ale jakże bym śmiał współzawodniczyć ze złotymi stronicami, które podobno przygotowuje baronowa de Bacourt, lub z subtelnym i trafnym ołówkiem Carolusa Hourcade? (przyp. aut.).

³ Novalis (właściwie Friedrich Leopold von Hardenberg, 1772-1801) - niemiecki poeta i prozaik, historyczno-religijny myśliciel. Jego pisma i artykuły wydane zostały pod zbiorczym tytułem *Fragmenten* (przyp. tłum.).

Zbędne byłoby dodawać, że nie myślał nigdy o mechanicznym przepisaniu oryginału; nie zamierzał go skopiować. Jego ambicją, godną podziwu, było stworzenie stronic, które zbiegałyby się - słowo w słowo i zdanie po zdaniu - ze stronicami Miguela de Cervantes.

„Mój zamiar jest wręcz zdumiewający - pisał do mnie 30 września 1934 roku z Bayonne. - Ostateczny rezultat jakiegoś teologicznego czy metafizycznego dowodzenia - świat zewnętrzny, Bóg, przypadkowość, powszechniki - nie jest bardziej uprzedni ani wiadomy niż moja rozpowszechniona powieść. Jedyna różnica polega na tym, że filozofowie publikują w przyjemnych tomach pośrednie etapy swej pracy, a ja postanowiłem je zniszczyć. „I rzeczywiście nie ocalał żaden brulion, który świadczyłby o tej wieloletniej pracy.

Metoda, którą początkowo przyjął, była względnie prosta: poznać dobrze język hiszpański, odzyskać wikatolicką wojować przeciwko Maurom czy przeciwko Turkom, zapomnieć historię Europy od roku 1602 do roku 1918, *być* Miguelem de Cervantes. Pierre Menard przemyślał tę metodę (wiem, że doszedł do dość wiernego posługiwania się siedemnastowieczną hiszpańszczyzną), ale odrzucił ją jako zbyt łatwą. Raczej jako niemożliwą! - powie czytelnik. Zgoda, ale zamiar był z góry niewykonalny i ze wszystkich możliwych środków na zrealizowanie go, ten był najmniej interesujący. Bycie w XX wieku popularnym powieściopisarzem z wieku XVII wydało mu się obniżeniem własnej wartości. Bycie, w jakiś sposób, Cervantesem i dojście do *Don Kichota* wydało mu się mniej trudne, a więc mniej interesujące, niż pozostanie Pierrem Menardem i dojście do *Don Kichota* poprzez doświadczenia Pierre'a Menarda. (Przekonanie to, powiedzmy mimochodem, sprawiło, że zrezygnował z autobiograficznego prologu do drugiej części *Don Kichota*. Włączenie prologu oznaczałoby stworzenie drugiej postaci - Cervantesa - ale oznaczałoby również przedstawienie *Don Kichota* jako funkcji tej postaci, nie zaś Menarda. Ten oczywiście, zrezygnował z łatwizny). „Zasadniczo przedsięwzięcie moje nie jest trudne - czytam w innym miejscu listu. - Wystarczyłoby mi być nieśmiertelnym, aby doprowadzić je do kresu. „Wyznam, że wyobrażam sobie często, iż je ukończył i że czytam *Don Kichota* - całego *Don Kichota* - tak jak gdyby pomyślał go Menard. Kilka wieczorów temu, przeglądając rozdział dwudziesty szósty - nie próbowany nigdy przez naszego przyjaciela - rozpoznałem jego styl i prawie jego głos w tym wyjątkowym zdaniu: *nimfy rzeczne, żalodne a wilgotne Echo*. To skuteczne połączenie przymiotnika moralnego i fizycznego przywiodło mi na myśl pewien wiersz Szekspira, o którym dyskutowaliśmy jednego wieczoru:

*Where a malignant and turbaned Turk...*¹

Dlaczego właśnie *Don Kichot*? - powie nasz czytelnik. U Hiszpana preferencja ta nie byłaby niewytłumaczalna; ale jest bez wątpienia niewytłumaczalna u symbolisty z Nîmes, wielkiego wielbiciela Edgara Poe, który zrodził Baudelaire'a, który zrodził Mallarme'go, który zrodził Edmonda Teste'a². Wspomniany uprzednio list tłumaczy ten punkt. „*Don Kichot* - wyjaśnia Menard - interesuje mnie bardzo, ale nie wydaje mi się... jak by to powiedzieć?... nieunikniony. Nie potrafiłbym wyobrazić sobie wszechświata bez okrzyku Edgara Allana Poe:

*Ah, bear in mind this garden was enchanted!*³

lub bez *Bateau ivre* czy *Ancient mariner*, ale wiem, że jestem zdolny wyobrazić go sobie bez *Don Kichota* (mówię oczywiście o mojej zdolności osobistej, nie zaś o historycznym oddźwięku dzieł). *Don Kichot* jest książką przypadkową, *Don Kichot* jest niekonieczny. Mogę z góry przemyśleć napisanie go, mogę go napisać, nie popadając w tautologię. Przeczytałem go w wieku dwunastu czy trzynastu lat, chyba w całości. Później przeczytałem ponownie z uwagą niektóre rozdziały, te, o które się chwilowo nie pokuszę. Przeszedłem również przez *Intermedia*, *Galateę*, *Nowele przykładowe*, *Trudy*, niewątpliwie męczące, *Persilesa i Segismundy*, i *Podróż na Parnas...* Ogólne wspomnienie, jakie pozostało mi z *Don Kichota*, zubożone przez zapomnienie i obojętność, może doskonale odpowiadać niedokładnemu obrazowi pierwotnemu nie napisanej książki. Skoro przyjmę ten obraz (a nikt w dobrej wierze nie może mi go odmówić), stanie się niewątpliwe, że problem mój jest znacznie trudniejszy niż ten, przed którym stanął Cervantes. Mój łaskawy poprzednik nie odrzucał współpracy przypadku: układał swoje nieśmiertelne dzieło trochę *à la diable*, niesiony bezwładnością języka i inwencji. Ja podjąłem się tajemniczego zadania dosłownej rekonstrukcji jego spontanicznego dzieła. Moją samotną grą rządzą dwa przeciwstawne prawa. Pierwsze pozwala mi wypróbować warianty typu formalnego czy psychologicznego; drugie zmusza do poświęcenia ich tekstowi „oryginalnemu” i do wytłumaczenia samemu sobie, w sposób niezbity, tego unicestwienia... Do owych sztucznych utrudnień trzeba dodać jeszcze jedno,

¹ Dosłownie: „Gdzie rozwścieczony i noszący turban Turek...”, Szekspir, *Otello*, akt V, scena 2 (przyp., red.)

² Edmond Teste - najsławniejszy spośród bohaterów Paula Valéry'ego, typ intelektualisty, mistrza myśli, podobny pod wieloma względami do swego autora. Występuje w utworach: *La soirée avec M. Edmond Teste*, *La lettre d'Emilie Teste*, *Le Log Book de M. Teste* (przyp. tłum.).

³ „Jak powiedziałem, ogród był zaklęty.” E.A. Poe, *Do Heleny*, tłum. Zenon Przesmycki (przyp. red.).

wrodzone. Napisanie *Don Kichota* w początkach wieku XVII było przedsięwzięciem rozsądnym, koniecznym, być może spowodowanym jakimś *fatum*; w początkach wieku XX jest ono prawie niemożliwe. Nie na próżno upłynęło trzysta lat, brzemiennych w nader złożone fakty. Wśród nich, aby wymienić jeden tylko: samego *Don Kichota*.”

Mimo tych trzech przeszkód fragmentaryczny *Don Kichot* Menarda jest subtelniejszy niż *Don Kichot* Cervantesa. Ten ostatni, w jakiś prymitywny sposób, przeciwstawia rycerskim fikcjom ubogą prowincjonalną rzeczywistość swego kraju; Menard obiera jako „rzeczywistość” ziemię Carmen w stuleciu Lepantu i Lopego de Vega. Jakichże hispanizmów nie podsunąłby podobny wybór Maurice'owi Barrèsowi czy doktorowi Rodriguezwowi Larreta! Menard, unika ich z całą naturalnością. W jego dziele nie ma Cyganów ani konkwistadorów, ani mistyków, ani Filipa II, ani auto da fé. Lekceważy lub celowo wyklucza koloryt lokalny. Pogarda ta wskazuje na nowe rozumienie powieści historycznej. Pogarda ta potępia nieodwołalnie *Salammbô*.

Nie mniej interesujące jest rozpatrywanie poszczególnych rozdziałów, każdego z osobna. Przyjrzyjmy się na przykład rozdziałowi trzydziestemu ósmemu części pierwszej, który „mówi o ciekawym dyskursie Don Kichota o orężu i pismach”. Wiadomo, że Don Kichot (podobnie jak Quevedo w ustępie analogicznym, i późniejszym, utworu *Godzina dla wszystkich*) wypowiada się przeciwko literaturze, na korzyść broni. Cervantes był starym żołnierzem; jego sąd jest tu zrozumiały. Ale żeby *Don Kichot* Pierre'a Menarda - człowieka współczesnego z *La trahison des clercs* i z Bertrandelem Russellem - popadał ponownie w owe mgliste sofizmaty! Madame Bachelier dostrzegła w nich zachwycające i typowe podporządkowanie się autora psychice bohatera; inni (bez najmniejszej wnikliwości) - transkrypcję *Don Kichota*; baronowa de Bacourt - wpływ Nietzschego. Nie wiem, czy do tej trzeciej interpretacji (którą uważam za nie do odparcia) ośmielę się dodać czwartą, która pasowałaby doskonale do boskiej niemal skromności Pierre'a Menarda: jest nią jego zrezygnowany, czy ironiczny, zwyczaj głoszenia idei ściśle sprzecznych z własnymi. (Przypomnijmy raz jeszcze jego diatrybę przeciwko Paulowi Valéry'emu na efemerycznej, surrealistycznej stronicy u Jacques'a Reboula). Teksty Cervantesa i Menarda są pod względem słownym identyczne, ale ten drugi jest nieskończenie niemal bogatszy. (Bardziej dwuznaczny - powiedzą potwarzy; ale dwuznaczność jest rodzajem bogactwa).

Porównanie stronic Menarda i Cervantesa jest rewelacyjne. Cervantes napisał na przykład (*Don Kichot*, część pierwsza, rozdział dziewiąty):

...prawda, której matką jest historia, spółzawodniczka czasu, depozytariuszka

*czynów, świadek przeszłości, przykład i monit dla teraźniejszości i nauka dla wieków przyszłych.*¹

Zredagowane w wieku XVII, napisane przez „genialnego laika” Cervantesa, wyliczenie to jest po prostu retoryczną pochwałą historii. Menard pisze natomiast:

...prawda, której matką jest historia, spółzawodniczka - czasu, depozytariuszka czynów, świadek przeszłości, przykład i monit dla teraźniejszości i nauka dla wieków przyszłych.

Historia - matką prawdy; pomysł jest zadziwiający. Menard, współczesny Williamowi Jamesowi, nie określa historii jako nauki badającej rzeczywistość, ale jako źródło tej rzeczywistości. Prawdą historyczną nie jest dla niego to, co się wydarzyło; jest nią to, co uważamy, że się wydarzyło. Końcowe zwroty - *przykład i monit dla teraźniejszości i nauka dla wieków przyszłych* - są bezwstydnie pragmatyczne.

Równie żywy jest kontrast stylów. Archaizujący styl Menarda - bądź co bądź cudzoziemca - odznacza się pewną afektacją. Nie odnosi się to do jego prekursora, który posługiwał się swobodnie codziennym językiem hiszpańskim swojej epoki.

Nie ma zajęcia umysłowego, które nie byłoby w rezultacie bezużyteczne. Jakaś doktryna filozoficzna początkowo jest prawdopodobnym opisem wszechświata; mijają lata i staje się po prostu rozdziałem - jeśli nie ustępem czy nawet tylko nazwą - w historii filozofii. W literaturze ta późniejsza nieważność jest jeszcze bardziej widoczna. *Don Kichot* - mówił mi Menard - był przede wszystkim przyjemną książką; teraz stał się okazją do patriotycznych toastów, do gramatycznej dumy, do bezwstydnie luksusowych wydań. Chwała jest formą niezrozumienia, być może najgorszą.

Te nihilistyczne stwierdzenia nie mają w sobie nic nowego; rzeczą godną uwagi jest decyzja, którą dzięki nim powziął Pierre Menard. Postanowił wyprzedzić bezużyteczność, jaka oczekuje wszelkie trudy ludzkie; podjął się przedsięwzięcia niezwykle skomplikowanego i od początku bezsensownego. Poświęcił swoje skrupuły i swoje bezsenne noce na powtórzenie w obcym języku istniejącej już książki. Mnożył bruliony, poprawiał zawzięcie i darł tysiące stronice rękopisu.² Nie pozwolił, aby zostały one przez kogokolwiek przeczytane,

¹ Cytaty z *Don Kichota* w tłumaczeniu Edwarda Boyé (przyp. tłum.).

² Pamiętam jego kratkowane zeszyty, jego czarne skreślenia, jego osobliwe znaki korektorskie i jego mrówcze pismo. Wieczorami lubił spacerować po przedmieściach Nîmes; zazwyczaj miał ze sobą jeden z tych

i zatroszczył się o to, aby go nie przeżyły. Na próżno usiłowałem je odtworzyć.

Pomyślałem, że można dostrzec w „ostatecznym” *Don Kichocie* rodzaj palimpsestu, na którym powinny przeświecać ślady - znikome, ale czytelne - uprzedniego pisma naszego przyjaciela. Niestety jedynie jakiś następny Pierre Menard, odwracając pracę poprzedniego, mógłby odgrzebać i wskrzesić owe Troje...

„Myślenie, analizowanie, tworzenie - pisał mi również - nie są czynami anormalnymi, są normalnym oddechem umysłu. Gloryfikacja sporadycznego wypełniania tej czynności, zbieranie dawnych i cudzych myśli, wspomnianie z niedowierzającym zdumieniem tego, co pomyślał *doctor universalis*¹, to wyznawanie naszej bezsilności czy naszego barbarzyństwa. Każdy człowiek powinien być zdolny do wszystkich myśli i sądzę, że tak będzie w przyszłości.”

Menard (być może nieświadomie) wzbogacił niezdecydowaną i prymitywną sztukę lektury za pomocą nowej techniki: techniki zamierzonego anachronizmu i błędnych atrybucji. Ta technika, o nieskończonym zastosowaniu, skłania nas do czytania *Odysei* jakby była ona późniejsza od *Eneidy*, i książki *Le jardin du Centaure* Madame Bachelier, jakby była to książka Madame Bachelier. Ta technika zaludnia przygodami najspokojniejsze utwory. Czy przypisanie Louisowi Ferdinandowi Céline lub Jamesowi Joyce'owi *Naśladowania Chrystusa* nie jest dostatecznym odnowieniem tych subtelnych rad duchowych?

Nîmes, 1939

zeszytów i robił z niego wesołe ognisko (przyp. aut.).

¹ *Doctor universalis* - przydomek, który nadano Albertowi Wielkiemu (przyp. tłum.).

Koliste ruiny

*And if be left off dreaming about you...*¹

Through the Looking-Glass, VI

Nikt nie widział, jak przybijał do brzegu podczas jednomyślnej nocy, nikt nie widział, jak bambusowe czołno zagłębiło się w święty muł, ale po kilku dniach wszystkim było wiadomo, że milczący człowiek przybywał z Południa, i że jego ojczyzną była jedna z nieskończonych wiosek, położonych w górze rzeki, na gwałtownym zboczu góry, gdzie język zend nie jest skażony greką i gdzie trąd jest rzadko spotykany. Szary człowiek ucałował muł, wszedł na brzeg, nie odsuwając (nie czując prawdopodobnie) ostrych trzciny, które kaleczyły mu ciało, i powlókł się półprzytomny i zakrwawiony do kolistego ogrodu, nad którym wznosił się kamienny tygrys czy koń, niegdyś koloru ognia, a teraz popiołu. Ta rotunda jest świątynią, którą pochłonęły starożytne pożary, którą sprofanowała bagnista puszcza i której bóg nie odbiera już hołdów ludzi. Przybysz położył się pod piedestałem. Zbudziło go wysokie słońce. Stwierdził bez zdziwienia, że rany się zabiły; zamknął blade oczy i zasnął, nie z powodu osłabienia ciała, lecz pod wpływem wysiłku woli. Wiedział, że świątynia jest miejscem, jakiego wymaga jego niezłomny zamiar; wiedział, że nieustanne drzewa nie zdołały udusić, w dole rzeki, ruin innej dogodnej świątyni, również należącej do spalonych i martwych bogów; wiedział, że jego natychmiastowym obowiązkiem jest sen. O północy obudził go niepoczyszony krzyk jakiegoś ptaka. Ślady bosych stóp, kilka fig i dzban powiadomiły go, że miejscowi ludzie śledzili z szacunkiem jego sen, starali się pozyskać jego opiekę czy też obawiali się jego magii. Poczł chłód lęku, i znalazł w rozpadającym się murze grobową niszę, i okrył się nieznanymi liśćmi.

Zamysł, który nim kierował, nie był niemożliwy, chociaż nadprzyrodzony. Chciał wyśnić człowieka: chciał wyśnić go w drobiazgowej pełni i narzucić rzeczywistości.

¹ „A gdyby przestał snić o tobie...”, Lewis Carroll, *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra*, tłum. M. Słomczyński (przyp. red.).

Magiczny projekt wyczerpał całą zawartość jego duszy; jeśli ktoś zapytał go o imię czy jakikolwiek szczegół minionego życia, nie umiałby odpowiedzieć. Odpowiadała mu niezamieszka i zrujnowana świątynia, gdyż było to minimum widzialnego świata; również bliskość drwali, gdyż ci wzięli na siebie zaspokajanie jego skromnych potrzeb. Ryż i owoce pochodzące z ich daniny były wystarczającym pożywieniem dla ciała, oddającego się jedynie czynności spania i śnienia.

Na początku sny były chaotyczne; wkrótce potem przybrały charakter dialektyczny. Przybysz śnił, że znajduje się w centrum kolistego amfiteatru, który w jakiś sposób był spaloną świątynią: cienie milczących uczniów nużyły stopnie; twarze ostatnich zawieszono były w odległości kilku wieków i na gwiazdnej wysokości, ale zupełnie wyraźne. Człowiek dyktował im lekcje anatomii, kosmografii, magii: twarze słuchały z niepokojem i usiłowały rozumnie odpowiadać, jakby odgadywały znaczenie tego egzaminu, który jedną z nich miał odkupić ze stanu próżnej mary i wprowadzić do świata rzeczywistego. Człowiek, we śnie i na jawie, rozważał odpowiedzi widm, nie dawał się zwodzić impostorom, zgadywał z ich wątpliwości rosnącą inteligencję. Poszukiwał duszy, która zasługiwałaby na uczestnictwo we wszechświecie.

Po dziewięciu czy dziesięciu nocach zrozumiał z niejaką goryczą, że niczego nie może oczekiwać po uczniach, którzy biernie przyjmowali jego naukę, lecz jedynie po tych, którzy ryzykowali czasami rozsądny sprzeciw. Ci pierwsi, chociaż godni miłości i przywiązania, nie mogli, osiągnąć stanu indywidualnych osobników, preegzystencja tych drugich trwała nieco dłużej. Pewnego popołudnia (teraz również popołudnia płaciły daninę snom, teraz spędzał na jawie jedynie parę godzin o świcie) pożegnał na zawsze rozległe iluzoryczne kolegium i pozostał z jednym tylko uczniem. Był to milczący, blade chłopiec, czasami uparty, z twarzą o rysach ostrych, powtarzających rysy tego, który go wyśnił. Nagłe usunięcie współuczniów nie speszło go na długo; jego postępy po kilku indywidualnych lekcjach zdołały zdziwić mistrza. Ale wydarzyła się katastrofa. Człowiek wynurzył się pewnego dnia ze snu jak z lepkiej pustyni, spojrzął na nikłe światło wieczoru, które z początku pomylił ze świtem, i zrozumiał, że nie śnił. Przez całą noc i przez cały dzień przytłaczała go nieznośna trzeźwość bezsenności. Zapragnął przejść się po puszczy, zmęczyć się; ale zdołał zyskać wśród cykuty zaledwie kilka chwil słabego snu, przeplecionych przelotnie wizjami szczątkowymi, całkiem bezużytecznymi. Zapragnął zebrać kolegium swych uczniów, ale zaledwie wymówił kilka krótkich słów zaklęcia, zniekształciło się ono i zatarło. Podczas nieprzerwanej prawie jawy łzy gniewu paliły jego stare oczy.

Zrozumiał, że chęć modelowania niespójnej i zawrotnej materii, z jakiej składają się

sny, jest najtrudniejszym zamysłem, jaki może powziąć człowiek, choćby przeniknął wszystkie sekrety wyższego i niższego porządku; znacznie trudniejszym niż ukreślenie bicza z piasku czy bicie monety z wiatru bez twarzy. Zrozumiał, że początkowe niepowodzenie było nieuniknione. Poprzysiągł zapomnieć o potężnej halucynacji, która na początku zepchnęła go z właściwej drogi i poszukał innej metody działania. Zanim ją zastosował, miesiąc poświęcił na odzyskanie sił, jakie zużyło tamto delirium. Porzucił wszelki zamiar śnienia i prawie natychmiast zdołał usnąć i spał przez znaczną część dnia. Podczas tego okresu, w nielicznych wypadkach, kiedy śnił, nie przywiązywał wagi do swoich snów. Aby podjąć znów dzieło poczekał, aż dysk księżycy stanie się doskonały. Potem, wieczorem, oczyścił się w wodach rzeki, złożył hołd planetarnym bóstwom, wypowiedział dozwolone sylaby pewnego potężnego imienia i zasnął. Prawie natychmiast przyśniło mu się bijące serce.

Śniło mu się żywe, gorące, wielkości zaciśniętej pięści, o kolorze granatu w półmroku ludzkiego ciała, jeszcze bez twarzy ani płci; śnił o nim z drobiazgową miłością przez czternaście olśniewających nocy. Każdej nocy dostrzegał je wyraźniej. Nie dotykał go: ograniczał się do stwierdzania obecności, obserwowania go, być może poprawiania go swym spojrzeniem. Dostrzegał je, żył jego widokiem, z wielu odległości i pod wieloma kątami. Czternastej nocy musnął wskazującym palcem arterię płucną, a potem całe serce, z zewnątrz i od wewnątrz. Badanie zadowoliło go. Celowo nie śnił przez całą jedną noc; potem wziął znów serce, wezwał imienia pewnej planety i przeszedł do wizji innego spośród głównych narządów. Przed upływem roku doszedł do szkieletu, do powiek. Niezliczone włosy były chyba najtrudniejszym zadaniem. Wyśnił całego człowieka, młodzieńca, ale ten nie wstawał ani nie mówił, ani nie mógł otworzyć oczu. Noc po nocy człowiek śnił go śpiącego.

W kosmogoniach gnostycznych demiurgowie lepią czerwonego Adama, któremu nie udaje się stanąć na nogach; równie niezręczny i toporny, i prymitywny jak Adam uczyniony z prochu, był ów Adam ze snu, którego stworzyły noce maga. Pewnego popołudnia człowiek niemal zniszczył całe swoje dzieło (byłoby dla niego lepiej, gdyby je zniszczył), ale poczuł żal. Gdy wyczerpał zaklęcia skierowane do bóstw ziemi i rzeki, padł do stóp posagu, może tygrysa, może konia, i wezwał jego nieznaną pomoc. O zmierzchu przyśnił mu się posąg. Przyśnił mu się żywy, drżący: nie był to straszliwy bękart konia i tygrysa, ale jednocześnie te dwa porywcze stworzenia, i również byk, róża, wicher. Ten mnogi bóg wyjawiał mu swoje ziemskie imię - Ogień; w tej kolistej świątyni (i w innych podobnych) składano mu niegdyś ofiary i oddawano cześć. Wyjawiał też, że w magiczny sposób ożywi wyśnione widmo tak, że wszystkie stworzenia, prócz samego Ognia i śniącego, będą go uważały za człowieka z krwi i kości. Rozkazał, żeby nauczył go rytuałów i posłał do innej zrujnowanej świątyni, której

piramidy przetrwały w dole rzeki, po to, by jakiś głos uczył go w tym opuszczonym gmachu. We śnie człowieka śniącego wyśniony obudził się.

Mag wykonał polecenia. Poświęcił pewien czas (który w końcu wypełnił dwa lata) na wyjawienie mu arkanów wszechświata i kultu ognia. To, że musi się z nim rozstać, przenikało go bólem do głębi. Pod pretekstem pedagogicznej konieczności co dnia przedłużał godziny poświęcone na sen. Wykonał również powtórnie prawe ramię, być może nieudane. Czasami niepokoiło go przeświadczenie, że wszystko to już się poprzednio wydarzyło... Na ogół jego dni były jednak szczęśliwe; zamykając oczy, myślał: *Teraz będę z moim synem*. Albo, rzadziej: *Syn, którego powołałem do życia oczekuje mnie i nie będzie istniał, jeżeli do niego nie pójdę*.

Stopniowo przyzwyczajał go do rzeczywistości. Pewnego dnia rozkazał mu umieścić chorągiew na odległym szczycie. Następnego dnia na szczycie powiewała chorągiew. Spróbował innych tego rodzaju eksperymentów, za każdym razem zuchwalszych. Zrozumiał z pewną goryczą, że jego syn był gotów, żeby się narodzić - i być może niecierpliwił się. Tej nocy pocałował go po raz pierwszy i wysłał do drugiej świątyni, której resztki białają w dole rzeki, o wiele mil nierozwikłanej puszczy i mokradeł. Przedtem natchnął go (aby nigdy nie dowiedział się, że jest widmem, aby uważał się za takiego człowieka jak inni) całkowitym zapomnieniem lat nauki.

Jego zwycięstwo i jego spokój zostały przyćmione znużeniem. Podczas zmierzchów wieczoru i świtu padał na twarz przed kamienną figurą, być może wyobrażając sobie, że jego nierealny syn dopełnia identycznych rytuałów w innych kolistych ruinach, w dole rzeki; nocą nie śnił lub śnił jak inni ludzie. Odbierał nieco wyblakłe dźwięki i kształty wszechświata: nieobecny syn żywił się tym zanikaniem jego duszy. Cel jego życia został osiągnięty; człowiek trwał w jakimś rodzaju ekstazy. Po upływie czasu, jaki niektórzy opowiadający jego historię liczą na lata, a inni na pięciolecia, zbudzili go o północy dwaj wiosłarze: nie mógł dostrzec ich twarzy, ale opowiedzieli mu o magicznym człowieku w pewnej świątyni Północy, który potrafił chodzić po ogniu i nie parzył się. Mag przypomniał sobie nagle słowa boga. Przypomniał sobie, że ze wszystkich istot, jakie tworzą glob, ogień jest tą jedyną, która wie, że jego syn jest widmem. Przypomnienie, początkowo uśmierzające, zaczęło go dręczyć. Przestraszył się, że syn zacznie zastanawiać się nad tym niezwykłym przywilejem i w jakiś sposób odkryje, iż jest tylko widmem. Nie być człowiekiem, być projekcją snu innego człowieka: cóż za niezrównane upokorzenie, cóż za zawrót głowy! Każdego ojca obchodzą losy dzieci, które do życia powołał (do których urodzenia dopuścił) w zwykłym zamęciu czy szczęściu; to naturalne, że mag obawiał się o przyszłość tego syna, pomyślanego część po

części i rys po rysie podczas tysiąca i jednej tajemniczych nocy.

Zakończenie rozmyślań było nagłe, ale poprzedziło je kilka znaków. Najpierw (po długiej suszy) odległa chmura nad pewnym szczytem, lekka jak ptak; potem, od strony Południa, niebo, które miało kolor różowy jak działo lamparta; później dymy, które pokryły rdzą metal nocy; później paniczna ucieczka zwierząt. Powtórzyło się bowiem to, co wydarzyło się przed wieloma wiekami. Ruiny sanktuarium boga ognia zostały zniszczone przez ogień. O świcie bez ptaków mag zobaczył, jak zbliża się do murów kolisty pożar. Przez chwilę pomyślał o schronieniu się w wodzie, ale potem zrozumiał, że nadchodzi śmierć, żeby ukoronować jego starość i rozgrzeszyć go z jego trudów. Poszedł ku płomieniom. Nie kąsały jego ciała, pieściły go i otaczały, nie parząc i nie paląc. Z ulgą, z upokorzeniem, z przerażeniem zrozumiał, że również on jest widmem, które śni ktoś inny.

1939

Loteria w Babilonie

Byłem prokonsulem jak wszyscy mieszkańcy Babilonu; jak wszyscy - niewolnikiem. Poznałem także wszechmoc władzy, hańbę, więzienie. Spójrzcie: u prawej ręki brakuje mi wskazującego palca. Spójrzcie: przez dziurę w płaszczu widać na brzuchu czerwony tatuaż; jest to drugi symbol: Beth. Litera ta w nocy, podczas pełni księżyca, daje mi władzę nad ludźmi, którzy noszą imię Ghimel, lecz poddaje tym, u których widnieje Alef; ci zaś w bezksiężycowe noce winni są posłuszeństwo ludziom ze znakiem Ghimel. W półmroku świtania, w piwnicach, podrzynałem przed czarnym kamieniem tętnice na szyjach świętych byków. Podczas jednego z lat księżycowych ogłoszono mnie niewidzialnym: krzychałem i nie odpowiadano mi, kradłem chleb i nie ścinano mnie. Zaznałem nieznanego Grekom uczucia niepewności. W sali z brązu, wobec cichej chusty dusiciela, nie opuściła mnie nadzieja, a w rzece rozkoszy - trwoga. Heraklides z Pontu opowiada z podziwem o tym, jak Pitagoras przypomniał sobie, że był niegdyś Pyrronem, a przedtem Euforbem, a jeszcze przedtem jakimś innym śmiertelnikiem; aby wspominać o podobnych kolejach losu, nie muszą odwoływać się do śmierci ani nawet podszywać się pod kogoś innego.

Tę przerażającą niemal zmienność winien jestem instytucji, której inne republiki nie znają, bądź działa w nich ona w sposób niedoskonały i tajny - loterii. Nie rozpytywałem ludzi o jej historię; wiem, że magowie nie mogą tutaj dojść do porozumienia; wiem o ich potężnych zamiarach tyle, ile człowiek nieobeznany z astrologią może wiedzieć o księżycu. Jestem z zawrotnego kraju, w którym loteria jest najważniejszą częścią rzeczywistości; do dzisiaj niewiele nad nią rozmyślałem; tak niewiele jak nad postępowaniem nierozeznanych bogów lub nad własnym sercem. Teraz, z dala od Babilonu i jego ukochanych tradycji, rozmyślam z pewnym zdziwieniem nad loterią i nad bluźnierczymi domysłami, o których szepczą wieczorami ludzie o zasłoniętych twarzach.

Opowiadał mój ojciec, że dawniej (kwestia wieków, lat?) loteria w Babilonie była grą o charakterze plebejskim. Opowiadał (nie wiem, czy można mu wierzyć), że cyrulicy sprzedawali za cenę kilku miedziaków czworoboczne kawałki kości lub pergaminu ozdobione

symbolicznymi znakami. Losowanie odbywało się w biały dzień: ci, którym się poszczęściło, otrzymywali - bez dodatkowego potwierdzenia ze strony losu - monety wybite w srebrze. Procedura, jak widzicie, była niezwykle prosta.

Oczywiście te „loterie” zakończyły się fiaskiem. Ich zalety moralne były żadne. Nie odwoływały się one do wszystkich zdolności człowieka - li tylko do jego nadziei. Wobec powszechnej obojętności przestały się opłacać kupcom, którzy je stworzyli dla zysku. Ktoś pokusił się o reformę: do ogólnej liczby wygranych dołączono kilka losów niepomyślnych. W efekcie ludzie nabywający ponumerowane kwadraty brali na siebie podwójne ryzyko: wygrania pewnej sumy lub zapłacenia kar, niekiedy bardzo wygórowanej. To nieznaczne niebezpieczeństwo (na każde trzydzieści numerów szczęśliwych jeden był niekorzystny) wzbudziło naturalnie powszechne zainteresowanie. Babilończycy oddali się grze. Ten, kto nie nabywał losów, był uważany za tchórza i słabeusza. Z czasem podwoiła się ta usprawiedliwiona pogarda. Pogardzano tym, który nie grał, lecz także przegrywającym, który płacił karę. Towarzystwo (tak je począto wówczas nazywać) musiało bronić interesów graczy, którzy nie mogli podjąć wygranych, jeśli nie wpływały prawie wcale sumy z tytułu kar. Wytoczyło więc proces przegrywającym: sędzia skazał ich na zapłacenie kary oraz kosztów postępowania sądowego, z możliwością zamiany na kilka dni więzienia. Wszyscy wybrali więzienie, chcąc w ten sposób oszukać Towarzystwo. Z tej fanfaronady nielicznych zrodziła się wszechwładza Towarzystwa: jego religijne, metafizyczne znaczenia.

Po niedługim czasie z ogłoszeń o wynikach losowania zniknęły wykazy kar, ogłaszano jedynie liczbę dni więzienia odpowiadającą każdemu niepomyślnemu numerowi. Lakoniczność ta, w swoim czasie prawie niezauważona, posiadała kapitalne znaczenie. *Było to pojawienie się w loterii po raz pierwszy elementów niepieniężnych.* Sukces był ogromny. Na żądanie grających Towarzystwo musiało zwiększyć liczbę losów niekorzystnych.

Wszyscy wiedzą, że lud babiloński wielbi logikę, a ponadto symetrię. Przeliczenie numerów szczęśliwych na krągłe monety, a numerów niepomyślnych na dni i noce w więzieniu było pozbawione konsekwencji. Niektórzy moralisci rozumowali, że posiadanie monet nie zawsze stanowi o szczęściu, i że inne formy szczęścia są być może bardziej bezpośrednio.

Innego rodzaju niepokój wzbierał w dzielnicach biedoty. Członkowie kapłańskiego kolegium wykupywali losy i doświadczali wszelkich odmian strachu i nadziei; biedacy (patrzący na to ze zrozumiałą, czy nieuniknioną, zazdrością) byli świadomi swego wykluczenia z tego wahadłowego ruchu dostarczającego wspaniałych przeżyć. Słuszne pragnienie, ażeby wszyscy - biedni czy bogaci - mieli jednakowy udział w loterii,

spowodowało wrzenie i doprowadziło do rozruchów. Pamięci o nich nie zaćmiły lata. Niektórzy uparci ludzie nie rozumieli (lub też udawali niezrozumienie), że chodzi o nowy porządek, o konieczny etap na drodze historii... Jakiś niewolnik ukradł karmazynowy bilet, a losowanie obdarzyło go wypaleniem języka. Kodeks przewidywał tę samą karę za kradzież losu. Niektórzy Babilończycy wyrażali przekonanie, że zasługuje na rozpalone żelazo jako złodziej; inni zaś, bardziej wspaniałomyślni, uważali, że kat powinien posłużyć się żelazem z racji rozporządzenia losu... Doszło do rozruchów i do pożałowania godnego przelewu krwi; lecz lud Babilonu postawił w końcu na swoim mimo oporu bogaczy. Lud dopiął w pełni swoich szlachetnych celów. Po pierwsze, zdołał nakłonić Towarzystwo, aby zgodziło się przejąć całkowitą władzę we wszystkich dziedzinach. (Jedność władzy była konieczna wobec ogromu i skomplikowania nowych zadań). Po drugie, zyskał loterię tajną, bezpłatną i powszechną. Kupczenie losami zostało zniesione. Po wtajemniczeniu w obrządek Bela, każdy wolny człowiek automatycznie brał udział w świętych losowaniach, które odbywały się w labiryntach boga co sześćdziesiąt nocy i rozstrzygały o jego losie aż do następnego terminu. Skutki były nieobliczalne. Szczęśliwy los mógł wynieść gracza do zgromadzenia magów lub postanowić o uwięzieniu osobistego lub publicznego wroga, albo też przynieść w spokojnym półmroku pokoju spotkanie kobiety, która zaczyna nas niepokoić, lub też tej, której nie mieliśmy już nadziei ujrzeć; los niepomysłny przynosił okaleczenia, różnoraką hańbę, śmierć. Niekiedy jedno tylko zdarzenie - karczemne morderstwo obywatela „C”, zagadkowa apoteoza „B” - było genialnym rezultatem trzydziestu lub czterdziestu losowań. Łączenie wyników losowań było rzeczą trudną, nie trzeba jednak zapominać, że urzędnicy Towarzystwa byli (i są) wszechmocni i przebiegli. W wielu wypadkach świadomość, że szczęście jest po prostu dziełem przypadku, zmniejszałyby jego wartość; aby ominąć tę przeszkodę, agenci Towarzystwa posługiwali się sugestią i magią. Ich kroki, ich poczynania były tajne. Aby dowiedzieć się o najintymniejszych nadziejach i najszybszych trwogach, mieli do dyspozycji astrologów i szpiegów. Niektóre spośród kamiennych lwów, święta latryna zwana Qaphqa, szczeliny w starym akwedukcie według powszechnego mniemania *umożliwiały dotarcie do Towarzystwa*; ludzie zawistni lub życzliwi składali w tych miejscach donosy. Wiadomości te, mniej lub bardziej prawdziwe, były zbierane w alfabetycznym archiwum.

Nie do wiary: nie zabrakło głosów niezadowolenia. Towarzystwo z właściwą sobie dyskrecją nie dało bezpośredniej odpowiedzi. Wołało nakreślić w gruzach fabryki masek kilka zwiędłych tez, które obecnie stanowią część świętych pism. Ten doktrynalny tekst zwracał uwagę, że loteria jest wprowadzeniem przypadku w porządek świata oraz że przyjęcie błędów nie stanowi zaprzeczenia przypadku, lecz go potwierdza. Zwracał również

uwagę na to, że lwy i święte naczynie, jakkolwiek nie odrzucone przez Towarzystwo (które nie pozbywało się prawa do ich używania), funkcjonują jednak bez gwarancji.

Oświadczenie rozwiało niepokoje ludności. Przyniosło także inne, nieprzewidziane być może przez autorów, skutki. Zmieniło do głębi charakter i działalność Towarzystwa. Czasu mam niewiele, zawiadamiają nas właśnie, że statek wkrótce podnosi kotwicę, ale postaram się to wytłumaczyć.

Brzmi to niewiarygodnie, ale nikt dotychczas nie podjął pracy nad ogólną teorią gry. Babilończyk rzadko oddaje się abstrakcji. Przyjmuje nakazy losu, oddaje mu życie, nadzieję, paniczną trwogę, ale nie przyjdzie mu na myśl dociekać jego labiryntowych praw ani badać obrotów kul, które go objawiają. Mimo to, oświadczenie, o którym wspomniałem, spowodowało wiele dyskusji o charakterze prawno-matematycznym. Z jednej z nich wzięło początek następujące przypuszczenie: jeżeli loteria jest wzmożeniem przypadku, systematycznym sąceniem chaosu w porządek świata, czy nie byłoby pożądane, aby traf uczestniczył we wszystkich etapach losowania, nie zaś tylko w jednym? Czy nie jest rzeczą śmieszną, że traf decyduje o czyjejs śmierci, a okoliczności tej śmierci - skrytość, jawność, moment kiedy ma ona nastąpić - za godzinę czy za sto lat - nie są poddane trafowi? Te wątpliwości, jak najbardziej zresztą słuszne, doprowadziły w końcu do daleko idącej reformy, której zawilość (pogłębiona wielowiekową praktyką) dostępna jest zaledwie kilku specjalistom. Postaram się jednak streścić jej zasady, w sposób choćby tylko symboliczny.

Wyobraźmy sobie pierwsze losowanie, które decyduje o śmierci człowieka. Aby nakaz ten mógł być wykonany, odbywa się drugie losowanie, które wyłania (powiedzmy) dziewięciu możliwych wykonawców wyroku. Spośród nich: czterech może wziąć udział w trzecim losowaniu, które decyduje o imieniu właściwego wykonawcy; dwóch będzie miało prawo zmienić los nieprzychylny na szczęśliwy (znalezienie skarbu na przykład); inny spotęguje śmierć (to znaczy uczyni ją haniebną lub wzbogaci o tortury); inni znów będą mogli odmówić wykonania wyroku... Tak by się przedstawiał symboliczny schemat. W rzeczywistości *liczba losowań jest nieskończona*. Żadna decyzja nie jest ostateczna, wszystkie podlegają rozgałęzieniu. Ignoranci przypuszczają, że nieskończone losowania wymagają nieskończonego czasu; w rzeczywistości wystarczy, aby czas był nieskończenie podzielny, jak uczy słynna przypowieść o żółwiu. Nieskończoność ta w zadziwiający sposób zgodna jest z krętymi cyframi Przypadku, a także z Niebiańskim Archetypem Loterii, któremu hołdują platończycy... Wydaje się, że zniekształcone echo naszych obrządków dotarło nad brzegi Tybru: Ello Lampridio w *Żywocie Heliogabala* opowiada, że cesarz ten miał zwyczaj wypisywać na muszlach znaki odpowiadające prezentom, którymi miał zamiar obdarzyć

swoich gości; tak więc jeden otrzymywał dziesięć funtów złota, inny dziesięć much, dziesięć susłów, dziesięć niedźwiedzi. Trzeba przypomnieć, że Heliogabal kształcił się w Azji Mniejszej, wśród kapłanów boga, od którego wziął imię.

Istnieją także losowania nieosobowe, o nieokreślonym celu; jedno może nakazać, aby wrzucono w wody Eufratu szafir z Taprobany; inne - aby z wierzchołka wieży wypuszczono na wolność ptaka; jeszcze inne - aby w każdym stuleciu odjęto (lub dodano) jedno z niezliczonych ziaren piasku na brzegu morza. Skutki niekiedy bywają straszne.

Pod dobrotliwym wpływem Towarzystwa obyczaje nasze przesiąknęły ryzykiem. Kupiec nabywający dwanaście amfor damasceńskiego wina nie zdziwi się, jeśli któraś z nich będzie zawierała talizman lub żmiję; notariusz, który redaguje umowę, nie omieszka prawie nigdy wstawić jakiegoś błędnego szczegółu; ja sam w tym pisanym w pośpiechu dokumencie zawarłem niektóre fałszywe wspaniałości, fałszywe okropności; a także, być może, pewną ukrytą monotonię... Nasi najbardziej wnikliwi na świecie historycy wymyślili metodę korygującą traf; podobno w większości wypadków można na tej metodzie polegać; oczywiście rozpowszechnia się ją zawsze z pewną dozą fałszu. Poza tym nie ma nic bardziej skalanego fikcją niż historia Towarzystwa... Dokument paleograficzny wykopany w świątyni może być wynikiem losowania, które odbyło się wczoraj, albo przed wiekiem. Żadna książka nie może być wydana, o ile nie istnieje pewna rozbieżność pomiędzy każdym z jej egzemplarzy. Pisarze urzędowi składają tajną przysięgę, zobowiązując się do opuszczania, wstawiania, zmieniania. Uprawia się także kłamstwo pośrednie.

Towarzystwo z godną bogów skromnością unika jakiegokolwiek reklamy. Jego agenci są (rzecz oczywista) tajni; rozkazy, które są wydawane ciągle (a może i bezustannie), nie różnią się od rozkazów wydawanych przez wszelkiego rodzaju oszustów. Któż jednak może chęć się, iż jest tylko oszustem? Pijak, który w chwili zamroczenia ogłasza jakiś absurdalny nakaz, człowiek śpiący, który budzi się nagle i własnymi rękami dusi leżącą przy nim kobietę - czyż nie wykonują tajemnego nakazu Towarzystwa? Ten skryty sposób działania, dający się porównać do działania Boga, powoduje najróżniejsze domysły. Jeden z nich niegodnie insynuuje, że Towarzystwo nie istnieje już od wieków, a boski nieporządek, który rządzi naszym życiem, jest czymś dziedzicznym - tradycją; inne przypuszczenie głosi, że jest Ono wieczne, i uczy, że trwać będzie aż do ostatniej nocy, kiedy ostatni bóg zniszczy ziemię. Inne twierdzi, że Towarzystwo jest wszechmocne, ale wpływa tylko na rzeczy najdrobniejsze: krzyk ptaka, odcienie rdzy i kurzu, poranne sny. Inne, głoszone ustami zamaskowanych herezjarchów, mówi, że Towarzystwo *nigdy nie istniało i nigdy istnieć nie będzie*. Inne, nie mniej nikczemne, dowodzi, że jest rzeczą obojętną przyjmować czy

odrzucać istnienie mglistej korporacji, gdyż Babilon nie jest niczym innym jak nieskończoną grą przypadków.

Analiza twórczości Herberta Quaina

Herbert Quain zmarł w Roscommon; stwierdziłem bez zdziwienia, że dodatek literacki *Timesa* poświęca mu zaledwie pół szpalty nekrologicznej litości, bez jednego choćby pozytywnego epitetu, który nie byłby skorygowany (lub poważnie umniejszony) przez przysłówkę. *Spectator* ze swej strony jest z pewnością mniej lakoniczny i być może serdeczniejszy, ale porównuje pierwszą książkę Quaina - *The God of the Labyrinth* - z pewną książką Agaty Christie, a inne z książkami Gertrudy Stein. Są to zestawienia, których nikt nie uzna za nieuniknione i które poza tym nie sprawiłyby przyjemności zmarłemu. Zresztą on sam nie uważał się za genialnego: nawet podczas perypatetycznych nocy literackich rozmów, kiedy to człowiek, który już nużył prasy drukarskie, gra niezmiennie rolę Monsieur Teste'a¹ czy doktora Samuela Johnsona... Dostrzegał z całą jasnością eksperymentalny charakter swoich książek: godnych może podziwu ze względu na oryginalność i rodzaj uczciwego lakonizmu, ale z pewnością nie dla walorów uczucia, *jestem jak ody Cowleya*, pisał do mnie z Longfordu 6 marca 1939 roku. *Nie należę do sztuki, ale po prostu do historii sztuki*. Nie było dla niego dyscypliny późniejszej od historii.

Ukazałem skromność Herberta Quaina; skromność ta nie daje oczywiście obrazu całej jego osobowości. Flaubert i Henry James przyzwyczaili nas do opinii, że dzieła sztuki są rzadkością i że tworzenie ich jest pracochłonne; wiek XVI (przypomnijmy *Podróż na Parnas*, przypomnijmy los Szekspira) nie podzielał tej pesymistycznej opinii. Herbert Quain również jej nie podzielał. Twierdził, że dobra literatura jest raczej powszechna i że nie ma prawie zasłyszanego na ulicy dialogu, przypadkowej rozmowy, która by jej nie dorównywała. Twierdził również, że fakt estetyczny nie może obejść się bez pewnego elementu zdziwienia, i że dziwienie się w pamięci jest trudne. Ubolewał z uśmiechniętą szczerością nad „służalczym i uporczywym konserwowaniem” dawnych książek... Nie wiem, czy ta niejasna teoria da się obronić; wiem, że jego książki zbytnio dążą do zadziwiania.

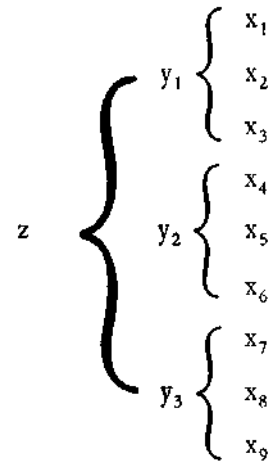
¹ Patrz przyp. 2 na str. 131 (przyp. tłum.).

Pożyczyłem niedawno pewnej pani, bezpowrotnie, pierwszą, jaką opublikował. Powiedziałem już, że chodzi o powieść kryminalną *The God of the Labyrinth*; mogę dodać, że wydawca wypuścił ją na rynek w ostatnich dniach listopada 1933 roku. W pierwszych dniach grudnia tegoż roku miłe i zagmatwane dziełko *Siamese Twin Mystery* torowało sobie drogę w Londynie i w Nowym Jorku; wolę przypisać niepowodzenie powieści naszego przyjaciela temu niefortunnemu zbiegowi okoliczności niż (jeśli mam być zupełnie szczery) jej brakom oraz błędnym, zimnym i patetycznym opisom morza. Z odległości siedmiu lat nie potrafię odtworzyć szczegółów akcji, ale oto jej zasadniczy schemat, zubożony (a zarazem oczyszczony) z powodu luk w mojej pamięci. Jest na początkowych stronicach zagmatwane morderstwo, na środkowych powolna dyskusja i rozwiązanie na ostatnich. Później, gdy zagadka została już wyjaśniona, następuje rozległy retrospektywny ustęp, który zawiera takie oto zdanie: *Wszyscy sądzili, że spotkanie dwóch szachistów było przypadkowe*. Daje ono do zrozumienia, że rozwiązanie jest błędne. Czytelnik, zaniepokojony, wraca do poprzednich rozdziałów i odkrywa inne rozwiązanie, prawdziwe. Czytelnik tej szczególnej książki okazuje się bardziej przenikliwy od detektywa.

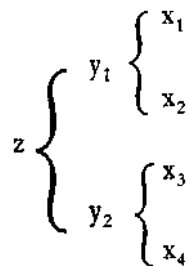
Jeszcze bardziej nieoceniona jest „powieść regresywna, rozgałęziona” *April March*, której trzecia (i jedyna) część pochodzi z roku 1936. Przy ocenie tej powieści musimy pamiętać, że chodzi o grę, i że autor nigdy jej nie traktował inaczej. *Przestrzegam w tym dziele, mówił, zasadniczych reguł każdej gry, jak: symetria, arbitralne prawa, znudzenie*. Nawet tytuł jest słabym kalamburem: nie znaczy *Marsz kwietniowy*, ale dosłownie *Kwiecień marzec*. Niektórzy dostrzegli na tych stronach echo doktryny Dunne'a; przedmowa Quaina *woli powoływać się na ów odwrócony świat Bradleya, w którym śmierć poprzedza narodzenie, a rana cios (Appearance and Reality, 1897, str. 215)*¹. Światy, które proponuje *April March*, nie są regresywne; regresywny jest sposób opowiadania historii. Regresywny i rozgałęziony, jak już powiedziałem. Dzieło składa się z trzynastu rozdziałów. Pierwszy relacjonuje dwuznaczny dialog nieznanymi na peronie. Drugi ukazuje wydarzenia w przeddzień pierwszego. Trzeci, również regresywny, wydarzenia innego możliwego przedednia pierwszego; czwarty - jeszcze innego. Każdy z tych trzech przededni (które ściśle się

¹ O uboga erudycjo Herberta Quaina, o uboga stronico dwieście piętnasta książki z 1897 roku! Rozmówca w *Polityku* Platona opisał już analogiczną regresję: regresję Synów Ziemi, czyli Autochtonów, którzy, poddani wpływowi odwrotnego krążenia kosmosu, przechodzili od starości do dojrzałości, od dojrzałości do dzieciństwa, od dzieciństwa do zaniku i wreszcie nicości. Również Teopomp w swojej *Philippinie* mówi o pewnych owocach północnych, powodujących u tego, kto je spożywa, ten sam proces regresji... Byłoby rzeczą bardziej interesującą wyobrazić sobie odwrócenie Czasu: stan, w którym pamiętalibyśmy przyszłość, a nie znali lub zaledwie przeczuwali przeszłość... Zob. dziesiątą pieśń *Piekle*, wersy 97-102, gdzie porównuje się wizję proroczą z presbiopią.

wykluczają) rozgałęzia się na trzy inne o bardzo różnorodnym charakterze. Całe dzieło składa się więc z dziewięciu opowiadań; każde opowiadanie z trzech długich rozdziałów (pierwszy rozdział, oczywiście, jest wspólny dla wszystkich opowiadań). Z tych opowiadań jedno ma charakter symboliczny; inne - nadprzyrodzony; inne - kryminalny; inne - komunistyczny; inne - antykomunistyczny, itd. Być może schemat ułatwi zrozumienie struktury



Można powiedzieć o tej strukturze to, co powiedział Schopenhauer o dwunastu kategoriach kantowskich: poświęca ona wszystko dla obłądu symetrii. Jak było do przewidzenia, każde z dziewięciu opowiadań jest niegodne Quaina. Najlepsze nie jest to, które wymyślił pierwotnie, czyli x_4 ; najlepsze jest opowiadanie o charakterze fantastycznym - x_9 . Pozostałe są zeszepeczone niesmacznymi żartami i zbędnymi pseudosprecyzowaniami. Kto czytałby je w porządku chronologicznym (na przykład x_3 , y_1 , z), straciłby cały szczególny smak tej dziwnej książki. Dwa opowiadania - x_7 i x_8 - mają niewielką wartość jako takie, lecz nabierają wymowy, jeśli je zestawisz... Przypomnę również, że Quain, opublikowawszy już *April March*, zniechęcił się do porządku trójdzielny i przepowiedział, że jego przyszli naśladowcy wybiorą: ludzie - dwudzielny



a demiurgowie i bogowie - nieskończony; nieskończone historie nieskończenie rozgałęzione.

Zupełnie odmienna, choć również retrospektywna, jest komedia heroiczna w dwóch aktach *The Secret Mirror*. W dziełach, o których mówiliśmy, złożoność formalna krępowała wyobraźnię autora; tutaj jej ewolucja jest swobodniejsza. Pierwszy akt (który jest najdłuższy)

rozgrywa się w wiejskim domu generała Thrale, koło Melton Mowbray. Niewidzialnym ośrodkiem intrygi jest Miss Ulrica Thrale, starsza córka generała. Dostrzegamy ją poprzez niektóre partie dialogu, niezależną i zarozumiałą; podejrzewamy, że nie poświęca zbyt dużo czasu literaturze; prasa zapowiada jej zaręczyny z księciem Rutlandu; prasa dementuje zaręczyny. Kocha ją autor dramatyczny Wilfred Quarles; młoda osoba obdarzyła go kilkakrotnie roztargnionym pocałunkiem. Bohaterowie posiadają wielką fortunę i starożytną krew; uczucia ich są wzniosłe, choć gwałtowne; dialog zda się wahać pomiędzy czystą wanilokwencją Bulwera-Lyttona, a epigramami Wilde'a czy Mr. Philipa Guedalla. Jest tam słowik i noc; jest skryte cierpienie w samotności. (Prawie niedostrzegalnie pojawiają się jakieś dziwne sprzeczności, nieco drastycznych szczegółów). Osoby z pierwszego aktu ukazują się ponownie w drugim, z innymi imionami. „Autor dramatyczny” Wilfred Quarles jest teraz komiwojażerem z Liverpoolu; jego prawdziwe nazwisko brzmi John William Quigley. Miss Thrale istnieje; Quigley nigdy jej nie widział, ale zbiera gorączkowo jej zdjęcia z *Tatlera* lub *Skecha*. Quigley jest autorem pierwszego aktu. Niewiarygodny, nieprawdopodobny „wiejski dom” jest żydowsko-irlandzkim pensjonatem, w którym mieszka, przetworzonym i upiększonym przez niego... Wątek obu aktów jest równoległy, ale w drugim wszystko jest lekko niesamowite, wszystko jest ciągle odkładane lub nieudane. Kiedy *The Secret Mirror* zostało wystawione, krytyka przytoczyła nazwiska Freuda i Juliena Greena. Wspomnienie tego pierwszego wydaje mi się całkowicie nieuzasadnione.

Opinia uznała, że *The Secret Mirror* jest komedią freudowską; ta sprzyjająca (i błędna) interpretacja przyniosła jej sukces. Niestety Quain skończył już czterdzieści lat; był przyzwyczajony do porażek i nie godził się łatwo ze zmianą stanu rzeczy. Postanowił się zrehabilitować. Przy końcu 1939 roku opublikował *Statements*: najoryginalniejszą chyba ze swoich książek, najmniej z pewnością chwaloną i najbardziej tajemniczą. Quain miał zwyczaj dowodzić, że czytelnicy są gatunkiem już wymarłym. *Nie ma Europejczyka* (rozumował) *który by, potencjalnie lub czynnie, nie był pisarzem*. Twierdził również, że wśród różnorodnych satysfakcji, jakie może zyskać literatura, najwyższą jest inwencja. Ponieważ nie wszyscy są zdolni do osiągnięcia tej satysfakcji, wielu będzie musiało zadowolić się pozorami. Dla tych niedoskonałych pisarzy, których są legiony, Quain ułożył osiem opowiadań, tworzących książkę *Statements*. Każde z nich zapowiada lub obiecuje dobrą treść, dobrowolnie zniszczoną przez autora. Jedno - nie najlepsze - podsuwa zresztą dwa tematy. Czytelnik, roztargniony własną próżnością, sądzi, że je wymyślił. Z trzeciego, *The Rose of Yesterday*, ja naiwnie wysnułem *Koliste ruiny*, jedno z opowiadań książki *Ogród o rozwidlających się ścieżkach*.

Biblioteka Babel

*By this art you may contemplate the
variations of the 23 letters...*¹

The Anatomy of Melancholy, part. 2,
sect. II, mem. IV

Wszechświat (który inni nazywają Biblioteką) składa się z nieokreślonej, i być może nieskończonej, liczby sześciobocznych galerii, z obszernymi, ogrodzonymi bardzo niskimi balustradami, studniami wentylacyjnymi w środku. Z każdej galerii widać piętra niższe i wyższe: nieskończenie. Układ galerii jest niezmienny. Dwadzieścia szaf, po pięć szerokich szaf na każdy bok, wypełnia wszystkie boki prócz dwóch; ich wysokość, równa wysokości pięter, zaledwie przekracza wzrost przeciętnego bibliotekarza. Jeden z wolnych boków przylega do wąskiej sieni, która wychodzi na inną galerię, identyczną jak pierwsza i jak wszystkie. Po lewej i po prawej stronie sieni są dwa małe pomieszczenia, jedno pozwala spać na stojąco; drugie zaspokajają potrzeby naturalne. Przechodzą tamtędy spiralne schody, które zapadają się i wznoszą ku odległym okolicom. W sieni jest lustro, które wiernie podwaja pozory. Ludzie wnioskują zazwyczaj na podstawie tego lustra, że Biblioteka nie jest nieskończona (gdyby taką rzeczywiście była, po cóż to złudne podwojenie?); ja wolę śnić, że gładkie powierzchnie przedstawiają i obiecują nieskończoność... Światło pochodzi z kulistych owoców, które noszą nazwę lamp. Jest ich dwie w każdym sześcioboku: na przeciwległych ścianach. Światło, jakie wysyłają, jest niewystarczające, nieustanne.

Jak wszyscy ludzie Biblioteki, podróżowałem w młodości; odbywałem pielgrzymki w poszukiwaniu jakiejś książki, być może katalogu katalogów; teraz, gdy moje oczy nie mogą niemal odcyfrować tego, co piszę, przygotowuję się na śmierć o niewiele mil od sześcioboku, w którym się urodziłem. Gdy umrę, nie zabraknie litościwych rąk, które wyrzucą mnie za

¹ „W ten sposób możecie rozważać różne związki 23 liter...” (przyj. red.).

balustradę; moim grobem będzie bezdenne powietrze; moje ciało będzie pograżać się długo, i rozłoży się, i rozpuści w wietrze wywołanym przez nieskończone spadanie, Idealisci dowodzą, że sześcioboczne sale są konieczną formą przestrzeni absolutnej lub, przynajmniej, naszej intuicji przestrzeni. Rozumują, że sala trójkątna czy pięciokątna jest niewyobrażalna. (Mistycy utrzymują, że ekstaza objawia im salę kolistą, z wielką okrągłą księgą o nie kończącym się grzbiecie, która obiega ściany; ich świadectwo jest podejrzane; ich słowa niejasne. Tą cykliczną Księgą jest Bóg). Niech wystarczy chwilowo, że powtórzę klasyczną opinię: *Biblioteka jest kulą, której dokładnym środkiem jest jakikolwiek sześciobok i której obwód jest nieosiągalny.*

Każdej ze ścian każdego sześcioboku odpowiada pięć szaf; każda szafa zawiera trzydzieści dwie książki znormalizowanego formatu; każda książka posiada czterysta dziewięć stron; każda strona czterdzieści wierszy; każdy wiersz około osiemdziesięciu liter czarnego koloru. Są również litery na grzbiecie każdej książki; litery te nie wskazują ani nie zapowiadają tego, o czym będą mówiły stronice. Wiem, że ów brak związku kiedyś wydawał się tajemniczy. Zanim streszczę jego rozwiązanie (którego odkrycie, mimo jego tragicznych rzutowań, jest być może głównym faktem tej historii), pragnę przypomnieć niektóre aksjomaty.

Pierwszy: Biblioteka istnieje *ab aeterno*. W prawdę tę, której bezpośrednią konsekwencją jest wieczność świata, nie może wątpić żaden rozsądny umysł. Człowiek, niedoskonały bibliotekarz, może być dziełem przypadku czy też złośliwych demiurgów; wszechświat, ze swym eleganckim wyposażeniem w szafy, w zagadkowe tomy, w nieznużone schody dla podróżnego i w latryny dla siedzącego bibliotekarza, może być jedynie dziełem jakiegoś boga. Aby dostrzec odległość między tym, co boskie a tym, co ludzkie, wystarczy porównać te niezdarne, drżące symbole, które moja omylna ręka skrobie na okładce książki, z organicznymi literami jej wnętrza; precyzyjnymi, delikatnymi, bardzo czarnymi, w niedościgły sposób symetrycznymi.

Drugi: liczba symboli graficznych wynosi dwadzieścia pięć.¹ Stwierdzenie to pozwoliło trzysta lat temu sformułować ogólną teorię Biblioteki i zadowalająco rozwiązać problem, którego żadne przypuszczenie poprzednio nie rozwikłało: bezkształtnej i chaotycznej natury prawie wszystkich książek. Jedna z nich, którą mój ojciec ujrzał w pewnym sześcioboku obwodu piętnaście dziewięćdziesiąt cztery, złożona była z liter M C V,

¹ Oryginalny rękopis nie zawiera liczb ani dużych liter. Interpunkcja została ograniczona do przecinka i kropki. Te dwa znaki, odstęp i dwadzieścia dwie litery alfabetu stanowią dwadzieścia pięć wystarczających symboli, które wymienia nieznajomy (przyp. wyd.).

powtarzających się przewrotnie od pierwszego do ostatniego wiersza. Inna (często konsultowana w tej okolicy) jest po prostu labiryntem liter, ale przedostatnia stronica mówi *O czasie, twe piramidy*. Wiadomo, że na jedną rozsądną linijkę czy słuszną wiadomość przypadają mile bezsensownych kakofonii, słownych gmatwanin i niedorzeczności. (Wiem o pewnej niebezpiecznej okolicy, w której bibliotekarze odrzucają przesądny i próżny zwyczaj poszukiwania sensu w książkach i porównują go do zwyczaju poszukiwania sensu w snach czy w chaotycznych liniach ręki... Przyznają, że wynalazcy pisma naśladowali dwadzieścia pięć naturalnych symboli, ale utrzymują, że ich zastosowanie jest przypadkowe i że książki same w sobie nic nie znaczą. Sąd ten, jak się przekonamy, nie jest całkiem błędny).

Przez długi czas sądzono, że owe nieprzeniknione książki odpowiadają wymarłym czy odległym językom. To prawda, że najdawniejsi ludzie, pierwsi bibliotekarze, używali języka wielce różniącego się od tego, jakim mówimy obecnie; to prawda, że o kilka mil w prawo używa się dialektu i że dziewięćdziesiąt pięć wyżej język jest niezrozumiały. Wszystko to, powtarzam, jest prawdą, ale czterysta dziewięć stronic niezmiennych liter M C V nie może odpowiadać żadnemu językowi, choćby nie wiem jak bardzo dialektalnemu czy prymitywnemu. Niektórzy sugerowali, że każda litera może wywierać wpływ na następną i że wartość liter M C V w trzeciej linijce strony siedemdziesiątej pierwszej nie jest taka sama, jaką ta seria może mieć w innej pozycji na innej stronie, ale ta niejasna teza nie miała powodzenia. Inni pomyśleli o kryptografiach; przypuszczenie to zostało ogólnie przyjęte, choć nie w sensie, w jakim je sformułowali jego wynalazcy.

Pięćset lat temu przełożony jednego z wyższych sześcioboków¹ znalazł książkę tak zawiłą jak inne, ale miała ona prawie dwie kartki o jednorodnych liniach. Pokazał swe znalezisko wędrownemu specjalście od odcyfrowywania, który powiedział mu, że są one zredagowane po portugalsku; inni powiedzieli mu, że w jidysz. Przed upływem wieku zdołano ustalić język: był to samojedzko-litewski dialekt języka guarani z fleksją klasycznego arabskiego. Również odcyfrowano treść: zarys analizy kombinatoryjnej, ilustrowany przykładami wariantów z nieograniczonymi powtórzeniami. Przykłady te pozwoliły pewnemu genialnemu bibliotekarzowi na odkrycie podstawowego prawa Biblioteki. Myśliciel ten zauważył, że wszystkie książki, jakkolwiek by się między sobą różniły, składają się z jednakowych elementów: odstęp, kropki, przecinka, dwudziestu dwu liter alfabetu. Przytoczył również fakt, który potwierdzili wszyscy podróżnicy: *Nie ma w rozległej*

¹ Dawniej na każde trzy sześcioboki przypadał jeden człowiek. Samobójstwa i choroby płucne zniszczyły tę proporcję. Wspomnienie niewypowiedziane melancholijne: czasami podróżowałem przez wiele nocy przez lśniące korytarze i schody, nie spotykając ani jednego bibliotekarza.

Bibliotece dwu identycznych ksiązek. Z tych niespornych przesłanek wydedukował, iż Biblioteka jest totalna i że jej szafy rejestrują wszelkie możliwe kombinacje dwudziestu kilku symboli graficznych (liczba ich, choć niezwykle wysoka, nie jest nieskończona), to jest wszystko to, co można wyrazić: we wszystkich językach. Wszystko: drobiazgową historię przyszłości, autobiografie archaniołów, wierny katalog Biblioteki, całe tysiące fałszywych katalogów, wykazanie fałszywości tych katalogów, wykazanie fałszywości katalogu prawdziwego, gnostyczną ewangelię Bazylidesa, komentarz do tej ewangelii, prawdziwą relację twojej śmierci, przekłady wszystkich ksiązek na wszystkie języki, interpolacje z każdej książki we wszystkich książkach.

Kiedy ogłoszono, że Biblioteka obejmuje wszystkie książki, pierwszym wrażeniem było niezmiernie szczęście. Wszyscy ludzie poczuli się panami nietkniętego i tajemnego skarbu. Nie było osobistego czy światowego problemu, którego szczegółowe rozwiązanie nie istniałoby: w którymś sześcioboku. Wszechświat był usprawiedliwiony, wszechświat przybrał nagle nieogarnione rozmiary nadziei. W owym czasie mówiono wiele o Windykacjach: księgach apologii i prorocstwa, które na zawsze usprawiedliwiały czyny każdego człowieka wszechświata i przechowywały cudowne tajemnice jego przyszłości. Tysiące zachłannych opuściło ukochane ojczyste sześcioboki i rzuciło się schodami w górę, pędzone przez próżną chęć odnalezienia swej Windykacji. Pielgrzymi ci dyskutowali w wąskich korytarzach, wypowiadali ciemne klątwy, dusili się wzajemnie na wąskich schodach, rzucali oszukańcze książki w głąb tunelu, ginęli rzucając w przepaść przez ludzi z odległych okolic. Inni oszaleli... Windykacje istnieją (ja widziałem dwie, które dotyczą osób z przyszłości, osób, być może, neurojonych), ale poszukujący nie pamiętali, że możliwość, aby jakiś człowiek znalazł własną, czy też jakiś przewrotny wariant własnej, jest wymierna zerem.

Również oczekiwano wówczas wyjaśnienia podstawowych tajemnic ludzkości: pochodzenia Biblioteki i czasu. Jest prawdopodobne, że te poważne tajemnice dadzą się wyrazić w słowach: jeśli nie wystarczy język filozofów, wielokształtna Biblioteka z pewnością wyprodukowała język, jaki jest do tego potrzebny, oraz słowniki i gramatykę tego języka. Już od czterech stuleci ludzie nużą sześcioboki... Istnieją poszukiwacze oficjalni, *inkwizytorzy*. Widziałem, jak wykonują swoje funkcje: przychodzą zawsze wyczerpani; mówią o jakichś schodach bez stopni, które o mało ich nie zabiły; rozmawiają z bibliotekarzem o korytarzach i schodach; czasami biorą najbliższą książkę i przeglądają ją w poszukiwaniu nikczemnych słów. Widoczne jest, że nikt nie oczekuje odkrycia czegokolwiek.

Po nadmiernej nadziei nastąpiło, co jest naturalne, przesadne zniechęcenie. Pewność, że któraś szafa w którymś sześcioboku zawiera cenne księgi i że te cenne księgi są

nieosiągalne, wydała się niemal nie do zniesienia. Pewna bluźniercza sekta poddała myśl, aby zaprzestano poszukiwań i aby ludzie zaczęli zestawiać litery i symbole, aż skonstruuja, dzięki nieprawdopodobnemu darowi przypadku, owe kanoniczne księgi. Władze poczuły się zmuszone do wydania surowych rozporządzeń. Sekta znikła, ale w dzieciństwie widywałem starych ludzi, którzy przez długie godziny ukrywali się w latrynach, z metalowymi krążkami w zakazanym kubku, i nieudolnie imitowali boski chaos.

Inni, przeciwnie, sądzili, że rzeczą podstawową jest wyeliminowanie dzieł zbędnych. Wpadali do sześcioboków, okazywali uwierzytelniające listy, nie zawsze fałszywe; kartkowali ze znużeniem jakiś wolumin i skazywali całe szafy: ich higieniczny, ascetyczny szzał winien jest niedorzecznej straty milionów książek. Ich imię zostało wyklęte, ale ci, którzy oplakują „skarby”, zniszczone przez obłęd, nie doceniają dwóch powszechnie znanych faktów. Pierwszy: Biblioteka jest tak ogromna, że każda ludzka próba jej zubożenia okazuje się nieskończenie mała. Drugi: każdy egzemplarz jest jedyny, nie do zastąpienia, ale istnieje zawsze (jako że Biblioteka jest totalna) wiele setek tysięcy niedoskonałych podobizn: dzieł, które różnią się tylko jedną literą czy przecinkiem. Wbrew ogólnej opinii ośmielam się przypuszczać, że konsekwencje dewastacji popełnionych przez Puryfikatorów zostały wyolbrzymione przerażeniem, jakie wzbudzali ci fanatycy. Powodował nimi obłęd zdobycia ksiąg Karmazynowego Sześcioboku: ksiąg o formacie mniejszym niż zwykły; wszechmocnych, ilustrowanych i magicznych.

Wiemy również o innym przesądzie owych czasów: że istnieje Człowiek Księgi. W pewnej szafie pewnego sześcioboku (rozumowali ludzie) musi istnieć jakaś księga, która jest doskonałą esencją i kompendium *wszystkich pozostałych*: jakiś Bibliotekarz ją przeczytał i podobny jest bogu. W języku tej okolicy przetrwały jeszcze pozostałości kultu tego odległego urzędnika. Wielu ludzi odbywało pielgrzymki w poszukiwaniu Go. W ciągu stulecia nużyli daremnie najprzeróżniejsze kierunki. Jak jednak zlokalizować szacowny tajemniczy sześciobok, gdzie się kryje? Ktoś zaproponował metodę regresywną. Aby zlokalizować księgę „A”, przeczytać uprzednio jakąś księgę „B”, która wskaże miejsce „A”; aby zlokalizować księgę „B”, przeczytać uprzednio jakąś księgę „C”, i tak w nieskończoność... Na takich przygodach roztrwoiłem i zużyłem swe lata. Nie wydaje mi się nieprawdopodobne, aby w jakiejś szafie wszechświata znajdowała się księga totalna;¹ błagam nieznane bóstwo, aby jakiś człowiek, choćby jeden, choćby stało się to przed tysiącami lat! - zobaczył ją i

¹ Powtarzam: wystarczy, żeby jakaś książka była możliwa, aby istniała. Wykluczone jest tylko to, co jest niemożliwe. Na przykład: żadna książka nie jest jednocześnie schodami, choć niewątpliwie istnieją książki, które rozważają i przeczą, i wykazują taką możliwość, i inne, których budowa odpowiada budowie schodów.

przeczytał. Jeśli honor i mądrość, i szczęście nie są przeznaczone dla mnie, niech będą dla innych. Niech istnieje niebo, choćby moim miejscem miało być piekło. Niech ja będę pohańbiony i unicestwiony, ale niech w jakiejś chwili, w jakiejś istocie, usprawiedliwi się Twoja Biblioteka.

Twierdzą bezbożnicy, że niedorzeczność jest normalna w Bibliotece i że sens (a nawet pokorna i zwyczajna spójność) jest niemal cudownym wyjątkiem. Mówią (wiem o tym) o „majaczej Bibliotece, której przypadkowe woluminy narażone są na nieustanne niebezpieczeństwo zamieniania się w inne, i o tym, że wszystko one twierdzą, wszystkiemu przeczą i wszystko ze sobą myślą, niczym jakieś bóstwo w delirium”. Słowa te, które nie tylko ujawniają chaos, lecz również dostarczają nań przykładów, stanowią oczywisty dowód złego smaku i rozpaczliwej ignorancji. W rzeczywistości Biblioteka zawiera wszystkie struktury słowne, wszystkie warianty, na jakie pozwala dwadzieścia pięć symboli graficznych, ale nie zawiera ani jednej absolutnej niedorzeczności. Zbędna byłaby uwaga, że najlepszy tom z wielu sześcioboków, jakie pozostają pod moją opieką, nosi tytuł *Uczesany grom*, a inny *Gipsowy skurcz*, a inny *Axaxaxas mlö*. Zwroty te, na pierwszy rzut oka bezładne, są niewątpliwie zdolne do kryptograficznego czy alegorycznego uzasadnienia; uzasadnienie to jest słowne i, *ex hypothesi*, figuruje już w Bibliotece. Nie mogę dokonać połączenia kilku liter,

dhcmrlchtdj,

którego by boska Biblioteka nie przewidziała, i które w jednym z jej tajemnych języków nie zawierałoby jakiegoś potwornego sensu. Nie można wypowiedzieć jednej sylaby, która nie byłaby przepelniona czułościami i obawami; która nie byłaby w jednym z tych języków potężnym imieniem jakiegoś boga. Mówić - to popadać w tautologie. Ten zbędny i przegadany list istnieje już w jednym z trzydziestu tomów jednej z pięciu szaf jednego z niezliczonych sześcioboków - i istnieje również jego refutacja. (Liczba *n* możliwych języków używa tego samego słownictwa; w niektórych symbol *biblioteka* dopuszcza poprawną definicję *wszechobecny i trwały system sześciobocznych galerii*, ale *biblioteka* to *chleb* czy *piramida* czy jakakolwiek inna rzecz, i sześć słów, które ją definiują, posiada inną wartość. Ty, który mnie czytasz, czy jesteś pewien, że rozumiesz mój język?)

Metodyczne pisanie odrywa mnie od obecnego losu ludzi. Pewność, że wszystko jest napisane, unicestwia nas lub czyni widmami. Znam okolice, w których młodzi ludzie padają na kolana przed księgami i po barbarzyńsku całują stronicę, ale nie potrafią odcyfrować ani

jednej litery. Epidemie, heretyckie niezgody, pielgrzymki, które w nieunikniony sposób degenerują się do napadów rabunkowych, zdziesiątkowały ludność. Chyba wspomniałem już o samobójstwach, z każdym rokiem liczniejszych. Być może zwodzi mnie starość i obawa, ale podejrzewam, że rodzaj ludzki - jedyny - jest na wymarciu i że Biblioteka przetrwa: oświetlona, samotna, nieskończona, doskonale nieruchoma, zbrojna w cenne woluminy, niezniszczalna, tajemnicza.

Przed chwilą napisałem *nieskończona*. Nie z retorycznego przyzwyczajenia wstawiłem ten przymiotnik; sądzę, iż nie jest nielogiczna myśl, że świat jest nieskończony. Ci, którzy uważają go za ograniczony, twierdzą tym samym, iż galerie i schody, i sześciooki mogą w niepojęty sposób kończyć się w odległych miejscach, co jest absurdalne. Ci, którzy wyobrażają go sobie bez kresu, zapominają, że liczba możliwych książek ma kres. Ośmielałem się podsunąć następujące rozwiązanie tego pradawnego problemu: Biblioteka jest nieograniczona i periodyczna. Gdyby wieczny podróżnik przebywał ją w jakimkolwiek kierunku, stwierdziłby po upływie wieków, że te same tomy powtarzają się w takim samym chaosie (który, powtórzony, byłby jakimś porządkiem: Porządkiem). Moja samotność cieszy się tą elegancką nadzieją.¹

Mar del Plata, 1941

¹ Letizia Alvarez de Toledo zauważyła, że ta ogromna Biblioteka jest zbędna: w zasadzie wystarczyłby *jeden tylko tom*, o zwykłym formacie, wydrukowany in 9° czy in 10°, który składałby się z nieskończonej ilości nieskończonej cienkich kartek. (Cavalieri w początkach XVII stulecia powiedział, że wszelkie ciało stałe jest zbiorem nieskończonej liczby warstw). Posługiwanie się tym jedwabistym *vademecum* nie byłoby wygodne: każda pozorna kartka rozdzielałaby się na inne, analogiczne; niepojęta kartka środkowa nie posiadałaby strony odwrotnej.

Ogród o rozwidlających się ścieżkach

Dla Victorii Ocampo

Na stronie 252 *Historii Wojny Europejskiej* Liddella Harta czytamy, że ofensywa trzynastu brytyjskich dywizji (wspieranych przez tysiąc czterysta dział) na linię Serre-Montauban była zaplanowana na dzień dwudziestego czwartego lipca 1916 roku i musiała zostać przełożona na ranek dnia dwudziestego dziewiątego. Ulewne deszcze (notuje kapitan Liddell Hart) spowodowały tę zwłokę - oczywiście zupełnie bez znaczenia. Następujące niżej oświadczenie, podyktowane, przeczytane i podpisane przez doktora Ju Tsun, dawnego profesora języka angielskiego na *Hochschule* w Tsingtao, rzuca nieoczekiwane światło na ten wypadek. Brakuje dwóch początkowych stron.

„...i powiesiłem słuchawkę. Natychmiast potem rozpoznałem głos, który odpowiedział po niemiecku. Należał do kapitana Richarda Maddena. Fakt, że Madden znajdował się w mieszkaniu Victora Runeberga, oznaczał zakończenie naszych wysiłków i również - ale to wydawało się znacznie mniej ważne albo *musiało mi są takie wydawać* - naszego życia. Oznaczał, że Runeberg został aresztowany czy zamordowany.¹ Zanim słońce owego dnia miało schylić się ku zachodowi, oczekiwał mnie ten sam los. Madden był bezwzględny. Ściślej mówiąc, musiał być bezwzględny. Irlandczyk na rozkazach Anglii, człowiek oskarżany o obojętność i może o zdradę, jak miał nie schwytać i nie wykorzystać tak cudownej okazji: ujawnienia, pochwylenia, może zabicia dwóch agentów Cesarstwa Niemieckiego? Poszedłem do mojego pokoju; absurdalnie zamknąłem drzwi na klucz i rzuciłem się na wznak na wąskie żelazne łóżko. Za oknem widać było te same co zawsze dachy i zamglone słońce godziny szóstej. Wydało mi się niewiarygodne, aby ten dzień bez znaków, bez symboli miał być dniem mojej nieubłaganej śmierci. Ja, teraz, miałem umierać?

¹ Przymuszenie nienawistne i śmieszne. Pruski szpieg Hans Rabener *alias* Victor Runeberg zaatakował z automatycznym pistoletem w rękę okaziciela nakazu aresztowania, kapitana Richarda Maddena. Ten, we własnej obronie, zadał mu rany, które spowodowały jego śmierć (przyp. red.).

Mimo że umarł mój ojciec, mimo że kiedyś byłem dzieckiem w symetrycznym ogrodzie Haifeng? Później pomyślałem, że wszystkie rzeczy zdarzają się każdemu teraz, dokładnie teraz. Mijają wieki, a tylko w terażniejszości dokonują się fakty; niezliczeni ludzie w powietrzu, na ziemi i na morzu, a to co rzeczywiście się zdarza, zdarza się właśnie mnie... Nieznośne niemal wspomnienie końskiej twarzy Maddena zatarło te rozmyślania. Wśród nienawiści i strachu (teraz mogę mówić o strachu; teraz, gdy przechytrzyłem Richarda Maddena, teraz, gdy moje gardło pożąda sznura) pomyślałem, że ten hałaśliwy, i niewątpliwie szczęśliwy, wojownik nie podejrzewa, iż znam Sekret. Nazwę dokładnego miejsca nowej brytyjskiej bazy artylerii nad Ancre. Jakiś ptak przeszył szare niebo i ślepo przetłumaczyłem go na samolot, a ten samolot na wiele samolotów (na francuskim niebie), unicestwiających bazę artylerii lotniczymi bombami. Gdyby moje usta, zanim rozedrze je wystrzał, mogły wykrzyknąć tę nazwę tak, aby usłyszano ją w Niemczech... Mój ludzki głos był bardzo ubogi. Jak sprawić, aby dotarł do uszu Szefa? Do uszu tego chorego i nienawistnego człowieka, który wiedział o Runebergu i o mnie jedynie to, że znajdujemy się w Staffrdshire, i który na próżno oczekiwał od nas wiadomości w swoim surowym gabinecie w Berlinie, czytając nieustannie gazety... Powiedziałem głośno: *Muszę uciekać*. Wstałem w ciszy, w zbędnej doskonałości ciszy, jakby Madden już mnie osaczył. Coś - może zwykła chęć przekonania się, że nie dysponuję żadnymi środkami - kazało mi przeszukać kieszenie. Znalazłem to, co spodziewałem się znaleźć. Amerykański zegarek, nikłowy łańcuszek z czworokątną monetą, pęk kompromitujących niepotrzebnych kluczy od mieszkania Runeberga, notes, pewien list, który postanowiłem natychmiast zniszczyć (i którego nie zniszczyłem), fałszywy paszport, jedną koronę, dwa szylingi i kilka pensów, czerwono-niebieski ołówek, chusteczkę, rewolwer z jednym nabojem. Absurdalnie zważyłem go w dłoni, aby dodać sobie odwagi. Pomyślałem niejasno, że wystrzał z rewolweru może zostać usłyszany bardzo daleko. Mój plan dojrzał w ciągu dziesięciu minut. Książka telefoniczna dostarczyła mi nazwiska jedynej osoby zdolnej do przekazania wiadomości: mieszkała ona na przedmieściu Fenton, niecałe pół godziny jazdy pociągiem.

Jestem człowiekiem tchórzliwym. Teraz to mówię, teraz, gdy doprowadziłem do końca plan, o którym nikt nie powie, że nie był ryzykowny. Ale wiem, że wykonanie go było potworne. Nie, nie zrobiłem tego dla Niemiec. Nie obchodzi mnie zupełnie barbarzyński kraj, który zmusił mnie do wzięcia na siebie nikczemnej roli szpiega. Poza tym poznałem pewnego człowieka w Anglii, skromnego człowieka, który dla mnie stanowi nie mniej niż Goethe. Rozmawiałem z nim nie dłużej niż godzinę, ale przez godzinę był on Goethem... Zrobiłem to, gdyż czułem, że Szef obawia się trochę ludzi mojej rasy - niezliczonych przodków, których

krwem we mnie płynie. Chciałem mu dowiedzieć, że żółty człowiek może uratować jego wojska. Poza tym musiałem uciekać przed kapitanem. Jego ręce i jego głos mogły uderzyć w każdej chwili do moich drzwi. Ubrałem się bez hałasu, powiedziałem do siebie w lustrze *żegnaj*, zszedłem, wyjrzałem na spokojną ulicę i wyszedłem. Dworzec był niedaleko od domu, ale uważałem, że będzie lepiej wziąć dorożkę. Rozumowałem, że w ten sposób mniej narażam się na niebezpieczeństwo rozpoznania; rzeczywiście na bezludnej ulicy czułem się nieskończenie widzialny i bezbronny. Pamiętam, że powiedziałem stangretowi, żeby zatrzymał się nieco przed głównym wejściem. Wsiadłem z wymuszoną i prawie bolesną powolnością; jechałem do osady Ashgrove, ale wykupiłem bilet do dalszej stacji. Pociąg odchodził za kilka minut, o ósmej pięćdziesiąt. Przyspieszyłem kroku; następny miał odejść o dziewiątej trzydzieści. Na peronie nie było prawie nikogo. Przeszedłem przez wagony; pamiętam kilku wieśniaków, jakąś kobietę w żałobie, młodzieńca czytającego *Roczniki* Tacyty, rannego i szczęśliwego żołnierza. W końcu wagony ruszyły. Człowiek, którego rozpoznałem, biegł na próżno aż do końca peronu. Był to kapitan Richard Madden. Przerażony, drżący, skuliłem się na przeciwległym krańcu siedzenia, z dala od groźnego okna.

Od prerażenia przeszedłem do nikczemnego niemal szczęścia. Powiedziałem sobie, że pojedynek został już rozpoczęty i że pierwsze zwarcie wygrałem, unikając, choćby na czterdzieści minut, choćby jedynie dzięki sprzyjającemu przypadkowi, ataku mojego przeciwnika. Rozumowałem, że to niewielkie zwycięstwo zapowiada zwycięstwo całkowite. Rozumowałem, że nie jest niewielkie, gdyż bez cennej różnicy, jaką mi zsyłał rozkład jazdy, byłbym już w więzieniu lub martwy. Rozumowałem (nie mniej błędnie), że moje tchórzliwe szczęście dowodzi, iż jestem człowiekiem zdolnym doprowadzić przygodę do pomyślnego kresu. Ze słabości zaczerpnąłem sił, które mnie nie opuściły. Jak sądzę, człowiek będzie się dopuszczał z każdym dniem coraz potworniejszych czynów; wkrótce będą tylko wojownicy i bandyci; daję im tę oto radę: *Ten, kto wykonuje jakieś potworne zadanie, musi wyobrazić sobie, że już je wykonał, musi tak mocno narzucić sobie przyszłość, aby była równie nieodwołalna jak przeszłość.* Tak postąpiłem ja, podczas gdy moje oczy człowieka już martwego rejestrowały bieg tego ostatniego może dnia i rozprzestrzenianie się nocy. Pociąg posuwał się łagodnie wśród jesionów. Zatrzymał się prawie w szczerym polu. Nikt nie ogłosił nazwy stacji. *Ashgrove?* zapytałem jakichś chłopców na peronie. *Ashgrove*, odpowiedzieli. Wsiadłem.

Latarnia oświetlała peron, ale twarze chłopców pozostawały w strefie cienia. Jeden z nich zapytał: *Czy idzie pan do doktora Stephena Alberta?* Nie czekając na odpowiedź, drugi powiedział: *Jego dom jest daleko, ale nie zabłądzi pan, jeśli pójdzie pan tą drogą na lewo i na*

każdym skrzyżowaniu będzie pan skręcał w lewo. Rzuciłem im monetę (ostatnią), zszedłem po kamiennych schodkach i udałem się samotną drogą. Schodziła powoli w dół. Była ziemista, prymitywna, w górze splatały się gałęzie, niski i krągły księżyc zdawał mi się towarzyszyć.

Przez chwilę pomyślałem, że Richard Madden przeniknął w jakiś sposób mój rozpaczliwy zamiar. Bardzo szybko zrozumiałem, że było to niemożliwe. Rada, aby stale skręcać w lewo, przypomniła mi, że tak zwykle postępowano, aby dotrzeć do centralnego dziedzińca pewnych labiryntów. Znam się nieco na labiryntach: nie na próżno jestem prawnukiem owego Ts'ui Pena, który był gubernatorem Jünnanu, i który wyrzekł się władzy doczesnej, aby napisać powieść jeszcze bardziej rozległą niż powieść *Hung Lou Meng*¹, i aby zbudować labirynt, gdzie zablądziłiby wszyscy ludzie. Trzydzieści lat poświęcił na te niejednorodne trudy, ale zamordowała go ręka cudzoziemca i jego powieść była bezsensowna, a labiryntu nikt nie znalazł. Pod angielskimi drzewami myślałem o tym zaginionym labiryncie: wyobraziłem sobie, że pozostał nietknięty na tajemniczym szczycie jakiejś góry, wyobraziłem sobie, że został zatarty przez pola ryżowe lub że znajduje się pod wodą, wyobraziłem sobie, że jest nieskończony, zbudowany już nie z ośmiokątnych kiosków i skręcających ścieżek, ale z rzek i prowincji, i królestw... Pomyślałem o labiryncie labiryntów, o krętym, rosnącym labiryncie, który obejmowałby przeszłość i przyszłość, i który ogarniałby w jakiś sposób gwiazdy. Pochłonięty tymi złudnymi obrazami zapomniałem o moim losie ściganego. Przez nieokreślony czas czułem się abstrakcyjnym obserwatorem świata. Niejasne pola, księżyc, resztki wieczoru podziały na mnie; również pochyłość drogi, która wykluczała całkowicie jakiegokolwiek zmęczenie. Wieczór był głęboki, nieskończony. Droga schodziła i rozwidlała się między zacierającymi się już łąkami. Jakaś ostra i sylabiczna jak gdyby melodia zbliżała się i oddalała wraz z podmuchami wiatru, przyćmiona liśćmi i odległością. Pomyślałem, że człowiek może być wrogiem innych ludzi, innych chwil innych ludzi, ale nie jakiegoś kraju: nie robaczków świętojańskich, słów, ogrodów, biegu rzek, zachodów. Tak dotarłem do wysokiej zardzewiałej bramy. Przez kraty dostrzegłem aleję i rodzaj pawilonu. Zrozumiałem nagle dwie rzeczy, jedną banalną, drugą niemal niewiarygodną: melodia dochodziła z pawilonu, melodia była chińska. Dlatego poprzednio całkowicie się z nią pogodziłem, nie zwracając na nią uwagi. Nie pamiętam, czy był dzwonek ręczny, czy elektryczny, czy też dałem o sobie znać, klaszcząc w dłonie. Melodia iskrzyła się w dalszym ciągu.

¹ *Hung Lou Meng* (chin. Sen Czerwonego Pawilonu) - chińska powieść psychologiczno-obyczajowa, uznana za jedną z najznakomitszych. Pierwszych 80 rozdziałów napisał Ts'ao Süe Tsin (ok. 1700-1763), pozostałych 40 dopisał Kao O (zm. 1795) (przyp. tłum.).

Ale od strony znajdującego się w głębi domu zbliżała się latarnia: latarnia, którą przecinały, a chwilami całkowicie zasłaniały pnie, papierowa latarnia, która miała kształt bębnow i kolor księżyca. Niósł ją jakiś wysoki człowiek. Nie widziałem jego twarzy, gdyż oślepiało mnie światło. Otworzył bramę i powiedział wolno w moim języku:

- Widzę, że świątobliwy Si P'eng zadaje sobie trud osłodzenia mojej samotności. Z pewnością zechce pan zobaczyć ogród?

Rozpoznałem nazwisko jednego z naszych konsulów i powtórzyłem zaskoczony:

- Ogród?

- Ogród o rozwidlających się ścieżkach.

Coś poruszyło się w mojej pamięci i powiedziałem z niezrozumiałą pewnością:

- Ogród mojego przodka Ts'ui Pena.

- Pańskiego przodka? Pańskiego znamienitego przodka? Proszę wejść.

Wilgotna ścieżka biegła zygzakami jak ścieżki mojego dzieciństwa. Doszliśmy do biblioteki składającej się z orientalnych i europejskich książek. Rozpoznałem kilka, oprawnych w żółty jedwab, rękopiśmiennych tomów *Zagubionej Encyklopedii*, której redakcją kierował Trzeci Cesarz z Dynastii Czystej i której nigdy nie oddano do druku. Koło feniksa z brązu obracała się płyta gramofonowa. Pamiętam również wazę z rodziny różowej i inną, wcześniejszą o wiele stuleci, owego niebieskiego koloru, który nasi rzemieślnicy kopiowali od garncarzy Persji...

Stephen Albert obserwował mnie z uśmiechem. Był (jak już powiedziałem) bardzo wysoki, miał ostre rysy, szare oczy i szarą brodę. Było w nim coś z kapłana, a także z marynarza; później powiedział mi, że był misjonarzem w Tientsin, „zanim usiłował zostać sinologiem”.

Usiedliśmy; ja na szerokiej i niskiej kanapie; on plecami do okna i do wysokiego, okrągłego zegara. Obliczyłem, że mój prześladowca, Richard Madden, nie przybędzie przed upływem godziny. Moja nieodwołalna decyzja mogła poczekać.

- Zdziwiający był los Ts'ui Pena - powiedział Stephen Albert. - Gubernator swojej rodzinnej prowincji, biegły w astronomii, astrologii i w niezmiernym interpretowaniu ksiąg kanonicznych, szachista, sławny poeta i kaligraf: porzucił to wszystko, aby stworzyć książkę i labirynt. Zrzekł się rozkoszy uciskania, niesprawiedliwości, mnogiego łoża, bankietów, a nawet erudycji i zamknął się na trzynaście lat w Pawilonie Przejrzystej Samotności. W chwili jego śmierci spadkobiercy znaleźli jedynie chaotyczne rękopisy. Rodzina, jak może panu wiadomo, chciała oddać je płomieniom; ale wykonawca testamentu, jakiś mnich taoista czy buddysta, nalegał na ich publikację.

- Wszyscy, którzy pochodzimy z krwi Ts'ui Pena - odparłem - przeklinamy dotychczas tego mnicha. Publikacja była nedorzecznnością. Książka jest niezdecydowanym zbiorem sprzecznych brulionów. Przeglądałem ją kiedyś: w trzecim rozdziale bohater umiera, w czwartym jest żywy. Co się tyczy drugiego dzieła Ts'ui Pena, jego Labiryntu...

- Labirynt jest tutaj - powiedział, wskazując wysokie lakowane biurko.

- Labirynt z kości słoniowej! - wykrzyknąłem. - Miniaturowy Labirynt...

- Labirynt symboli - poprawił. - Niewidzialny labirynt czasu. Mnie, barbarzyńskiemu Anglikowi, dane było odkryć tę przejrzystą tajemnicę. Po upływie ponad stu lat szczegóły są nie do odtworzenia, ale nietrudno sobie wyobrazić, co się wydarzyło. Ts'ui Pen mógł powiedzieć kiedyś: *Usuwam się ze świata, żeby napisać książkę*. I kiedy indziej: *Usuwam się ze świata, żeby zbudować labirynt*. Wszyscy wyobrażali sobie dwa dzieła; nikt nie pomyślał, że książka i labirynt są jednym przedmiotem. Pawilon Przejrzystej Samotności wznosił się w środku jakiegoś, być może skomplikowanego, ogrodu; fakt ten mógł zasugerować ludziom labirynt fizyczny. Ts'ui Pen umarł; nikt w rozległych ziemiach, które do niego należały, nie znalazł labiryntu; zamęt powieści zasugerował mi, że to właśnie ona jest labiryntem. Dwie okoliczności podały mi prawdziwe rozwiązanie problemu. Pierwsza to ciekawa legenda o tym, że Ts'ui Pen miał zamiar zbudować labirynt, który byłby ściśle nieskończony. Druga to fragment pewnego listu, który odkryłem.

Albert wstał. Przez kilka chwil był do mnie odwrócony plecami; otworzył szufladę złocistego i poczerńiałego biurka. Wrócił z arkuszem papieru, który niegdyś był karmazynowy; teraz różowy i delikatny, i pokratkowany. Słuszna była sława Ts'ui Pena jako kaligrafa. Przeczytałem bez zrozumienia i z zapalem te słowa, które swym drobiazgowym pędzelkiem zredagował człowiek mojej krwi: *Pozostawiam widu przyszłościom (nie wszystkim) mój ogród o rozwidlających się ścieżkach*. Zwróciłem w milczeniu kartkę. Albert ciągnął dalej:

- Zanim odnalazłem ten list, pytałem siebie, w jaki sposób książka może być nieskończona. Nie wyobrażałem sobie innego rozwiązania niż tom cykliczny, kolisty. Tom, którego ostatnia strona byłaby identyczna z pierwszą, stwarzając możliwość nieskończonej kontynuacji. Przypomniałem sobie również noc, która znajduje się w środku *1001 Nocy*, kiedy to królowa Szeherazada (z powodu magicznego roztargnienia kopisty) zaczyna opowiadać dosłownie historię *1001 Nocy* ryzykując, że dojdzie jeszcze raz do tej nocy, kiedy ją opowiada, i tak w nieskończoność. Wyobraziłem sobie również jakieś dzieło platońskie, dziedziczne, przekazywane z ojca na syna, w którym każdy nowy osobnik dodawałby jeden rozdział lub poprawiał z nabożną starannością stronicę swoich przodków. Te przypuszczenia

rozproszyły moją uwagę; ale żadne nie zdawało się odpowiadać, choćby w odległy sposób, sprzecznym rozdziałom Ts'ui Pena. Byłem pogrążony w konsternacji, gdy mi przekazano z Oxfordu rękopis, który pan oglądał. Zatrzymałem się oczywiście na zdaniu: *Pozostawiam wielu przyszłościom (nie wszystkim) mój ogród o rozwidlających się ścieżkach*. Niemal natychmiast zrozumiałem: ogrodem o rozwidlających się ścieżkach była chaotyczna powieść; zwrot *wielu przyszłościom (nie wszystkim)* zasugerował mi obraz rozwidlania się w czasie, nie w przestrzeni. Powtórna lektura całego dzieła potwierdziła tę teorię. We wszystkich narracjach, za każdym razem, gdy człowiek ma do czynienia z różnymi możliwościami, wybiera jedną i wyklucza inne; w narracji nierozwikłanego Ts'ui Pena wybiera - równocześnie - wszystkie. *Tworzy* w ten sposób rozmaite przyszłości, rozmaite czasy, które również mnożą się i rozwidlają. Stąd sprzeczności w powieści. Fang, powiedzmy, zna jakąś tajemnicę; jakiś nieznajomy puka do jego drzwi; Fang postanawia go zabić. Są oczywiście różne możliwe rozwiązania: Fang może zabić intruza, intruz może zabić Fanga, obaj mogą się uratować, obaj mogą zginąć, itd. W dziele Ts'ui Pena mają miejsce wszystkie rozwiązania; każde jest punktem wyjścia dla innych rozwidleń. Czasami ścieżki labiryntu zbiegają się: na przykład przychodzi pan do tego domu, ale w jednej z możliwych przeszłości jest pan moim wrogiem, w innej przyjacielem. Jeżeli pogodzi się pan z moją nieuleczalną wymową, przeczytamy kilka stron.

Jego twarz, w żywym kręgu lampy, była niewątpliwie twarzą starca, ale posiadała w sobie coś niezłomnego, a nawet nieśmiertelnego. Przeczytał z powolną precyzją dwie redakcje tego samego epickiego rozdziału. W pierwszej wojska posuwają się do walki przez bezładne góry; groza kamieni i cienia sprawia, że gardzą życiem i osiągają z łatwością zwycięstwo; w drugiej te same wojska przechodzą przez pałac, w którym odbywa się jakaś uroczystość; olśniewająca bitwa wydaje im się dalszym ciągiem uroczystości i osiągają zwycięstwo. Słuchałem z należytą czcią tych dawnych fikcji, mniej może godnych podziwu niż fakt, że wymyślił je człowiek mojej krwi i że przekazuje mi je człowiek z jakiegoś odległego imperium, podczas rozpaczliwej przygody, na pewnej zachodniej wyspie. Pamiętam ostatnie słowa, powtarzające się w każdej redakcji jak jakiś tajemny nakaz: *Tak walczyli bohaterowie, spokojnym i wspaniałym sercem, gwałtownym mieczem, gotowi zabijać i umierać*.

Od tej chwili poczułem wokół siebie i w moim niejasnym ciele jakieś niewidzialne, niedotykalne mrowie. Nie było to mrowie rozbieżnych, równoległych i w końcu łączących się wojsk, lecz poruszenie bardziej nieuchwytnie, bardziej głębsze, w jakiś sposób przez te wojska zapowiadane. Stephen Albert ciągnął dalej:

- Nie sędę, aby pański czcigodny przodek bawił się na próżno tymi wariantami. Nie uważam za prawdopodobne, aby poświęcił trzynaście lat na nieskończone wykonywanie retorycznego eksperymentu. W pańskim kraju powieść jest gatunkiem podrzędnym; w owym czasie była gatunkiem pogardzanym. Ts'ui Pen był genialnym powieściopisarzem, ale był również literatem, który z pewnością nie uważał się tylko za powieściopisarza. Świadectwo jego współczesnych głosi, i w zupełności potwierdza to jego życie, że miał on zamiłowania metafizyczne, mistyczne. Kontrowersja filozoficzna pochłania wielką część jego powieści. Wiem, że ze wszystkich problemów żaden go nie niepokoił i nie dręczył tak jak przepastny problem czasu. Otóż jest to *jedyny* problem, który nie występuje na stronicach *Ogrodu*. Nie używa nawet słowa, które oznacza *czas*. Jak tłumaczy pan sobie to dobrowolne pominięcie?

Zaproponowałem różne rozwiązania; wszystkie niedoskonałe. Dyskutowaliśmy o nich; w końcu Albert zapytał:

- Jakie jest jedyne zakazane słowo w zagadce, której tematem są szachy?

Pomyślałem przez chwilę i odpowiedziałem:

- Słowo *szachy*.

- Właśnie - powiedział Albert. - *Ogród o rozwidlających się ścieżkach* jest ogromną zagadką czy parabolą, której tematem jest czas; ta ukryta przyczyna zabrania Ts'ui Penowi wspomnieć jego nazwę. Pomijanie *zawsze* jakiegoś słowa, odwoływanie się do nieporadnych metafor i do oczywistych peryfraz jest, być może, najbardziej emfaticznym sposobem wskazania na nie. Jest określonym sposobem, jaki wybrał, w każdym z meandrów swej niezmordowanej powieści, przemyślny Ts'ui Pen. Porównywałem setki rękopisów, porównywałem błędy, jakie wprowadziła niedbałość kopistów, czyniłem przypuszczenia na temat planu tego chaosu, odtworzyłem, sądziłem że odtwarzam, pierwotny porządek, przetłumaczyłem całe dzieło: wiem z pewnością, że nie używa ani razu słowa *czas*. Wyjaśnienie jest oczywiste: *Ogród o rozwidlających się ścieżkach* jest obrazem niekompletnym, ale nie fałszywym, wszechświata takiego, jak go pojmował Ts'ui Pen. W odróżnieniu od Newtona i Schopenhauera, pański przodek nie wierzył w czas jednolity, absolutny. Wierzył w nieskończone serie czasów, w rosnącą i zawrotną sieć czasów zbieżnych, rozbieżnych i równoległych. Ta przedza czasów, które zbliżają się, rozwidlają, przecinają, i które przez wieki o sobie nie wiedzą, obejmuje *wszystkie* możliwości. Nie istniejemy w większości tych czasów; w niektórych istnieje pan, a ja nie; w innych ja, a pan nie; w innych istniejemy obaj. W tym, który zsyła mi pomyślny przypadek, przyszedł pan do mojego domu; w innym, przechodząc przez ogród, znalazł mnie pan martwego; w innym, ja mówię te same słowa, ale jestem jakąś omyłką, widmem.

- We wszystkich - powiedziałem nie bez drżenia - podziwiam pańskie odtworzenie ogrodu Ts'ui Pena i jestem panu za nie wdzięczny.

- Nie we wszystkich - wyszeptał z uśmiechem. - Czas rozwidła się ciągle ku niezliczonym przyszłościom. W jednej z nich jestem pana wrogiem.

Poczułem znowu mrowie, o którym mówiłem. Wydało mi się, że wilgotny ogród otaczający dom był do nieskończoności przesiąknięty niewidzialnymi osobami. Tymi osobami byliśmy Albert i ja, tajemniczy, pochłonięci swymi sprawami i wielokształtni w innych wymiarach czasu. Podniosłem oczy i mglisty koszmara rozwiał się. W żółtym i czarnym ogrodzie był tylko jeden człowiek; ale ten człowiek był silny jak posąg, ale ten człowiek zbliżał się ścieżką i był to kapitan Richard Madden.

- Przyszłość już istnieje - opowiedziałem - ale ja jestem pańskim przyjacielem. Czy mogę jeszcze raz obejrzeć list?

Albert wstał. Wysoki, otworzył szufladę wysokiego biurka; był przez chwilę odwrócony do mnie plecami. Przygotowałem już rewolwer. Strzeliłem z najwyższą uwagą. Albert zwałił się bez jednego jęku, natychmiast. Przysięgam, że jego śmierć była błyskawiczna: porażenie piorunem.

Reszta jest nierealna, bez znaczenia. Madden wpadł do środka, aresztował mnie. Zostałem skazany na szubienicę. W odrażający sposób zwyciężyłem: powiadomiłem Berlin o sekretnej nazwie miasta, które należało zaatakować. Wczoraj zostało ono zbombardowane; przeczytałem o tym w tych samych gazetach, które zaproponowały Anglii zagadkę: dlaczego uczonego sinolog Stephen Albert został zamordowany przez nieznanego, Ju Tsuna. Szef rozszyfrował zagadkę. Wie, że chodziło mi o wskazanie (poprzez zgiełk wojny) miasta, które nazywa się Albert, i że nie znalazłem sposobu innego niż zabicie jakiejś osoby o tym nazwisku. Nie wie (nikt nie może wiedzieć) o moim niezmiernym przygnębieniu i znużeniu.”

Twory wyobraźni 1944

Prolog

Choć napisane mniej nieudolnie, utwory tej książki nie różnią się od tych, które składają się na poprzednią. Być może dwa zasługują na specjalną wzmiankę: Śmierć i busola oraz Pamiętliwy Funes. Drugi jest długą metaforą bezsenności. Pierwszy, mimo niemieckich czy skandynawskich nazwisk, rozgrywa się w odrealnionym Buenos Aires: dwuznaczna Rue de Toulon to Paseo de Julio; Triste-le-Roy to hotel, w którym Herbert Ashe otrzymał (i być może nie przeczytał go) jedenasty tom iluzorycznej encyklopedii. Już po napisaniu tego opowiadania pomyślałem, że dobrze byłoby rozszerzyć czas i przestrzeń, jakie ono obejmuje: zemsta mogłaby być dziedziczna; okresy mogłyby być mierzone latami, może wiekami; pierwsza litera Imienia mogłaby zostać wypowiedziana w Islandii; druga w Meksyku; trzecia w Indostanie. Czy muszę dodawać, że wśród chasydów byli święci i że ofiara czterech ludzi w celu uzyskania liter, jakie Tworzą Imię, jest fantazją, która podyktowała mi formę mojego opowiadania?

J.L.B.

Buenos Aires, dnia 29 sierpnia 1944

Postscriptum z 1956 r. *Dodałem trzy opowiadania do tej serii: Południe, Sektę Feniksa i Zakończenie. Poza jedną postacią, Recabarrenem, którego nieruchomość i bierność służą jako kontrast, nic - lub prawie nic - nie jest moim wymysłem podczas krótkiej akcji ostatniego opowiadania; wszystko, co się w nim znajduje, Zawarte jest w sławnej książce¹ i ja byłem pierwszym, który to wydobył lub przynajmniej wypowiedział. W alegorii o Feniksie*

¹ Chodzi tu o epopeję gauczowską José Hemandeza (1834-1886) *Martin Fitrró* (przyp. tłum.).

postanowiłem zasugerować rzecz banalną - Tajemnicę - w sposób chwiejny i stopniowy, który okazałby się przy końcu jednoznaczny; nie wiem, w jakim stopniu dopisało mi szczęście. Na temat Południa, które jest moim może najlepszym opowiadaniem, powiem tylko, że można je czytać jako bezpośrednią narrację wydarzeń powieściowych, a także w inny sposób.

Schopenhauer, De Quincey, Stevenson, Mathner, Shaw, Chesterton, Léon Bloy - te nazwiska składają się na niejednorodny wykaz autorów, których stale czytam. Wydaje mi się, że w chrystologicznej fantazji zatytułowanej Trzy wersje Judasza dostrzegam odległy wpływ tego ostatniego.

J.L.B.

Pamiętliwy Funes

Pamiętam go (nie mam prawa wymawiać tego wielkiego słowa; miał do tego prawo tylko jeden człowiek na ziemi, ale ów człowiek już nie żyje) z ciemną piwonią w ręku; widział ją tak, jak nie widział jej nikt inny, choćby patrzył na nią od świtu do zmierzchu, przez całe swoje życie. Pamiętam go: twarz milcząca, indiańska i szczególnie *odległa* za tłącym się papierosem. Pamiętam (wydaje mi się) jego szczupłe dłonie wikliniarza. Pamiętam nieopodal tych rąk tykwę do *yerby* z wyrysowanym godłem Urugwaju, pamiętam zawieszoną na oknie żółtą matę z mglistym nadrzecznym pejzażem. Pamiętam wyraźnie jego głos; powolny, lekceważący i nosowy głos dawnych gauczów, bez obecnych syczących dźwięków, które przywieźli ze sobą Włosi. Widziałem go trzy razy; ostatni raz w 1887 roku... Projekt napisania o nim wspólnej książki przez wszystkich tych, którzy go pamiętają, wydaje mi się godny pochwały; moje świadectwo będzie może najkrótsze i na pewno najskromniejsze; nie będzie w nim jednak tej bezstronności, której spodziewam się po waszej książce. Godny pożałowania fakt, że jestem Argentyńczykiem, nie pozwoli mi na pochwalne pienia - gatunek literacki obowiązujący w Urugwaju, kiedy temat jest urugwajski. *Pisarczyk, elegancik, waśniak z Buenos Aires*; Funes nie wymówił tych słów, ale wiem na pewno, że byłem dla niego uosobieniem wszystkich tych okropności. Pedro Leandro Ipuche napisał, że Funes był zwiastunem nadludzi; „Dziewiczy, tubylczy Zaratustra”; nie przeczę, ale nie trzeba zapominać, że był także chłopakiem z Fray Bentos, co zakłada pewne nieuchronne ograniczenia.

Moje pierwsze wspomnienie o Funesie jest bardzo wyraźne. Widzę go o zmierzchu, w marcu albo lutym osiemdziesiątego czwartego roku. Owego lata ojciec wysłał mnie na wakacje do Fray Bentos. Wracaliśmy właśnie z moim kuzynem Bernardem Haedo z hacjendy San Francisco. Wracaliśmy konno, śpiewając na głos, i nie był to mój jedyny powód do szczęścia. Po upalnym ciężkim dniu ogromna burza koloru szkolnej tablicy zakryła całe niebo. Podsycał ją południowy wiatr, drzewa już zaczynały szaleć; czułem lęk (nadzieję), że zaskoczy nas w otwartym polu żywiołowy deszcz. Urządziliśmy coś w rodzaju wyścigu z

burzą. Wjechaliśmy na drogę zagłębiającą się w jar, wysoko, po obu stronach, biegły dwie ścieżki. Pociemniało nagle; usłyszałem w górze szybkie i skradające się jak gdyby kroki; podniosłem oczy i zobaczyłem wyrostka, biegnącego po wąskiej i nierównej ścieżce, jak po wąskim i nierównym murze. Pamiętam gauczowskie portki, płócienne pantofle; pamiętam papierosa w ustach i grubo ciosaną twarz na tle bezgranicznej już chmury. Bernardo krzyknął niespodziewanie: *Ireneo, która godzina?* Nie spojrzawszy na niebo, nie zatrzymując się, odparł: *Za cztery minuty ósma, paniczu.* Głos był ostry i lekko kpiący.

Jestem tak roztargniony, że dialog, który przytoczyłem, nie zwróciłby mojej uwagi, gdyby nie nacisk mojego kuzyna, którym powodował (jak mi się wydaje) pewien lokalny patriotyzm i chęć okazania, że ani słowo *panicz* ani ton, jakim zostało powiedziane, nie obeszły go wcale.

Powiedział mi, że chłopak ze ścieżki nazywa się Ireneo Funes, że jest znany z różnych dziwactw, między innymi z takiego, że nie przestaje z nikim i że zawsze, niczym zegar, wie, która jest dokładnie godzina. Dodał, że to syn praczki Marii Klementyny Funes oraz, jak powiadają niektórzy, miejscowego weterynarza, jakiegoś Anglika o nazwisku O'Connor; inni utrzymują, że jego ojcem był pewien gauczo z dystryktu Salto, trudniący się ujeżdżaniem koni. Funes mieszkał z matką, nieco w bok od posiadłości Lopezów.

W roku osiemdziesiątym piątym i szóstym spędzałem wakacje w Montevideo. W osiemdziesiątym siódmym wróciłem do Fray Bentos. Zapytałem oczywiście o wszystkich znajomych i w końcu także o „chronometrycznego Funesa”. Powiedziano mi, że zrzucił go nieujeżdżony koń i że jest sparalizowany. Pamiętam niepokojące wrażenie magii, jakie wywarła na mnie ta wiadomość: jedyny raz, kiedy go widziałem, wracaliśmy konno z San Francisco, a on biegł wysoką ścieżką; jego wypadek z koniem, opowiedziany przez mojego kuzyna Bernarda, podobny był do snu zbudowanego z wcześniejszych elementów. Powiedziano mi, że nie rusza się z łóżka i patrzy bez końca na rosnący w ogrodzie figowiec albo na pajęczynę.

Wieczorami pozwalał przenosić się do okna. Jego duma była tak wielka, że udawał, iż wypadek jest dla niego dobrodziejstwem losu... Dwa razy widziałem go za okienną kratą, która podkreślała jego dolę wiecznego więźnia: pierwszy raz siedział nieruchomo, z zamkniętymi oczyma; drugi raz także widziałem go nieruchomo pogrążonego w kontemplacji kiści gałązek wonnego cytwaru.

Nie bez pewnej chępliwości zacząłem wówczas metodyczną naukę łaciny. Moja walizka zawierała między innymi: *De viris illustribus* Lhomonda, *Thesaurus* Quicherata, *Komentarze* Juliusza Cezara i pojedynczy tom *Naturalis historia* Pliniusza, który przewyższał

(i przewyższa do dziś) moją skromną znajomość łaciny. W niedużej wiosce wszyscy wiedzą o wszystkim; Ireneo, w swojej chacie na krańcu wioski, w niedługim czasie dowiedział się o przybyciu tych niezwykłych księzek. Napisał do mnie kwiecisty, ceremonialny list, w którym wspominał o naszym przelotnym, niestety, spotkaniu „dnia siódmego lutego osiemdziesiątego czwartego roku”, wychwalał „wspaniałe zasługi”, które don Gregorio Haedo, mój wuj, „położył dla obu krajów w bohaterskiej bitwie pod Ituzaingó”, i prosił o pożyczenie mu którejkolwiek książki wraz ze słownikiem „dla dobrego zrozumienia tekstu, gdyż nie znam jeszcze łaciny”. Przynależał zwrócić mi je w dobrym stanie, w ciągu kilku dni. Charakter pisma był bez zarzutu; litery ostre, wydłużone; pisownia... nieco uproszczona. Z początku przypuszczałem oczywiście, że to kawał. Moi kuzyni zapewniali jednak, że nie, że takie już są jego dziwactwa. Nie wiedziałem, czy przypisać tupetowi, niewiedzy czy głupocie pomysł, że żmudna łacina nie wymaga innego narzędzia jak słownik; żeby go zupełnie rozczarować, posłałem mu *Gradus ad Parnassum* Quicherata i dzieło Pliniusza.

Czternastego lutego dostałem depezę z Buenos Aires, żebym natychmiast wracał, gdyż mój ojciec jest „niebezpiecznie chory”. Niech mi Bóg wybaczy, ale prestiż, który zyskałem jako adresat polecanej depezy, pragnienie rozgłoszenia w całym Fray Bentos niepokojącej wiadomości, pokusa, żeby udramatyznić mój ból, udając męski stoicyzm, zajęły mnie tak, że bólu nie zaznałem. Kiedy pakowałem rzeczy do walizki, zauważyłem brak *Parnasu* i pierwszego tomu Pliniusza. „Saturno” odpływał nazajutrz rano; wieczorem, po kolacji, udałem się do domu Funesa. Zdziwiło mnie, pamiętam, że noc była tak samo upalna jak dzień.

W czystym, przyzwoitym domku przyjęła mnie matka Funesa.

Powiedziała mi, że Ireneo jest w pokoju od podwórka i żebym się nie dziwił ciemnościom, bo Ireneo ma taki zwyczaj, iż spędza wieczorne godziny, nie zapalając nawet świecy. Przeszedłem wykładane płaskimi kamieniami patio, potem korytarz; dostałem się na drugie patio. Był tam szpaler z winorośli; ciemność wydała mi się prawie zupełna. Usłyszałem nagle ostry, kpiący głos Ireneusza. Głos mówił po łacinie; głos (który docierał z ciemności) wymawiał z leniwą rozkoszą słowa jakiejś mowy, modlitwy albo zaklęcia. Rzymskie zgłoski dzwięczały nad klepiskiem podwórza; odurzony nagłym lękiem myślałem, że są one nie do odcyfrowania, nieskończone; później, w czasie długiej rozmowy, która miała miejsce owej nocy, dowiedziałem się, że była to pierwsza część dwudziestego czwartego rozdziału siódmej księgi *Naturalis historia*. Tematem owego rozdziału jest pamięć; ostatnie słowa brzmiały: *ut nihil non iisdem verbis redderetur auditum*.

Nie zmieniając głosu, Ireneo poprosił, żebym wszedł. Siedział na łóżku, ćmiąc

papierosa. O ile sobie przypominam, nie zobaczyłem jego twarzy aż do świtu, ale wydaje mi się, że pamiętam krótkotrwałe błysnięcia papierosa. W pokoju panował niejasny zapach wilgoci. Usiadłem; powtórzyłem historię depeszy i choroby mojego ojca.

Dochodzę teraz do najtrudniejszej części mojej relacji. Jej tematem (dobrze, by czytelnik wiedział o tym już teraz) jest jedynie ów dialog sprzed pół wieku. Nie będę się starał odtwarzać jego słów, teraz już nie do odzyskania; zadanie takie zresztą byłoby niewykonalne. Wolę streścić, nie odbiegając od prawdy, liczne rzeczy powiedziane mi przez Funesa. Mowa zależna jest chwytem słabym i niejasnym; wiem, że siła oddziaływania mojej relacji będzie przez to zmniejszona; niech moi czytelnicy wyobrażą sobie urywane zdania, które przytłoczyły mnie owej nocy.

Ireneo zaczął od wyliczenia, po łacinie i po hiszpańsku, wszystkich wypadków nadzwyczajnej pamięci zanotowanych w *Naturalis historia*: Cyrus, król Persów, który zwracał się po imieniu do każdego z żołnierzy swoich armii; Mitrydates Eupator, który sprawował rządy w 22 językach swojego imperium; Symonides, wynalazca mnemotechniki; Metrodor, który praktykował sztukę wiernego powtarzania rzeczy słyszanych jeden tylko raz. Dziwił się, w najlepszej wierze, że podobne wypadki mogły być uważane za nadzwyczajne. Powiedział mi, że przed owym deszczowym wieczorem, kiedy powalił go koń, był taki sam jak wszyscy ludzie: ślepy, głuchy, gapiowaty, zapominalski. (Usiłowałem mu przypomnieć dokładne postrzeganie przezeń czasu, jego świetną pamięć do nazwisk, nie słuchał mnie jednak). Dziewiętnaście lat żył jak gdyby we śnie: patrzył nie widząc, słuchał nie słysząc, zapominał wszystko, prawie wszystko. Przy upadku stracił przytomność; kiedy odzyskał ją, terażniejszość stała się prawie nie do zniesienia przez swoje bogactwo i swoją wyrazistość, a także przez obecność najdawniejszych nawet i najbardziej banalnych wspomnień. Dowiedział się potem, że został inwalidą. Fakt ten nie poruszył go prawie wcale. Pomyślał (wyczuł), że unieruchomienie było minimalną ceną. Teraz jego postrzeganie i jego pamięć były nieomyślne.

My jednym rzutem oka potrafimy spostrzec na stole trzy szklanki; Funes - wszystkie gałązki i grona, i liście, które składają się na cały szpaler winorośli. Znał kształty południowych chmur o świcie dnia trzydziestego kwietnia tysiąc osiemset osiemdziesiątego drugiego roku i mógł porównać je ze wspomnieniem żyłek na okładce książki, którą widział raz tylko, i z kształtem spienionych fal, wzbudzonych przez wiosło na rzece Rio Negro w przeddzień bitwy pod Quebracho. Nie były to wspomnienia proste; każdy obraz wzrokowy był związany z wrażeniami mięśniowymi, termicznymi itd. Mógł odtworzyć wszystkie sny, wszystkie półsny. Dwa albo trzy razy odtworzył cały jeden dzień; nie zaistniała ani jedna

wątpliwość, ale każde odtworzenie wymagało całego dnia. Powiedział mi: *Ja sam mam więcej wspomnień, niż mieli wszyscy ludzie jak świat światem*. A także: *W moich snach widzę rzeczy dużo lepiej niż wy na jawie*. A także, przed samym świtem: *Moja pamięć, panie Borges, jest jak ogromny śmietnik*. Okrąg narysowany na tablicy, trójkąt prostokątny, romb są kształtami, które możemy postrzec bez reszty; Ireneo w podobny sposób postrzegał rozwianą grzywę konia, stada owiec na zboczu góry, zmienne płomienie ogniska, niezliczony popiół, wiele twarzy nieboszczyka podczas długiego czuwania. Nie wiem, ile gwiazd widział na niebie.

Powiedział mi wiele rzeczy; ani wtedy, ani później nie wątpiłem w ich prawdziwość. W owych czasach nie było ani aparatów filmowych, ani fonografu; trudno mi jednak uwierzyć, że nikt nie starał się zrobić z nim jakiegoś eksperymentu. Co prawda każdy z nas odkłada na później wszystko, co tylko może być odłożone. Być może w głębi duszy jesteśmy pewni naszej nieśmiertelności, a także i tego, że wcześniej czy później każdy człowiek zrobi wszystko i wszystko będzie wiedział.

Głos Funesa mówił do mnie dalej z ciemności.

Powiedział mi, że około roku 1886 wynalazł oryginalny system numeracji; w ciągu niewielu dni przekroczył dwadzieścia cztery tysiące. Nie zapisywał tego, gdyż rzecz pomyślana jeden jedyny raz była już nie do zatarcia. Zdaje się, że pierwszym bodźcem stało się niezadowolenie ze zwrotu *Trzydziestu trzech walecznych*, który wymaga trzech słów lub dwóch znaków zamiast jednego słowa lub znaku. Zastosował później tę szaloną metodę do innych liczb. Zamiast siedem tysięcy trzynaście, mówił (na przykład) *Maksymilian Pérez*; zamiast siedem tysięcy czternaście - *kolej*; inne liczby nazywały się: *Ludwik Lafinur*, *siarka*, *treść*, *wieloryb*, *ognisko*, *kociolet*, *Napoleon*. Zamiast pięćset mówił *dziewięć*. Każdemu słowu odpowiadał specjalny znak, coś w rodzaju nieodłącznego piętna; niektóre były bardzo skomplikowane... Usiłowałem wytłumaczyć mu, że ta rapsodia słów bez związku jest zupełnym przeciwieństwem systemu liczenia. Powiedziałem, że mówiąc 365, stwierdzamy istnienie trzech setek, sześciu dziesiątek i pięciu jedności; analizy takiej nie da się przeprowadzić na „liczbach” *Czarny Tymoteusz* czy *sztuka mięsa*. Funes nie zrozumiał mnie albo nie chciał zrozumieć.

Locke, w XVII wieku, założył dla eksperymentu (i odrzucił potem) istnienie nieprawdopodobnego języka, w którym każdy przedmiot jednostkowy, każdy kamień, każdy ptak i każda gałąź miałyby swoją oddzielną nazwę; Funes zaprojektował kiedyś podobny język; odrzucił jednak ten pomysł, gdyż wydał mu się zbyt ogólnikowy i wieloznaczny. I rzeczywiście, Funes pamiętał nie tylko każdy liść każdego drzewa w każdym znanym mu

lesie, ale pamiętał także osobno wszystkie razy, kiedy go oglądał lub sobie wyobrażał. Postanowił kiedyś ograniczyć każdy dzień swojej przeszłości do siedemdziesięciu tysięcy wspomnień, które jednocześnie chciał ponumerować. Dwie rzeczy odwiodły go od tego zamiaru: świadomość, że dzieło takie byłoby nieskończone; świadomość, że byłoby daremne. Pomyślał, że do chwili swojej śmierci nie zdołałby nawet sklasyfikować wszystkich wspomnień dzieciństwa.

Oba projekty, które wymieniłem (nieskończony słownik dla serii liczb naturalnych, zbyteczny katalog wszystkich obrazów pamięci), są niedorzeczne, ale świadczą o pewnej prostodusznej wielkości. Pozwalają nam domyślać się, wczuć w zawrotny świat Funesa. Nie zapominajmy, że był on niezdolny niemal do tworzenia idei ogólnych, platońskich. Nie tylko trudno mu było zrozumieć fakt, że pojęcie *pies* może obejmować tyle różnych jednostek różnej wielkości i różnego kształtu; ale niepokoiło go także i to, że pies widziany o godzinie trzeciej czternaście (z profilu) może posiadać tę samą nazwę co tenże pies widziany o trzeciej piętnaście (*en face*). Jego własna twarz w lustrze, jego własne ręce zadziwiały go za każdym razem. Opowiada nam Swift, że król Liliputów rozpoznawał ruch wskazówki minutowej; Funes rozpoznawał bez ustanku spokojne postępy starzenia się, rozkładu, zmęczenia. Postrzegał narastanie śmierci, wilgoci. Był samotnym i trzeźwym widzem wielokształtnego, migawkowego i nieznośnie precyzyjnego świata. Babilon, Londyn i Nowy Jork przygniotły swoim przerażającym przepychem wyobraźnię ludzką; nikt jednak, ani w ich gęsto zaludnionych wieżach, ani na rozpedzonych ulicach, nie czuł gorąca i ciśnienia rzeczywistości tak niezmordowanej jak ta, która dzień i noc zwałała się na nieszczęsnego Funesa w jego biednej południowoamerykańskiej wiosce. Zасыpanie przychodziło mu z trudnością. Sen jest oderwaniem się od świata; Ireneo na wół leżąc w łóżku, w ciemności, wyobrażał sobie każdą szparkę i każdy szczegół otaczających go domów. (Powtarzam, że najmniej ważne z jego wspomnień było precyzyjniejsze i żywsze niż nasze odczucie największej radości ciała lub największej spośród jego tortur). Na wschód, na jałowej pampie, było kilka nowych, nieznanym mu domów. Funes wyobrażał sobie, że są czarne, jednolite, zrobione z bezkształtnej ciemności; kiedy chciał zasnąć, obracał twarz w owym kierunku. Czasami wyobrażał sobie, że jest na dnie rzeki, kołysany i unicestwiany przez nurt.

Nauczył się bez wysiłku angielskiego, francuskiego, portugalskiego i łaciny. Podejrzewam jednak, że nie umiał myśleć. Myśleć, to zapominać o różnicach, to uogólniać, tworzyć abstrakcje. W przeladowanym świecie Funesa były tylko szczegóły, prawie bezpośrednio.

Trwożliwa jasność brzasku zaczęła sączyć się z patia do pokoju.

Ujrzałem wówczas twarz należącą do głosu, który mówił do mnie przez całą noc. Ireneo miał dziewiętnaście lat; urodził się w 1868 roku, wydał mi się podobny do posagu z brązu, starszy niż Egipt, dawniejszy niż prorocstwa i piramidy. Pomyślałem, że każde moje słowo (i każdy mój gest) będzie trwało w jego bezlitosnej pamięci; onieśmielił mnie lęk pomnażania niepotrzebnych gestów.

Ireneo Funes zmarł w 1889 roku na zapalenia płuc.

1942

Blizna

Dla E.H.M.

Złośliwa blizna przecinała mu twarz; popielaty, doskonały niemal łuk, który kaleczył z jednej strony skroń, z drugiej zaś policzek. Jego prawdziwe nazwisko nie jest tutaj ważne: w Tacuarembó wszyscy nazywali go Anglikiem z La Colorada. Właściciel hacjendy La Colorada początkowo nie chciał jej sprzedać; słyszałem, że Anglik zdołał go do tego skłonić, uciekając się do nieoczekiwanego argumentu: opowiedział mu tajemniczą historię owej blizny. Anglik był przybyszem z pogranicza, z Rio Grande do Sul; powiadali niektórzy, że w Brazylii trudnił się kontrabandą. Pola hacjendy były zarośnięte, a woda nie do użytku; Anglik, aby doprowadzić wszystko do porządku, pracował w pocie czoła razem z najętymi robotnikami. Podobno był surowy aż do okrucieństwa, ale jednocześnie skrupulatnie sprawiedliwy. Powiadają też, że lubił wypić: kilka razy w roku zamykał się w pokoju na piętrze i wychodził po dwóch albo trzech dniach, niczym po bitwie albo po chorobie: blade, drżący, podniecony i, jak zawsze, władczy. Pamiętam jego zimne oczy, energiczną chudość, szpakowaty wąs. Nie zadawał się z nikim; co prawda mówił raczej kiepską hiszpańszczyzną z wyraźnym brazylijskim akcentem. Poza reklamowymi ulotkami nie otrzymywał żadnych listów.

Ostatnim razem, gdy podróżowałem konno po północnych prowincjach, wezbrała nagle rzeka Caraguata i zmuszony zostałem prosić o nocleg na hacjendzie. Poczułem od razu, że moje najście nie jest najlepiej widziane. Postanowiłem kupić sobie czymś Anglika i uciekłem się do uczucia zdolnego rozwiać wszystkie podejrzenia: do patriotyzmu. Powiedziałem, że kraj o tak wspaniałych tradycjach jak Anglia pozostanie zawsze niezwyciężony. Mój rozmówca przytaknął, ale dodał z uśmiechem, że nie jest Anglikiem. Był Irlandczykiem, urodził się w Dungarvan. Powiedziawszy to urwał, jakby odkrył mi jakąś tajemnicę.

Po kolacji wyszliśmy przypatrzeć się niebu. Było właśnie po deszczu, ale południowa

strona nieba, opadająca na pasmo pobliskich wzgórz, rozdzielana i pokreślona błyskawicami, szykowała drugą burzę. Kiedy usiedliśmy z powrotem w zdewastowanej jadalni, parobek, który podawał przedtem do stołu, przyniósł butelkę rumu. Piliśmy długo, w milczeniu.

Nie wiem, która mogła być godzina, kiedy spostrzegłem, że jestem pijany; nie wiem, jakie natchnienie, jakie upojenie, czy też może po prostu nuda, kazały mi zagadnąć go o bliźnę. Twarz Anglika zmieniła się; przez chwilę myślałem, że wyrzuci mnie z domu. Opanował się jednak natychmiast i zwrócił się do mnie swoim zwykłym głosem:

- Opowiem panu historię mojej bliźny, pod tym jednym warunkiem, że nie pomnę żadnej nikczemności, żadnego haniebnego szczegółu.

Przystąpiłem na to. Oto historia, którą opowiedział, mieszając angielski z hiszpańskim, a nawet z portugalskim:

„Około roku 1922 żyłem w jednym z miast prowincji Connaught. Byłem jednym z wielu patriotów walczących o niepodległość Irlandii. Spośród moich towarzyszy niektórzy żyją do dziś, oddając się spokojnym zajęciom; inni - za sprawą ironii losu - walczą na morzu albo na pustyni pod angielską flagą; jeden - najbardziej z nich wartościowy - zginął na koszarowym dziedzińcu, o świcie, rozstrzelany przez zaspanych żołnierzy; inni (kto wie, czy nie szczęśliwsi) spotkali swe przeznaczenie w bezimiennych skrytych walkach wojny domowej. Byliśmy republikanami, katolikami; podejrzewam, że byliśmy romantykami. Irlandia była dla nas nie tylko utopijną przyszłością i dotkliwą terażniejszością; była także gorzką i serdeczną mitologią, była w okrągłych basztach i w czerwieniących się torfowiskach, była w powstaniu Parnella i w rozległych eposach opiewających byki, które w poprzednich wcieleniach były bohaterami, a w dawniejszych jeszcze - rybami albo górami... Pewnego niezapomnianego dnia przybył do nas wieczorem członek organizacji z Munster: niejaki John Vincent Moon.

Miał zaledwie dwadzieścia lat. Był chudy i rozlazły jednocześnie; odnosiło się przykre wrażenie, że wcale nie ma kości. Przestudiował kiedyś gorączkowo cały prawie podręcznik marksizmu, którego tytułu już nie pamiętam; marksizm dialektyczny służył mu do ucinania każdej dyskusji. Racje, jakimi może posłużyć się człowiek, aby zniechęcić albo pokochać drugiego człowieka, są nieskończone: Moon sprowadzał historię powszechną do ordynarnych konfliktów ekonomicznych. Twierdził, że rewolucja musi zwyciężyć. Powiedziałem mu, że dżentelmen może interesować się tylko przegranymi sprawami... Nastąpiła noc; dyskutowaliśmy dalej: w korytarzu, na schodach, i wreszcie na mglistej ulicy. Sądy, które wygłaszał Moon, zrobiły na mnie mniejsze wrażenie niż jego bezapelacyjny, apodyktyczny ton. Nowy towarzysz nie dyskutował: wyrokował z pogardą i z pewną irytacją.

Kiedy byliśmy już na krańcach miasta, ogłuszyła nas nagła strzelanina. (Przedtem albo potem przeszliśmy wzdłuż ślepego muru jakiejś fabryki czy też koszar). Skręciliśmy na niebrukowaną drogę; jakiś żołnierz - wydawał się ogromny na tle płomieni - wybiegł z płonącego baraku. Krzycząc, rozkazał nam się zatrzymać. Zacząłem uciekać; mój towarzysz nie poszedł za mną. Odwróciłem się: John Vincent Moon stał bez ruchu, zafascynowany, jak gdyby uwieczniony przez strach. Zawróciłem; żołnierz nadbiegał już; jednym uderzeniem pięści zwałem go z nóg, potrząsnąłem Johnem, nawymyślałem mu i kazałem uciekać ze mną. Musiałem ciągnąć go za ramię; unicestwił go paroksyzm strachu. Biegliśmy wśród nocy przeszytej pożarami. Rozległa się za nami karabinowa salwa; jedna z kul musnęła prawe ramię Moona; rozplakał się, kiedy kluczyliśmy między sosnami.

Owej jesieni 1922 roku ukrywałem się w willi generała Berkeleya. Generał (którego w ogóle nigdy nie widziałem) objął wówczas stanowisko rządowe w Bengalu; dom miał zaledwie kilkadziesiąt lat, ale był podniszczony, szerniały, pełen niezdecydowanych korytarzy i zbędnych pokoików. Zbiory starożytnej broni i ogromna biblioteka zajmowały bez reszty parter: książki pełne sporów i sprzeczności, które w jakiś sposób stanowią historię XIX wieku; szable z Niszapuru o znieruchomiałej krzywiznie, w której zdawał się jeszcze dźwięczeń wiatr i odgłosy bitew. Weszliśmy (jeśli dobrze pamiętam) od tyłu. Moon drżącymi i suchymi ustami wymamrotał, że przydarzyła nam się bardzo interesująca historia; zrobiłem mu opatrunek i przyniosłem filiżankę herbaty; stwierdziłem, że jego „rana” jest zaledwie małym draśnięciem. Pił herbatę i ni stąd, ni zowąd wybąknął z zakłopotaniem:

- Ale pan dla mnie naraził życie.

Powiedziałem mu, żeby się nie przejmował. (Kilka lat konspiracji wytworzyło u mnie pewien instynkt, który kazał mi zachować się tak a nie inaczej; poza tym uwięzienie członka organizacji mogło być fatalne w skutkach dla naszej sprawy).

Na drugi dzień Moon całkowicie odzyskał pewność siebie. Przyjął papierosa i poddał mnie surowemu przesłuchaniu, które dotyczyło „zasobów pieniężnych naszej rewolucyjnej organizacji”. Jego pytania były rozsądne; powiedziałem mu bez ogródek, że sytuacja jest bardzo ciężka. Z południowej części miasta dotarł do nas głuchy odgłos nowej strzelaniny. Powiedziałem mu, że czekają na nas towarzysze. Moje palto i rewolwer były w drugim pokoju; kiedy wróciłem, zastałem Moona leżącego na kanapie z zamkniętymi oczami. Twierdził, że ma gorączkę; mówił o bolesnym skurczu w ramieniu.

Zrozumiałem wtedy, że jego tchórzostwo jest nieuleczalne. Poprosiłem go niezręcznie, żeby uważał na siebie, i pożegnałem się z nim. Zawstydzilem się tak, jak gdybym to ja był tchórzem, a nie Vincent Moon. Czyn pojedynczego człowieka należy w jakiś sposób do

wszystkich ludzi. Dlatego też nie ma chyba niesprawiedliwości w tym, że jedno nieposłuszeństwo w pewnym ogrodzie rzuca płamę na całą ludzkość; ani w tym, że ukrzyżowanie jednego Żyda wystarcza, aby ją zbawić. Kto wie, czy Schopenhauer nie ma racji: są we mnie wszyscy ludzie; każdy człowiek jest wszystkimi ludźmi; Szekspir to w jakiś sposób nędzny John Vincent Moon.

Spędziliśmy dziewięć dni w ogromnym domu generała. O potwornościach i blaskach walki, która rozgorzała, nie będę panu opowiadał; ograniczam się do historii blizny, która mnie znieważa. Wszystkie te dni stapiają się w mojej pamięci w jeden właściwie dzień, wyjąwszy przedostatni wieczór, kiedy nasi wdarli się do pewnej angielskiej placówki i mogliśmy dokładnie pomścić śmierć szesnastu towarzyszy rozstrzelanych w Elphin. Wymykałem się z willi przed świtem, w pierwszej, niewyraźnej jasności. O zmierzchu byłem z powrotem. Mój towarzysz czekał na mnie w pokoju na piętrze; rana nie pozwalała mu schodzić na dół. Przypominam go sobie z jakąś książką o strategii w ręce: F.N. Maude'a albo Clausewitza. „Broń, którą przedkładam nade wszystko, to artyleria” - zwierzył mi się pewnego wieczora. Rozpytywał o nasze plany; krytykował je albo ulepszał. Wytykał także „nasz pożałowania godny brak środków”; dogmatycznie i ponuro przepowiadał nam żalony koniec. *C'est une affaire flambée* - mrucał pod nosem. Aby pokazać, że jego fizyczne tchórzostwo ani go ziębi, ani grzeje, pysznił się wielkością swojego umysłu. W ten sposób, raz lepiej, raz gorzej, minęło dziewięć dni.

Dziesiątego dnia miasto dostało się ostatecznie w ręce Black and Tans. Patrole wysokich milczących jeźdźców krążyły po ulicach i drogach; wiatr niósł popiół i zapach dymu; na rogu ulicy zobaczyłem zabitego człowieka: obraz ten nie pozostawił jednak w mojej pamięci tak głębokiego śladu jak widok manekina wystawionego na środku placu, na którym żołnierze ćwiczyli się bez końca w strzelaniu do celu... Wyszedłem, jak zawsze, przed świtem; wróciłem około południa. Moon rozmawiał z kimś w bibliotece; po tonie głosu poznałem, że mówi przez telefon. Potem usłyszałem swoje nazwisko; potem, że wrócę o siódmej; potem, że najlepiej będzie zrobić zasadzkę w ogrodzie i aresztować mnie, kiedy będę wchodził do domu: mój sensowny przyjaciel bardzo sensownie mnie sprzedawał. Usłyszałem jeszcze, jak żądał nietykalności.

Tutaj moja historia gubi się i gmatwa. Pamiętam, że zacząłem ścigać donosiciela po ciemnych korytarzach, jak z koszmaru, i po głębokich, zawrotnych schodach. Moon znał willę bardzo dobrze, dużo lepiej niż ja. Raz po raz znikał mi z oczu. Zanim pojмали mnie żołnierze, zdołałem wpędzić Moona w wykusz bez wyjścia. Z jednej z licznych panoplii generała wyrwałem perską szablę i tym stalowym półksiężycem wypisałem mu na zawsze

krwawy półksiężyc na twarzy. Wyznałem panu wszystko, panie Borges. Jest pan człowiekiem obcym i pańska pogarda może nie będzie dla mnie tak bardzo bolesna.”

W tym miejscu zatrzymał się mój rozmówca. Zauważyłem, że drżą mu ręce.

- A Moon? - zapytałem.

- Wyplacono mu judaszowskie srebrniki i uciekł do Brazylii. Kiedy opuszczał miasto, zobaczył na placu manekina, którego bez końca rozstrzeliwali pijani żołnierze.

Czekałem na próżno na dalszy ciąg opowiadania. Poprosiłem go wreszcie, żeby kontynuował.

Wówczas przeszył go jęk; wówczas, z jakąś bezsilną łagodnością, wskazał palcem na bielejącą na jego twarzy półokrągłą bliznę.

- To pan mi nie wierzy? - wyjąkał. - Nie widzi pan, że noszę na twarzy piętno własnej podłości? Opowiedziałem panu moją historię w ten sposób, żeby wysłuchał jej pan do końca. Ja sprzedałem człowieka, który mnie przygarnął; ja jestem Vincent Moon. Teraz niech pan mną gardzi.

1942

Temat zdrajcy i bohatera

So the Platonic Year

Whirls out new right and wrong,

Whirls in the old unstead;

All men are dancers and their tread

Goes to the barbarous clangour of a gong.¹

W.B. Yeats *The Tower*

Pod niewątpliwym wpływem Chestertona (który wynalazł i upiększał wykwintne tajemnice) oraz radcy dworu Leibniza (który wymyślił przedustawną harmonię) wyobraziłem sobie ten temat, o którym być może napiszę i który w jakiś sposób już mnie usprawiedliwia, w niepotrzebne popołudnia. Brakuje tu jeszcze szczegółów, niezbędne są poprawki i dociągnięcia; pewne strefy tej historii nie zostały mi jeszcze objawione; dzisiaj, dnia 3 stycznia 1944 roku, postrzegam ją właśnie tak.

Akcja przebiega w jakimś uciśnionym, i uporczywie zawziętym kraju: w Polsce, Irlandii, Republice Weneckiej, w którymś z państw bałkańskich czy Ameryki Południowej... A raczej przebiegała, bo choć narrator jest współczesny, historia przez niego opowiedziana wydarzyła się w połowie czy w początkach XIX wieku. Powiedzmy (dla wygody narracji) Irlandia. Powiedzmy, rok 1824. Narrator nazywa się Ryan; jest prawnikiem młodego, bohaterskiego, pięknego, zamordowanego Fergus Kilpatricka, którego grób został w tajemniczy sposób zbezczeszczone, którego imię zdobi wiersze Browninga i Hugo, którego pomnik dominuje nad szarym wzgórzem wśród czerwonych bagien.

Kilpatrick był spiskowcem; tajemniczym i pełnym chwały przywódcą spiskowców;

¹ *I tak Platoński Kok*

Powraca w stary krąg

Wirując w nowym - słusznym czy też nie;

Ludzie są tancerzami i stosują krok

Do dźwięku, jaki daje barbarzyński gong.

W.B. Yeats, *Nineteen Hundred and Nineteen*, przekład Ludmiła Marjańska (przyp. red.).

jak Mojżesz, który z ziemi Moab ujrzał ziemię obiecaną i nie dane mu było po niej stąpać, Kilpatrick zginął w przeddzień zwycięskiego powstania, które przygotował i wyśnił. Zbliża się data setnej rocznicy jego śmierci; okoliczności zbrodni są zagadkowe; Ryan, który właśnie pracuje nad biografią bohatera, odkrywa, że tajemnica wykracza poza zwykłą zagadkę kryminalną. Kilpatrick został zamordowany w teatrze; policja brytyjska nigdy nie odnalazła zabójcy; Historycy twierdzą, że to niepowodzenie nie przynosi uszczerbku reputacji policji, bo być może właśnie ona spowodowała jego śmierć. Inne elementy zagadki niepokoją Ryana. Są cykliczne: zdają się powtarzać czy zestawiać fakty pochodzące z odległych krajów, z odległych epok. Wiadomo na przykład, że konstable, którzy oglądali zwłoki bohatera, znaleźli przy nim zapieczętowany list, ostrzegający Kilpatricka przed niebezpieczeństwem, jakie miało mu grozić owego wieczora w teatrze; również Juliusz Cezar, w chwili kiedy udawał się do miejsca, gdzie oczekiwały go sztylety przyjaciół, otrzymał list, którego nie zdołał przeczytać, a w którym odkrywano przed nim zdradę oraz imiona zdrajców. Żona Cezara, Calpurnia, ujrzała we śnie, jak burzono wieżę, którą Senat przyznał jej mężowi; fałszywe i anonimowe głosy w przeddzień śmierci Kilpatricka zapowiedziały całemu krajowi pożar okrągłej wieży w Kilgarvan, co mogło wydawać się przepowiednią, jako że urodził się on w Kilgarvan. Te (oraz inne) paralelizmy pomiędzy historią Cezara i jednego z irlandzkich spiskowców doprowadzają Ryana do podejrzewania jakiegoś osobliwego kształtu czasu, jakiegoś tajemniczego rysunku o powtarzających się liniach. Myśli o dziewięcioepokowej historii, jaką stworzył Condorcet; o morfologiach, jakie proponowali Hegel, Spengler i Vico; o ludziach u Hezjoda, którzy degenerują się od złota do żelaza. Myśli o wędrowce dusz, doktrynie, która napelnia przerażeniem literaturę celtycką, a którą sam Cezar przypisywał druidom z Brytanii; myśli, że Fergus Kilpatrick, zanim został Fergusem Kilpatrickiem, był Juliuszem Cezarem. Z tych kolistych labiryntów wybawia go ciekawe stwierdzenie, które później wtrąca go w otchłań innych labiryntów, jeszcze bardziej różnorodnych i powikłanych: pewne słowa, które jakiś żebrak zamienił z Fergusem Kilpatrickiem w dniu śmierci tego ostatniego, zostały z góry wypowiedziane przez Szekspira w tragedii *Makbet*. Że historia naśladuje historię było już dostatecznie zdumiewające; żeby historia naśladowała literaturę było niepojęte... Ryan stwierdza, że w 1814 roku James Alexander Nolan, najdawniejszy towarzysz bohatera, przetłumaczył na język gaelicki główne dramaty Szekspira, między innymi *Juliusza Cezara*. Odkrywa również w archiwach rękopis pewnego artykułu Nolana na temat szwajcarskich *Festspiele*: rozległych wędrownych przedstawień teatralnych, które wymagają tysięcy aktorów i powtarzają epizody historyczne w tych samych miastach i górach, w których się one wydarzyły. Inny nie publikowany dokument ujawnia mu, że na

niewiele dni przed końcem Kilpatrick, przewodnicząc ostatnim obradom, podpisał wyrok śmierci na zdrajcę, którego nazwisko zostało wymazane. Podobny wyrok nie mieścił się w łagodnych zwyczajach Kilpatricka. Ryan szuka powodów (poszukiwania te stanowią jedną z luk naszej historii) i udaje mu się rozwiązać zagadkę.

Kilpatrick został zabity w teatrze, ale za teatr posłużyło mu całe miasto, i były całe rzesze aktorów, i dramat ukoronowany jego śmiercią wypełnił wiele dni i wiele nocy. Oto, co się wydarzyło.

Dnia 3 sierpnia 1824 roku zebrali się spiskowcy. Kraj dojrzał już do powstania, ale ciągle jeszcze czegoś brakowało; wśród spiskowców był zdrajca. Wykrycie go Fergus Kilpatrick powierzył Jamesowi Nolanowi. Nolan wywiązał się z zadania: oświadczył wobec całego zgromadzenia, że zdrajcą jest sam Kilpatrick. Wykazał za pomocą niezbitych dowodów prawdziwość oskarżenia; sprzysiężeni skazali na śmierć swojego przywódcę. Ten podpisał wyrok na siebie, błagał tylko, by uczyniono wszystko, żeby jego kara nie zaszkodziła ojczyźnie.

Wówczas Nolan przedstawił dziwny projekt. Irlandia uwielbiała Kilpatricka; najłżejsze podejrzenie o nikczemność mogło narazić losy powstania. Nolan zaproponował plan, zgodnie z którym wykonanie wyroku na zdrajcy miało stać się środkiem do wyzwolenia ojczyzny. Zaproponował, by skazany zginął z ręki nieznanego zabójcy, w okolicznościach szczególnie dramatycznych, które by oddziaływały silnie na ludową wyobraźnię i przyspieszyły powstanie. Kilpatrick przyrzekł uczestniczyć w tym planie, który dawał mu możliwość odkupienia winy, i który przypieczętowałby jego życie.

Nolan, naglony czasem, nie był w stanie dokładnie przemyśleć okoliczności zrealizowania projektu; musiał wzorować się na innym dramaturgu, angielskim wrogu, Williamie Szekspirze. Powtórzył sceny z *Makbeta* i z *Juliusza Cezara*. Jawne i ukryte przedstawienie zajęło wiele dni. Skazany przybył do Dublina, dyskutował, działał, przemawiał, potępiał, wygłaszał patetyczne słowa, a każdy z tych czynów, które przydałyby mu chwały, był z góry ustalony przez Nolana. Setki statystów współpracowały z głównym aktorem; rola jednych była długa i złożona, innych prosta i chwilowa. To, co powiedzieli i zrobili, trwa w księgach historii, w żarliwej pamięci Irlandii. Kilpatrick, ożywiony tą złożoną rolą, która odkupiała go i gubiła, niejednokrotnie wzbogacał czynami i zaimprovizowanymi słowami scenariusz swego sędziego. Tak rozwijał się w czasie rozległy dramat, aż w końcu, dnia 6 sierpnia 1824 roku, w łoży o ponurych zasłonach, która zapowiadała już łożę Lincolna, upragniona kula przeszła pierś zdrajcy i bohatera, który zaledwie zdążył wypowiedzieć, między dwoma krwotokami, kilka przewidzianych słów.

W dziele Nolana ustępy przejęte z Szekspira są najmniej dramatyczne; Ryan podejrzewa, że autor wstawił je po to, aby ktoś kiedyś mógł odkryć prawdę. Podejrzewa, że sam uczestniczy w intrydze wymyślonej przez Nolana... Po długiej walce wewnętrznej postanawia utrzymać odkrycie w tajemnicy. Wydaje książkę poświęconą pamięci bohatera; i to również, być może, zostało przewidziane.

Śmierć i busola

Dla Mandie Molina Vedia

Z licznych problemów, jakie ćwiczyły zuchwałą przenikliwość Lönnrota, żaden nie był tak dziwny - moglibyśmy powiedzieć - tak ściśle dziwny jak okresowa seria krwawych faktów, które osiągnęły swoją kulminację w willi Triste-le-Roy, pośród nieskończonej woni eukaliptusów. To prawda, że Erik Lönnrot nie zdołał zapobiec ostatniej zbrodni, ale ją przewidział i ten fakt nie podlega dyskusji. Nie odgadł również tożsamości nieszczęsnego mordercy Jarmolińskiego, ale odgadł tajemną morfologię złowieszczej serii i udział Reda Scharlacha, nazywanego także Dandym Scharlachem. Kryminalista ten (jak wielu innych) zaprzysiął na swój honor śmierć Lönnrotowi, ale ten nie dał się nigdy zastraszyć. Lönnrot uważał się za czystego myśliciela, jakiegoś Augusta Dupin, ale było w nim coś z łowcy przygód, a nawet z hazardzisty.

Pierwsza zbrodnia wydarzyła się w Hôtel du Nord - wysokiej piramidzie górującej nad ujściem rzeki, której wody mają kolor pustyni. Do tej wieży (łączącej w sobie, jak powszechnie wiadomo, nienawistną biel sanatorium, numerowaną podzielność więzienia i ogólny widok lupanaru) przybył z Podolska, dnia trzeciego grudnia, delegat na Trzeci Kongres Talmudyczny, doktor Marceli Jarmoliński, człowiek o szarej brodzie i szarych oczach. Nigdy nie dowiemy się, czy Hôtel du Nord spodobał mu się: pogodził się z nim z tą samą starożytną rezygnacją, konieczną, żeby znieść trzy lata wojny w Karpatach, i trzy tysiące lat prześladowań i pogromów. Dostał pokój na piętrze „R”, obok apartamentu, który nie bez splendoru zajmował Tetrarcha Galilei. Jarmoliński zjadł kolację, odłożył na następny dzień poznanie nieznanego miasta, ułożył w ściennej szafie swoje liczne książki i swoje bardzo nieliczne ubrania, i przed północą zgasił światło. (Tak zeznał szofer Tetrarchy, który spał w przyległym pokoju). Dnia czwartego, o godzinie 11.03, zatelefonował do niego redaktor *Yidische Zaitung*; doktor Jarmoliński nie odpowiadał; znaleziono go w jego pokoju, z nieco ściemniałą już twarzą, prawie nagiego pod wielką, anachroniczną peleryną. Leżał

niedaleko od drzwi wychodzących na korytarz; pierś przebił mu głęboki cios nożem. Parę godzin później, w tym samym pokoju, pośród dziennikarzy, fotografów i żandarmów, komisarz Treviranus i Lönnrot beznamiętnie rozważali ten problem.

- Nie ma co dzielić włosa na czworo - mówił Treviranus, wymachując władcym cygarem. - Wszyscy wiemy, że Tetrarcha Galilei ma najlepsze na świecie szafiry. Ktoś, żeby je ukraść, wszedł tutaj przez pomyłkę. Jarmoliński wstał; złodziej musiał go zabić. Co pan o tym sądzi?

- Możliwe, ale nieciekawe - odparł Lönnrot. - Powie mi pan, że rzeczywistość nie ma najmniejszego obowiązku być ciekawą. Ja na to odpowiem, że rzeczywistość może się obejść bez tego obowiązku, ale hipotezy nie. W tej, którą pan zaimprovizował, uczestniczy szczerze przypadek. Oto martwy rabin; ja wolałbym jakieś wyjaśnienie bardziej rabiniczne, nie zaś wymyślone kłopoty wymyślonego złodzieja.

Treviranus odpowiedział poirytowany:

- Nie interesują mnie wyjaśnienia rabiniczne; interesuje mnie schwywanie człowieka, który zasztyletował tego nieznajomego.

- Nie tak znów nieznajomego - poprawił Lönnrot. - Tu stoją w komplecie jego dzieła - wskazał w szafie ściiennej rząd wysokich woluminów: *Windykacja kabaly*; *Analiza filozofii Roberta Fludda*; *Sefer Jecira*¹ w dosłownym tłumaczeniu; *Życiorys Baala Szema*²; *Historia sekty chasydów*; monografia (po niemiecku) na temat Tetragrammatonu; inna na temat boskiej nomenklatury Pięcioksięgu.

Komisarz spojrział z lękiem, niemal z obrzydzeniem. Potem się roześmiał.

- Jestem tylko biednym chrześcijaninem - powiedział. - Niech pan sobie zabiera wszystkie te tomiska, jeśli pan chce; nie mam czasu do tracenia na zabobony żydowskie.

- Być może do historii zabobonów żydowskich należy ta zbrodnia - mruknął Lönnrot.

- Tak jak chrześcijaństwo - ośmielił się uzupełnić redaktor *Yidische Zeitung*. Był krótkowidzem, ateuszem, był bardzo nieśmiały.

Nikt mu nie odpowiedział. Jeden z agentów znalazł w małej maszynie do pisania kartkę papieru z tym niedokończonym zdaniem:

Wypowiedziana postać pierwsza litera Imienia

¹ *Sefer Jecira* (hebr. „Księga Stworzenia”) - podstawowe dzieło dawnej mistyki żydowskiej, powstałe w III-IV w. w Babilonii (przyp. tłum.).

² Baal Szem Tow (hebr. „Pan Dobrego Imienia”) - imię, które przybrał Izrael ben Eliezer (1700 -1760) z Podola, przewodniczący gminy żydowskiej w Międzyborzu, jeden z twórców chasydyzmu.

Lönnrot powstrzymał się od uśmiechu. Stając się nagle bibliofilem, czy hebraistą, kazał sobie spakować książki zmarłego i zabrał je do domu. Obojętny na policyjne dochodzenie oddał się ich studiowaniu. Jedna księga *in octavo maiore* odsłoniła mu nauki Izraela Baala Szema Towa, założyciela sekty Pobożnych; inna - moc i grozę Tetragrammatonu, który jest niewypowiadalnym Imieniem Boga; inna - twierdzenie, że Bóg posiada sekretne imię, w którym zawarty jest (jak w kryształowej kuli przypisywanej przez Persów Aleksandrowi Macedońskiemu) jego dziewiąty atrybut - wieczność, czyli bezpośrednia znajomość wszystkich rzeczy, jakie będą, jakie są i jakie były we wszechświecie. Tradycja wymienia dziewięćdziesiąt dziewięć imion Boga; hebraiści przypisują tę niedoskonałą liczbę magicznemu przerażeniu wobec cyfr parzystych; chasydzi argumentują, że luka wskazuje na istnienie imienia setnego - Imienia Absolutnego.

Od tych erudycyjnych zajęć oderwało go, kilka dni później, pojawienie się redaktora *Yidische Zaitung*. Chciał on rozmawiać o morderstwie; Lönnrot wolał rozmawiać o różnorodnych imionach Boga; dziennikarz oświadczył na trzech kolumnach, że detektyw Erik Lönnrot oddaje się studiowaniu imion Boga, aby znaleźć imię mordercy. Lönnrot, przyzwyczajony do dziennikarskich uproszczeń, nie oburzył się. Jeden z tych handlarzy, którzy odkryli, że każdy człowiek pogodzi się z kupnem każdej książki, opublikował w popularnym wydaniu, *Historię sekty chasydów*.

Druga zbrodnia wydarzyła się w nocy trzeciego stycznia, na jednym z najbardziej opustoszałych i pogrążonych w marazmie, samotnych północnych przedmieść stolicy. Przed świtem jeden z żandarmów, patrolujących konno te pustkowia, spostrzegł człowieka w poncho, który leżał na progu starego sklepu z farbami. Zesztywniała twarz była jakby przykryta krwawą maską; głęboka rana przecinała pierś. Na murze, na tle żółtych i czerwonych rombów, napisano kredą jakieś słowa. Żandarm odczytał je... Tego popołudnia Treviranus i Lönnrot udali się na odległą scenę zbrodni. I po lewej, i po prawej stronie samochodu miasto traciło swoją jednolitość; rozrastał się firmament, niewiele już znaczyły domy, a dużo jakiś ceglany komin czy jakaś topola. Dotarli do swojego ubogiego celu: ostatniej uliczki z różowymi murami, które w jakiś sposób zdawały się odbijać niezmierny zachód słońca. Denat został już zidentyfikowany. Był to Daniel Simon Azevedo, człowiek o pewnej sławie na dawnych północnych przedmieściach, który awansował z woźnicy na opryszka angażowanego podczas wyborów, by spaść później do pozycji złodzieja, a nawet donosiciela. (Szczególny styl jego śmierci wydał im się odpowiedni: Azevedo to ostatni przedstawiciel pokolenia bandytów, które potrafiło posługiwać się sztyletem, ale nie rewolwerem). Słowa napisane kredą na ścianie były następujące:

Wypowiedziana została druga litera Imienia

Trzecia zbrodnia wydarzyła się w nocy trzeciego lutego. Na krótko przed godziną pierwszą zadzwijał telefon w domu komisarza Treviranusa. Mówił, zachłystując się tajemniczością, człowiek o gardłowym głosie; powiedział, że nazywa się Ginzberg (czy Ginsburg) i że jest skłonny powiadomić, za rozsądnym wynagrodzeniem, o faktach związanych z morderstwami Azeveda i Jarmolińskiego. Kakofonia gwizdów i trąbek zagłuszyła słowa informatora. Potem połączenie zostało przerwane. Nie porzucając jeszcze myśli o dowcipie (był to w końcu karnawał), Treviranus ustalił, że rozmawiano z *Liverpool House*, tawerny przy Rue de Toulon, ulicy pod słoną bryzą, gdzie współżyły kosmorama i mleczarnia, burdel i sprzedawcy biblii. Treviranus zatelefonował do właściciela. Ten (Black Finnegan, stary irlandzki kryminalista, przytłoczony i niemal unicestwiony brzemieniem przyzwoitości) powiedział mu, że ostatnią korzystającą z telefonu osobą był jego lokator, niejaki Gryphius, który przed chwilą wyszedł w towarzystwie przyjaciół. Treviranus udał się natychmiast do *Liverpool House*. Właściciel powiedział mu co następuje: osiem dni wcześniej Gryphius wynajął pokój nad barem. Był to człowiek o ostrych rysach, o mglistej szarej brodzie, ubrany ubogo, na czarno; Finnegan (przeznaczający ten pokój do celów, których Treviranus się domyślał) zażądał niewątpliwie wygórowanej opłaty; Gryphius natychmiast zapłacił podaną sumę. Prawie nigdy nie wychodził; obiady i kolacje jadał w swoim pokoju; w barze nie znano jego twarzy. Tego wieczora zszedł, żeby zatelefonować z biura Finnegana. Zamknięta dorożka zatrzymała się przed tawerną. Woźnica pozostał na koźle; kilku klientów pamiętało, że miał na sobie maskę niedźwiedzia. Z dorożki wysiadło dwóch arlekinów; byli niskiego wzrostu i nikt nie mógł nie zauważyć, że byli bardzo pijani. Wśród ryków trąbek wtargnęli do biura Finnegana; uściskali Gryphiusa, który zdawał się ich rozpoznawać, ale odpowiadał im chłodno; zamienili kilka słów w jidysz - on cichym, gardłowym głosem, oni wysokim falsetem - i weszli do pokoju na górze. Po upływie kwadransa zeszli wszyscy trzej, bardzo radośni; Gryphius zataczał się i wyglądał na równie pijanego jak pozostali. Szedł, wysoki i zamroczony, w środku, między zamaskowanymi arlekinami. (Jedna z kobiet w barze przypomniała sobie romby, żółte, czerwone i zielone). Dwukrotnie potknął się; dwukrotnie podtrzymali go arlekinini. Wszyscy trzej wsiedli do dorożki i zniknęli na drodze do pobliskiego basenu portowego, o prostokątnej wodzie. Już ze stopnia dorożki arlekin, który wsiadał jako ostatni, nagryzmolił nieprzyzwoity rysunek i jakieś zdanie na szyldzie przed sklepem z nabiałem.

Treviranus zobaczył to zdanie. Było ono niemal do przewidzenia, brzmiało:

Wypowiedziana została ostatnia z liter Imienia

Potem obejrzał pokoik Gryphiusa-Ginzberga. Na podłodze gwałtowna gwiazda z krwi; w kątach niedopałki papierosów węgierskiej marki; w szafie książka po łacinie - *Philologus hebraeograecus* (1739) Leusdena - z licznymi odręcznymi notatkami. Treviranus spojrział na nią z oburzeniem i posłał po Lönnrota. Ten, nie zdejmując kapelusza, zaczął czytać, podczas gdy komisarz przysłuchiwał się sprzecznym relacjom świadków przypuszczalnego porwania. O czwartej wyszli. Na krętej Rue de Toulon, kiedy deptali po martwych serpentynach świtu, Treviranus powiedział:

- A gdyby ta historia z dzisiejszej nocy była pozorem?

Erik Lönnrot uśmiechnął się i przeczytał z całą powagą ustęp (który był podkreślony) z trzydziestej trzeciej dysertacji *Philologusa: Dies Judaeorum incipit a solis occasu usque ad solis occasum diei sequentis*. To znaczy - dodał - *Dzień Hebrajczyków zaczyna się o zachodzie słońca i trwa do następnego zachodu*.

Tamten pokusił się o ironię:

- Czy to najcenniejsza z danych, jaką uzyskał pan tej nocy?

- Nie. Cenniejsze jest pewne słowo, które wypowiedział Ginzberg.

Popołudniowe dzienniki nie omieszczały zwrócić uwagi na te periodyczne zdarzenia, *La Cruz de la Espada* skonfrontował go z podziwu godną dyscypliną i porządkiem ostatniego Kongresu Eremitów; Ernst Palast, w *El Mártir*, potępiał „niewybaczalną zwłokę potajemnego i oszczędnego pogromu, który potrzebował trzech miesięcy na zlikwidowanie trzech Żydów”; *Yidische Zeitung* odrzucał potworną hipotezę antysemitckiego spisku, „choć wiele przenikliwych umysłów nie dopuszcza innego rozwiązania tej potrójnej tajemnicy”; najślawniejszy rewolwerowiec z Sur, Dandy Red Scharlach, przysięgał, że w jego dzielnicy nigdy nie popełniono by takich zbrodni i oskarżył o pełną winy niedbałość komisarza Franza Treviranusa.

Ten ostatni, wieczorem pierwszego marca, otrzymał imponującą zapieczętowaną kopertę. Otworzył ją: koperta zawierała list podpisany *Baruch Spinoza* i szczegółowy plan miasta, wyraźnie wyrwany z jakiegoś przewodnika. List prorokował, że trzeciego marca nie będzie czwartej zbrodni, ponieważ farbiarnia w Oeste, tawerna przy Rue de Toulon i Hôtel du Nord były „doskonałymi wierzchołkami równobocznego i mistycznego trójkąta”; plan wykazywał czerwonym atramentem regularność tego trójkąta. Treviranus przeczytał z rezygnacją argument *more geometrico* i posłał list, i plan do domu Lönnrota - bezsprzecznie zasługującego na takie bzdury.

Erik Lönnrot zapoznał się z nimi. Rzeczywiście wszystkie trzy miejsca były od siebie jednakowo oddalone. Symetria w czasie (3 grudnia, 3 stycznia, 3 lutego); również symetria w przestrzeni... Nagle poczuł, że jest na progu rozwiązania tajemnicy. Kompas i busola dopełniły tej nagłej intuicji. Uśmiechnął się, wymówił słowo *Tetragrammaton* (niedawno pozyskane) i zadzwonił do komisarza. Powiedział mu:

- Dziękuję za ten trójkąt równoboczny, który przysłał mi pan wczoraj wieczorem. Pozwolił on rozwiązać problem. Jutro, w piątek, przestępcy będą w więzieniu; możemy być zupełnie spokojni.

- Więc nie planują czwartej zbrodni?

- Właśnie dlatego, że planują czwartą zbrodnię, możemy być zupełnie spokojni.

Lönnrot powiesił słuchawkę. Godzinę później jechał koleją Towarzystwa Ferrocarriles Australes w kierunku opuszczonej willi w Triste-le-Roy. Na południe od miasta z mojego opowiadania płynie rzeczka o błotnistych wodach, zniesławiona produktami garbarskimi i śmieciami. Po drugiej stronie leży fabryczne przedmieście, gdzie, pod osłoną kacyka z Barcelony, grasują rzezimieszki. Lönnrot uśmiechnął się na myśl, że najślawniejszy z nich, Red Scharlach, dałby wszystko, żeby dowiedzieć się o tych potajemnych odwiedzinach. Azevedo był kompanem Scharlacha; Lönnrot pomyślał o odległej możliwości, że czwartą ofiarą będzie Scharlach. Później odrzucił ją... Potencjalnie rozszyfrował problem; zwykłe okoliczności, rzeczywistość (imiona, aresztowanie, twarze, formalności prawne i więzienne) teraz zaledwie go interesowały. Chciał pospacerować, chciał odpocząć po trzech miesiącach dochodzenia prowadzonego na siedząco. Pomyślał, że wyjaśnienie zbrodni leżało w anonimowym trójkącie i w zapyłonym greckim słowie. Tajemnica wydała mu się niemal krystalicznie przejrzysta; zawstydził się, że poświęcił jej sto dni.

Pociąg zatrzymał się na milczącej stacji towarowej. Lönnrot wysiadł. Było to jedno z owych opustoszałych popołudni, które wyglądają jak świt, z powietrzem na niewyraźnej równinie wilgotnym i chłodnym. Lönnrot ruszył przez pola. Widział psy, widział platformę na bocznicę, widział horyzont, widział srebrzystego konia, pijącego zachłannie wodę z kałuży. Ściemniało się, kiedy ujrzał prostokątną wieżyczkę willi Triste-le-Roy, prawie tak wysoką jak czarne eukaliptusy, które ją otaczały. Pomyślał, że zaledwie jeden świt i jeden zmierzch (starożytny blask na wschodzie i drugi na zachodzie) dzieli go od godziny wyteśknionej przez poszukiwaczy Imienia.

Zardzewiałe ogrodzenie określało nieregularny obrys posiadłości. Główna brama była zamknięta. Lönnrot, bez zbytej nadziei na odnalezienie wejścia, zatoczył pełne koło. Znalazłszy się ponownie przed nieprzebytą bramą, włożył rękę między pręty, niemal

machinalnie, i znalazł zasuwę. Zgrzyt żelaza zaskoczył go. Brama poddała się z pracowitą biernością.

Lönnrot poszedł między eukaliptusami, deptając bezładne pokolenia sztywnych martwych liści. Widziany z bliska, dom Triste-le-Roy obfitował w zbyt liczne symetrie i w maniackalne powtórzenia: lodowatej Dianie w ponurej niszy odpowiadała w innej niszy inna Diana; jeden balkon odbijał się w innym balkonie; podwójne schody rozcięte były podwójną balustradą. Dwulicy Hermes rzucał monstrualny cień. Lönnrot okrążył dom, jak poprzednio okrążył ogród. Zbadał wszystko; pod poziomem tarasu dostrzegł wąskie drzwiczki.

Popchnął je: kilka marmurowych stopni schodziło do podziemi. Lönnrot, intuicyjnie już wyczuwający preferencje architekta, odgadł, że przy przeciwległym murze podziemia znajdzie drugie stopnie. Odnalazł je, wszedł po nich, podniósł ręce i otworzył klapę wyjściową.

Blask doprowadził go do okna. Otworzył je: żółty i okrągły księżyc obrysowywał w smutnym ogrodzie dwie oślepięte fontanny. Lönnrot zbadał dom. Przez pokoje kredensowe i korytarze wychodził na identyczne patia i kilkakrotnie na to samo patio. Po pokrytych kurzem schodach dochodził do kolistych przedpokojów; pomnażał się nieskończenie w przeciwległych lustrach; nużył się otwieraniem lub uchylaniem okien, które odsłaniały przed nim, na zewnątrz, ten sam zaniedbany ogród, z różnych wysokości i pod różnymi kątami; wewnątrz - meble w żółtych pokrowcach i żyrandole owinięte w muślin. Zatrzymała go sypialnia; w sypialni jeden kwiat w porcelanowym wazonie; przy pierwszym muśnięciu kruche płatki rozpadły się. Na drugim piętrze, ostatnim, dom wydał mu się nieskończony i wciąż rosnący. *Dom nie jest taki duży, pomyślał. Powiększają go półmrok, symetria, lustra, liczne lata, moja samotność i nieznanostwo miejsca.*

Po spiralnych schodach wszedł na wieżyczkę. Księżyc prześwitywał tego wieczora przez romby okien; były one żółte, czerwone i zielone. Zatrzymało go zdziwione i zawrotne wspomnienie.

Dwaj mężczyźni niskiego wzrostu, mocno zbudowani i groźni, rzucili się na niego i odebrali mu broń. Inny, bardzo wysoki, przywitał go z powagą i powiedział:

- To uprzejme z pana strony. Zaoszczędził nam pan jednej nocy i jednego dnia.

Był to Red Scharlach. Mężczyźni związali Lönnrota, który w końcu odzyskał głos.

- Scharlach, czy pan szuka Tajemnego Imienia?

Scharlach stał ciągle, obojętny. Nie brał udziału w krótkiej walce, zaledwie wyciągnął dłoń po rewolwer Lönnrota. Odezwał się; Lönnrot usłyszał w jego głosie znużone zwycięstwo, nienawiść o rozmiarach wszechświata, smutek nie mniejszy niż owa nienawiść.

- Nie - powiedział Scharlach. - Szukam czegoś bardziej efemerycznego i ulotnego, szukam Erika Lönnrota. Przed trzema laty, w pewnej speluncie przy Rue de Toulon, osobiście aresztował pan, i posłał do więzienia, mojego brata. Moi ludzie wyciągnęli mnie dorożką ze strzelaniny z policyjną kulą w brzuchu. Przez dziewięć dni i dziewięć nocy konałem w tej opuszczonej symetrycznej willi: zżerała mnie gorączka, nienawistny dwulicy Janus, patrzący na zachody i na świty przepępiał przerażeniem moje sny i moje czuwanie. Doszedłem do tego, że znienawidziłem własne ciało, doznałem wrażenia, że dwoje oczu, dwie ręce, dwa płuca są równie monstrualne jak dwie twarze. Pewien Irlandczyk usiłował nawrócić mnie na wiarę Jezusa; powtarzał mi sentencję gojów: wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Podczas nocy moje delirium karmiło się tą metaforą: czułem, że świat jest labiryntem, skąd uciezka jest niemożliwa, gdyż wszystkie drogi, choćby na pozór szły na północ czy południe, naprawdę prowadzą do Rzymu, do prostokątnego więzienia, tego gdzie konał mój brat, i willi Triste-le-Roy. Podczas owych nocy poprzysiągłem na boga, który widzi dwiema twarzami i na wszystkich bogów gorączki i luster, że utkam labirynt dla człowieka, który uwięził mojego brata. Utkalem go i jest niezłomny: materiałem jest pewien martwy herezjolog, pewna busola, pewna sekta z XVIII wieku, pewne greckie słowo, pewien sztylet, romby pewnego sklepu z farbami.

Pierwszy element serii został mi zesłany przez przypadek. Zaplanowałem z kilkoma kolegami - wśród nich był Daniel Azevedo - kradzież szafirów Tetrarchy. Azevedo zdradził nas: upił się za pieniądze, które mu daliśmy jako zaliczkę i sam podjął robotę o dzień wcześniej. Zabłądził w ogromnym hotelu; około drugiej nad ranem włamał się do sypialni Jarmolińskiego. Ten, nękany bezsennością, zabrał się do pisania. Prawdopodobnie redagował jakieś notatki czy jakiś artykuł o Imieniu Boga; napisał już słowa: *Wypowiedziana została pierwsza litera Imienia*. Azevedo nakazał mu milczenie; Jarmoliński wyciągnął rękę w stronę dzwonka, który postawiłby na nogi wszystkich strażników w hotelu; Azevedo zadał mu tylko jeden cios sztyletem w pierś. Było to niemal odruchowe; pół wieku przemocy nauczyło go, że najłatwiejszą i najpewniejszą rzeczą jest zabijać... Po dziesięciu dniach dowiedziałem się z *Yidische Zaitung*, że szuka pan w pismach Jarmolińskiego klucza do jego śmierci. Przeczytałem *Historię sekty chasydów*; dowiedziałem się, że nabożny lęk przed wymówieniem Imienia Boga dał początek doktrynie, głoszącej, iż to Imię jest wszechpotężne i ukryte. Dowiedziałem się, że niektórzy chasydzi, w poszukiwaniu tajemnego Imienia, posunęli się do składania ofiar ludzkich... Zrozumiałem, że pan przypuszcza, iż chasydzi złożyli w ofierze rabina; poświęciłem się uzasadnieniu tego przypuszczenia.

Marceli Jarmoliński zginął w nocy trzeciego grudnia; na drugą „ofiarę” wybrałem noc

trzeciego stycznia. Zginął w Norte¹; na drugą „ofiara” odpowiednie byłoby jakieś miejsce w Oeste. Daniel Azevedo stał się potrzebną ofiarą. Zasługiwał na śmierć: był impulsywny, był zdrajcą; jego pojmanie mogło zniweczyć cały plan. Jeden z naszych zasztyletował go; aby stworzyć powiązanie tego trupa z poprzednim, napisałem na rombikach sklepu z farbami *Wypowiedziana została druga litera Imienia*.

Trzecia „zbrodnia”, popełniona trzeciego lutego, była, jak odgadł Treviranus, zwykłym pozorem. Gryphius-Ginzberg-Ginsburg to ja; przeżyłem cały niekończący się tydzień (z dodatkiem sztucznej brody) w pokoju przeznaczonym na rozpustę przy Rue de Toulon, aż porwali mnie moi przyjaciele. Ze stopnia dorożki jeden z nich napisał na szyldzie sklepu: *Wypowiedziana została ostatnia z liter Imienia*. Napis ten ogłaszał, że seria zbrodni była *potrójna*. Tak zrozumiała to publiczność; ja jednakże wplotłem powtarzające się wskazówki, żeby pan, ściśle rozumujący Erik Lönnrot, zrozumiał, że jest *poczwórna*. Jeden cud w Norte, następne w Este i w Oeste, domagają się czwartego cudu w Sur; Tetragrammaton - Imię Boga, JHVH - składa się z *czterech* liter; arlekini i szyld farbiarza sugerują *cztery* elementy. Podkreśliłem pewien ustęp w podręczniku Leusdena; ustęp ten oświadcza, że Hebrajczycy liczyli dzień od zachodu do zachodu; ustęp ten daje do zrozumienia, że śmierci nastąpiły *czwartego* każdego miesiąca. Posłałem Treviranusowi trójkąt równoboczny. Przeczułem, że doda pan brakujący punkt. Punkt wyznaczający romb doskonały, punkt, który zapowiada miejsce, gdzie czeka na pana ściśle wyznaczona śmierć. Wszystko z góry przemyślałem, Erikowi Lönnrotowi, aby ściagnąć pana do tego pustkowiaka w Triste-le-Roy.

Lönnrot unikał wzroku Scharlacha. Patrzył na drzewa i na niebo podzielone na romby mgliście żółte, zielone i czerwone. Poczul lekki chłód i jakiś bezosobowy, niemal anonimowy smutek. Zapadła już noc; z pokrytego pyłem ogrodu wzniósł się zbędny krzyk jakiegoś ptaka. Lönnrot przeanalizował po raz ostatni problem symetrycznych i okresowych śmierci.

- W pańskim labiryncie trzy linie są zbędne - powiedział w końcu. - Znam pewien grecki labirynt, który jest jedną tylko, prostą linią. Na linii tej zagubiło się tylu filozofów, że z łatwością może zginąć jeden zwykły detektyw. Kiedy będzie pan na mnie polował w innym awatarze, Scharlach, niech pan zainscenizuje (lub popełni) jakąś zbrodnię w „A”, potem drugą zbrodnię w „B”, o 8 kilometrów od „A”, potem trzecią zbrodnię w „C”, o 4 kilometry od „A” i od „B”, w połowie drogi między nimi. Potem niech pan na mnie czeka w „D”, o 2 kilometry od „A” i od „C”, znowu w połowie drogi. Niech mnie pan zabije w „D”, tak jak

¹ Norte, Sur, Este, Oeste (Północ, Południe, Wschód, Zachód) - nazwy dzielnic Buenos Aires, które to miasto, „w przebraniu”, jest miejscem akcji opowiadania (przyp. tłum.).

teraz zabija mnie pan w Triste-le-Roy.

- Następnym razem, kiedy będę pana zabijał - odrzekł Scharlach - przyrzekam panu ten labirynt, który składa się z jednej tylko linii prostej, i który jest niewidzialny, nieustanny.

Cofnął się o kilka kroków. Potem bardzo dokładnie wycelował i strzelił.

1942

Tajemny cud

*Bóg go śmiercią ukarał, był on w tym stanie
przez sto lat, potem go wskrzesił i zapytał:
- Wieleś lat tu zostawał? - Dzień jeden czy
kilka godzin - odpowiedział wędrownik.¹*

Koran, II, 261

Nocą 14 marca 1939 roku w pewnym mieszkaniu praskiej Zeltnergasse Jaromir Hladík, autor niedokończonej tragedii *Wrogowie*, dzieła *Obrona wieczności* i studium nad pośrednimi wpływami hebrajskimi na Jakoba Boehmego, śnił o długiej partii szachów. Nie rozgrywały jej dwie osoby, lecz dwa znakomite rody; partię rozpoczęto wiele stuleci wcześniej; nikt nie pamiętał, o jaką chodziło stawkę, ale szeptano, że była ona niezmierna, a może nieskończona; figury i szachownica znajdowały się w tajemnej wieży; Jaromir był (we śnie) pierworodnym synem jednej z wrogich rodzin; zegary były godzinę następnego posunięcia, które nie mogło być dłużej odkładane; śniący przebiegał piaski jakiejś dżdżystej pustyni i nie mógł przypomnieć sobie figur ani praw rządzących szachami. I tu się obudził. Ustał dźwięk deszczu i strasznych zegarów. Miarowy i współbrzmiały stukot, przerywany okrzykami komendy, wzbijał się z Zeltnergasse. Był świt; pancerne awangardy Trzeciej Rzeszy wchodziły do Pragi.

Dnia dziewiętnastego marca władze otrzymały donos. Tego samego dziewiętnastego wieczorem Jaromir Hladík został aresztowany. Przewieziono go do aseptycznych i białych koszar po drugiej stronie Wełtawy. Nie mógł odeprzeć żadnego z zarzutów Gestapo; jego matka nazywała się Jaroslavska, płynęła w nim żydowska krew, jego esej na temat Boehmego napisany był w duchu hebrajskim, jego podpis figurował pod protestem przeciwko Anschlussowi. W 1928 roku przetłumaczył *Sefer Jecira* dla wydawnictwa Hermanna

¹ Przekład Jan Murza Tarak Buczacki, Warszawa, 1858 (przyp. tłum.).

Barsdorfa; katalog tego wydawnictwa, ze względów reklamowych, wyolbrzymił sławę tłumacza; katalog ten przejrzał Julius Rothe, jeden z dygnitarzy, w rękach którego znajdował się los Hladíka. Nie ma człowieka, który poza swoją specjalnością nie byłby łatwowierny; dwa czy trzy przymiotniki wydrukowane gotycką czcionką wystarczyły, aby Julius Rothe przyjął za pewnik wybitność Hladíka i wydał na niego wyrok śmierci, *pour encourager les autres*. Egzekucja została wyznaczona na dwudziestego dziewiątego marca. Zwłoka (której znaczenie czytelnik doceni później) została podyktowana chęcią działania bezosobowego i skrupulatnego, właściwego światu roślin i planet.

Pierwszym uczuciem Hladíka był po prostu strach. Pomyślał, że nie przeraziłaby go szubienica ani topór, ani gilotyna, ale myśl o śmierci przez rozstrzelanie była dla niego nie do zniesienia. Na próżno powtarzał sobie, że straszny jest w ogóle sam fakt umierania, nie zaś konkretne okoliczności. Nie przestawał wyobrażać sobie tych okoliczności: absurdalnie starał się wyczerpać wszystkie ich warianty. W nieskończoność wyprzedzał to wydarzenie, od bezsennego świtów do tajemniczej salwy. Przed dniem wyznaczonym przez Juliusa Rothe umierał stu śmierciami - na dziedzińcach o różnych kształtach i narożnikach, które wyczerpywały geometrię, rozstrzeliwany przez zmieniających się żołnierzy, których liczba również się zmieniała, którzy czasami zabijali go z daleka, czasami z bardzo bliska. Stawiał czoło z prawdziwym strachem (może z prawdziwą odwagą) tym urojonym egzekucjom. Każda fikcja trwała kilka sekund; gdy zamykał się krąg, Jaromir powracał bez końca do drżących wieczorów poprzedzających jego śmierć. Potem pomyślał, że rzeczywistość nie pokrywa się na ogół z przewidywaniami; z przewrotną logiką wywnioskował stąd, że przewidzieć jakąś okoliczność, to udaremnić jej realizację. Wierny tej wątej magii wymyślał okrutne szczegóły *po to, aby się nie wydarzyły*. Oczywiście w końcu ogarniał go lęk, by te szczegóły nie okazały się prorocze. Nieszczęsny starał się w jakiś sposób trwać w ulotnej substancji czasu. Wiedział, że czas pędzi ku świtowi dnia dwudziestego dziewiątego; rozumował na głos: *Teraz jestem w nocy dwudziestego drugiego; póki trwa ta noc (i pozostałe sześć nocy), jestem nietykalny, nieśmiertelny*. Pomyślał, że noce są głębokimi i ciemnymi cysternami, w których mógł się pogрузić. Czasami pragnął niecierpliwie ostatecznej salwy, która by go uwolniła, w ten czy inny sposób, od próżnego trudu wyobraźni. Dnia dwudziestego ósmego marca, gdy ostatni zachód błyszczał między wysokimi kratami, od tych nienawistnych rozmyślań oderwał go obraz jego dramatu *Wrogowie*.

Hladík przekroczył czterdziestkę. Poza nielicznymi przyjaźniami i wieloma nawykami, problematyczne uprawianie literatury było całym jego życiem; jak każdy pisarz, mierzył zalety innych wedle ich czynów i chciał, żeby inni oceniali go miarą jego intencji i

natchnień. Wszystkie książki, które oddał do druku, pozostawiły mu po sobie złożone wyrzuty. W jego studiach o twórczości Boehmego, Ewen Ezry i Fludda zasadniczą rolę odegrała zwykła pilność; w tłumaczeniu *Sefer Jecira* - niedbałość, zmęczenie i domysł. Oceniał jako, być może, mniej nieudolną swoją *Obronę wieczności*: pierwszy tom kreśli historię rozmaitych wieczności wyobrażanych przez ludzi, od nieruchomego Bytu Parmenidesa aż do zmiennej przeszłości Hintony; drugi przeczy (za Francisem Bradleyem), jakoby wszystkie wydarzenia wszechświata tworzyły serię czasową. Udowadnia, że liczba możliwych doświadczeń człowieka nie jest nieskończona i że wystarczy jedno „powtórzenie”, aby dowieść, iż czas jest złudzeniem... Niestety nie mniej złudne są argumenty, które wykazują to złudzenie; Hladík wymieniał je zwykle z pewnym pogardliwym zmieszaniem. Ułożył również zbiór ekspresjonistycznych wierszy; ku zakłopotaniu poety pojawiły się one w antologii z 1924 roku i wszystkie następne antologie odziedziczyły je. Od całej tej dwuznacznej i niezdecydowanej przeszłości Hladík chciał uwolnić się za sprawą dramatu wierszem *Wrogowie*. (Wybrał formę wiersza, która nie pozwala zapomnieć widzom o jednym z warunków sztuki: nierzeczywistości.

Dramat przestrzegał jedności czasu, miejsca i akcji; akcja rozgrywała się na Hradczanach, w bibliotece barona Roemerstadta, jednego z ostatnich wieczorów XIX wieku. W pierwszej scenie pierwszego aktu jakiś nieznajomy odwiedza Roemerstadta. (Zegar bije godzinę siódmą, gwałtowność ostatniego słońca zalewa okna, wiatr niesie namiętne i znajome dźwięki muzyki węgierskiej). Po wizycie tej następują dalsze. Roemerstadt nie zna osób, które go niepokoją, ale ma niejasne wrażenie, że już je widział, być może we śnie. Wszyscy odwiedzający są przesadni w uprzejmościach i względach, ale oczywiste jest - najpierw dla widzów dramatu, potem dla samego barona - że są jego skrytymi wrogami, sprzysiężonymi, aby go zgubić. Roemerstadtowi udaje się utrudnić, czy też udaremnić, ich skomplikowane intrygi; w dialogu wspomina się jego narzeczoną, Julię von Weidenau, i niejakiego Jaroslava Kubina, który niegdyś niepokoił dziewczynę swoją miłością. Kubin oszalał teraz i sądzi, że jest Roemerstadtem... Niebezpieczeństwa się mnożą; Roemerstadt przy końcu drugiego aktu czuje się zmuszony zabić jednego ze spiskujących. Rozpoczyna się trzeci i ostatni akt. Dają się dostrzec coraz wyraźniejsze niespoistości: powracają aktorzy, którzy wydawali się wykluczeni z intrygi; wraca, na chwilę, człowiek zabity przez Roemerstadta. Ktoś zauważa, że jeszcze nie zapadła noc: zegar bije siódmą, błyszczy w wysokich oknach zachodzące słońce, wiatr przynosi namiętą muzykę węgierską. Pojawia się pierwszy rozmówca i wypowiada słowa, które wypowiedział już w pierwszej scenie pierwszego aktu. Roemerstadt zwraca się do niego bez zdziwienia; widz rozumie, że Roemerstadt to nieszczęsny Jaroslav

Kubin. Dramat nie jest dramatem: jest kolistym delirium, które bez końca przeżywa Kubin.

Hładik nigdy nie zadał sobie pytania, czy ta tragicomedia pomyłek jest bezsensowna czy godna podziwu, konsekwentna czy przypadkowa. W treści, którą naszkicowałem, widział sposób ukrycia swych braków i wykazania swych zdolności; dostrzegał w niej możliwość usprawiedliwienia (w sposób symboliczny) podstaw własnego życia. Ukończył już pierwszy akt i kilka scen trzeciego; metryczny charakter dzieła pozwalał mu na ciągle przerabianie go, na poprawianie heksametrów bez konieczności zaglądania do rękopisu. Pomyślał, że brakuje jeszcze dwóch aktów i że w bardzo krótkim czasie nie będzie żył. Przemówił do Boga w ciemności. *Jeżeli w jakiś sposób istnieję, jeżeli nie jestem jednym z Twych powtórzeń i jedną z Twych errat, istnieję jako autor Wrogów. Aby doprowadzić do końca ten dramat, który może usprawiedliwić mnie i usprawiedliwić Ciebie, potrzeba mi jeszcze jednego roku. Przyznaj mi te dni, Ty, do którego należą stulecia i Czas.* Była to ostatnia noc, najbardziej okrutna; ale dziesięć minut później pogrążył go sen, jak ciemna woda.

Przed świtem śnił, że schronił się w jednej z naw biblioteki Clementinum. Bibliotekarz w ciemnych okularach spytał go: *Czego szukasz?* Hładik odpowiedział: *Szukam Boga.* Bibliotekarz rzekł: *Bóg jest w jednej z liter jednej ze stron jednego z czterystu tysięcy tomów Clementinum. Moi przodkowie i przodkowie moich przodków szukali tej litery; ja sam oślepiłem od poszukiwania jej.* Zdjął okulary i Hładik zobaczył jego oczy, które były martwe. Jakiś czytelnik podszedł, żeby zwrócić atlas. *Ten atlas jest nic nie wart* powiedział i podał go Hładikowi. Hładik otworzył go na pierwszej lepszej stronie i zobaczył zawrotną mapę Indii. Nagle, z wewnętrzną pewnością, dotknął jednej z najmniejszych liter. Jakiś głos, który dochodził z każdego miejsca, rzekł mu: *Czas na twą pracę został ci przyznany.* Tu Hładik przebudził się.

Przypomniawszy sobie, że sny ludzi należą do Boga, i że Majmonides pisał, iż słowa we śnie, gdy brzmią jasno i wyraźnie, a nie widać tego, kto je wypowiada, są boskie. Ubrał się; dwaj żołnierze weszli do celi i rozkazali mu iść za sobą.

Po drugiej stronie drzwi Hładik spodziewał się labiryntu korytarzy, schodów i pawilonów. Rzeczywistość była mniej bogata: zeszli na niewielkie podwórze po jedynych, żelaznych schodach. Kilku żołnierzy, niektórzy w rozpiętych mundurach, oglądało, rozmawiając, jakiś motocykl. Sierżant spojrzawszy na zegarek: była godzina ósma i czterdzieści cztery minuty.. Trzeba było poczekać, aż wybije dziewiąta. Hładik, raczej nieważny niż nieszczęśliwy, usiadł na stosie drzewa. Spostrzegł, że oczy żołnierzy unikają jego oczu. Aby złagodzić oczekiwanie, sierżant poczęstował go papierosem. Hładik nie palił; przyjął przez uprzejmość i pokorę. Przypalając zauważył, że drżą mu ręce. Dzień zachmurzył się; żołnierze

rozmawiali półgłosem, jakby on był już martwy. Na próżno starał się przypomnieć sobie kobietę, której symbolem była Julia von Weidenau...

Pluton uformował się w szyku. Hladík, stojąc przy murze koszar, czekał na salwę. Ktoś zauważył, że ściana może zostać poplamiona krwią; wówczas polecono skazanemu postąpić kilka kroków naprzód. Hladík, absurdalnie, przypomniał sobie wstępne przygotowania czynione przez fotografów. Ciężka kropla deszczu musnęła mu skroń i powoli spływała po policzku; sierżant wykrzyknął ostateczną komendę.

Wszechświat fizyczny zatrzymał się.

Karabiny skupiły się na Hladíku, ale ludzie, którzy mieli go zabić, pozostawali nieruchomi. Ramię sierżanta uwieczniało jakiś niedokończony gest. Na jedną z płyt podwórza pszczoła rzucała nieruchomy cień. Wiatr zatrzymał się jak na obrazie. Hladík próbował krzyknąć, poruszyć ręką. Zrozumiał, że jest sparaliżowany. Nawet najmniejszy odgłos nie docierał do niego z okaleczonego świata. Pomyślał *jestem w piekle, umarłem*. Pomyślał *oszalałem*. Pomyślał *czas się zatrzymał*. Potem uświadomił sobie, że w takim wypadku również jego myśl by się zatrzymała. Chciał to sprawdzić: powtórzył (nie poruszając ustami) tajemniczą czwartą eklogę Wergiliusza. Wyobraził sobie, że odlegli już żołnierze dzielają jego niepokój; zapragnął gorąco porozumienia z nimi. Zdziwiło go, że nie czuje najmniejszego zmęczenia ani nawet zawrotu głowy z powodu długiego bezruchu. Po upływie nieokreślonego czasu usnął. Gdy ponownie się zbudził, świat trwał nieruchomy i głuchy. Trwała na jego policzku kropla wody; na podwórzu cień pszczoły; dym z papierosa, którego rzucił, nie rozwiewał się. Upłynął następny „dzień”, zanim Hladík zrozumiał.

Jednego całego roku zażądał od Boga, aby ukończyć swą pracę; jednego roku udzielał mu Wszechmocny. Bóg czynił dla niego tajemny cud: zabije go o określonej godzinie niemiecki ołów, ale w jego umyśle, między rozkazem a wykonaniem rozkazu, upłynie rok. Od zakłopotania przeszedł do zdziwienia, od zdziwienia do rezygnacji, od rezygnacji do naglej wdzięczności.

Nie dysponował niczym prócz pamięci; tworzenie każdego nowego heksametru w umyśle narzuciło mu ścisłość nieznaną tym, którzy zapisują i od razu zapominają fragmentaryczne ustępy. Nie pracował dla potomności, ani nawet nie dla Boga, o którego gustach literackich niewiele wiedział. Drobiazgowy, nieruchomy, tajemniczy, snuł w czasie swój wysoki, niewidzialny labirynt. Przerobił dwukrotnie trzeci akt. Pomiął niektóre zbyt oczywiste symbole: powtarzające się bicie zegara, muzykę. Nic nie zakłócało mu spokoju ani nie rozpraszało uwagi. Opuszczał, skracał, poszerzał; w kilku wypadkach powrócił do pierwotnej wersji. W końcu pokochał dziedziniec, koszary. Jedną z twarzy, które miał przed

sobą, zmieniła jego koncepcję charakteru Roemerstadta. Odkrył, że męczące rozdźwięki, które tak bardzo niepokoiły Flauberta, są jedynie pozornymi wrażeniami wzrokowymi: słabością i nieporadnością pisanego, nie zaś dźwięczącego słowa... Ukończył swój dramat; brakowało mu już tylko jednego przymiotnika. Znalazł go; kropla wody podjęła swoją wędrówkę po jego policzku. Uwiązał mu w gardle początek jakiegoś krzyku, poruszył głową, spiorunował go poczwórny wystrzał.

Jaromir Hladík zginął dnia dwudziestego dziewiątego marca rano, o godzinie dziewiątej i dwie minuty.

1943

Trzy wersje Judasza

*There seemed a certainty in degradation.*¹

T.E. Lawrence, *Seven Pillars of Wisdom*, CIII

W Azji Mniejszej czy w Aleksandrii, w II wieku naszej wiary, gdy Bazylides głosił, że kosmos jest zuchwałą improwizacją niedoskonałych aniołów, Nils Runeberg pokierowałby ze szczególnym zapalem intelektualnym jednym z gnostycznych konwentykli. Dante przeznaczyłby mu, być może, ognisty grób; jego imię wzbogaciłoby katalog pomniejszych herezjarchów, między Saturninem a Karpokratesem; jakiś fragment jego nauk, ozdobiony obelgami, przetrwałby w apokryfie *Liber adversus omnes haereses* lub zostałby zniszczony, gdy pożar pewnej biblioteki klasztornej strawił ostatni egzemplarz *Syntagmy*. Ale Bóg przeznaczył mu wiek XX i miasto uniwersyteckie Lund. Tu, w 1904 roku, opublikował pierwsze wydanie *Kristus och Judas*; tu, w roku 1909, swoje główne dzieło *Den Hemlige Frälsaren*. (Istnieje niemiecki przekład tego ostatniego, dokonany w roku 1912 przez Emila Scheringa; nazywa się *Der heimliche Heiland*).

Przed przystąpieniem do analizy cytowanych prac trzeba zaznaczyć, że Nils Runeberg, członek Narodowego Związku Ewangelickiego, był głęboko religijny. W którymś z klubów Paryża, czy nawet Buenos Aires, jakiś literat mógłby z powodzeniem ponownie odkryć tezy Runeberga; tezy te, przedstawione w takim miejscu, byłyby bezwartościowymi i zbędnymi przejawami niedbalstwa lub bluźnierstwa. Dla Runeberga stały się kluczem otwierającym główną tajemnicę teologii; stały się przedmiotem medytacji i analizy, kontrowersji historycznej i filologicznej, pychy, radości i przerażenia. Usprawiedliwiły i zrujnowały jego życie. Kto będzie czytał ten artykuł, powinien pamiętać, że rejestruje on tylko wnioski Runeberga, nie zaś jego dialektykę i dowody. Ktoś może zauważyć, że wniosek poprzedził bez wątpienia „dowody”. Któż bowiem przystałby na szukanie dowodów tego, w co nie

¹ „Poniżenie dawało mi poczucie pewności.” T.E. Lawrence, *Siedem filarów mądrości*, tłum. Jerzy Schwakopf (przyp. red.).

wierzy i czego głoszenie nie ma dla niego znaczenia?

Pierwsze wydanie *Kristus och Judas* zawiera następujący kategoryczny epigraf, którego sens, po latach, rozwinął monstrualnie sam Nils Runeberg: *Nie tylko jedna rzecz, ale wszystko, co tradycja przypisuje Judaszowi Iskariocie, jest fałszywe* (De Quincey, 1857). Podobnie jak pewien jego niemiecki poprzednik, De Quincey rozważał, że Judasz wydał Jezusa Chrystusa, aby zmusić go do wykazania boskości i wzniesienia powszechnego powstania przeciwko jarzmu rzymskiemu; Runeberg sugeruje windykację o charakterze metafizycznym. Rozpoczyna zrećnie od podkreślenia zbędności czynu Judasza. Zauważa (podobnie jak Robertson), że dla identyfikacji mistrza, który codziennie nauczał w synagodze i czynił cuda wobec tysięcy ludzi, nie była potrzebna zdrada któregoś z apostołów. To jednak nastąpiło. Zakładanie pomyłki w Piśmie jest niedopuszczalne; nie mniej niedopuszczalne jest przyjęcie faktu przypadkowego w najbardziej wartościowym wydarzeniu historii świata. *Ergo* zdrada Judasza nie była przypadkowa; była rzeczą z góry postanowioną, która ma swoje tajemnicze miejsce w ekonomii odkupienia. Stając się ciałem - kontynuuje Runeberg - Słowo przeszło z wszechobecności do przestrzeni, z wieczności do historii, z bezgranicznej szczęśliwości do zmienności i śmierci; trzeba było, w odpowiedzi na taką ofiarę, aby jakiś człowiek, w imieniu wszystkich ludzi, dokonał ofiary godnej tamtej. Człowiekiem tym był Judasz Iskariota. Judasz, jedyny spośród apostołów, przeczuł tajemną boskość i potworny zamiar Jezusa. Słowo zniżyło się do stanu śmiertelnika; Judasz, uczeń Słowa, mógł zniżyć się do denuncjacji (najgorszej zbrodni, jaką dopuszcza nikczemność) i do losu więźnia wiecznie gorejącego ognia. Porządek niższy jest zwierciadłem porządku wyższego; kształty Ziemi odpowiadają kształtom Niebios; znamiona na skórze są mapą nieskazitelnych konstelacji; Judasz odzwierciedla w jakiś sposób Jezusa. Stąd trzydzieści srebrników i pocałunek; stąd dobrowolna śmierć, aby w jeszcze większym stopniu zasłużyć na Potępienie. Tak wyjaśnił Nils Runeberg zagadkę Judasza.

Teologowie wszystkich wyznań potępił go. Lars Peter Engström oskarżył go o ignorowanie, czy lekceważenie, unii hipostatycznej; Axel Borelius o ponawianie herezji gnostyków, którzy przeczyli człowieczeństwu Jezusa; nieugięty biskup miasta Lund - o popadanie w sprzeczność z trzecim werselem XXII rozdziału Ewangelii św. Łukasza.

Te różnorodne anatemy wywarły wpływ na Runeberga, który częściowo przerobił potępioną książkę i zmodyfikował własną doktrynę. Pozostawił swym przeciwnikom teren teologiczny i zaproponował określone racje natury moralnej. Uznał fakt, że Jezus, „który dysponował znacznymi środkami, jakie może dać Wszchemoc”, nie potrzebował udziału człowieka, aby odkupić wszystkich ludzi. Następnie odparł argumenty tych, którzy

utrzymują, iż nic nie wiemy o niepojętym zdrajcy; wiemy, powiedział, że był jednym z apostołów, jednym z wybranych, aby głosić królestwo niebieskie, aby uzdrawiać chorych, oczyszczać trędowatych, wskrzeszać umarłych i wypędzać demony (Mateusz, X, 7-8; Łukasz, IX, 1). Człowiek, którego Zbawiciel tak wyróżnił, zasługuje na to, abyśmy dali jego czynom lepszą interpretację. Przypisywać jego zbrodnię chciwości (jak to robili niektórzy, powołując się na Jana, XII, 6), to pogodzić się z pobudką najbardziej nikczemną. Nils Runeberg proponuje pobudkę przeciwną: ascetyzm hiperboliczny, wprost nieskończony. Asceta, dla większej chwały bożej, upodla i umartwia ciało; Judasz zrobił to samo z duchem. Zrezygnował z honoru, dobra, pokoju, królestwa niebieskiego, tak jak inni, mniej heroicznie, rezygnują z przyjemności.¹ Przemyślał z góry, ze straszliwą jasnością, swoje winy. Cudzołóstwo ma w sobie coś z czułości i samozaparcia; zabójstwo z odwagi, świętokradztwo i bluźnierstwo - z jakiegoś szatańskiego blasku. Judasz wybrał te winy, w których nie uczestniczy żadna cnota: nadużycie zaufania (Jan, XII, 6) i denuncjację. Działał z gigantyczną pokorą; uznał się za niegodnego, aby być dobrym. Paweł pisał: *Kto się chlubi, niech się chlubi w Panu* (I do Koryntian, I, 31); Judasz wybrał Piekło, bo szczęście Pana mu wystarczało. Pomyślał, że szczęście, podobnie jak dobroć, jest atrybutem boskim, którego nie powinni sobie uzurpować ludzie.²

Wielu spostrzegło, *post factum*, że dające się uzasadnić przesłanki Runeberga zapowiadają już absurdalne konkluzje i że *Den hemlige Frälsaren* jest po prostu wypaczeniem i rozjątrzeniem *Kristus och Judas*. U schyłku 1907 roku Runeberg ukończył i przejrzał rękopis; prawie dwa lata upłynęły, zanim go oddał do druku. Książka ukazała się w październiku 1909 roku poprzedzona przedmową (tak niezdecydowaną, że aż tajemniczą) duńskiego hebraisty Erika Erfjorda, zawierającą ten perfidny epigraf: *Na świecie był, a świat przezeń uczynion jest, a świat go nie poznał* (Jan, I, 10). Sama treść nie jest złożona, chociaż konkluzja jest monstualna. Bóg, argumentuje Runeberg, poniżył się do stanu człowieka dla odkupienia rodzaju ludzkiego; należy sądzić, że jego ofiara była doskonała, nie zaś umniejszona czy osłabiona niedociągnięciami. Niedocenianie tego, co wycierpiał pewnego

¹ Borelius pyta ironicznie: *Dlaczego nie zrezygnował z rezygnowania? Dlaczego nie z rezygnacji z rezygnowania?*

² Euclides da Cunha w swojej nie znanej Runebergowi książce przypomina, że dla herezjarchy z Canudos, Antonia Conselheira, cnota „była prawie bezbożnością”. Czytelnik argentyński przypomni sobie analogiczne ustępy w dziełach Almafuerte. Runeberg opublikował w symbolicznej pracy *Sju Insegel* poemat opisowy *Tajemnicza woda*; pierwsze strofy opowiadają o wydarzeniach burzliwego dnia; ostatnie - o odkryciu chłodnego stawu; poeta sugeruje, że trwanie tej milczącej wody łagodzi naszą zbędną gwałtowność i w jakiś sposób zezwala na nią i ją rozgrzesza. Poemat kończy się tak: *Woda w lesie jest szczęśliwa; możemy być źli i boleśni*.

popołudnia podczas agonii na krzyżu, byłoby bluźnierstwem.¹

Twierdzenie, że był człowiekiem i że był niezdolny do grzechu zawiera sprzeczność: atrybuty *impeccabilitas* i *humanitas* nie dadzą się pogodzić. Kemnitz dopuszcza, że Odkupiciel mógł odczuwać zmęczenie, zimno, niepokój, głód i pragnienie; wolno również przyjąć, że mógł grzeszyć i błędzić. Słynny ustęp: *Wyniesie się jak korzeń z ziemi spragnionej, nie ma krasy ani piękności... Wzgardzony i najpodlejszy z mężów, mąż boleści i znający niemoc* (Izajasz, III, 2-3) jest dla wielu wizją Ukrzyżowanego, w godzinie śmierci; dla niektórych (na przykład dla Hansa Lassena Martensena) odrzuceniem piękna, jakie powszechna opinia przypisuje Chrystusowi; dla Runeberga, dokładną przepowiednią nie jednego tylko momentu, ale całej okrutnej przyszłości, w czasie i w wieczności, Słowa, które stało się Ciałem. Bóg całkowicie stał się człowiekiem, człowiekiem aż do hańby, człowiekiem aż do potępienia i otchłani. Aby nas zbawić, mógł wybrać *jakiegokolwiek* z przeznaczeń, tkających powikłaną sieć historii; mógł być Aleksandrem czy Pitagorasem, Rurykiem czy Jezusem; wybrał los najędźniejszy: stał się Judaszem.

Na próżno księgarnie Sztokholmu i Lundu proponowały to odkrycie. Niedowiarkowie potraktowali je, *a priori*, jako niesmaczny i wypracowany wybieg teologiczny; teologowie wzgardzili nim. Runeberg wyczuł w tej obojętności ekumenicznej jakieś prawie cudowne potwierdzenie. Bóg nakazywał tę obojętność; Bóg nie chciał, żeby się rozpowszechniła na Ziemi Jego straszna tajemnica. Runeberg rozumiał, że godzina nie nadeszła. Poczul, że skupiają się na nim starożytne przekleństwa boskie; przypomniał sobie Eliasza i Mojżesza, którzy na górze zasłonili sobie twarze, aby nie widzieć Boga; Izajasza, który przeraził się, gdy jego oczy ujrzały Tego, czyja chwała przepelnia ziemię; Szawła, który oślepl na drodze do Damaszku; rabina Szymona ben Azaj, który ujrzał Raj i umarł; słynnego maga Jana z Viterbo, który oszalał, gdy dane mu zostało ujrzeć Trójcę, Midrasze² zionące nienawiścią wobec bezbożników, którzy wymawiają *Szem Hameforasz*, Tajemne Imię Boga. Czy on sam nie był winien tej ciemnej zbrodni? Czy nie było to bluźnierstwem przeciwko Duchowi, tym, które nie będzie odpuszczone (Mateusz, XII, 31)? Valerius Soranus poniósł śmierć za rozgłoszenie

¹ Maurice Abramowicz zauważa: „Jésus, d'après ce scandinave, a toujours le beau rôle: ses déboires, grâce à la science des typographes, jouissent d'une réputation polyglotte: sa résidence de trente-trois ans parmi les humains ne fut, en somme, qu'une villégiature.” (Według tego skandynawa Jezusowi przypada zawsze piękna rola; dzięki sztuce drukarskiej gorycze, jakich zaznał, cieszą się wielojęzyczną sławą: jego trzydziestotrzyletni pobyt wśród ludzi był, w gruncie rzeczy, po prostu wilegiaturą). Erfjord, w trzecim dodatku do *Christelige Dogmatik*, odpiera ten ustęp. Zauważa, że ukrzyżowanie Boga nie jest zakończone, gdyż to, co raz wydarzyło się w czasie, powtarza się bez przerwy w wieczności. Judasz *teraz* otrzymuje nadal srebrniki; całuje Jezusa Chrystusa; rzuca srebrniki w świątyni; nadal zaciska węzeł na sznurze na polu krwi. (Erfjord, aby uzasadnić to twierdzenie, powołuje się na ostatni rozdział pierwszego tomu *Obrony wieczności* Jaromira Hladíka).

² Midrasze (hebr. *mi'drasz*, od rdzenia *darasz* - dociekać) - w literaturze rabinicznej tradycyjna metoda egzegezy biblijnej i księgi, zawierające jej rezultaty (przyp. tłum.).

tajemnego imienia Rzymu; Jakaż nieskończona kara spotka go za to, że odkrył i ujawnił potworne imię Boga?

Pijany bezsennością i oszalamiającą dialektyką, Nils Runeberg błąkał się ulicami Malmö modląc się czasami, aby została mu okazana łaska dzielenia Piekła z Odkupicielem.

Umarł wskutek pęknięcia tętniaka dnia 1 marca 1912 roku. Być może herezjolodzy zapamiętają go: do pojęcia Syna, które zdawało się wyczerpane, dodał złożoność zła i nieszczęścia.

1944

Zakończenie

Recabarren, leżąc, na wpół otworzył oczy i spojrzał na pochyły trzcinyowy sufit. Z drugiego pokoju dochodziło brzdąkanie na gitarze, coś w rodzaju ubogiego labiryntu, który plecie się i rozplata w nieskończoność... Odzyskiwał stopniowo rzeczywistość, rzeczy codzienne, których już nigdy nie miał zamienić na inne. Spojrzał bez żalu na swoje wielkie bezużyteczne ciało, na poncho z surowej wełny, które przykrywało mu nogi. Na zewnątrz, za prętami w oknie, rozpościerały się równina i popołudnie; długo spał, ale pozostawało jeszcze dużo światła na niebie. Pomacał lewą ręką, aż znalazł mosiężny dzwonek koło pryczy. Potrząsnął nim raz czy dwa; spoza drzwi w dalszym ciągu dochodziły skromne akordy. Wykonawcą był Murzyn, który pojawił się pewnego wieczora; twierdził, że umie śpiewać i wyzwał innego przybysza na długie współzawodnictwo *payad*¹ w kontrapunkcie. Pokonany, przychodził nadal do tawerny, jakby na kogoś czekając. Spędzał całe godziny, grając na gitarze, ale od tego czasu już nie śpiewał; może zniechęciła go porażka. Ludzie przyzwyczaili się już do tego nieszkodliwego człowieka. Recabarren, właściciel tawerny, nie miał zapomnieć tego turnieju; na drugi dzień, gdy układał worki z *yerba mate*, obumarła mu nagle prawa strona ciała i stracił mowę. Tak często litujemy się nad nieszczęściami bohaterów powieści, że zaczynamy w końcu zbytnio litować się nad nieszczęściami własnymi; cierpliwy Recabarren nie litował się nad sobą; pogodził się z paralizem, jak dawniej godził się z surowością i samotnością Ameryki. Przyzwyczajony do życia teraźniejszością, podobnie jak zwierzęta, patrzył teraz na niebo i myślał, że czerwony krąg księżyca zapowiada deszcz.

Chłopiec o indiańskich rysach (być może jego syn) uchylił drzwi. Recabarren zapytał go wzrokiem, czy są jacyś goście. Chłopiec, małomówny, odpowiedział gestem, że nie; Murzyn nie liczył się. Obezwładniony mężczyzna został sam; jego lewa dłoń bawiła się przez chwilę dzwonkiem, jakby sprawowała jakąś władzę.

¹ *Payada* - ballada pampańska, improwizowana przez gauczów przy dźwiękach gitary. Często dochodzi między nimi do swoistych „pojedyneków”, podczas których *payadores* (wykonawcy *payad*) improwizują na zmianę kolejne zwrotki (przyp. tłum.).

Równina, pod ostatnim słońcem, była niemal abstrakcyjna, jak widziana we śnie. Jakiś punkt poruszył się na horyzoncie i urastał, aż stał się jeźdźcem, który jechał, lub zdawał się jechać, do tego domu. Recabarren zobaczył kapelusz, długie, ciemne poncho, czarnego, łaciatego konia, ale nie twarz mężczyzny, który powstrzymał w końcu galop i zbliżał się truchtem. W odległości jakichś dwustu metrów skręcił. Recabarren już go nie widział, ale słyszał, jak coś mamrocze, zsiada z konia, przywiązuje go do słupa i wchodzi zdecydowanym krokiem do tawerny.

Nie podnosząc oczu znad instrumentu, jakby tam czegoś szukał, Murzyn powiedział łagodnie:

- Wiedziałem, że mogę na pana liczyć.

Ten drugi odpowiedział szorstkim głosem:

- A ja na ciebie, czarnuchu. Wiele dni kazałem ci czekać, ale przyjechałem tu.

Nastąpiła cisza. W końcu Murzyn odpowiedział:

- Zaczynam przyzwyczajać się do czekania. Czekałem siedem lat.

Tamten wyjaśnił bez pośpiechu:

- Ja przeżyłem więcej niż siedem lat, nie widząc moich synów. Odnalazłem ich tamtego dnia i nie chciałem się im pokazywać jako człowiek, który rzuca się na kogoś ze sztyletem.

- Zdałem sobie sprawę - powiedział Murzyn. - Mam nadzieję, że ich pan zostawił zdrowych.

Przybysz, który usiadł na ladzie, zaśmiał się głośno. Zamówił rum i sączył go powoli.

- Dałem im dobrą radę - rzekł - co nigdy nie zawadzi i nic nie kosztuje. Powiedziałem im między innymi, że człowiek nie powinien przelewać krwi drugiego człowieka.

Powolny akord poprzedził odpowiedź Murzyna:

- Dobrze pan zrobił. W ten sposób nie będą podobni do nas.

- Przynajmniej do mnie - powiedział obcy i dodał, jakby myśląc na głos: - Mój los chciał, żeby zabijał, a teraz, znowu mi kładzie nóż do ręki.

Murzyn, jakby go nie słyszał, zauważył:

- Na jesieni dni stają się krótsze.

- Wystarczy tego światła, które pozostało - odpowiedział tamten podnosząc się.

Stanął przed Murzynem i jakby zmęczony powiedział:

- Zostaw w spokoju gitarę, dzisiaj czekają cię inne zawody.

Obaj skierowali się ku drzwiom. Murzyn, wychodząc, wyszeptał:

- Może w tych pójdzie mi tak źle, jak w pierwszych.

Tamten odpowiedział z powagą:

- W pierwszych nie poszło ci źle. Tyle tylko że miałeś ochotę na drugie.

Odeszli kawałek od budynków, idąc ramię przy ramieniu. Jakiegokolwiek miejsce na równinie było podobne do każdego innego i świecił księżyc. Nagle spojrzeli na siebie, zatrzymali się i przybysz zdjął ostrogi. Mieli już poncha zwinięte na przedramieniu, kiedy Murzyn powiedział:

- Chcę pana prosić o jedno, zanim rozpoczniemy walkę. Żeby w to spotkanie włożył pan całą swoją odwagę i cały swój spryt, tak jak w poprzednie, sprzed siedmiu lat, kiedy zabił pan mojego brata.

Może po raz pierwszy w tej rozmowie Martin Fierro usłyszał nienawiść. Jego krew odczuła ją jak podniecie. Zwarli się i ostra stal przekreśliła, i naznaczyła, twarz Murzyna.

Jest taka godzina popołudnia, w której równina zamierza coś powiedzieć; nigdy tego nie mówi, lub być może mówi nieskończenie, a my nie rozumiemy, albo rozumiemy, ale jest to nieprzetłumaczalne jak jakaś muzyka... Ze swojego posłania Recabarren widział zakończenie. Atak, przed którym Murzyn cofnął się, potknął, zamachnął do ciosu w twarz i wyprężył w głębokim pchnięciu nożem, który wszedł w brzuch. Potem nastąpił drugi, czego Recabarren nie zdołał dostrzec, i Fierro nie podniósł się. Nieruchomy, Murzyn zdawał się czuwać nad jego pracowitą agonią. Wytarł zakrwawiony nóż o trawę i powoli wrócił do grupy domów, nie oglądając się za siebie. Po wypełnieniu zadania tego, który wymierza sprawiedliwość, nikim już nie był. A raczej był tym drugim: nie miał przeznaczenia na ziemi i zabił człowieka.

Sekta Feniksa

Ci, którzy piszą, że sekta Feniksa wywodzi swój początek z Heliopolis, z religijnego odrodzenia, jakie nastąpiło po śmierci reformatora Amenofisa IV, opierają się na tekstach Herodota, Tacyta i dzieł egipskich, ale nie wiedzą, lub nie chcą wiedzieć, że określenie *Feniks* nie jest wcześniejsze od Hrabana Maura i że najdawniejsze źródła (na przykład *Saturnalia* czy Józef Flawiusz) mówią jedynie o Ludziach Obyczaju czy Ludziach Tajemnicy. Już Gregorovius zauważył w tajnych zgromadzeniach w Ferrarze, że wzmianka o Feniksie była niesłychanie rzadka w języku mówionym; w Genewie rozmawiałem z rzemieślnikami, którzy nie zrozumieli mnie, gdy pytałem, czy są ludźmi Feniksa, ale natychmiast potem przyznawali, że są ludźmi Tajemnicy. Jeśli się nie mylę, to samo odnosi się do buddystów; nazwa, pod jaką zna ich świat, nie jest tą, którą oni sami wymawiają.

Miklosich porównał, na pewnej słynnej stronicy, zwolenników Feniksa do Cyganów. W Chile i na Węgrzech są Cyganie i również są sekciarze; oprócz tego rodzaju wszechobecności jedni i drudzy mają ze sobą bardzo mało wspólnego. Cyganie są handlarzami koni, kotlarzami i wróżbitami; sekciarze na ogół z powodzeniem uprawiają wolne zawody. Cyganie stanowią pewien typ fizyczny i mówią, czy mówili, tajemnym językiem; sekciarze nie odróżniają się od innych ludzi, czego dowodem jest fakt, że nie cierpieli prześladowań. Cyganie są malowniczy i wzbudzają natchnienie u wiejskich poetów; romanse, kolorowe litografie i bolera pomijają sekciarzy... Martin Buber twierdzi, że Żydzi są z zasady patetyczni; ta publiczna i oklepana prawda wystarcza, aby odeprzeć powszechne błędne przekonanie (bronione absurdalnie przez Urmanna), które widzi w Feniksie pochodną Izraela. Ludzie rozumują mniej więcej w ten sposób: Urmann był człowiekiem spostrzegawczym; Urmann był Żydem; Urmann odwiedzał sekciarzy w żydowskich dzielnicach Pragi; podobieństwo, jakie dostrzegł Urmann stanowi dowód rzeczywistego faktu. Szczerze mówiąc, nie mogę zgodzić się z takim sądem. Niczego nie dowodzi fakt, iż sekciarze w środowisku żydowskim podobni są do Żydów; jest niewątpliwe, że są podobni, tak jak nieskończony Szekspir Hazlitta, do wszystkich ludzi na świecie. Są wszystkim dla

wszystkich, jak Apostoł; niedawno doktor Juan Francisco Amaro z Paysandu rozważał łatwość, z jaką się oni przystosowują do środowiska.

Powiedziałem, że historia sekty nie notuje prześladowań. To prawda, ale ponieważ nie istnieje taka grupa ludzka, do której nie należeliby zwolennicy Feniksa, jest również prawdą, że nie było prześladowania ani represji, których nie cierpieliby czy nie stosowali. W wojnach zachodnich i w odległych wojnach Azji przez wieki przelewali krew pod wrogimi sobie sztandarami; nie na wiele zda im się utożsamianie się ze wszystkimi narodami globu.

Nie posiadają świętej księgi, która by ich łączyła, jak Pismo łączy Izrael, ani wspólnej pamięci, ani tej drugiej pamięci, którą jest język, rozproszeni po powierzchni ziemi różnią się między sobą kolorem i wyglądem zewnętrznym; jedna tylko rzecz - Tajemnica - łączy ich i łączyć będzie do końca dni. Niegdyś prócz Tajemnicy była legenda (i być może jakiś kosmogoniczny mit), ale powierzchni ludzie Feniksa zapomnieli o niej i dziś zachowują jedynie niejasną tradycję jakiejś kary. Kary, paktu czy przywileju, gdyż wersje różnią się między sobą i zaledwie pozwalają dostrzec wyrok jakiegoś boga, który zapewnia danemu rodowi nieśmiertelność, jeśli jego członkowie z pokolenia na pokolenie wypełniać będą pewien rytuał. Przewertowałem sprawozdania podróżników, rozmawiałem z patriarchami i teologami; mogę zapewnić, że wypełnianie tego rytuału jest jedyną praktyką religijną, jakiej przestrzegają sekciarze. Rytuał stanowi Tajemnicę. Ta przekazywana jest, jak już zaznaczyłem, z pokolenia na pokolenie, ale zwyczaj nie chce, aby matki wprowadzały w nią dzieci; ani również kapłani; wtajemniczenie w obrządek jest zadaniem jednostek najniższej postawionych. Niewolnik, trędowaty czy żebrak spełniają rolę mistagogów. Również dziecko może wtajemniczyć inne dziecko. Akt sam w sobie jest banalny, chwilowy i nie wymaga opisu. Rekwizytami są korek, воск lub guma arabska (w liturgii mówi się o błocie; bywa ono również używane). Nie ma świątyń specjalnie przeznaczonych na celebrację tego kultu, ale jakaś ruina, piwnica czy sień uważane są za miejsca odpowiednie. Tajemnica jest święta, niemniej jest trochę śmieszna; praktykowanie jej jest ukradkowe, a nawet potajemne i adepci nie mówią o niej. Nie ma odpowiednich słów, żeby ją nazwać, ale rozumie się, że nazywają ją wszystkie słowa albo, mówiąc ściślej, w nieunikniony sposób nawiązują do niej, i tak, podczas rozmowy, powiedziałem cokolwiek i adepci uśmiechnęli się lub zmieszali, gdyż wyczuli, że dotknąłem Tajemnicy. W literaturach germańskich istnieją poematy napisane przez sekciarzy, których tematem jest morze czy zmierzch; są one w jakiś sposób symbolami Tajemnicy. *Orbis terrarum est speculum Ludi*, powiada apokryficzna sentencja, którą Du Cange zanotował w swoim glosariuszu. Rodzaj świętego przerażenia przeszkadza niektórym wiernym w wypełnianiu ich prostego rytuału; pozostali gardzą nimi, ale oni sami gardzą sobą

jeszcze bardziej. Cieszą się natomiast wielkim szacunkiem ci, którzy rozmyślnie wyrzekają się Obyczaju i wchodzą w bezpośredni kontakt z bóstwem; ci ostatni, aby okazać ten kontakt, czynią to za pomocą zwrotów liturgicznych, i tak John of the Rood napisał:

*Niechaj wie Dziewięć Firmamentów, że Bóg
Jest rozkoszny jak Korek i Błoto.*

Pozyskałem sobie, na trzech kontynentach, przyjaźń wielu wyznawców Feniksa; wiem z pewnością, że Tajemnica początkowo wydawała im się bezwartościowa, smutna, pospolita i (co jeszcze dziwniejsze) niewiarygodna. Nie mogli pogodzić się z myślą, że ich przodkowie zniżyli się do takich praktyk. Dziwne, że Tajemnica nie zaginęła już dawno; wbrew zmiennym losom globu, wbrew wojnom i wędrówkom ludów, dociera ona w zdumiewający sposób do wszystkich wiernych. Ktoś nie zawahał się stwierdzić, że stała się już ona instynktowna.

Południe

Mężczyzna, który zszedł na ląd w Buenos Aires w 1871 roku, nazywał się Johannes Dahlmann i był pastorem kościoła ewangelickiego; w 1939 roku jeden z jego wnuków, Juan Dahlmann, był sekretarzem miejskiej biblioteki przy ulicy Córdoba i czuł się prawdziwym Argentyńczykiem. Jego dziadem ze strony matki był ów Francisco Flores z 2 pułku piechoty liniowej, który poległ przebity włócznią na przedpolach Buenos Aires podczas napadu Indian Catriela¹; wobec niezgodności obu linii swej genealogii, Juan Dahlmann (być może za podszeptem germańskiej krwi) wybrał linię romantycznego przodka, czy też romantycznej śmierci. Futerał z dagerotypem brodatego mężczyzny o twarzy bez wyrazu, stara szpada, szczęście i odwaga, bijące z pewnego rodzaju muzyki, przyzwyczajenie do strof *Martina Fierro*, mijające lata, zniechęcenie i samotność wyhodowały ten raczej dobrowolny, nigdy jednak nie ostentacyjny kreolizm. Kosztem pewnych wyrzeczeń Dahlmann zdołał ocalić resztki należącej niegdyś do rodu Floresów hacjendy na Południu; jednym z obrazów, do których przywoływania nawykła jego pamięć, był widok balsamicznych eukaliptusów i długiego domostwa o różowych, niegdyś karminowych ścianach. Praca, a może też leniwe niezdecydowanie, zatrzymały go na stałe w mieście. Co roku z nadejściem lata zadawała się abstrakcyjną ideą posiadania i pewnością, że jego dom oczekuje go w ściśle określonym miejscu równiny. W ostatnich dniach lutego 1939 roku zdarzył mu się pewien wypadek.

Pozostając ślepym na przewiny, los może okazać się bezlitosny wobec najdrobniejszego roztargnienia. Dahlmann zdobył owego popołudnia sfatygowany egzemplarz baśni *Tysiąca i jednej nocy* w wydaniu Weila; chęć obejrzenia tego znaleziska była tak nagląca, że nie poczekał na windę, tylko z pośpiechem wszedł po schodach; w ciemności coś otarło mu się o czoło. Nietoperz, może ptak? Na twarzy kobiety otwierającej mu drzwi malowała się zgroza, a dłoń, którą przeciągnął po czole, zabarwiła się krwią. Ranę zadał mu kant świeżo pomalowanych drzwi, które ktoś zapomniał zamknąć. Dahlmannowi

¹ Catriel - wódz Indian, zajmujących pampę do czasu całkowitego jej opanowania przez wojsko argentyńskie w końcu XIX wieku (przyp. tłum.).

udało się zasnąć, ale późno w nocy obudził się i od tej chwili wszystko nabrało okrutnego smaku. Leżał trawiony gorączką, a ilustracje *Tysiąca i jednej nocy* posłużyły za sceneryę koszmarnym widziadłom. Przyjaciele i krewni odwiedzili go i z przesadnie szerokimi uśmiechami powtarzali, że doskonale wygląda. Dahlmann słuchał ich jakby lekko oszołomiony i dziwiło go niepomierne, że nie wiedzą, iż znajduje się w piekle. Upłynęło osiem dni - osiem wieków. Pewnego popołudnia jego doktor zjawił się z jakimś nowym lekarzem i zawieźli go do sanatorium przy ulicy Ecuador, ponieważ trzeba było zrobić zdjęcie rentgenowskie. W dorożce Dahlmann pomyślał, że może w innym, obcym pokoju nareszcie będzie mógł spać. Poczul się szczęśliwy, chciał rozmawiać; gdy zajechał na miejsce, rozebrano go, ogolono mu głowę, przymocowano go metalowymi kłami do noszy, puszczono światło tak silne, że aż oślepl i dostał zawrotu głowy, został zbadany i człowiek w masce wbił mu w ramię igłę. Obudził się wśród nudności, obandażowany, w celi podobnej do studni; w ciągu dni i nocy, które nastąpiły po operacji, mógł sobie zdać sprawę, że do tej pory znajdował się zaledwie w przedsionku piekła. Lód nie zostawiał mu w ustach ani śladu ochłody. Podczas tych dni Dahlmann znienawidził siebie samego doszczętnie; nienawidził swej tożsamości, swych cielesnych potrzeb, swego upokorzenia, brody, która jeżyła mu się na twarzy. Znosił ze stoicyzmem bardzo bolesne zmiany opatrunków, ale kiedy chirurg powiedział, że mało brakowało, a umarłby na zapalenie mózgu, Dahlmann rozplakał się, rozżalony nad swoim losem. Fizyczne niedole i spodziewane ciągle bezsenne noce nie pozwoliły mu dotąd pomyśleć o czymś tak abstrakcyjnym jak śmierć. Innego dnia chirurg powiedział mu, że jest już coraz lepiej i że wkrótce będzie mógł odbyć rekonwalescencję na swej hacjendzie. Nie wydało mu się to wiarygodne, ale obiecany dzień nadszedł.

Rzeczywistość lubuje się w symetriach i drobnych anachronizmach. Dahlmann przybył do sanatorium dorożką i dorożka wiozła go teraz na plac Constitución. W pierwszym chłodzie jesieni po letnim zaduchu widział Dahlmann naturalny symbol swego losu, wybawionego od śmierci i gorączki. Miasto o siódmej rano nie straciło jeszcze wyglądu starego domu, jaki nadaje mu noc; ulice były podobne do głębokich bram, place wyglądały jak podwórza. Dahlmann rozpoznawał je uszczęśliwiony i z lekkim zawrotem głowy; na kilka sekund przedtem, nim je spostrzegały jego oczy, przypominał sobie rogi ulic, słupy z ogłoszeniami, te drobne odmienności cechujące różne punkty Buenos Aires. W żółtym świetle budzącego się dnia wszystko wracało do niego.

Każdy wie, że Południe zaczyna się po drugiej stronie ulicy Rivadavia. Dahlmann często powtarzał, że nie jest to tylko czymś umownym i że każdy, kto przejdzie przez tę ulicę, znajdzie się w świecie starszym i trwalszym. Z dorożki wyszukiwał spojrzeniem wśród nowej

zabudowy jakieś okno z kutą kratą, kołatkę, łuk bramy, stary wjazd, zaciszne podwórko.

W hali dworcowej spostrzegł, że ma jeszcze trzydzieści minut czasu. Przypomniawsobiesobienagle, że w pewnej kawiarni przy ulicy Brasil (kilka metrów od domu Irigoyena) był wielki kot, który pozwalał się głaskać niczym wzgardliwe bóstwo. Poszedł tam. Kot leżał na swoim miejscu, spał. Dahlmann zamówił filiżankę kawy, osłodził ją powoli, spróbował (w klinice zabraniano mu tej przyjemności) i pomyślał, gładząc czarne futerko, że to zetknięcie jest złudne i że są jakby oddzieleni od siebie szybą, bo człowiek żyje w czasie, w następstwie zdarzeń, a to magiczne zwierzę w teraźniejszości, w wiecznej chwili.

Na przedostatnim peronie czekał pociąg. Dahlmann przeszedł przez kilka wagonów, znalazł jeden prawie pusty. Położył walizkę na półce; gdy wagony ruszyły, otworzył walizkę i po chwili wahania wyjął pierwszy tom baśni *Tysiąca i jednej nocy*. Podróż z książką, tak bardzo związaną z historią jego nieszczęścia, równała się stwierdzeniu, że zostało ono już przezwyciężone; była też radosnym i tajemnym wyzwaniem rzuconym pokonanym siłom zła.

Po obu stronach pociągu miasto rozsypywało się w przedmieścia; widok ten, później zaś widok ogrodów i willi, opóźnił początek lektury. Prawdę mówiąc, Dahlmann przeczytał niewiele; góra z magnetycznej skały i dzinn, który poprzysiągł zabić swego dobroczyńcę, byli, ktoś zaprzeczy, czymś cudownym, ale niewiele bardziej cudownym niż ten poranek i sam fakt istnienia. Szczęście odrywało uwagę Dahlmann'a od Szeherazady i jej niepotrzebnych cudów; zamykał książkę i po prostu pozwalał się unosić życiu.

Obiad (z rosółem podanym w blaszanych, lśniących miseczkach, jak kiedyś, podczas odległych już wakacji w dzieciństwie) przyniósł mu jeszcze jeden moment spokojnej i budzącej wdzięczność rozkoszy.

Jutro obudzę się na hacjendzie - myślał i czuł, że jest w nim na raz dwóch ludzi: jeden, umiejscowiony w tym jesiennym dniu i w geografii swej ojczyzny, i drugi, uwięziony w sanatorium i poddany metodycznym udrękom. Widział domy z nieotynkowanej cegły, kanciaste i długie, wiecznie przyglądające się pociągom; widział jeźdźców na zakurzonych drogach; widział parowy, jeziora i hacjendy; widział długie świecące obłoki, które wyglądały jak z marmuru, a wszystko to było przypadkowe jak sny równiny. Zdawało mu się też, że rozpoznaje drzewa i uprawy, których nie umiałby nazwać, bo jego bezpośrednia znajomość wsi była znacznie słabsza od tego, co podsuwały mu tęsknota i literatura.

W pewnej chwili zasnął i w jego snach trwał pęd pociągu. Białe bezlitosne słońce godzin południowych przybierało już zapowiadającą zmierzch żółtą barwę; niedługo miało stać się czerwone. Wagon też był inny; już nie ten sam co na rogu Constitucíón, kiedy zostawiał za sobą peron: równina i upływające godziny przeniknęły go na wskroś i

przeobrażyły. Na zewnątrz ruchomy cień pociągu wydłużał się ku horyzontowi. Żywiołu ziemi nie zakłócały teraz żadne osiedla ani inne ślady ludzkiej obecności. Wszystko było przestronne, a jednocześnie jakieś zaciszne i w pewien sposób - tajemnicze. W bezkresnym stepie widać było chwilami tylko daleką sylwetkę byka. Samotność tych obszarów była doskonała, może wroga, i Dahlmann mógł podejrzewać, że podróżuje w przeszłość, nie tylko na Południe. Z tych fantastycznych przypuszczeń wyrwał go kontroler, który obejrzawszy jego bilet powiedział, że pociąg nie stanie na tej stacji co zwykle, tylko na innej, nieco wcześniejszej i prawie Dahlmannowi nie znanej. (Człowiek ów dorzucił jakieś wyjaśnienie, którego Dahlmann nie próbował zrozumieć ani nawet słuchać, bo mechanizm zdarzeń go nie obchodził).

Pociąg zatrzymał się, hamując z trudem, prawie w szczerym polu. Za torami znajdowała się stacja składająca się właściwie z peronu i jakiegoś baraku. Nie mieli tu żadnego pojazdu, ale zawiadowca powiedział, że można chyba wynająć powóz w gospodzie, jakiś kilometr od stacji.

Dahlmann przyjął marsz jak małą przygodę. Słońce już się skryło, ale ostatnie promienie oświetlały wspaniałym blaskiem równinę, żywą i milczącą przed nadejściem nocy, która ją zasłoni. Nie tyle dlatego, żeby się nie męczyć, ile raczej dla zachowania na dłużej widoku, Dahlmann szedł powoli, wdychając z uczuciem skupionego szczęścia woń koniczyny.

Gospoda, i zarazem sklep, była kiedyś paśowa, lata złagodziły jednak dla jej dobra tę krzyżującą barwę. Coś z jej ubogiej architektury przypomniało Dahlmannowi pewien staloryt, chyba z jakiegoś starego wydania *Pawła i Wirginii*. Do ogrodzenia było przywiązanych kilka koni. Gdy wszedł do środka, wydało mu się, iż poznaje właściciela; potem uprzytomnił sobie, że zmyliło go podobieństwo do jednego z pracowników sanatorium. Usłyszawszy, o co chodzi, mężczyzna powiedział, że każe zaprząć bryczkę; pragnąc dodać jeszcze jedną przygodę do tego dnia i wypełnić jakoś czas, Dahlmann postanowił zjeść w gospodzie kolację.

Przy jednym ze stołów jadło i piło hałaśliwie kilku chłopaków, na których Dahlmann w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi. Na podłodze, oparty plecami o kontuar, przykucnął nieruchomo, jak martwy przedmiot, jakiś bardzo stary człowiek. Długie lata życia zmniejszyły go i wygładziły, jak woda wygładza kamień, a pokolenia ludzi stępują ostrza sentencji. Ciemny, drobny i wysuszony, znajdował się jakby poza czasem, jak gdyby przebywał w wieczności. Dahlmann z zadowoleniem spostrzegł szerokoskrzydły kapelusz, sukienne poncho, długie *chiripá* i buty z cholewami, z końskiej skóry, i wspominając

bezczelowe spory z członkami północnych stronnictw lub z mieszkańcami prowincji Entre Ríos, pomyślał, że gauzczów takich widuje się już tylko na Południu.

Dahlmann usadowił się przy oknie. Ciemność z wolna ogarniała pola, ale ich zapach i odgłosy dolatywały tu jeszcze przez żelazne pręty. Właściciel podał sardynki, a potem pieczyste; Dahlmann popił je kilkoma szklankami czerwonego wina. Rozleniwiony, smakował cierpkość wina i błędził sennym już nieco spojrzeniem po izbie. Lampa naftowa wisiała na jednej z belek powały; gości przy sąsiednim stoliku było trzech: dwaj wyglądali na parobków z farmy; trzeci, o grubych, nieco mongolskich rysach, pił nie zdjawszy kapelusza. Dahlmann nagle poczuł, że coś lekko musnęło mu twarz. Obok zwykłej szklanki z mętnego szkła, na jednym z pasów obrusa leżała ulepiona z chleba kulka. Tylko tyle, ale przecież ktoś nią w niego rzucił.

Ci przy sąsiednim stoliku wydawali się nie mieć z tym nic wspólnego. Dahlmann, zbity z tropu, postanowił udać, że nic się nie stało, i otworzył tom *Tysiąca i jednej nocy*, jak gdyby pragnął odgrodzić się od rzeczywistości. Po kilku minutach trafiła go druga kulka i tym razem peoni się roześmieli. Dahlmann powiedział sobie, że się nie boi, ale że nie ma sensu, aby on, rekonwalescent, dał się wciągnąć do bezładnej bójki jakimś nieznajomym. Postanowił wyjść; właśnie już wstał, gdy właściciel podszedł do niego i tonem zdradzającym niepokój poprosił:

- Panie Dahlmann, niech pan nie zwraca uwagi na tych chłopców, trochę sobie podchmielili.

Dahlmann nie zdziwił się, że tamten go zna, lecz poczuł, że te pojednawcze słowa w istocie pogarszają sytuację. Przedtem prowokacja peonów była skierowana do anonimowej twarzy, prawie do nikogo, teraz mierzyła w niego, w jego nazwisko, i sąsiedzi mogli się o tym dowiedzieć. Dahlmann odsunął właściciela na bok, stanął przed peonami i zapytał, o co im chodzi.

Zadzierzysty parobek o mongolskiej twarzy, zataczając się, wstał z miejsca. Stojąc o krok od Dahlmanna, zaczął mu wymyślać na całe gardło, jak gdyby wołał z daleka. Bawiło go to, udawał, że jest pijany, a w tym udawaniu było okrucieństwo i kpina. Nie przestając wykrzykiwać przekleństw i sprośności, wyszarpnął na światło długi nóż, obrzucił go wzrokiem, zważył na dłoni i wyzwał Dahlmanna do walki. Właściciel gospody zaoponował drżącym głosem, mówiąc, że przybysz jest bez broni. W tym momencie zdarzyło się coś nieprzewidzianego.

Siedzący nieruchomo w kącie izby stary gauczo, w którym Dahlmann widział symbol Południa (tego *swojego* Południa), rzucił mu pod nogi nagi szyćlet. Jak gdyby Południe

postanowiło, że Dahlmann ma się zgodzić na ten pojedynek. Dahlmann schylił się, żeby podnieść sztylet, i zrozumiał w tym momencie dwie rzeczy. Pierwszą, że ten niemal instynktowny gest zobowiązywał go do walki. Drugą, że w jego niewprawnej dłoni nóż nie posłuży do obrony, a tylko usprawiedliwi jego zabójstwo. Kiedyś, jak każdy mężczyzna, bawił się nożem, ale jego szermierka ograniczała się do znajomości zasady, że ciosy powinno się kierować od dołu ku górze i ostrzem zwróconym do środka. *W sanatorium nie dopuściliby, żeby mi się zdarzyło coś podobnego* - pomyślał.

- Chodźmy na dwór - rzekł tamten.

Wyszli i chociaż Dahlmann nie miał nadziei, nie odczuwał też strachu. Przekraczając próg poczuł, że tej pierwszej nocy w sanatorium, kiedy wbili mu igłę, śmierć w walce na noże, pod gołym niebem i w natarciu, byłaby dla niego wyzwoleniem, szczęściem i świętem. Poczuł, że gdyby wtedy mógł wybrać lub wyśnić swoją śmierć, to wybrałby lub wyśnił właśnie tę.

Dahlmann mocno ścisnął w dłoni nóż, którym być może nie będzie umiał się posłużyć, i wychodzi na równinę.